

## AM#Opowiadania 44

Witam

Numer ten jest dość nietypowy. Głównym powodem tej sytuacji jest bardzo nieoczekiwany Deadline... no i stało się jak się stało... A powiedziałem niedawno, że przerw nie będzie tak często więc, to oto mini wydanie. W ten oto sposób macie AMO w pdfie :)

Mamy do zaoferowania jedno opowiadanie, za to jakie! Alan Akab wygrał dzięki niemu nasz konkurs Storytellers Best Story. Następny numer będzie normalny :P

Bardzo Dziękuję za wspaniałe rysunki Marcinowi "Ulfhedhinnowi" Piotrowskiemu który wykonał je w morderczym tempie, a efekt mnie urzekł :).

Wszystkie teksty do następnego numeru oczywiście przechodzą, więc nie obawiajcie się, że przepadną!!!

Opowiadania słać oczywiście na adres redakcji opowiadania@gmail.com  
Następny numer powinien być wielki ;)

Do przeczytania!

Shiro

Alan Akab ::: Zamieć



Ludzie dziwnie reagują na nagłe zdarzenia. Czasem bywa to śmieszne, lecz gdy w grę wchodzi realne zagrożenie, staje się przerażające. Często działają wbrew logice; myślą w najprostszy z możliwych sposobów, uderzają na ślepo w to co stoi najbliżej, pozwalając prawdziwemu sprawcy umknąć bezkarnie. Co więcej, nie dzieje się tak wyłącznie pod wpływem chwili. Zdarzenia przebiegają podobnie nawet gdy ludzie mają aż nadto czasu by się zastanowić. Dlaczego więc nie myślą, aż do chwili gdy jest za późno?

\* \* \* \* \*

Są na Świecie miejsca gdzie młody wędrowiec łatwiej znajdzie zlecenie niż wprawny wojownik. Powierzane im zadania nie są aż tak istotne by opłacać doświadczonemu, lecz liczącemu sobie sowicie za usługi kuriera. Dla płacącego takie misje sprowadzają się do jednego - jeśli się uda to dobrze, zarobię więcej, lub zdołam wypełnić ważniejsze zadanie, a jeśli nie to trudno - będzie inna okazja. Zwykle dotyczy to misji kurierskich.

Ot, na przykład - dobrze by było gdyby ktoś powiadomił partnerów w innym, odległym mieście że oto idzie nieurodzaj i trzeba podnieść ceny, zaś ten kto to robi najszybciej, wkrótce zarobi więcej niżli by sprzedał wszystko przed końcem tygodnia. Wieść taką na czas dostarczy zaś jedynie goniec którego znajomi handlarze pchną niebezpiecznym, lecz krótszym szlakiem.

Posłaniec jest w takich wypadkach wpisany jako potencjalna strata, za którą wszak nikt nie będzie rozpaczał. Zrozumienie tej prawdy wzbudza wprawdzie strach i niechęć do takich drobnych misji, lecz przetrwanie bez talarów, a czasem i dukata, który potrafi wpaść przy okazji do sakiewki, bywa trudne, a często jeszcze bardziej niebezpieczne. Tak więc, robisz co musisz - akceptujesz sytuację, stajesz się ostrożniejszy i robisz co do ciebie należy - dokładnie to, czego oczekują od siebie zlecniodawcy.

Z tychże przyczyn ja i Noram przemierzaliśmy, w wielkim pośpiechu, najdłuższą część Wielkiego Szlaku Wschodniego, w najmniej dogodnej ku temu porze roku. Za garść talarów mieliśmy dostarczyć pewną poufną wiadomość, którą niektórzy chcieliby zachować dla siebie - szczęśliwie nie zależało im na niej na tyle by posunąć się do morderstwa. Zdołaliśmy uniknąć przechwycenia, pozostało nam już tylko wyprzedzić konkurencję, zaś obranie krótszego, mniej uczęszczanego szlaku było w takich sytuacjach zwyczajową częścią planu.

Naszym celem był Szeol - średniej wielkości miasto na Wielkim Szlaku Wschodnim, leżące nad płynącą na wschód rzeką Szelą. Zbudowane dawno temu w długiej, skalistej dolinie, wciśniętej między biegnącymi równolegle do siebie Barrierami - od miasta nazywanej Przełęczą Szeolską, czy z dawniejszych okresów, Szemirską - całą swą siłę czerpało z handlu i wydobywania rud, kruszców i klejnotów.

Zamiast żyznej gleby, dolinę szeolską pokrywają jałowe, wypłukane przez rwącą wodę żwir i kamienie, z rzadka porośnięte górkami zieleń. Nie rośnie tam żadne zboże, nawet sagron, choć jest najmniej wymagające i dlatego powszechne wśród Gór Granicznych. Lato jest tu równie chłodne jak wiosna, a zima równie sroga jak pośród Barrier. Drzew jest niewiele; powstający z jego wypalenia węgiel ma w Szeolu swą cenę, czyniąc wytopienie metalu nieopłacalnym - wielki to pech dla miasta, opływającego we wszelkiego rodzaju rudy.

Długi, spinający jeden kraniec kontynentu z drugim Wielki Szlak Wschodni ma tu swój najcięższy odcinek, ale kupcy niewiele sobie z tego robią. Towar płynie nieprzerwanym strumieniem, dając miastu ogromne zyski, gdyż każdy kto chce przedostać się z centralnej części gór ku Wschodnim Stepom, skazany jest na Szeol i jedyną bezpieczną drogą na wschód, zdatną do jazdy wozem, prowadzącą przez Przełęcz właśnie. Miasto jest wręcz nie do ominięcia - i któżby je zechciał mijać? Niewiele jest w tym niegościnnym regionie miejsc gdzie można pożywić się i wypocząć. Nie bez powodu towary na jednym końcu doliny bywają i dwakroć cenniejsze na drugim i nie bez przyczyny wahania cen żywności w Szeolu odbijają się długotrwałą czkawką tak w stolicy Imperium, jak i Cesarstwa - dolina leży nieomal w połowie drogi między nimi.

Surowe warunki mają też dobre strony. Tylko szalony herszt mógłby poważnie rozważać zbójcecki żywot wśród skał Przełęczy. Nie przeżyłby tu jednego sezonu - bynajmniej nie za sprawą szeolskiego, nielicznego wojska. Niepodległe od chwili powstania Szlaku miasto, mimo swojego bogactwa, nie potrzebowało armii - niejedna wyginęła do nogi, próbując oblężenia. Dość było mieszkańcom dotrwać zimy, by ta zrobiła swoje. Mawiają o Przełęczy - jedyne co może cię tam zabić, to zima i twoja własna głupota. Gwarantuję, to szczerą prawdą.

Po obu stronach, z grubsza od południa i północy - gdyż dolina Szeolu swym wschodnim krańcem skierowana jest lekko ku południu - Przełęcz zamykają dwa ciągnące się na tysiące stających pasma gór w górach. Mówią na nie Bariery. Wiele takich barier przecina Góry Graniczne, lecz w północnej i wschodniej ich części moce Świata wypiętrzyły je wyżej niż gdziekolwiek indziej. Bariera na północ od Przełęczy nie jest ani szczególnie groźna, ani uciążliwa w przeprawie - przecina ją nawet kilka bocznych dróg, łącząc ze szlakiem nieliczne, leżące za nią krainy i izolowane w nich miasteczka, przycupnięte niebezpiecznie blisko północnej granicy gór. Dalej znajdują się już tylko dzikie, opanowane przez orki, Północne Step, a za nimi - pustynie Korieselu. Lecz południowa Bariera... to nie są żarty.

Nie prowadzi przez nią ni jedna droga - bo jakżeby mogła? Wiecznie skuta lodem kraina, Bariera Wewnętrzna lub jakże złudnie Małą Barierą zwana, jest zamrożona chyba do samego korzenia Gór. Wspinająca się w niebo skalna masa niewiele ustępuje najwyższemu szczytowi Świata - tylko odgraniczająca góry od Wschodnich Stepów Wielka Bariera Wschodnia jest wyższa i groźniejsza, choć ku północy obniża się, by u wylotu Przełęczy Szeolskiej utworzyć łagodne przejście. Tylko krasnoludy są tu w stanie przetrwać,

a i to nie na powierzchni, lecz w wykutych w głębinach masywu korytarzach i podziemnych komnatach. Klany ze wschodnich części gór, żyjące pod Barierą Wschodnią, zdołały przekuć ją w poprzek, lecz Bariera Wewnętrzna jest kilka razy rozleglejsza. Znam krasnoludy dość by wiedzieć kiedy coś ukrywają. Uwierz moim słowom - nie istnieje żaden korytarz prowadzący z jednej strony Małej Bariery na drugą.

\*

Długi czas trzymaliśmy się głównego traktu, aż dotarliśmy do rozstajów, gdzie ciągnący się dotąd wzdłuż północnej krawędzi Bariery Wewnętrznej, Szlak szerokim łukiem omija wcinający się tu ku północy, niższy i mniej surowy, lecz wciąż niegościnnie masyw, pełen głębokich, wąskich dolin i wysoko położonych przełęczy. Miejsce to zwano Krainą Wyjających Dolin - od dźwięków, jakie wywoływały wpadające tu, pędzące przez Szeolską Przełęcz szybkie, zimne wiatry na początku zimy i ciepłe u jej schyłku. Tę niewielką krainę szczególnie umiłowali sobie górnicy i kowale, a to za sprawą bogactw, dorównujących tym z głębin Bariery. Choć kryjąca w swych dolinach liczne kopalnie, ziemia ta, przez częste i znaczne zmiany wysokości, przeciętnemu kupcowi zdawała się ucieleśnieniem koszmaru. To wspinające się ku wysokim przełęczom, to opadające na samo dno doliny drogi zakręcały tak ostro iż co większe wozy ledwie unikały upadku z pnących się przy ścianach serpentyn. Jednak prowadzący tędy trakt, wbrew tym niedogodnościom, był całkiem wygodny. Podróżując głównym Szlakiem, wędrowiec tracił kilka dni. Przejście w poprzek od zawsze kusiło drobnych handlarzy, czy podróżników, jak my, nie obciążonych wozem, za to z zimowymi saniami wyładowanymi niewielkim, wspólnym dobytkiem.

Góry potrafią fascynować, nawet gdy są obleczone niebezpiecznym majestatem zimy. Jedni podróżnicy lubują się w dalekich, rozległych panoramach; rozkoszują się widokami z wysokich szczytów, gdy świat zdaje się leżeć u ich stóp. Dla mnie piękno kryje się w krętych niczym węże dolinach, masywach pociętych gigantycznym nożem wytrwałych strumieni i w wąskich przełęczach, przeciskających się między udającymi baszty lub barbakany, wyniosłymi i stromymi szczytami. Myślę że Noram podzielał moją fascynację, lecz śpieszący się człowiek niewielką zwraca uwagę na skały, a większą na kryjący pod sobą zdradliwe placki lodu śnieg, czekający tylko by, na podobieństwo pułapki, poślizgiem posłać nieuważnego przechodnia na dno przepaści. Zimą nie było o nie trudno.

Mieliśmy szczęście. Zima była niezwykle sroga, lecz ostatnie dni naszej przeprawy przez Krainę Wyjających Dolin obdarzyły nas piękną, słoneczną pogodą. Łód na drodze topił się od rozgrzanych ciepłymi promieniami skał, ogromnie ułatwiając nam przeprawę, lecz ja, choć młody, znałem już góry na tyle by czuć rychłą i gwałtowną zmianę. Zbyt wiele ostatnich dni było pięknych i słonecznych. W powietrzu czułem to coś, coś ulotnego, czego górale nie potrafili wskazać, lecz wiedzą że nadciąga. Noram czuł to samo.

Pewnego dnia nasze szczęście się skończyło. Zamiast świecącego nad północnymi szczytami słońca pojawiły się chmury. Najpierw rzadkie i nieśmiałe, rychło z całą bezczelnością przesłoniły niebo. Zaczęło delikatnie prószyć. Zmiana była tuż-tuż. Dzień, dwa, myślałem, i ta część gór stanie się nie do przebycia, nawet na Szlaku, dla nikogo. Jednak za wszelką cenę chciałem dostać się do miasta, choć Noram kręcił na to głową.

- Jeszcze dwa dni! - powtarzałem mu - Dwa dni i będziemy u celu! Talary muszą być nasze.

Noram wciąż kręcił głową, ale szedł. Był starszy może o rok, może dwa - w górach tylko wielmoże i władcy dolin przykładali wagę do dokładnego liczenia lat - ale z nas dwóch to ja lepiej znał góry. Szkoda że moja wiedza przybladła wtedy w obliczu zarobku.

Następnego dnia śnieg zaczął się wzmagać. Słaby jeszcze, ale chłodny i przenikający do szpiku kości wiatr zaczął dąć wprost w nasze otulone futrzanymi kapturami twarze. Wspinając się na przełęcz mineliśmy jakąś niewielką osadę. Jej mieszkańcy wydawali się spokojni, tym mocniej uwierzyłem że nie będzie tak źle, lecz gdy parę godzin później weszliśmy wyżej...

Z przełęczy rozpościerał się wspaniały widok na sąsiednią dolinę. Trakt serpentyną schodził w dół, by jakieś pół godziny marszu dalej zniknąć pod śniegiem. Wiatr był tu silniejszy; co rusz gnał śnieżnymi wirami w górę, ku nam, ku przełęcz. Dolina za naszymi plecami zdała mi się wręcz oazą spokoju.

Noram powiódł wzrokiem po skalnych krawędziach i pełnych śniegu zboczach. Niech no tylko wiatr się nasili,

a zejda w dół lawinami...

- Idź, jak chcesz - odparł - Bierz swoje talary, weź wszystkie, ja wracam.

Odwrocił się, ciągnąc za sobą sanie. Niewiele myśląc wskoczyłem na ich tył i pchnąłem je lekko.

- Po co iść, jak możemy jechać? - zawołałem łobuzersko.

Spojrzał do tyłu, dość by w ostatniej chwili usadowić się na rozpędzających się saniach. Przy wtórze śmiechu zjechaliśmy w dół, ku leżącej tuż pod przełęczą osadzie górniczej, przezornie ukrytej u stóp szerokiego, chroniącego ją od porywów wschodniego wiatru masywu.

W niewielkiej wiosce żyło ledwie kilkanaście rodzin. Jej mieszkańcy byli górnikami, lecz przede wszystkim, byli doświadczonymi góralami. Czując zmianę lepiej ode mnie - i czując że nadejdzie z ogromną siłą - przygotowywali się do niej na swój zwyczajowy sposób. Zabezpieczywszy swój dobytek, opuszczali swoje solidne chaty, przenosząc żywność i najniezbędniejsze do życia rzeczy do jaskini, stanowiącej jednocześnie schron, zajazd, karczmę i przedsiónek kopalni.

Starając się nie przeszkadzać, udaliśmy się wydeptaną w śniegu ścieżką, ku górującej nad wioską skale, gdzie znajdowała się gospoda. Trudno było jej nie zauważyć - nad jej drzwiami widniał dobrze widoczny, wykuty na wygładzonej skale szyld z symbolem gościny. Powyżej zwieszał się chroniący przed nadmiarem śniegu skalny nawis. Wejście znajdującej się tu kiedyś jaskini dawno temu zostało solidnie zamurowane, zaś wewnątrz dostosowane do ludzkich potrzeb. Znajdujące się tuż obok wielkie, dwuskrzydłowe, teraz dobrze zawarte i zabezpieczone wrota prowadziły do chwilowo nieczynnej kopalni. Drzwi do gospody były znacznie mniejsze. Dwa tkwiące obok niewielkie okna, zrobione były z grubych tafli szkła. Z otworu, jakieś ramię wyżej nad oknami, sączył się dym - obietnica ciepłego wnętrza.

Uwiązaliśmy sanie do białego przy wejściu palika i weszliśmy do środka, dobrze zamykając drzwi, by nie wypuszczać ciepła. Niemal potknąłem się o wystające na trzy palce z podłogi, trzy metalowe podstawy, ustawione tuż za zasięgiem skrzydła drzwi. Sterczały, jakby ich jedynym przeznaczeniem było przewracanie gości Skłamałem w duchu tego kto je tu umieścił.

Oczekiwałem niewielkiego pomieszczenia, lecz trafiłem do komnaty rozległej niczym zamkowa sala. Tylko u sufitu błyszczała naga skała; obszerne wnętrze jaskini podzielono murowanymi ścianami na szereg pomieszczeń. Lewa oddzielała nas od części wykorzystywanej przez kopalnię - tkwiące w niej solidne drzwi również były zamknięte. Drzwi w prawej ścianie zasłaniała niezbyt czysta, gruba mata; w murze naprzeciwko wejścia nie było żadnych drzwi, jedynie dwa prowadzące w głąb korytarze. Wnętrze oświetlały liczne olejne lampy, kładąc swój blask na sześć solidnych, jak to w górach, stołów - po jednym przy oknach - kilka ław i szereg stolików. Zdziwił mnie brak kontuaru, lecz szybko zrozumiałem że nie był on potrzebny - prawe drzwi prowadziły do gospodarskiego składziku, pilnowanego przez mężczyznę w średnim wieku, siedzącego przy niewielkim, przysuniętym do ściany stoliku. Nie miałem wątpliwości - krasnoludy nie miały z tym miejscem nic wspólnego.

Murowany kominiek zajmował prawy róg pomieszczenia, przy zewnętrznej ścianie. Buchający w nim żywo ogień wypełniał ciepłem całe pomieszczenie, ogrzewając sierść kilku leniwie wypoczywających w pobliżu, nie zwracającym na nikogo uwagi kotów. Ciekawy widok - zwierzęta te kręciły się wprawdzie wokół ludzkich osad, żyły w miastach, czasem nawet dawały się karmić, lecz były dzikie nawet od wilków, których szczenięta dawały się czasem oswoić. Uciekały przed ludźmi, nie dając się dotknąć, choć chętnie wchodziły do domów, zwłaszcza gdy nikogo nie było. Pozwalano im na to, gdyż nie dość że tępiły małe i uciążliwe szkodniki, to jeszcze w wielu miejscach wierzono że kot w domu przynosi gospodarstwu szczęście. Jeśli to była prawda, osada musiała być bardzo szczęśliwym miejscem, lub też śnieżycą na tyle niebezpieczną że, będąc z natury wygodne i leniwe, choć płochliwe koty wołały to od ucieczki przed ludźmi na dwór.

Kilka rodzin próbowało rozgościć się w skromnych warunkach. Ludzie ubrani tu byli w skromne, góralskie płótna, ich twarze mówiły że obce im zmartwienia sięgające dalej niż niewielka dolina, może z wyjątkiem cen na Szeolskim targu. Nikt nie miał tu panów, nawet miasto nie podlegało żadnemu królowi, ni księciu. Jak długo płynęły towary, cesarscy czy imperialni możni nawet nie udawali że wiedzą gdzie leży Szeolska Przełęcz.

Rozejrzałem się, ciekaw czy poza nami jest tu jeszcze ktoś z zewnątrz. Nie oczekiwałem tłumów. Każdy kto mógł i kto wierzył że zdąży, wyniósł się na czas rychłej śnieżycy do Szeolu, leżącego ledwie dwa dni drogi stąd, gdzie boczny szlak łączył się z głównym. Tylko jedna z osób była naznaczona częstymi podróżami - za

to naznaczona obficie. Mężczyzna koło czterdziestki, w znoszonym, lecz wciąż mogącym wytrzymać i trzy razy tyle co dotąd kaftanie i podobnych mu spodniach, wyglądający na sprawnego i zwinnego, niedbale rozparł się na ławie, przy stole w głębi pomieszczenia, tuż przy prawym korytarzu. Od naszego wejścia bez skrywania wodził za nami oczami. Szeroka szrama od dawnego, chybionego cięcia ku gardłu, przyjętego na prawą szczękę, jakoś nie budziła mojego zaufania.

Patrzyły na nas wszystkie pary oczu - i kilka pojedynczych, których posiadacze utracili drugie w jakimś górniczym wypadku. Kilka osób wzruszyło ramionami - młodzież na szlaku była podług nich albo zbyt głupia by rozumieć jak mogą skończyć, lub wystarczająco doświadczona by nie zwracać sobie nią głowy.

Skuszony ciepłem, z wolna zacząłem rozzuwać się z futra, próbując zgadnąć kto tu jest gospodarzem. Nawet jeśli nie dane nam będzie tu zostać na dłużej, pomyślałem, ogrzejemy się choć na kilka godzin. Do zmierzchu nie zostało wiele czasu.

- Dobrzy ludzie - spytał głośno Noram - Znajdziem u was nocleg i posiłek, na kilka nocy?

- A już! - mężczyzna przy kotarze stanął na nogi. Wędrowiec ze szramą natychmiast posłał szybkie, taksujące spojrzenie ku pozbawionym teraz ochrony drzwiom. Ktoś tu nie przywykł do uczciwego zarabiania na życie...

- Nie tylko na noc, dzieci, na dzień także - gospodarz z zaciekawieniem podszedł do nas, znać że zauważył iż pod futrem noszę kolczugę, i to nie byle jaką - Rzeknę wam, gdy się zacznie, nie będziecie chcieli stąd nosa wyściubiać, nieważne jakiej pory dnia. Płacicie za zwykłe, czy wygodne?

Tak naprawdę, nie pytał nas o jakość lokalu, lecz czy zapłacimy czymkolwiek - możliwie monetami, a nie pracą - i czy aby nie będziemy płacić imperiałami. Nie wyglądaliśmy wprowadzić na łachmaniarzy, ale nasz wiek niewiele mówił o zasobności sakiewki, tym mniej o rodzaju jej zawartości.

Imperiałami zwano monety Imperium - szaral, szekiel i minszel. Dzięki dziwnej polityce orczych władców nie bito ich w kruszczach, jak w Cesarstwie - dukata w złocie, talara w srebrze, miedziaka w miedzi, lecz w wymyślnych, twardych stopach. Sprawiało to iż tylko w granicach Imperium, oraz pobliskich szlakowych księstwach, można je było wymienić na wartościowe kruszce. W rezultacie, choć szaral miał wartość równą dukatowi, zachowywał ją wyłącznie na wschód od Gór Granicznych, podczas gdy cesarskie dukaty i talenty, tak jak kruszce, z których je wykonano, warte były wszędzie tyle samo, czyniąc je najpowszedniejszymi i honorowanymi niemal wszędzie jednostkami monetarnymi Świata. Dość było rzec iż tu, w Szeolskiej Przełęczy, imperiały liczone już za ćwierć wartości. Każdy kto zamierzał udać się na zachód - i miał dość rozumu by zawczasu o wszystkim pomyśleć - już na granicy Imperium wymieniał imperiały na bardziej uniwersalne dukaty, lub za ich resztę nabywał jakiekolwiek towary, byle uniknąć tej powstałej nie bez przyczyny lichwy. Taki stan rzeczy przysporzył niejednemu lokalnemu handlarzynie sporej fortunki - ale lepsze to niż zamrażanie pieniędzy w bezwartościowe krążki.

Skromne imperiały liczyły się na wschodzie i tylko na wschodzie; orcze pieniądze wracały do nich, zaś cesarskie dukaty panoszyły się jak znany Świat długi i szeroki, trafiając do chłopskich chat, czy znikając na wieki w grobowcach władców. Respektowano je zarówno w Imperium, jak i w elfiej puszczy - wszak utrata wartości im nie groziła. Jednak Cesarstwo mogło je bić tylko tak długo, jak długo utrzymywało swoją centralną pozycję w handlu. Póki co, ta była nienaruszalna. Dzięki polityce dukata, Cesarstwo trzymało w rękę całą ekonomię znanego Świata, lecz by ją utrzymać, musiało bić wciąż nowe monety, szeroką rzeką wypływające w świat przez wszystkie większe szlaki. Cesarz potrzebował na to coraz więcej złota, nic też dziwnego że łakomym wzrokiem spoglądał na zasobne w nie Pogórze, wiążąc ekonomię Szlaków z jego powolnym podbojem.

- Nie kłopotcie się, gospodarzu - uspokoił go Noram - Płacimy uczciwym srebrem.

- Mamy sanie na zewnątrz - wskazałem palcem za siebie - Moglibyśmy...

- Wprowadźcie je więc, rychło! - przynaglił gospodarz - Nic nie ostanie, co na dworze. Pokoi dostatek, kto żyw pognął do miasta. Obierzcie korytarz po prawicy. Bierzcie który chcecie i który otwarty, byle stać was było...

- Aby nie zaglądacie za drzwi na końcu, po prawej - ostrzegł obojętnie wędrowiec, ni to mimochodem, lecz po nazbyt chłodnym głosie poznałem że mówi bardzo, ale to bardzo poważnie - Gotowe uciąć zbyt wścibskie nosy.

- Darujcie go sobie - gospodarz popatrzył nań z ukosa - Dwa dni tak siedzi, na śniegi czeka, jak mówi. Nikomu uprzejmości nie świadczy, ale nie godzi się tylko przez to rzucać go na dwór.

- Zwłaszcza gdy płaci - Noram zabrzączał sakiewką, wydobył talara i wręczył gospodarzowi.  
- Ano, płaci... A, pierwsze po prawicy też najęte. Podróżnicy tam zmęczeni długą drogą, dajcie im poczywać - gospodarz pokiwał głową i, rzucając bojaźliwe spojrzenia ku wędrowcowi, pośpiesznie poczłapał na swoje stanowisko warty.  
- Wygódka na końcu tunelu - dodał jeszcze - Ino dobrze ją domykajta. I nie pchajta się do kopalni! Dobrze zamknięta. Nie trza mi grzać korytarzy. Ciepło ucieknie, a nie ma tam nic ciekawego, ino bydlęta. Kto spróbuje tych drzwi, to do rąbania drew popędzę! Gość czy nie, i dukat cesarski nie pomoże - mruknął jeszcze, sprawdzając jakość talarowego kruszcu - Nie przejdę przez drzwi aż pogoda się poprawi. Wzruszyliśmy ramionami i zawróciliśmy po sanie, ciesząc się że poza wędrowcem ze szramą są tu jeszcze inni światowi ludzie.

\*

Chcąc pozostać tak daleko od kwatery nieznanego wędrowca jak to tylko możliwe, rozlokowaliśmy się w pokoiku pierwszym po lewej. Ciekawa rzecz - na początku, nim zżyłem się z Noramem, gdy jeszcze nie było nas stać na takie luksusy, zawsze marzyliśmy o pojedynczych pokojach. Teraz odwrotnie - przyzwyczailiśmy się do spania w jednym, choćby i największym łóżku. Świadomość bycia razem sprawiała że czuliśmy się bezpieczniej.

Mieliśmy dość śniegu i mrozów, na dwór nie chciało nam się wychodzić, a że nie było nic do zrobienia, usiedliśmy w głównej sali, by czasu do czasu spojrzeć przez okno. Pociemniało na dworze, choć do wieczora był jeszcze czas - coraz obfitszy śnieg pochłaniał resztki słonecznego światła. Noram miał rację - zawróciliśmy prawie w ostatniej chwili.

Lewy korytarz, jak się okazało, prowadził do kwater mieszkańców osady. Po ich zachowaniu znać było że nie pierwszy raz szło zmierzyć się im z tym co miało nadejść. Siedzieliśmy może ze dwie godziny, dumając nad tym, z wolna sącząc ciepłe, zaskakująco mocne piwo - specjalność okolicznych górali - z każdą minutą coraz bardziej się nudząc. Może w końcu wyleźlibyśmy na dwór, gdyby nie kolejni, szukający schronienia goście. Nawet jeśli zachowywali się głośno już na zewnątrz, śnieg skutecznie zagłuszał ich nawoływania. Zauważyliśmy ich dopiero gdy energicznie otworzyli drzwi. Podskoczyliśmy z wrażenia - nagłe zakłócenie leniwego spokoju było niczym wybuch eksplozytywnej bomby.

Do środka pośpiesznie wpadła piątka ośnieżonych od stóp do głów postaci.

- Dzięki niech będą Belelowi, zdążyliśmy w ostatniutkiej chwili! - zawołał niższy od pozostałych, dość tęgi jegomość. Z nielicznych, widocznych spod bieli fragmentów ubrania, odgadłem że to człowiek majątny, choć nie można - Gospodarzu! Gospodarzu!

- Witam dostojnych panów! - gospodarz poderwał się na nogi i usłużnie podbiegł do nowych gości, byстрым wzrokiem przeliczając wartość przybysz na monety - Pomocą służę...

Jak się dowiedzieliśmy, Mrazin - bo tak się nazywał - władał gospodą, gdy jego brat, Holmin, podobny do niego, lecz o wiele szczuplejszy, był kimś w rodzaju wójta osady. Obaj dzielili władzą nad osadą z Isfitą, szefem bezrobotnych na czas zimy górników.

- Dobry człowieku, bądźże łaskaw... - przybysz złapał go za ramię, wskazując na drzwi - Pomożecie schować wozy? Dwa mamy...

- Juści, rychło! - gospodarz sięgnął do zawieszzonego u pasa pierścienia z kluczami - Mam ja schron na takie wypadki.

Zawołał kilku miejscowych i wraz z Isfitą oraz przybyszami wyszedł w śnieg.

Niektóre osoby już przy pierwszym spotkaniu, nie wiedząc czemu, wzbudzają bardzo określone uczucia. A to źle komuś z oczu patrzy, a to rozciągają dziwne uczucie zaufania i dobroci. Oszramiony wędrowiec należał do tej grupy z oczywistych względów, ale Isfita... Czułem się dziwnie gdy tylko przechodził w pobliżu. Nie był to niepokój czy poczucie niebezpieczeństwa - te ogarniały mnie gdy patrzyłem na wędrowca - nie było to też uczucie ani dobre, ni nie mile, czy przyjemne. Po prostu coś było - niesprecyzowane, nieokreślone. U ludzi to coś wypływa często ze złego doświadczenia z przeszłości, ze skojarzenia kogoś z kimś komu zawdzięczają kłopoty, z dostrzegania nieuświadomionych jeszcze, ostrzegawczych szczegółów, czy nawet ulegania niewidzialnej aurze napotkanej osoby. Elfy, niektórzy ludzie i większość krasnoludów wyczuwa

bliskość silnego, pierwotnego zła, nieważne pod jaką postacią. Nic nie wiedziałem o tym bym był czuły na cokolwiek w tym rodzaju, uznałem więc że to coś tkwi w samym Isfście.

Zerwaliśmy się i poszliśmy za przybyszami, nie tyle może do pomocy, bo niewielki byłby z nas pożytek, co z ciekawości. Wraz z nami wyszło kilku mieszkańców, także i wędrowiec, lecz wyraz jego twarzy był tak obojętny iż od razu pomyślałem że jeno wykorzystał okazję by się rozejrzeć. Nikt go nie prosił o pomoc, a i nie wyglądał na osobę która gotowa była jej udzielić...

Śnieg walił od przełęczy coraz silniejszą nawałnicą. Z pomocą wiatru zdążył już podsypać grubą warstwą wrota do kopalni. Miejscowi i przyjezdni, bez - bez naszej i wędrowca pomocy - rozwarli wreszcie przejście. Przy gęstniejącym śniegu i wzmagającym się wietrze, piątka przybyszy wyprzęgła mocno zdenerwowane konie i, za radą gospodarza, wprowadziła je do kopalni. Potem, wraz z górnikami, wprowadzili do niej wyładowane wozy.

Z ciekawością zajrzeliśmy do środka. Ogromny przedsionek kopalni po lewej zawalony był zepchniętymi na bok wózkami, pakami i sprzętem górniczym; po prawej, od strony gospody, stały zbite z desek zagrody dla zwierząt - w kilku nerwowo pocharkiwały pegreny, kilka pustych czekało na podróżnych z własnym zaprzęgiem. Wszystko było przygotowane na wizytę kupców.

- Bierzcie co potrzebne - ostrzegł gospodarz - Jak zawrzemy te drzwi, do końca śniegów ich nie roztworzę. Stałem u samych wrót, obserwując krzątanię. Byłem gotów pomóc, lecz rozumiałem że pożytek z nas byłby niewielki. Nikt nie zwracał na mnie uwagi - poza jedną osobą. Tuż obok zauważyłem cień. Odwróciłem głowę - w samą porę by przyuważyć jak samotny wędrowiec szybkim, uważnym spojrzeniem przygląda się wnętrzu jaskini, ale gdy odwrócił się ku mnie, jego wzrok był już równie znudzony jak w gospodzie. Ledwie na chwilę załśniło w jego oczach coś innego, żywszego - chłodne, milczące ostrzeżenie, od którego ciarki przeszły mi po plecach. Odwrócił się leniwie i udał się w stronę drzwi gospody.

Wszyscy, poza nami, albo ustawiali wozy pod ścianą, albo uspokajali, tudzież dokarmiali konie. Trwożnie rozejrzałem się za Noramem, rozpaczliwie szukając kogoś kto mógł widzieć to co ja - ale nawet on nie zwrócił na nic uwagi, ciekawie wpatrując się w głąb zięjącego na tyłach jaskini, górniczego tunelu.

Podbiegłem do niego i położyłem rękę na ramieniu.

- Widziałeś coś? - spytałem, spoglądając za siebie.

Pokręcił głową, ale odwrócił się i powędrował za moim spojrzeniem. Wędrowiec właśnie zniknął za drzwiami.

- Powinniśmy na niego uważać - szepnąłem głośno, przez zawieję, tak by tylko on to usłyszał - Jeszcze będą przez niego kłopoty.

- Nie będziemy tu długo - Noram wzruszył ramionami, dalej przyglądając się wozom, by już chwilę potem puścić wszystko co rzekłem w niepamięć.

Isfita zamknął wrota i wszyscy wrócili do gospody. W jej ciepłym wnętrzu przybysze szybko pozrzucali z siebie ciepłe futra.

Osoba odwołująca się wcześniej do Belela wyglądała na mieszczanina, przybyłego tu wprost z jednego z dużych miast szlakowych, jednych z tych w których to z powodzeniem można przeżyć całe życie bez wychylania nosa zza miejskich murów. Choć górale przyjęli tu i ówdzie Belela do swego panteonu, pozostaje on bóstwem raczej orczym, a i patrząc na nowego przybysza gotów byłem uznać iż pochodzi z jednego z księstw szlakowych. Ich terytoria rozciągały się na zachód od granicy z Imperium, wchodząc w głąb leżących na wschód od Gór stepów, lecz kończyły się na setki stajañ przed nimi. Między najbliższym nam księstwem a górami rozciągał się szeroki pas suchej ziemi niczyjej, zbyt jałowej by budować wioski, co dopiero miasta. Stały tam jedynie zajazdy i w większości niepodległe zamki-strażnice, w których chętnie gnieździły się grupki żołnierzy pod wodzą hersztów, ochoczo wywodzących swe rodowody od wypędzonych książąt. Ich zajęciem bynajmniej nie było pilnowanie szlaku - nawet orki zapuszczały się tam bardzo rzadko, trzymane w karbach przez klany krasnoludów z północno-wschodnich krańców Wielkiej Bariery, wspomagane przez leniwie krążące wzdłuż traktu powietrzne okręty Imperium - lecz pobieranie myta od podróżnych. Jedno tylko łączyło je z księstwami - jak one, powstały wraz ze szlakiem, istnieją dzięki niemu i z nim, gdy znikną karawany, zginą.

O ile górale mieli domieszkę krwi elfiej, ludzie ze wschodu nosili ślady nieodległego związku z orkami - jak choćby siwe, czy słomkowe włosy, rzadką brodę, piwne, czy aż prawie czarne oczy, a jeśli cechy te były

szczególnie silne - także orczą popielatość skóry. Górale o elfich cechach także miewają brązowe tęczy, ale ta cecha pochodzi z czasów gdy orki władały górami. Przybysz wyglądał na kupca - jeśli nie za sprawą wozów, to już choćby stroju; powoływał się na wschodnie bóstwo i był ubrany na wschodnią modę, a jednak nie przejawiał tak charakterystycznych dla ludzi stamtąd śladów pokrewieństwa w orkami... Brak mu też było domieszki elfiej krwi - poprzedni władcy tych terenów pozostawili ludziom w spadku nie tylko charakterystyczny kształt uszu, lecz także długie, proste, czarne włosy, naturalny brak brody, zielone lub niebieskie oczy, wysokie czoło i lekką, wysmukłą budowę ciała. Noram był dobrym przykładem - lekko spiczaste uszy, łagodna, urodziwa twarz, ale elfia krew wpłynęła u niego najsilniej na tę zwykle osłoniętą część ciała. Rozumiałem że wygląd nie przeważa o pochodzeniu; Nordon to wszak elfickie imię, a choć je nosiłem, to sądząc po moim wyglądzie miałem tyle samo ichniej krwi co i kupiec - ale wiedziałem jedno: nie był góralem, a już na pewno nie pochodził ze wschodniej części Gór. Cerę miał jasną, nie ogorzałą, jak u często podróżujących górali, choć daleko jej było do bladości; oczy i owszem, jasnobrązowe, włosy brunatne... Zarost golił starannie, znać było że dba o wygląd, lecz szczegóły zdradzały że równie dobrze może pochodzić ze wschodu jak i z dalekiego zachodu.

Co mogłem powiedzieć o jego pochodzeniu, dotyczyło się także jego towarzyszy - trójki szczupłych, sprawnych mężczyzn i średnio wysokiej kobiety - ale to było wszystko co ich łączyło. Nie trzeba było geniusza by odkryć że są jednocześnie strażnikami karawany, oraz ochroniarzami swojego szefa. Cała czwórka nosiła szaty tego samego kroju i barw, nawet broń mieli podobną - typowo wschodnie uzbrojenie, za wyjątkiem wiszących u ich boków parecznic. Wyglądali na doświadczonych wojaków, tym bardziej zaciekał mnie ich wybór. Przez niską celność na dużych dystansach, parecznice sprawdzały się raczej w miastach, niż na otwartym terenie, tymczasem zbójce czaili się na szlaku, wśród gór, lasów, lub stepów - dokładnie tam gdzie taka broń była bezużyteczna, ustępując zasięgowi i celności prostemu, za to śmiertelnie niebezpiecznemu łukowi...

Różne było także ich zachowanie - kupiec niewiele sobie robił z otaczających go ludzi, lecz jego towarzysze już u wejścia obrzucili wszystkich w gospodzie czujnym spojrzeniem. Ich szczególną uwagę zwrócił samotny wędrowiec - jednak Szrama, jak nazwałem go w myśli, nie odwzajemnił ich troski. Obdarzył nowo przybyłych leniwym i beznamiętnym spojrzeniem, ale nie zwiódł tym ani mnie, ani strażników.

Jego wzrok ożywił się tylko na chwilę, gdy spoczął na strażniczce. Wszystko w niej - postawa, ruchy, kształt ciała - zdradzały że daleko jej do słabości. Mogłaby dać radę niejednemu dorosłemu mężczyźnie, lecz jej figury nie szpeciły atletyczne mięśnie. Po mojemu, jej uroda, choć pociągająca, wiała chłodem równym temu panującemu na zewnątrz - a to za sprawą wyrazu jej twarzy, jednoznacznie dającym do zrozumienia że nie jest zainteresowana ani rozmową, ani piwem we dwoje, a tym bardziej intymnością. Niebezpieczna, zapewne, pomyślałem, ale jej obcesowe zachowanie nie przerażało mnie nawet w połowie jak leniwy spokój taksującego ją, przez chwilę wręcz pożerającego ją wzrokiem Szramy. Nawet on, zrozumiałwszy iż szanse ma niewielkie, przymknął powieki, by przez ich szparki dalej obserwować otoczenie.

Kupiec chwilę rozmawiał cicho z gospodarzem - przez panujący gwar nie udało mi się usłyszeć ni słowa, ale o coś innego, sądząc po minie gospodarza, mogło chodzić jak nie o cenę wynajmu lokalu i przechowania wozów z końmi? Rozumować musiał podobnie do mnie, bo wystraszył się iż kupiec zaraz wyciągnie imperiały, co zwykle prowadziło tu do kłótni na temat ich wartości i targów o przelicznik na cesarskie, lecz ku uspokojeniu jego nerwów gość, wydobył z zasobnego mieszka uczciwej wartości srebrne talary kilku księstw szlakovych. Jak mawiają - nieważne czyja gęba na monecie, ważne jak się błyszczy.

- Bacz tylko dobrze, gospodarzu, na nasze zwierzęta! - zastrzegł na koniec kupiec i wraz z obstawą ruszył ku prawemu korytarzowi.

Kupiec i jego kompani nie byli tego dnia ostatnimi gośćmi. Pod wieczór, obserwując narastającą za oknem śnieżycę, na śniegu zamajaczyły dwie, zbliżające się z wolna, postacie.

- Ktoś idzie! - zawołałem.

Kilka osób z zaciekawieniem podeszło do okien - żywiły za ścianą szalały już w najlepsze i nikt wilka z kulawą nogą się nie spodziewał. Rychło wiatr rozwarł otwarte drzwi na całą szerokość, aż grzmotnęły z impetem o ścianę; śnieg buchnął strugą aż na drugi koniec pomieszczenia. Do środka wczłapały dwie skulone, zakapturzone postacie - jedna objuczona tobołami; druga szła o kiju, bez bagażu, a mimo to garbiła się bardziej niż towarzysz.

- Znajdzie się miejsce dla dwóch? - spytała postać o kiju.



Gospodarz zaraz ją zapewniać że i owszem, nie omieszkawszy wspomnieć i o tym że oferuje różne pokoje, lecz postać zbyła go łagodnym, acz stanowczym ruchem ręki.

- Dla nas najlepsze co masz - odparła, zrzucając kaptur. Spod materiału wyrzała twarz starca, łysego, zdawałoby się, od tak dawna że gdyby nie brwi, jego czaszka zapomniałaby już co to włosy. Po jednej stronie twarzy skóra ściągnęła się jak na bębnie, drugą rozcinały długie zmarszczki. Podróżnik był leciwy, lecz jego głos pozostał silny i pewny.

Nie wiedzieć czemu wszyscy zamarli. Coś było w tym starcu, jakieś dostojeństwo, każące ludziom wstrzymać się choć na chwilę, by okazać szacunek. Jego oczy, choć nie tak bystre jak dawniej, wciąż pozostawały czujne. Rozejrzał się po zgromadzonych, na wszystkich wstrzymując wzrok na równie długą chwilę - czy to na mnie, czy na Szramie. Uwolnił dłonie, ukazując żółtawą, pomarszczoną, skórę; ruchy miał pewne, wciąż precyzyjne, niczym u towarzyszącego mu, jak się okazało, bardzo młodego, energicznego mężczyzny.

Starzec oparł swój kostur o stół i odrzucił wilgotny od śniegu płaszcz, ukazując skrytą pod nim tunikę. Kupiec wyglądał na zamożnego, ale w przypadku starca ubranie, choć skromnie ozdobione, pokazywało, ku uciesze gospodarza, że właściciel nie kłopotuje się o pieniądze. Byłem pewien że wykonana z przednich materiałów tunika, choć zdawała się lekka, była równie ciepła co najlepszy kożuch.

- Dalej, dalej, młodzieńcze - starzec, nie odwracając się, skinął na objuczonego towarzysza, popędzając go zaskakująco czystym, łagodnym głosem - Jesteśmy na miejscu. Jeszcze trochę a odpoczniemy, ja od swoich lat, a ty od tobołów.

- Tak, mistrzu - zgięty pod tobołem towarzysz posłusznie zgarnął odrzucony na stół płaszcz i oparty obok kostur.

- Gospodarzu, zechcesz nam wskazać kwatery?

- Już, czcigodny panie - gospodarz zgiął się w ukłonie i gestem zaprosił ku prawemu korytarzowi - Najlepsze co mam. Niewiele, skromnie tu, ale...

Uczeń i mistrz, pomyślałem. Odprowadzając ich wzrokiem wspomniałem mojego Mistrza. Mieszkańcy osady, jeden po drugim, zaczęli znikać w swoich pokojach. Nawet wędrowiec zszedł ze swojego stanowiska obserwacyjnego. Było późno, wstałem więc i ja, kierując się do naszego pokoju, gdzie Noram już rozpakowywał się na dłuższy postój. Po drodze odwróciłem się jeszcze, by spojrzeć na kominek, w obawie że przygasa - wydało mi się bowiem że zimno jakieś poczułem. Wszystko było w porządku - ogień trząsał równie wesoło jak wcześniej, choć nie zauważyłem nigdzie kotów. Pewnie zaniepokoił ich ruch i obecność tyłu obcych, pomyślałem, zamykając drzwi naszego pokoiku na zasuwę.

\* \* \* \* \*

Obudziłem się dość późno, ale i nie miałem się gdzie śpieszyć. Nie co dzień nadarza się okazja na solidny wypoczynek na szlaku. Noram musiał myśleć podobnie, bo wciąż spał. Nie budząc go, ubrałem się cicho i wymknąłem na korytarz.

Wypełniający salę ludzie zajmowali się swoimi zwykłymi sprawami, jakby wciąż byli w swoich chatkach. Brak było tylko kupca ze swoją świtą oraz pary tajemniczych podróżnych z pokoju naprzeciwko naszego.

Spojrzałem na okno. Na dworze szalała potężna zamieć, lecz wewnątrz było przytulnie, spokojnie - po prostu, bezpiecznie.

- Jak chcesz się czegośkolwiek nauczyć, gdyś taki niecierpliwy? Jak chcesz przetrwać? - usłyszałem głos starca. On i ubrany w tunikę uczeń zajęli dla siebie stół w rogu pomieszczenia, na prawo od drzwi, gdzie nie przeszkadzali nikomu. Starzec siedział spokojnie na przyniesionym skądś krześle, zwrócony plecami do korytarza, paląc w fajce aromatyczne ziele, podczas gdy jego uczeń wiercił się na ławie po przeciwnej stronie.

- Przepraszam - odpadł tamten - Może później... teraz nie mogę się... skupić.

Wstał pośpiesznie i zaczął chodzić po sali, w kąta w kąt. Wciąż stojąc u wylotu korytarza, zacząłem śledzić go wzrokiem. Wydawał się mnie nie zauważać, rychło też zrozumiałem dlaczego - co rusz rzucał szybkie spojrzenia na siedzącego tam gdzie wczoraj wędrowca, z wzajemnością zresztą. O ile jednak uczeń starca nerwowo krążył w tę i z powrotem, wędrowiec siedział leniwie na swoim miejscu, jakby nigdzie się stamtąd nie ruszał, ze spokojem wodząc za nim na wpół przymkniętymi oczami. Coś ukrywając, od razu zrozumiałem, coś ich łączy, o czym starzec pewnie nie wie - po odejściu czeladnika ułożył się bowiem obojętnie na oparciu

krzesła, by w zamyśleniu gapić się przez okno, jakby mógł coś dostrzec przez skrywającą świat szarobiałą kurtynę.

Podszedłem w stronę jednej z ław i usiadłem, nieświadomie wybierając takie miejsce bym mógł widzieć starca. Wkrótce, już zupełnie świadomie, gapiłem się na niego, próbując zgadnąć czym...

- Nie patrz tak, dziecino - nagle, bez wyraźnego powodu, starzec spojrzał na mnie, jakby wiedział że go obserwuję - Po prostu pytaj. Prawdziwa wiedza to nie tajemnica.

- Przepraszam! - odpowiedziałem odruchowo - Jakże bym śmiał...

- Co ja, pan jakiś wielmożny? Chodźże tu, siadaj - wskazał na pustą ławę - Grywasz w stoczki?

Z trudem powstrzymałem się by nie zerwać się na nogi. Wstałem w miarę zwyczajnie i podszedłem ku niemu.

- Nie bardzo - odpowiedziałem, już śmieiej - Rzucam, ale nie rozbieram.

Stoczki, lub, jak wolą inni, górki lub szczytki, w wersji rzucanej znano niemal wszędzie, jednak niewielu pojmowało zasady rozbierania układów. Nauka prawdziwej gry, na dobrym poziomie, zabierała wiele lat. Nic dziwnego, wszak wymyślili ją uczeni, a dokładniej - krasnoludscy alchemicy, opierając zasady na znajomości żywiołów, typowym dla siebie temperamencie oraz własnej logice.

- To i tak lepiej od Elaba - wskazał na mijającego go z tyłu młodego ucznia - Nie lubi wszelkich gier. A ty, dziecko?

Jak może go widzieć? - zdumiałem się, siadając na ławie naprzeciwko. Nawet się nie obejrzał, a wskazał wprost na niego! Słyszeć go nie mógł, tamten stapał cicho, a wokół było zbyt gwarno...

- Lubię, jak długo rozumiem zasady - odparłem. Zza pleców starca Elab posłał mi krzywe spojrzenie. Na sam jego widok ogarniało mnie uczucie będące mieszaniną tego co czułem przy Isficie z tym co odczuwałem patrząc na wędrowca, z przewagą tego ostatniego. Długą chwilę nie mogłem opanować drżenia skrytych pod stołem, zaciśniętych na ławie dłoni. Zbyt mocno ten uczeń przypominał mi Trantarta. Raz już umarłem i nie chciałem tego powtarzać, tym bardziej że starzec nie wyglądał na potężnego uzdrowiciela.

- Posiłek, szanowny panie - gospodarz zbliżył się, niosąc tacę. Niemal podskoczyłem na ławie, zaskoczony jego najściem. Bynajmniej się nie skradał, po prostu tak mocno wpatrywałem się w Elaba że zapomniałem o całym świecie.

Starzec zdawał się nie zauważać mojego nagłego spięcia - dziwne, zważywszy że wiedział kiedy jego uczeń go mijał. Kiwnął głową gdy gospodarz ustawił przed nim jedną z misek z jadłem. Drugą Mrazin położył obok i usłużnie odszedł, kłaniając się prawie do pasa.

- Elab - wpatrzony w stawę starzec znów nawet się nie odwrócił - Już gotowe.

- Nie jestem głodny, mistrzu - Elab chwilowo zostawił mnie w spokoju, zajmując się na powrót świdrowaniem wzrokiem nieznanego wędrowca - Może później...

Mistrz, pochłonięty ocenianiem zawartości miski, skinął głową. Westchnął i spojrzał na mnie.

- A ty? - spytał - Jesteś głodny?

Nie ukrywam - żołądek ssal mnie mocno. Wspomniawszy nasz prowiant sięgnąłem do mieszka po kilka miedziaków.

- Ty grasz, ja płacę - usłyszałem - Nieważne, dobrze czy źle. Nie na pieniądze - dodał nim zdążyłem zaprotestować - Nie porywam się na twój i tak już zapewne nazbyt chudy mieszek. Zagramy tak jak prawdziwi magowie, na punkty. Liczę że nauczę cię kilku reguł pełnej gry, a może i niektórych sztuczek. Nie odpowiedziałem, onieśmielony. Miękkie serce, jakie okazywali górale dla wędrujących dzieci, dorównało jedynie ich podejrzliwości - wielu w mojej sytuacji zwyczajnie kradnie lub oszukuje - lecz starzec zdawał się być niczym dobry demon. Przezornie, nie spojrzałem nawet w stronę Elaba.

Starzec wziął milczenie za zgodę. Zaśmiał się cicho, łagodnie, powiedziałbym - dostojnie.

- Mógłbym karmić setkę młodzieńców przez tysiąc lat, a dopiero wtedy byłbym w stanie dostrzec że coś mi ubyło. Żywność na szlaku tania - podsunął mi pod nos miskę - Wystarczy spojrzeć... nie to co wyszukane karczmy, rozrywka za to w takim miejscu jest wprost bezcenna. Zapewne przyjdzie nam tu czekać wiele, wiele dni...

Kiwnąłem, ochoczo zgadzając się na jego układ.

Chwilę jedliśmy w milczeniu. Siedząc tak blisko, mogłem lepiej przyjrzeć się starcowi. Najbardziej niezwykle były jego oczy - poza żółtawą, pomarszczoną skórą, głęboko zapadły mi w pamięć. Władcze, pełne wiekowej mądrości, dziwnie żywe mimo upływu lat, przyciągały uwagę uspokajającym, wręcz hipnotyzującym spojrzeniem.

- Elab mówi na pana mistrzu - stwierdziłem ostrożnie - Czym się...

- Pytasz skąd mam złoto na to wszystko? - zmarszczki na twarzy starca rozciągnęły się, ni wesołości, ni w gniewie - Diamdus, tak mnie nazywają. Pewnie nie słyszałeś... - ostrożnie pokręciłem głową - Możliwość tego świata hojnie wynagradzają mnie za usługi. Coś znaleźć, kogoś odszukać, odgadnąć co knuje wróg, co myśli rzekomy przyjaciel, czy jest szczerzy... Zajmuję się magią widzenia i magiczną analizą. Doświadczenie widać, jak sądzę, po moim wieku... a jestem starszy niż na to wyglądam...

To akurat wiedziałem - gdy mag, jak on, wygląda na półtorej setki wiosen, to znaczy że liczy ich sobie co najmniej trzysta. Niewielu było takich na Świecie. Spojrzałem na niego, zastanawiając się czy widzi tylko ludzi za plecami, czy tylko...

- Nie, nie widzę przyszłości, jeśli to cię martwi - drgnąłem, słysząc odpowiedź - Niektórych nawet bardzo - zaśmiał się cicho - I nie czytam w myślach, choć pewnie mógłbym. To nie leży w moim zwyczaju. Widzę jedynie rzeczy ukryte, które każdy mógłby zobaczyć, gdyby znalazł się w odpowiednim miejscu i czasie. Moja moc sprawia że zawsze znajduję się w odpowiednim miejscu i czasie, w pewnych granicach, oczywiście. Jak inni, muszę się wprawdzie skupić, wiedzieć czego wypatrywać, ale... Podróżowaliśmy do kolejnego pracodawcy, gdy zatrzymała nas śnieżnica. Mogą mówić na mnie mistrz magii, ale siły natury bywają zbyt potężne by je powstrzymać, a ja nawet nie interesuję się magią żywiołów. Nie przejmuj się Elabem - odruchowo spojrzałem w kierunku jego ucznia, lecz ten wciąż obserwował wędrowca - Jest młody, zawsze gniewny, ale ma swoje zajęcia. Nie będzie wam szkodził.

Wam...

- Nie wiem czy będę godnym graczem - zauważyłem - Lepszy ode mnie będzie kupiec, albo... któryś z jego strażników. Przyjechali przed wami...

- Kupiec, mówisz? Nie rozglądałem się, przyznaję - stary mag zamyślił się - Może... Hmm... Jest tu ktoś jeszcze, poza nim i tym zbójem który od rana przyciąga uwagę mojego ucznia?

- Więc... wiesz... - zająknąłem się - Ale o co...?

- Myślę że się znają, choć ja widzę go pierwszy raz w życiu. Mówiłeś...?

Potrząsnąłem głową. Opowiedziałem magowi o dwójce podróżników i o tym że ich jeszcze nie widziałem. W odpowiedzi kiwnął głową z zaciekawieniem.

- Pogram z nimi, jak zechcą - powiedział - Ale to nie powód by ich budzić. Nie uciekną! - zachichotał - Nie mają gdzie.

Stary mag wyciągnął woreczek ze stoczkami. Porzucaliśmy kilka razy. Udało mi się trafić parę całkiem dobrych kombinacji, lecz choć mag nie szczędził mi rad i spostrzeżeń, przegrywałem każdy, nawet najlepszy układ. Stoczki to ulubiona gra magów, a ja pierwszy raz rozbierałem na poważnie.

Stoczki są bodajże najpowszechniejszą grą w znanej części Świata. Chyba tylko elfy niechętnie w nią grają, choć gdy już jakiś zasiądzie za stołem, puszcza sakwy przeciwników na wiatr. Wiele jest odmian, ale w tej klasycznej, najstarszej i najpowszechniejszej, używa się pięciu kości, w kształcie foremnych czworoboków. Każda z nich przyporządkowana jest jednemu z żywiołów - ziemi, wodzie, powietrzu, ogniu i mocy. Ścianki określają twój jaki powstaje z połączenia żywiołu kości z drugim, przedstawionym w postaci wyrysowanego na niej symbolu alchemicznego.

Reguły gry w rzucanego są proste - każdy układ ma swoją wartość, zależnie od tego jaki żywioł ma przewagę wśród odsłoniętych ścianek i jakie ścianki pozostają zakryte. Przy takiej rozgrywce liczba graczy jest nieograniczona, lecz dla starego maga była to zbyt prymitywna zabawa. W rozbieranego grają naraz jedynie dwie osoby i polega to na dokonaniu jak najlepszego dla siebie rozbioru wyrzuconego układu, przez wykonywane na zmianę przesunięcia kości. Pełne reguły gry opisują zasady łączenia ze sobą ścianek par kości w elementy o ustalonej sile, na odbieraniu kości przeciwnikowi i wygrywaniu nimi szansy na dowolne odwrócenie jednej z kości. Punkty żywiołu określają jego siłę. Każda ścianka na każdej kości przedstawia elementy podstawowe, powstałe z połączenia żywiołu kostki i ścianki. Sztuką wyższego rzędu jest znajomość kombinacji łączenia ich tak, aby przy dodaniu nowego żywiołu element jak najmniej tracił ze swoich pożądanых cech, a zyskiwał jak najmniej wad. Nie jest ważne kto rzuca kośćmi; liczy się kto, do chwili wyczerpania możliwych posunięć, stworzy najsilniejszy element, a to sprowadza się do walki o prawo do odwrócenia kości - kto je zdobędzie, może zmienić element układu, jednym ruchem osłabiając element przeciwnika i wzmacniając własny. Odwrócenie kości kończy grę i rozpoczyna zliczanie jego wpływu na

elementy. W rozbieranego nie da się oszukiwać. Zła ocena sytuacji wystarczy by mimo posiadania silnego elementu i wygrania prawa do odwrócenia nie pozostawić sobie możliwości takiego odwrócenia którejs z kości by nie osłabić tym własnego elementu, czy wręcz wzmocnić przeciwnika na tyle by zdobył przewagę. Noram pojawił się w sali przy którymś z kolei rozkładzie.

- Dokończymy innym razem - oświadczył mag, jakby go zauważył, wychodzącego z korytarza za jego plecami. Uśmiechnął się - Mamy dużo czasu, a czuję że teraz chcesz go poświęcić komu innemu - zgarnął stoczki do woreczka - Liczę że wrócimy jeszcze do gry. Masz dobrą rękę i potrafisz analizować układ. Gdybyś tylko nabył doświadczenia... - zamruczał już do siebie.

Podziękowałem za grę i posiłek, wstałem i podszedłem do ławy na drugim końcu pomieszczenia, dając Noramowi znak by się dosiadł. Spoglądając za siebie dostrzegłem jeszcze jak mag uśmiecha się lekko, chowając woreczek. Znów spojrzał w okno, wracając do swojej zadumy. Zastanowiłem się czy obdarowanie mnie takimi łaskami nie miało aby na celu ukaranie ucznia, ale obserwując go uważniej uznałem że nie o to mu chodzi. Szczerze pragnął rozrywki, czegoś co przykułoby jego uwagę, rzuciło wyzwanie... Cóż, nadawałem się do tej roli równie dobrze jak pegreny z przedsionka kopalni, lub jeden z kotów. Odruchowo spojrzałem w stronę kominka - zwierzaków wciąż nigdzie nie było.

By dojść do mnie, Noram musiał przejść obok siedzącego wędrowca. Prawie wpadł przy tym na Elaba, lecz minął go w ostatniej chwili. Siadł obok mnie.

- Ciekawe mamy towarzystwo, nie? - oświadczył - Ten tam... dziwny typek. Masz rację, będą przez niego kłopoty.

Nie kiwnął głową, nie odwrócił się, ale znaliśmy się na tyle że wiedziałem o kim mówi.

- Źle mu z oczu patrzy - przyznałem, pochylając się w jego stronę - ale to jeszcze nic.

Opowiedziałem mu o magu. Słuchał z zainteresowaniem, mimo zdziwienia ani razu nie patrząc w jego stronę. Już dochodziłem co stwierdzenia że moglibyśmy na tym skorzystać we dwójkę, gdy moje wywody przerwały dźwięki muzyki.

Ktoś z miejscowych zaczął wygrywać powolną melodię na fujarce. Ktoś inny rychło wydobył gęśle, lecz zamiast przyłączyć się, zaczął grać własną, żwawszą. Coraz to nowi ludzie poczęli kolejno przyłączać się do zabawy, grając, śpiewając czy tańcząc. Nawet siedzący zwykle na uboczu Isfita, milczący i mrukliwy wobec obcych, wstał i włączył się do zabawy. Stoły usunięto pod ściany; w kilka minut sala wypełniła się zabawą. My także, jak wielu innych, zaczęliśmy kłaśnięciami wtórować grajkom. Wreszcie Noram pociągnął mnie za sobą w tan, by szybko porzucić dla młodej góraleczki. Nie miałem powodów do narzekań - inna rychło porwała mnie za sobą.

Prawdę mówią, na zabawie czas szybko leci. Dla mnie zakończyła się ona w chwili gdy na salę wkroczyli dwaj nieznani podróżnicy - ci co to byli znużeni podróżą, a których teraz musiała obudzić nasza głośna zabawa. Aż przestałem przyklaskiwać, zatrzymując się na chwilę ze zdumieniem na widok takiej pary - dość by moja młoda partnerka otańcowała ku innemu, pokazując jak bardzo odosobniona była moja reakcja. Oto ujrzałem bowiem, idących ramię w ramię, elfa i krasnoluda!

Każdy, kto nasłuchiwał się o temperamencie obu ras, zacząłby się zastanawiać co ta dwójka robi razem. Sprawiali wrażenie że podróżują w swoim towarzystwie ładny szmat drogi, rozmawiali bowiem o czymś cicho, a co i rusz któryś spoglądał na tańczących. Zarozumiałe, drażliwe krasnoludy, oraz spokojne, rozważne, lecz niezbyt tolerancyjne, dumne i wywyższające się przy każdej okazji elfy - coż te rasy mogły mieć wspólnego? A jednak miały, przypomniałem sobie, walczyli przecież ramię w ramię, wraz z ludźmi, przeciwko orkom, ich ogrom, zmiennym i smokom. Tylko że to było dawno temu, nie mieli wyjścia i...

Brodaty i wąsaty krasnolud wydał mi się dość wysoki; ale smukły elf - którym broda i wąsy nie rosły wcale - był dwa razy wyższy. Nie kryli się ze swoją bronią - krasnolud miał przytroczony u pasa ni to topór, ni czekan, elf targał, w pochwie na plecach, charakterystyczną dlań szablę. Oba narzędzia wykonano ze szczególną troską, zgadłem też zaraz iż tkwi w nich zapewne nieprzeciętna, od licznych zaklęć pochodząca moc. No to koniec ze stoczkami i darmowymi posiłkami, pomyślałem. Śnieżycy rzadko kiedy trwa mniej niż tydzień. Nawet oni nie wytrzymają tak długo w beczynności. Nawet elf.

Nie tylko ja zauważyłem ich wejście. Stary mag, siedzący wciąż w tym samym miejscu, wyrwał się z zadumy, odwrócił i gestem zaprosił parę podróżników do stołu. Zaproszenie zostało przyjęte. Chwilę rozmawiali - z

urywków zdań wywnioskowałem że mag liczył na wymianę informacji na temat okolicy, zaś elf z krasnoludem wędrowali w przeciwną niż my stronę. Rozglądając się po sali zauważyłem że nie tylko magowi obca była chęć na zabawę. Uldze chwilowej radości nie dał się ponieść także jego uczeń, oraz Szrama - nie robili nic, poza oddawaniem się dotychczasowemu zajęciu, czyli wzajemnej obserwacji. Poza mną i magiem, oni pierwsi zwrócili uwagę na gości.

Elf nie mówił wiele. W zamyśleniu przysłuchiwał się rozmowie towarzysza ze starym magiem. Ocknął się z niej nagle, z miną jakby na chwilę stracił kontakt z rzeczywistością. Spojrzał na rozbawionych ludzi, pozostawił krasnoluda z magiem i jął przeciskać się między wirującymi parami, ku gospodarzowi. Wręczył mu kilka błyszczących monet. Mrazin przyjął je skwapliwie, energicznie kiwając głową; zaraz też zniknął za kotarą, by pojawić się ze średnich rozmiarów beczką. Poczęstunek dla wszystkich, odgadłem. Zwyczajem elfów było hojnie dziękować za gościnę.

Gospodarz odbił wieko i jako pierwszy zanurzył w napoju dwa drewniane kufle, by usłudze zanieść je magowi. Diamdus pokiwał w podzięcie głową, odpowiadając coś krasnoludowi. Rozejrzałem się za Elabem. Znalazłem go bez trudu - stał tuż za wędrowcem, niemal zaglądając mu przez ramię, jak czerpie zawartość beczki. Obok nich stał krasnolud, z kuflem w każdej z garści... aż zamrugłem ze zdumienia oczami. Spojrzałem na ławę gdzie siedział dosłownie chwilę temu - mag był sam! Jak krasnolud zdołał zjawić się tam tak szybko? Przyznam, nie mam pojęcia, ale widziałem to jeszcze wiele razy potem. Jak w starym porzekadle - wytoż ino beczkę, a za plecami rychło znajdziesz krasnoluda...

Postanowiłem skorzystać z okazji. Przy beczce prym wiodło teraz trzech kupieckich strażników, kłócąc się z krasnoludem i kilkoma górnikami o prawo do trzeciego z rzędu zanurzenia kufła w beczce - choć wciąż mieli po jednym pełnym w dłoni. Zanim zdołałem wybrać najlepszą drogę, stojący już przy beczce Noram pociągnął mnie za rękę.

- Będą się bić o każdą kroplę - zauważył - a gdy skończą, dno będzie suche jak wiór. Tak samo nasze gardła. Skinąłem głową. Miał rację - i doświadczenie. Nie oglądając się na nic, złapałem za rozstawione na pobliskiej ławie kufle, zaczerpnąłem do pełna i, wytrzymując czyjeś mocne klepięcie w plecy, nie rozlawszy ani kropli, wróciłem do stołu, oddając się obserwacji sprzeczki przy beczce. Noram, jak zwykle przy takich okazjach licząc na dokładkę, pozostał w bezpośrednim pobliżu, unikając energicznej, acz chaotycznej argumentacji oponentów.

Elab i Szrama, obaj z pełnymi naczyniami, sączyli powoli niezbyt mocne, co odkryłem z pewnym rozczerowaniem, piwo, spuszczać się nawzajem z oczu tylko po to by gapić się ukradkiem na kupca, elfa i krasnoluda. Byli wręcz maniakalnie podejrzliwi. Nie zapowiadało się by ich obserwacja zdołała umilić mi czas. Skoro przy beczce są strażnicy, pomyślałem, zapewne jest gdzieś i kupiec. Rozejrzałem się uważniej - znalazłem go, siedzącego przy na wpół przesłoniętym przez ciżbę stole, ustawionym blisko ściany oddzielającej gospodę od przedsionka kopalni.

Mimo wcześniejszej, przerwanej teraz na czas opróżnienia beczki zabawy, kupcowi nie było wesoło. Wczoraj energiczny, dziś przygarbiony, z posępną miną gapił się na pełny kufel i równie nietkniętą misę z zupełnie już zimnym posiłkiem - całkowite przeciwieństwo gospodarza, zadowolonego z pary tak majątnych gości, w dodatku zostającym tu na dłużej. Tuż obok rozparła się na ławie strażniczka, znudzona i owszem, lecz darząca utrzymaną w rękach parę kufli - w tym jeden już pusty - o wiele większą sympatią. Kończyła opróżniać ostatni, pustym nieuważnie mierzając w czerep jednego z jej stojących przy beczce kompanów. Wypiła ostatni łyk, rzucając niby od niechcenia, lecz pocisk osiągnął cel - tył jego głowy.

- Ossel, ofermo, nu napełnij szefowi! - zawołała zaskakująco pięknym, choć zabarwionym drwiną głosem. Przemówiła pierwszy raz odkąd ją widziałem.

- Szefowi, czy tobie? - odparł tamten zgryźliwie, mimo trafienia odwracając się i zręcznie chwytając kufel, nim ten spadł na podłogę. Dla jego głowy nie była to pierwszozna.

- To jakaś różnica? - wzruszyła ramionami, by zaraz podeprzeć się pod boki - Rusz no to swoje tłuste dupsko, jakoś robił podczas tańców!

Strażnik pokazał jej obraźliwy gest i wolnym, wyzywającym ruchem upuścił kufel do na wpół opróżnionej beczki.

- Chcesz, bierz sama. Ja nie lokaj.

Strażniczka podeszła, a raczej przyskoczyła do niego kilkoma prędkimi susami, zamierzając się łokciem by go uderzyć, lecz ten złapał ją wpół i przycisnął ręce do ciała, szarpnął nią, aż odchyliła głowę i energicznie

szepił swoje usta z jej ustami. Trwali tak chwilę... i jeszcze chwilę... wijąc się w uścisku... z którego bynajmniej żadne nie próbowało się uwolnić. Wręcz przeciwnie... Wszystko przy wtórze niewybrednych okrzyków pozostałych kompanów.

Wreszcie strażnik ją puścił.

- Jesteś dobra, Loino - rzekł - lecz nie aż tak...

- Mmm... Ossel, wiesz... - szepnęła głośno - Też nie jesteś tak dobry, do tego za krótkiś między nogami by sięgnąć...

Uśmiechnęła się uwodzicielsko - i szybkim ruchem wbiła kolano między jego nogi. Strażnik zgiął się wpół, lecz twarz wykrzywił mu jedynie kpiący uśmiech. Bolesna miłość, rzekłbym, gdyby ten drugi wyraz nie zdał mi się tak bardzo nie na miejscu.

Jeden z dwóch pozostałych towarzyszy pewnym siebie ruchem próbował złapać Loinę za kibić, lecz tą płynnym ruchem wykręciła się zręcznie z jego objęcia, sięgając jednocześnie po pływający w beczce kufel. Chwilę później znów była przy stole, spoglądając na nich tyleż drwiąco co zalotnie. Strażnicy popatrzeli po sobie, rzucając jakąś sprośną uwagę, by ze śmiechem odejść od beczki ku jej stołowi. Po drodze spoważnieli jednak, obdarzając mijanego elfa nieufnym spojrzeniem. Ani on, ani markotny czemuś, siedzący nad kuflem krasnolud, nie odwrócili się w ich stronę, lecz po spojrzeniach, jakimi się za chwilę wymienili, poznałem że to zauważyli. Ot, ludzka wdzięczność, pomyślałem, po raz pierwszy zastanawiając się czy aby tylko elfy były winne tego jak patrzą na nie ludzie.

Trunek był jaki był, lecz nie wierzyłem by gospodarz miał cokolwiek lepszego. Zrozumiałem przynajmniej markotność krasnoluda - woleli zimne trunki, zwłaszcza zimą.

Kupiec nie zwrócił uwagi na zajście między swoją ochroną. Siedział wciąż i rozmyślał, nie w głowie mu były zabawy. Tymczasem przerwane na czas osuszania beczułka tańce powróciły ze zdwojoną przez piwo mocą. Patrząc w stronę strażników, dostrzegłem gospodarza, przechodzącego przed zarezerwowanym przez kupca stole. Podążyłem za nim wzrokiem. Zręcznie omijając bawiących się ludzi, kierował się ku drzwiom prowadzącym do przedsionka kopalni, szukając na pierścieniu właściwego klucza. Jak się wkrótce przekonałem, wychodził tam kilka razy dziennie, by nakarmić zwierzęta. Kątem oka spojrzałem na Szramę - jeśli zwrócił na to uwagę, to krył się z tym lepiej niż dotychczas, choć akurat to nie wydało mi się trudne. Jego ostrożność była w pełni zrozumiała - Elab wpatrywał się w niego jak w złego demona, a Szrama starał się do tego obserwować parę nowych przybyszy...

- Słyszałem że dzielimy ten sam fach - usłyszałem za sobą łagodny z natury, lecz teraz pełen nagany głos - Nie nauczyłeś się jeszcze, chłopcze, że gapienie się na innych nie leży w dobrym guście?

Odrzuciłem się. Elf - bez kufła, i krasnolud - z dwoma - usiedli na ławie, jeden po mojej lewej, drugi po prawej stronie. Typowe dla elfa, uznałem. Lubią gdy są zauważani, lecz obserwacja szybko je drażni.

- Jeśli ktoś ma jakieś tajemnice, to nie po to by dzielić je ze wścibskim nosem - dodał krasnolud. Jednym haustem wlał w siebie całą zawartość kufła i energicznie odstawił go na stół.

- Nie chciałem obrazić... - odpowiedziałem ostrożnie - Ale... Wiele tu dziwnych gości. Widzieliście...?

- Mówisz o czeladniku starego maga i tym włóczędze? - pogardliwie spytał elf - Ślepy by to zauważył. Ale...

- ...ich sprawa - dokończył jego myśl krasnolud - jak długo nie wyciągną ku sobie noży. Właściwie, wtedy to też będzie ich sprawa - podkreślił mocno - o ile nie zaczepią kogo innego. Najwyżej czarownik się wtrąci. Dla mnie mogą się gapić na siebie aż im oczy wyleżą na wierzch. Kogo to obchodzi? - dokończył, wlewając w siebie drugi kufel.

- Co innego my - zauważył elf - Są jakieś szczególne powody którym zawdzięczamy twoje zainteresowanie? Będziesz nam też do michy i sakwy zaglądać?

Mówili jeden przez drugiego. Niespodziewane spostrzeżenia maga były niezwykle, lecz ta przedziwna para niewiele mu ustępowała. Mówili jakby myśleli to samo, lecz dzielili się rozmową po równo, zmieniając się po to by drugi mógł zaczerpnąć oddechu. Jeszcze chwila takiego odwracania się to ku jednemu, to ku drugiemu, a wnet nabawię się kręcka.

- Ja tylko... - odpowiedziałem niepewnie - Elf i krasnolud... razem...? Myślałem...

- I któż to się dziwi - burknął krasnolud, ścierając rękawem resztki piwa z brody - Młodzik bez cienia wasy pod nosem, który chciał podróżować w taką pogodę!

- Widzisz jak to jest, gdy obcy przyglądają się temu co robisz? - znowu elf - Każda głupota zaraz trafia na języki. Kilku górników widziało jak pędziliście na przełęcz, z tymi swoimi sankami.

- Skoroś taki ciekawski, może rzekniesz nam gdzie wam tak spieszo? - dodał krasnolud.

Noram siadł naprzeciw mnie, zaciekawiony towarzystwem. Spojrzał na mnie z ukosa.

- Próbowaliśmy iść dalej, prawda, ale... - zamilkłem. Po tym co powiedzieli, nie mogłem odpowiedzieć że to nasza sprawa. Poczułem że się czerwienię.

Obaj patrzyli na mnie poważnym wzrokiem, aż nagle, jakby od zaklęcia, bez żadnego znaku, roześmieli się na cały głos, skupiając na nas uwagę wszystkich w gospodzie. Krasnolud, wprost rycząc ze śmiechu, klepnął mnie w plecy, omal nie kładąc tym uderzeniem na stole. Zaczerwieniłem się jeszcze bardziej.

- Ech wy, młodzi, niedoświadczeni... - tylko po głosie poznałem że pod gęstą, czarną jak smoła brodą wciąż się uśmiecha.

- W waszym wieku na pewno będę równie rozważny - odburknąłem niechętnie. Nie przepadałem za ludźmi dworującymi sobie z innych, nawet jeśli byli przyjaźnie nastawieni.

- Nie zwracajcie nań uwagi - rzekł pojednawczo Noram - Mieliśmy interes do zrobienia, ale śniegi zamknęły nas w tych ścianach.

Elf, poważniejąc, kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Nielatwe jest życie młodego wędrownika - przyznał - Ja miałem więcej szczęścia. Opuściłem dom już jako dorosły, ale...

Krasnolud, nagle poważny, spojrzał na niego spode łba. Elf umilkł. Żeby krasnolud uciszał elfa? Niepojęte... Już miałem odpowiedzieć iż nie wie jak to jest, lecz wylewanie żalów i złości na nieznanym, choćby i przyjaznym, to nie tylko głupota, ale i ryzykowanie życiem.

- My nie mieliśmy wyboru - odparłem, nie chcąc o tym opowiadać.

Pokiwali głowami, przyjmując współczująco że jesteśmy dziećmi wojny. Może to i lepiej. Norama wszyscy brali za młodzieńca, ale moje ciało jakoś nie śpieszyło się do dojrzałości. Miałem najmniej trzynaście lat, a mogłem mieć i czternaście, a wciąż wyglądałem jak dziecko - wielce irytujące, gdyż mało kto traktował mnie poważnie przy pierwszym spotkaniu, nie podejrzewając jaką posiadam wiedzę i ile dane mi było przejść.

- Słuchajcie, chłopcy - elf pochylił się ku nam - To co mówiliśmy to szczerą prawdą, ale i wy macie sporo racji.

- W tym co robią tamci dwaj jest coś dziwnego - krasnolud przyciszył głos - Więc, więc... jeśli wetkniecie nosa nieco głębiej... przez przypadek, rozumiecie...

- ...jeśli coś przypadkiem zauważycie... - poprawił dla pewności elf.

- ...będziemy wam wdzięczni za podzielenie się nowiną.

- Ale chwilę nazad mówiliście że... - wtrącił Noram.

- To też prawda - elf sięgnął po coś do mieszka - W naszym przypadku była nią do chwili gdy rano znaleźliśmy to w naszym pokoju, tuż przy drzwiach.

Położył na stole mały przedmiot, prostą ozdóbkę z brązu. Po zluźwionych od zużycia zaczepach znać było że mocowano ją nie na tkaninie, lecz na mocnej i grubej skórze.

- To nie nasze - zauważył krasnolud - Ktoś dziś w nocy próbował wkraść się do nas.

- Nie przewidział tylko że po tym jak zobaczyliśmy kto tu z nami zimuje zastawiłem drzwi tak, by nikt nie przecisnął się przez nie bez hałasu.

Noram wziął przedmiot w dłoń. Przyglądał mu się chwilę, obracając w palcach, potem podał mi.

- Widziałem podobne - oświadczył - Pewnie od czyjego pasa.

- Jego? - spytałem, nawet nie odwracając głowy.

- Możliwe - przytaknął krasnolud.

- Musi być jakiś powód dla którego przewiesił tę swoją małą torbę na nowe miejsce - dodał elf - Tę przy pasie.

Poczułem dreszcz. Oddałem ozdobę elfowi, który, nie spiesząc się schował ją z powrotem do mieszka. Obiecałem sobie że przyjrzę się uważniej wędrowcowi, a choćby i miał to zauważyć. Ja i Noram spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo.

- Powiemy jak coś znajdziemy - zapewnił Noram.

- Ale najpierw musimy coś sprawdzić - dodałem.

Wstaliśmy od stołu i nieśpiesznie udaliśmy się do pokoju, nie patrząc po drodze na nikogo, jakbyśmy chcieli chwilkę odpocząć po piwie. Lecz gdy tylko zamknęliśmy drzwi, zaczęliśmy uważnie badać zasuwę.

- Wiedziałem! Ktoś ją otworzył - szepnąłem głośno, wskazując na świeże drzazgi, odstające w miejscu gdzie

ktoś przecisnął między deskami wąskie ostrze, by odsunąć zasuwę. Stara sztuczka! Wściekłem się na siebie. Widząc gębę wędrowca, sam powinienem o tym pomyśleć. Tak, byliśmy zmęczeni, zapomnieliśmy o ostrożności, daliśmy się zwieść bezpieczeństwu gospody... ale od teraz zamierzałem spać równie lekko jak na szlaku.

- Tej nocy zaprzemy je ławą - Noram wskazał pod ścianę - uniesiemy jej koniec i położymy na nim nasze miecze, by zjechały przy byle ruchu. Niech drzwi aby drgną, starczy to by zbudzić choćby i niedźwiedzia. Przytaknąłem głową. Gdybym wtedy wiedział jak niewiele brakowało tamtej nocy...

Wróciliśmy do sali pod wieczór, już bez ochoty na zabawę. Po prostu siedzieliśmy przy oknie i obserwowaliśmy, wszystkich po równo, byle nie zwracać na siebie uwagi wędrowca, przyglądając się zwłaszcza paskom i ozdobom. Gdy tańce straciły na impecie, elf zniknął na chwilę w korytarzu, by wrócić z lutnią. Nie przyłożył ni ręki, ni ust do opróżniania beczki, co nie było niczym niezwykłym. Elfy znane były ze stronienia od alkoholi, nawet tych najsłabszych. Obyczaje znały, włączały się w nie, lecz same z nich nie korzystały.

Chwilę stroił instrument przy kominku. Wydobywane dźwięki tonęły w gwarze potańcówki, lecz gdy grajkwie zamilkli, elf postanowił ich zastąpić. Zaczął grać cichą, łagodną melodię.

Znużeni ludzie chętni byli tej odmianie. Przysiedli się gdzie kto mógł, słuchając. Grajkwie z początku próbowali mu akompaniować, lecz ich instrumenty nie potrafiły wydać z siebie właściwych dźwięków.

Wkrótce umilkły, onieśmiałe piękną muzyką i jakże wspaniałym jej wykonaniem.

Pierwsza melodia umilkła. Wkrótce zabrzmiała następna, lecz tym razem rozległ się skądś równie piękny, delikatny kobiecy głos. Odwróciłem się, zaskoczony - nie ja jeden zresztą. Loina opuściła swoją kompanię - jedyne, może poza elfem i jego towarzyszem nie zaskoczone jej zachowaniem osoby - i, choć ubrana w zbroję ze skóry i metalu, dosłownie popłynęła ku kominkowi. Nie dość że znała elfią pieśń, to jeszcze śpiewała ją niczym bard wzięty wprost z książęcych komnat! Oczy niemal wszystkich gości wodziły za nią gdy podeszła do elfa i usiadła obok, kładąc łagodnie dłoń na jego ramieniu. Elf tylko się uśmiechnął. Nie zabrzmiała ni jedna fałszywa nuta.

Byłem prawdziwie zaskoczony, jak rzadko kiedy wcześniej, czy potem. Tak nagle stała się kimś zupełnie różnym od rzucającej kuflem, zawsze chłodnej, aroganckiej i nieprzystępnej, wojowniczej kobiety. Każdy wie, kobiety nieznane są, ale ta... Może znudzona swoją kompanią, przystawiała się do przystojnego elfa? Jeśli tak, to dobrze trafiła, bo nie wydawał się mieć nic przeciw temu. Jedynie siedzący z boku krasnolud mruczał coś w swoją brodę, patrząc na nią z ukosa, lecz i on nie przeszkadzał.

- Słyszysz to? - szepnął do mnie Noram - Jej głos... jakże pasuje do ciała...

Uśmiechnąłem się, dodając w myśli że szkoda iż nie jest tak również z charakterem, lecz dłonią dałem znak że nie chcę teraz rozmawiać.

Muzykująca para szybko pochłonęła się w dźwiękach coraz to nowych pieśni. Ile razy elf zaczynał kolejną, strażniczka zawsze rozpoznawała melodię, uzupełniając ją swoim głosem. Zasłuchany, odsunąłem od siebie zdziwienie wywołane tą nagłą zmianą, delektując się dźwiękiem i nieco słabiej słowami - wtedy elficki znałem znacznie gorzej od niej. Jeśli tak będą wyglądać wszystkie dni naszego pobytu, pomyślałem, to wart on każdej sumy.

Chcąc nie chcąc, zagapiłem się w okno. Czy przypadkiem, czy specjalnie, melodia współgrała z tym co działo się za oknem, pobudzając wyobraźnię nie mniej niż falująca, szarobiła zasłona. Zacząłem rozumieć fascynację starego maga. Kłębiący się śnieg z wolna zamienił się w tajemniczą scenę, stał się pożywką dla wyobraźni; rysował kształty, tworzył i zmazywał nowe formy, pobudzając do zastanawiania się jakież to demony i żywioły mogą, według legend, tańczyć zimą po przełęczach pod jego osłoną... Może akurat będę miał szczęście i ujrzę jedną z boginek, przywabioną jakże rzadką w górach melodią?

Nie zauważyłem kiedy zrobiło się cicho. Odszedł gdzieś elf i strażniczka, zresztą nie tylko oni. Gapiłem się nie wiem jak długo w szyby, nim spostrzegłem zmianę.

- To było piękne - powiedziałem do wciąż siedzącego obok Norama.

- Mówisz o jej kształtach, śpiewie... czy widmach za oknem? Znalazłeś jakieś?

- Aleś prostak! - odparłem na tak brutalne sprowadzenie na ziemię - Nie myślałeś o niczym innym, tylko o jej...

- Hej! Musiałem zwrócić twoją uwagę na ten świat, byś nie odszedł na dobre - wyszczerzył zęby - Nie ma nic



złego w podziwianiu kobiet.

- Żebyś jeszcze wiedział co z nimi robić - wywaliłem język na całą długość.

- Wszystko w swoim czasie - Noram rozparł się na siedzisku na podobieństwo Szramy spod ściany w głębi. Znów spojrzałem przez okno, tym razem zastanawiając się na ile tu utkniemy.

- Tu zawsze tyle sypie? - Noram nie oczekiwał odpowiedzi. Dziwnie często zdarzało nam się myśleć o tym samym. Zaciekało mnie nawet czy skończymy podobnie jak krasnolud i elf... Odpowiedź jednak nadeszła, niczym ostrzeżenie by uważać na to czego oczekujemy i oczekiwać tego czego się nie spodziewamy.

- Musi - stary mag usiadł obok nas - A to dopiero początek. Morze Wśród Gór potrzebuje tej wody. To cykl natury, a my jesteśmy w jego sercu, u stóp Bariery Wewnętrznej. Nawet w lecie nie spada w górach tyle deszczu co w zimie śniegu.

Obróciliśmy się ku niemu, ja z zaskoczeniem, Noram z ciekawością.

- Nigdy nie widziałem tyle śniegu naraz - powiedział - Dlaczego akurat teraz i tutaj?

- Znać trochę góry? - kiwnęliśmy głowami - Zaczynają się od zachodu, od niskiego Pogórza, by w drodze na wschód piętrzyć się coraz wyżej i wyżej, aż ku niebotycznym szczytom Wschodniej Bariery, gdzie opadają ku stepom stromymi, skalnymi ścianami, jakby ucięte nożem. Zachodnie wiatry niosą ku nam chmury, nasiąknięte wodą znad zachodniego, ciepłego, oraz zimnego południowego morza. Za sprawą gór wznoszą się one coraz wyżej, stygnąc coraz bardziej, lecz stają się przez to ciężkie. Nie mogą unieść się ponad Bariery - uniósł dłoń, by opuścić łagodnie - Ich wysokie szczyty strącają z nich wodę w dół, zimą właśnie w postaci śniegu.

Przyznaję, słuchałem go bez szczególnego zainteresowania - w przeciwieństwie do Norama. Wspominając elfią muzykę, wciąż obserwowałem nieprzeniknioną, to pulsującą, to smagającą szyby kurtynę po drugiej stronie okna. Mag pewnie rzekłby że jestem niedorzecznie przesądny, ale dalej wypatrywałem fizycznych manifestacji żywiołów - nie tych co to byle mag mógł sprowadzić, by mu służyły, lecz tych prawdziwych, naturalnych, stworzonych przez samą przyrodę.

- Latem w chmurach nie ma wiele wody - ciągnął mag - gdyż opada na ziemie Cesarstwa, lecz pod koniec jesieni wiatry zaczynają się zmieniać. Większość niesie wodę nad góry, ale część wiatrów znad południowych mórz mknie wzdłuż Wielkiej Bariery, niosąc wilgoć dalej na północ, by okrążywszy Góry Graniczne stracić jej resztki na południowych stepach i obrzeżach pasa wielkich pustyń Korieselu. Gdyby układ Barier był inny... Stepby porosłyby drzewami, lecz bez śnieżyc Morze zaczęłoby wysychać. Zdarzyło się to już kilka razy, dawno temu, gdy wiatry się zmieniły, choć nie za ludzkiej, ni elfiej to historii. Dziś, gdyby to się powtórzyło, wielka Anda zmieniałaby się w strumyk. Upadłby Mały Szlak Wschodni, ustałby handel z Cesarstwem, a południowe góry zaczęłyby głodować. Węgiel przestałby docierać do jaskiń krasnoludów, ich społeczności ogarnąłby chaos, a pozbawione eksplozytu Cesarstwo...

- Ejże! - usłyszałem za sobą - Uważaj, łysy magu, co mówisz o krasnoludach!

Dopiero teraz zauważyłem że towarzysz elfa wciąż siedzi na swoim miejscu.

- Na szczęście - mag odwrócił się i przeciągnął po nim spojrzeniem, by po chwili spojrzeć na śnieg za oknem - górskie zimy są śnieżne. Spadająca z chmur zamarznięta woda opada na szczyty u stóp Barier, gdzie topi się latem i spływa rzekami ku górskiemu morzu. Wielka Anda może trwać. Cesarstwo może trwać, krasnoludzkie miasta w jaskiniach mogą trwać, Szyrk może trwać, Szeol może trwać, a wraz z nimi mniejsze miasta, wioski i osady, jak ta.

Bliska obecność krasnoluda, jak i rzucona uwaga, najwyraźniej były mu obojętne. Normalnie, zignorowany krasnolud zaraz wszcząłby awanturę, lecz ten był rzeczywiście dziwny. Zmełł tylko pod brodą lekkie przekleństwo, burknął coś pod adresem zarozumiałych szamanów czy czarnoksiężników - o ile zrozumiałem nieszczególnie dobrze wtedy mi znany gerez, jeden z krasnoludzkich języków, zwany tak od jednej z mniejszych Barier, pod którą żyło posługujące się nim plemię - i z wyraźnym niezadowoleniem pokazał nam plecy.

- Zachodnia cywilizacja opiera się na tak nie lubianym śniegu. Nie oceniacie rzeczy wcześniej nim poznacie ich prawdziwą naturę i znaczenie. Cywilizacja potrzebuje wielu, z pozoru ohydnych, zjawisk. Ludzie próbują je tępić, choć nieświadomie od nich zależą. Ciężko to zrozumieć cesarskim kontrolerom pogody - machnął ręką, odganiając jakąś myśl - Ale może się kiedyś nauczą...

Powinienem wtedy zwrócić uwagę na jego słowa, zamiast myśleć nad tym jak popsuł mi nastrój... ale czy by to coś zmieniło? Tak czy inaczej, stary mag był człowiekiem którego skłonny byłbym polubić. Z dwóch

rodzajów uczonych - mruków-samotników i nauczycieli - wolałem ten drugi.

\* \* \* \* \*

Myślałem już że gorzej być nie może, tymczasem nocą wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Niosący się po dolinie basowy pomruk ryczącej wśród skał wichury z początku silnie działał mi na nerwy. Słyszałem go wszędzie, nawet w zamkniętym na głucho pokoju. Góra drżała w posadach; cała dolina grała za sprawą żywiołów niczym gigantyczny instrument dęty. Niejednego przyjeźdnego mogło to doprowadzić do szaleństwa... Jednak to nie za sprawą przyrody wstałem wcześniej, w dodatku kompletnie niewyspany. Całą noc męczyły mnie, na zmianę, wspomnienia gęby Szramy i wizje wkradających się do pokoju cieni, wpełzających, niczym woda przez szczelinę pod drzwiami. Nie wiedziałem nawet co za to skłać - wprawiające wszystko w wibracje pomruki śnieżycy, czy moje własne obawy. Myślę że już wtedy do tych pierwszych jakoś się przyzwyczaiłem.

Patrząc rano w stronę okien, wsłuchany w bezustanne, głuche dudnienie wiatru, przerywane wyciem na granicy ryku, pomyślałem że nawet solidna murarka nie wstrzyma żywiołów. Lada moment potężny wiatr wepchnie ścianę do jaskini, a zamieć pochłonie całe jej wnętrze... Okna drżały w kamiennych futrynach - nie bez powodu zbudowano je tak by nie dały się otworzyć. Masywne wrota do kopalni nie wydawały mi się już nazbyt potężne. Doceniłem spryt konstruktora kominka - choć wiatr rzucał ku nam tumany śniegu, ledwie kilka razy powietrze cofnęło się do środka. Drzwi podierały trzy solidne belki, wsparte o metalowe podstawy - te same które skłamałem gdy pierwszy raz przekroczyłem próg gospody - lecz wciąż patrzyłem na nie tak jakby za chwilę wiatr miał je wepchnąć do środka. Śnieg wciskał się do środka przez dziurkę od klucza, pozostawiając po sobie kałużę na podłodze. Dlaczego, skoro burze są tu tak gwałtowne, nie zastąpiono ich takimi co otwierają się na zewnątrz?

Większość gości gospody wciąż pogrążona była we śnie. Poza mną, na nogach było ledwie kilku ludzi - Mrazin, Szrama i wciąż nerwowy Elab. Z czasem salę powoli zaczęli wypełniać na wpół zaspani goście - pogoda i brak słońca zaczęły robić swoje.

Diamdus słusznie przewidział iż beczynne siedzenie w gospodzie szybko stanie się naszą złą złą, zaś granie - jedynym na nią lekarstwem. Z braku innych atrakcji, spędziłem dzień na graniu, to z nim, to z krasnoludem - przy okazji dowiedziałem się że nazywa się Rumberd - oraz przyglądaniu się jak grają ze sobą. Krasnolud na szczęście mnie oszczędzał, nie widząc we mnie godnego przeciwnika, chętnie za to grywał z magiem. Skłonił go nawet do dłuższego turnieju, by pokazać który z nich jest lepszy - krasnolud bowiem, przegrawszy trzy partie z rzędu, postanowił udowodnić że mag miał po prostu szczęście. Sądząc po pierwszych partiach, srodze się mylił.

Jego elfi towarzysz - Apok - dla odmiany unikał grania jak tylko mógł. Raz tylko zasiadł do gry, gdy mag jął go usilnie namawiać by nie skrywał swych talentów. Wygrał, ostentacyjnie demonstrując przy tym swą niechęć, po czym odmówił rewanżu. Kilkanaście minut później, gdy obserwowałem turniej pomiędzy magiem i krasnoludem, wziął mnie niespodziewanie pod rękę

- Chodź - poprowadził mnie do stołu w drugim końcu sali i posadził bez słowa na ławie. Sam usiadł po przeciwnej stronie i wyciągnął woreczek z własnymi stoczkami. Wziąłem jeden do ręki, zaskoczony ich wyglądem. W porównaniu do stoczków z zestawu maga, wykonanych z wyrafinowaniem i dbałością o szczegóły, kości Apoka wyglądały jak zabawki dla dzieci.

- Będziemy.. grać? - spytałem z nieskrywanym zdumieniem.

- Pokażę ci podstawowe podstawy zasad rozbierania - odparł - Zainteresowany?

- Jasne! - odparłem, tyleż zaskoczony co uradowany. Mag z elfem jakby zmówili się by nauczyć mnie w miarę przyzwoitej gry - Ale...

- Dlaczego? - twarz elfa rozciągnęła się w szczerym uśmiechu - Nie lubię grać w stoczki, więc nauczę ciebie. Kilka lekcji nie zrobi z ciebie wytrawnego gracza, ale postaram się zwiększyć twoje umiejętności na tyle by czarownik dał mi spokój.

Rzucił pierwszy, zaczynając rozgrywkę. To dało mi pierwszy ruch. Wybrałem najsilniejszy stoczek - kość mocy - i przesunąłem ją ku kości ognia, stykając zgodnymi ze sobą ściankami wody, co dało mi najsilniejsze z możliwych w tej konfiguracji ustawienie wyjściowe. Kość mocy leżała wprawdzie na silnej ściance ognia, przez co nie mogłem jej wykorzystać w przyszłości do wzmocnienia swojego układu, ale uniemożliwiała tym

samym jej wykorzystanie do przejścia nad nią kontroli przez elfa. Liczyłem że wybierze on jeden z silniejszych z trzech pozostałych stoczków by zbudować pozycję dla siebie, a wtedy ja użyję najsłabszego stoczka, kości powietrza, by połączyć ją ze ścianką ziemi na mojej kości mocy - tworząc kolejną zgodność, zwaną kurzawą, nie będącą w opozycji z wodą. Liczyłem że zbuduję odmianę silnego układu, zwanego pożarem - podsycenie kości mocy stoczkiem ognia i powietrza przewyższałoby przeciwstawne układowi siły zgodności z wodą i ziemią.

- Zbyt oczywiste zagranie, młody graczu - podsumował elf - Zaczynając od gromadzenia najpotężniejszych żywiołów, pozostawiasz nietkniętą pulę tych słabszych, ryzykując że przeciwnik wykorzysta je do przejścia kontroli nad układem. Widzisz, każda kość ma swoje sekrety i swoje własne, subtelne właściwości...

Przysunął do mojego układu stoczek powietrza, leżący na ściance ognia, ścianką mocy przytykając go do analogicznej ścianki na kości ognia, leżącej na lewo od ścianki wody. Tak powstała nowa zgodność, zwana piecem, dała mu prawo do obrócenia zdobytej kości. Elf obrócił ją o jedną ściankę w lewo - teraz ścianka wody na kości mocy stykała się ze ścianką ziemi na kości ognia w położeniu konfrontacji, zwanym burzą. Kość ognia stała na ściance powietrza, co zdwajało siłę obranej przez elfa kości, zwiększając nie tylko siłę burzy, lecz także i deszczu, jaki powstał na styku nowej kości. Kość powietrza stykała się teraz z kością ognia w neutralności - spotkaniu wody i mocy, zwanej rzeką. W tym wypadku - rwącą, gdyż kość powietrza miała podwójną siłę, zaś woda ze ścianki tłumiła ogień...

Chwilę gapiłem się na nowy układ, nic nie rozumiejąc. Dopiero po chwili dotarło do mnie że nie mogę ani zmienić, ani rozerwać nowo powstałej konfiguracji. Dwa najsilniejsze stoczki tkwiły związane w powstałym układzie, zaś dwa pozostałe, jak na złość, leżały na ściankach mocy - były na tyle słabe że wszelkie inne możliwe połączenia z kością ognia nie tworzyły zgodności na tyle silnej by pozwolić mi odwrócić ją na poprzednią pozycję. Co z tego że kość mocy była najsilniejszym stoczkiem w grze - dwie pozostałe należały do elfa, wzajemnie wzmacniając swą moc, przez zasłonięte ścianki. Nie mogłem odzyskać straconej kości! Mogłem co najwyżej osłabić jego układ, zestawiając którąś z pozostałych ze ścianką mocy na kości powietrza. Jednym ruchem Apok zgarnął całą kontrolę nad układem, zmuszając mnie do obrony - wszystko przez posunięcie najsłabszym ze stoczków!

Jedno tylko wtedy czułem - zdziwienie, i to nawet nie na posunięcie elfa. Każdą rozgrywkę z magiem zaczynałem w ten lub podobny sposób, a on nigdy nie wykonał takiego ruchu - a przecież grał dobrze, więc musiał znać tę, teraz zdawało mi się, prostą i oczywistą, sztuczkę.

Po raz pierwszy pomyślałem że mag, grając ze mną, bawi się podwójnie.

- Nazywają to złodziejem - wytłumaczył Apok - Pokazuję ci to teraz, lecz najlepiej wykorzystać je na końcu rozbioru. Grając z doświadczonym zawodnikiem szybko zauważysz że będzie próbował zablokować stoczek powietrza, by wyłączyć go z gry. Widzisz jak wykorzystując na początku oba najsilniejsze elementy zamknąłeś sobie drogę do kontroli układu?

Zaczerwieniłem się ze złości. Niepotrzebnie. Skąd miałem znać takie sztuczki?

Rozważyłem pozostałe możliwości. Próba wykorzystania stoczka mocy była bez sensu - choć najsilniejszy w hierarchii mocy, związany był konfrontacją z drugą wobec siły kością. Konfrontacje odejmowały punkty graczowi wobec którego były postawione, zgodności je dodawały, neutralności liczone były w zależności od końcowej sytuacji - dostawał je ten, kto zbudował silniejszy układ. Tylko zgodność pozwalała obrócić kość, lecz żadna z pozostałych mi do dyspozycji, nie była dość silna by mierzyć się z taką konfrontacją!

Zrozumiałem że kości ognia już nie odzyskam, popatrzyłem więc na stoczek powietrza, zastanawiając się jak rozbić wiążącą go z nim neutralność, tak by i elf na nim nie zyskał. Mogłem wykorzystać albo silny stoczek ziemi, albo słabszy stoczek wody - obie ścianki na jego kości były odsłonięte - lecz co bym nie zrobił, jak bym nie obrócił kości powietrza, elf użyłby drugiej by odtworzyć pozycję, zyskując dzięki mnie kolejne punkty za przywróconą zgodność, zużytą dopiero co na obrócenie jego kości. Oba wolne stoczki były słabsze od zdwojonej mocy powietrza, co znaczyło że użyczą mu swojej mocy i wzmocnią układ. Żadna konfrontacja nie odda mi kontroli, ani nie osłabi pozycji elfa. Wygrać nie wygram, uznałem, nie zyskam prawa do odwrócenia stoczka, zresztą w tej pozycji niewiele by mi to pomogło. Ta partia należała do Apoka, ale mogłem spróbować obniżyć moc układu, czyli jego punktację.

Stoczek ziemi stał na najsilniejszej ściance, ściance mocy, więc nie mogłem wykorzystać pełni jego siły do rozbicia więzi między kością powietrza i ognia. Gdybym dostawił go do zwolnionej na niej przez elfa ścianki mocy - a ścianki mocy tworzyły wyłącznie neutralności lub zgodności - stałby się on podrzędny wobec

układu, wzmacniając go. Nie miałem wielkiego wyboru - zetknąłem ściankę z ogniem na stoczku ziemi ze ścianką ziemi na swoim stoczku mocy, zyskując krzyżową zgodność, zwaną wulkanem. Silniejsze stoczki były już wykorzystane, pozycja taka była więc nie do rozerwania. Nie tylko dołączyłem nową kość do mocy mojego układu, ale nieznacznie osłabiłem też wiązanie kości ognia z kością powietrza, gdyż, stojąc na ścianie mocy, kość ziemi zwiększyła siłę mojego pierwszego stoczka.

- Rezygnuję z obrotu - powiedziałem.

- Słuszne zagranie - pochwalił elf - Z pozostałych możliwości wybrałeś najlepszą. Stworzenie pary przez zetknięcie wody przez ściankę ognia nie odebrałoby mi tylu punktów, ile sam zyskałeś. Tak samo zetknięcie kości ziemi z ziemią na moim stoczku.

Kolejny ruch elfa był już tylko formalnością. Dostawił kość wody, ścianką powietrza, do analogicznego stoczka, zyskując jedną ze słabszych zgodności, zwaną sztormem.

- Dlaczego nie lubisz grać, skoro tak dobrze znasz się na rozbieraniu? - spytałem.

- A czy ty lubisz się ścigać z innymi dziećmi? Czy bawić w chowanego?

- Nie bardzo - odpowiedziałem. Byłem młody, lecz styl życia brutalnie postarzał mój umysł. Takie gry były dla mnie nazbyt dziecinne.

Spojrzałem na układ. Dwie kości - ziemi i mocy - były pod moją kontrolą, dając mi w sumie prawo do jednego przesunięcia którąś z nich. Kość ziemi dopiero co przystawiłem, więc co bym zrobił z nią teraz, mogłem zrobić od razu. Jedynie przesunięcie kości mocy miało by jakiś sens - niestety, woda zgasiłaby mój wulkan, zaś powietrze by go zdmuchnęło. Osłabiłbym swój układ bardziej niż Apoka. Pokręciłem głową, czekając na to którą kość zdecyduje się odwrócić - a którąś musiał.

- Tak samo jest z nami, elfami - odpowiedział tonem odbierającym słowom zawarte w nich poczucie wyższości - Lubimy bardziej finezyjne gry, większości których wy, ludzie, nie znacie. Wiele wieków temu jeden z nas przebadał wszystkie możliwe układy wyrzuć i opracował schematy najlepszych rozbiórów. Ty myślisz nad tym co wybrać, lecz ja po prostu wiem jakie wykonać posunięcie. Nasze dzieci chętnie grają w stoczki, lecz nie po to by nauczyć się myślenia, lecz ćwiczyć pamięć. Gdy już poznasz wszystkie rozbiory - a jest ich dużo! - gra staje się po prostu nudna.

Z wprawą chwycił wysmukłymi palcami za czubek stoczka wody, wyciągnął go z układu, odwrócił i precyzyjnie postawił na swoje miejsce, z zachowaniem pozycji, jak nakazywały reguły, lecz stawiając go na ścianie ziemi. Elf osłabił tym wprowadzie wartość kości, lecz związał ją bardziej z układem, gdyż teraz kość powietrza, choć wciąż połączona z przeciwstawnymi sobie ogniem i wodą, znalazła się względem nich w bardziej neutralnej konfiguracji. Żadnych konfliktów w punktacji, poznałem, żadnych niestabilności w układzie. Rozbiór był doskonały.

- Możesz mnie ich nauczyć? - spytałem.

Elf pokręcił głową.

- Masz na to trzydzieści lat? Zresztą... - wskazał kciukiem na maga - Jak myślisz, dlaczego ze mną przegrał? Niewielu ludzi jest w stanie dotrzeć do naszych ksiąg, lecz on zapewne mógłby... Magowie mają czas, umiejętności i znajomości, jednak księgi o rozbiorach omijają z daleka. Oni wiedzą że tylko granie bez ich znajomości jest naprawdę wciągające.

Spojrzał na stoczki z dziwnym smutkiem. Oto ktoś, kto mógł pokonać każdego, żałował że nie mógł grać tak jak ja! Znał reguły, lecz nie mógł zapomnieć wyuczonych posunięć - jakaż w tym przyjemność, gdzie emocje? Zgarnąłem stoczki, potrząsnąłem nimi w garści i wyrzuciłem na stół. Apok wybrał stoczek powietrza. Nawet mi na myśl nie przyszło by kraść go silną kością.

Rozegrałem kilka pouczających partii z elfem, a potem, gdy krasnolud odszedł na chwilę po kilka kufli, także z Diamdusem, który znów postawił mi posiłek. Nie poszło mi lepiej niż poprzednio, choć przeciwnik z ciekawością zauważył że moja gra odrobinę się poprawiła.

Gdy krasnolud wrócił, powróciłem do Apoka, który udzielił mi paru kolejnych wskazówek. Objaśniał zasady jak najprościej, lecz było ich tak wiele że szybko zacząłem się gubić w jego wywodach. Przyznaję, po części moja była w tym wina, gdyż zagapiłem się na kupca, ale i nie bez powodu. Jeszcze wczoraj zdawał się on tracić kontakt z otoczeniem, a dziś ściszym głosem żywo rozmawiał ze swoimi strażnikami, z rzadka zerkającymi uważnie na starego maga. Tak na niego baczylem że nie spostrzegli iż ich obserwuję - albo nie dbali o gapiące się na nich dzieciaka.

- Prawcie co chcecie - rzekł głośniej jeden z nich, zwany Femilurem, odchodząc w pewnej chwili od stołu - ale głowę dam żem go już gdzie widział...

Był to jedyny fragment rozmowy jaki dotarł do moich uszu.

- Też zdają ci się dziwni, co? - spytał cicho Apok. Odwróciłem się do niego, trochę zbyt gwałtownie. Pochylał się nad stoczkami, lecz w jakiś elfi sposób także ich obserwował.

- Ja... tak... - odparłem, zmieszany.

- Parecznica to dziwna broń jak na strażnika - stwierdził. Kiwnąłem głową - ale nie oni martwią mnie najbardziej.

- Nie wyglądają niebezpiecznie - przyznałem, nie chcąc zdradzać iż nie to mnie w nich zaniepokoiło.

- Znaleźliście coś?

- Nic - przyznałem - Trzeba nam więcej czasu.

- Oczywiście - zgodził się elf - Zaczekamy na okazję, a w międzyczasie... - przestawił jedną z kości - co powiesz na poświęcenie mi nieco większej części uwagi?

Miał rację - moje zachowanie nie należało do najgrzeczniejszych. Skupiłem się na grze.

Tak minął mi cały dzień. Noram tymczasem włączył się od ściany do ściany, gapił się przez okno, lub z nieporadną dyskrecją przyglądał się ozdobom zgromadzonych w sali ludzi. Znużenie zapanowało w gospodzie tak wielkie że nikomu nawet nie chciało się wziąć instrumentu do ręki, jedynie elf pod wieczór, przy akompaniamencie Loiny, zagrał kilka nowych melodii.

Nie wiedzieć czemu, muzyka skłaniała mnie do obserwowania zimowych żywiołów. Znow gapilem się przez okno. Odpłynąłem tak daleko że dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie że na zewnątrz stoi jakaś postać.

- Noram! - zawołałem cicho, rzucając się do okna. Przywarliśmy do szyby w samą porę by zobaczyć jak majacząca w śniegu figura znika pośród szarobiałej kurtyny.

- Na bogów, masz rację! - zjawisko poruszyło Norama - Ktoś tam był!

Gapiliśmy się przez szybę, lecz zjawisko się nie powtórzyło. Nie zauważyliśmy że muzyka ucichła; dopiero cienie na szybie powiedziały nam że za naszymi plecami zebrał się wianuszek kilkunastu osób. Jak my, wszyscy wpatrywali się w zamieć.

- Dajcie pokój - odparł ktoś z sali - Dzieciuki fantazja ponosi.

- Widziałem kogoś, przysięgam! - Noram odwrócił się, zaperzony - Nordon też!

- Prawda! - potwierdziłem - To nie było przywidzenie!

Ludzie rozeszli się, to kręcąc głową, to mrucząc coś do siebie.

- Głupoty gadacie! Kto, na bogów, wyszedłby w taki śnieg? - spytał jeden z górników.

- Skąd by się wziął?

- Kto by to przeżył? - dodał kobiecy głos.

- Nie kto, a co - mag pochylił się ku oknu.

Odwróciłem się ku niemu - dość szybko by dostrzec spojrzenie gospodarza. Mrazin dziwną miał minę. Nie wiedzieć czemu, odwrócił głowę gdy tylko na niego spojrzałem...

\* \* \* \* \*

Z początku kolejny dzień znow wiał nudą, ale koło południa wiatr stracił nieco na sile. Godzinę czy dwie potem zamilkł zupełnie. Rozjaśniło się na dworze; śnieg wciąż prószył, choć chmur było niewiele. Nikt nie wątpił iż to jeszcze nie koniec, a już na pewno nie ja, niemniej była to kusząca odmiana od beczynnego wysiadywania przy stole.

Pierwsze wrzawę podniosły dzieci, namawiając rodziców na wyjście na świeże powietrze -bo i w sali nie pachniało kwiecistym ogrodem. Gospodarz był z początku niechętny, lecz wreszcie, dla świętego spokoju, odjął podpórki od drzwi i przekręcił klucz w zamku. Ledwie uchylił wierzaje, gdy do środka wpadła hałda śniegu. Na dworze było mi go może po pachy. Gdyby otwierały się na zewnątrz, biały puch uwieźiłby nas na długie tygodnie, a kto wie, przy takich śnieżycach to i może do wiosny.

Popędziłem do pokoju, po rakiety. Gdy wróciłem, górnicy ubijali już śnieg w prowadzącą na powierzchnię rampę. Wszyscy chcieli skorzystać z chwilowego spokoju - ja, Noram, dzieci, górnicy, mag z uczniem, elf i jego towarzysz, nawet Szrama wstał ze swojego miejsca, cierpliwie czekając chwili na rozprostowanie kości.

Jeden po drugim, wyszliśmy na dwój, puszczając przodem rozwrzeszczane, pełne niespodziewanej energii dzieci. Widok na zewnątrz zdumiał mnie zupełnie. Spadło tyle śniegu że niektórym chatom sięgał po powałę! Całe dno doliny było kompletnie zasypane, aż nie wierzyłem własnym oczom, a miejscowi jeszcze zapewniali mnie że od lat nie było tu słabszych śnieżyc - co znaczyło że bywały tu gorsze... Nawet na wysokości gospody śnieg pokrył wszystko co najmniej na pół ramiona, nie licząc zagłębień, starannie wypełnionych po brzegi przez wiatr. W jednym miejscu puch potrafił być głęboki na parę łokci, a w drugim, zaraz obok - nawet na kilka ramion. Byłe wpaść nieuważnie w taką zaspę, bez rakiet na nogach, a ciała do wiosny nikt nie znajdzie...

Paru mieszkańców zabrało się za odkopywanie drzwi swoich chat, by wydobyć rzeczy, których nie zdążyli zabrać przed pierwszym uderzeniem śnieżycy. Kilku górników wywlekło sanie i udało się z nimi w głąb doliny; wrócili później, gdy były już po brzegi załadowane drewnem. Ja i Noram rozejrzeliśmy się tymczasem po okolicy, by na koniec dać się wciągnąć w wojnę na śnieżki z miejscowymi dziećmi.

Zabawa nie trwała tak długo jak bym sobie tego życzył. Parę godzin po południu - bez przesłoniętego chmurami Saratusa mogłem tylko z grubsza ocenić czas - wiatr jął się wzmaczać, powoli, lecz nieuchronnie. Niechętnie wracaliśmy do gospody. Przekroczyliśmy jej próg jako jedni z ostatnich. Mrazin już zabierał się do podpierania drzwi, gdy zastukała do nich ostatnia para, taszcząca średnich rozmiarów tobół.

- Szybciej, szybciej, ludziska! - pogonił ich zniecierpliwiony gospodarz - Zaraz się zacznie!

- Spokojnie, gospodarzu - krasnolud strzepał z siebie śnieg i zawiesił przemoczone futro przy kominku. Mimo bijącego żeń ciepła i chwilowego wyludnienia gospody, śladu po kotach nie było - Mamy czas. A choćby i w godzinę wietrzyśko nie odzyska pełni sił.

- Zaczny synu Tanory - odparł mag - Góry są przedziwnie nieprzewidywalne. Choćby i dziesięć razy wiatr przybywał powoli, nie będziesz pewny iż za jedenastym nie dmuchnie z całej siły.

Krasnolud rzucił na maga przeciągłe spojrzenie, burknął coś i odszedł. Mag tylko wzruszył ramionami.

- O co chodzi z tym synem Tanory? - spytałem.

- Krasnoludy są niezwykle czułe na punkcie wzrostu, czemu się nie dziwię - mag zdjął płaszcz i, idąc śladem krasnoluda, uwiesił go blisko kominka. Zrobiłem to samo - Gdy ktoś z wyższych wzrostem ras, jak człowiek, zwraca się w ten sposób do jednego z niskich ludzi, zwłaszcza wyróżniających się wzrostem, podkreśla swój szacunek.

- Taki komplement?

- Raczej zwrot honorowy, lecz nasz niewysoki przyjaciel chyba ma coś przeciwko magom.

- Pewnikiem idzie za tym jakaś legenda? - Noram sprawiał wrażenie iż nie tyle interesuje go opowieść, co przekorne przyłapanie maga na niewiedzy. Niestety, miał pecha.

- A idzie. Wielu ludzi ma trudności z odróżnieniem krasnoludzkich kobiet od ich mężów. Mają równie długą brodę i wasy... niedoświadczony wędrowiec nawet by nie zgadł że rozmawia z jedną z nich - obaj skrzywiliśmy się na tę wizję. Mag pochylił się ku nam i dodał ciszej - Prawdę mówiąc, są tak paskudne, że nawet pijany ogr by się do nich nie dobrał.

- A co to ma wspólnego...? - zaczął Noram.

- Jaki młody, jaki niecierpliwy - mag skarcił go łagodnie - Otóż, dawno temu, żyła Tanora, krasnoludka o niezwyklej urodzie, i to nie tylko jak na jej rasę. Legenda mówi że dwóch konkurentów starało się o jej łóż - człowiek i krasnolud, i człowiek wygrał. Z ich związku zrodził się tylko jeden potomek. Tanora zmarła, wydając go na świat, gdyż niemowlę było niezwykle roste... Mawiano o nim że jest najwyższym krasnoludem jaki kiedykolwiek się urodził, choć wiele mu brakło do naszego wzrostu. Wsławił się wieloma wielkimi czynami, jak i podbojami innego rodzaju... wprowadzając nieliczne zamieszanie do krasnoludzkich genealogii. Dość rzecz iż przywódcy wielu klanów spod Wielkiej Bariery wywodzą od niego swój rodowód.

- Czyli, nazwanie krasnoluda synem... Tamary... - zacząłem.

- Tanory - poprawił mag.

- Tanory... to jak nazwanie go księciem?

- Cóż... odbierają to trochę inaczej, niemniej nie jest to powód by się dąsać.

Ciekawe, pomyślałem. Nie wątpiłem że Diamdus opowiedział nam prawdziwą historię. Gdyby ten zwrot był ubliżający, krasnolud, choćby nadzwyczaj spokojny, nie omieszkałby jeśli nie chwycić za topór, to przynajmniej odpowiedzieć czymś równie obraźliwym. Przez tych parę dni miałem okazję przekonać się że to elf jest tu bardziej porywczy, zaś krasnolud rozważniejszy - czyli dokładnie na odwrót. Tym dziwniejsze było

że zbyt komplement maga. Rozegrali wszak ze sobą wiele rozbiórów i nie okazał mu niechęci - ale też i entuzjazmu. Owszem, zbliżał się do niego, zwłaszcza po kilku kuflach - nie wiem czy gospodarza cieszyła dobra sprzedaż słabego trunku, czy martwił rychły niewątpliwie jego brak - ale... Sprawiał wrażenie że co jakiś czas przypominał sobie o czymś, i wtedy wołał maga unikać.

Wichura, wbrew zapowiedziom maga, wzmagała się powoli. Siadłem przy oknie, obserwując zmiany. Gotowałem się na kolejne nudne dni, marząc o kolejnej chwili ciszy.

- Widzieliście Madilę? - zapytał jeden z górników - Miała na chwilę najść do chaty...

Prawie wszyscy odwrócili się w jej stronę.

- A mój Kłaba? - zauważyła jakaś kobieta - Pobiegał z inszymi, a nie wrócił... Kłaba!

Zapanował rozgardiasz. Ludzie jęli wypytywać się o to co który widział. Zamęt ustał gdy ustalono że brak czterech ludzi - żony jednego z górników, oraz trójki dzieci - chłopca, oraz jego kolegi i koleżanki.

- Widziałem Kłabę! - przypomniałem sobie wspólną zabawę - Byliśmy razem...

Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie.

- Gadaj, gdzie! - zdenerwowana matka dopadła mnie i jęła potrząsać niczym owocowe drzewko w środku lata.

- Pod trzema sosnami, przy skale... - odpowiedziałem, trochę wystraszony jej zachowaniem - Podzieliliśmy się na drużyny... Nie pamiętam kiedy...

- Na bok poszedł, z kolegami - dodał Noram. To w jego drużynie, o ile pamiętałem, był zaginiony chłopak - Nic nie rzekł...

- A potem?

Pokręciłem głową. Rychło okazało się że byliśmy ostatnimi którzy go widzieli. Inne dzieci nie powiedziały wiele więcej.

- Na zabawę ich naszło, przy cmentarzu! - zawyrokował jeden z osadników.

- Patrzeć ino a jaką zjawę wzbudzał! - załamała ręce jakaś miejscowa, stara kobieta - Na nic nie baczą...

- E tam, zara zjawa! Ty tylko o jednym...

- Przed śniegiem się schowały i tyle - kupiec nawet nie udawał że nie słucha co mówią miejscowi - Może w którejś z chat?

- Gospoda jeno bezpieczną kryjówką, jak dolina długa! - ponuro odparł wójt. Zaginiona dziewczynka była jego córką - Nie uchowasz się w niej przed śniegami, nigdzie!

- Nawet w chacie? - spytałem, lecz nikt mi nie odpowiedział.

- Trza szukać, ino prędko! - zawyrokował gospodarz - Nim śnieg się wzmoże!

Prawie wszyscy rzucili się do wyjścia. Prawie, gdyż Szrama był równie obojętny co zawsze.

- Na grupy! Musimy się podzielić na grupy! - zawołał za nimi kupiec - Trzeba nam organizacji, planu!

Osadnicy zawrócili, przytakując.

- Słuchajcie, ludzie! Winniśmy wyjść w trzy grupy - poradził elf - Pierwsza sprawdzi chaty, druga pójdzie przez dolinę, ku drugiej ścianie, trzecia odbije w lewo. Za ćwierć Saratusa każda podzieli się na pół, a za następne ćwierć na kolejne połówki. Za każdym podziałem jedna z grup ruszy w dół doliny. W ten sposób przeszukamy cały teren, aż do drugiej ściany... Ktoś ma lepszy pomysł?

W miarę jak mówił, zgromadzili się wokół wszyscy mieszkańcy osady. Nikt nie zaprotestował. Stojący z tyłu mag pokiwał głową. Miejscowi poskrobali się po łepetynach, nie bardzo to rozumiejąc, ale ostatecznie zgodzili się na taki pomysł.

Gospodarz otworzył drzwi i wszyscy wybiegli na zewnątrz - co ciekawe, był z nami także Szrama. Niektórzy nawet nie tracili czasu na naciąganie futer.

Dorośli szybko podzielili się na grupy.

- Może śnieg przywalił drzwi, zamykając ich w chacie - rzekł kupiec - Musimy sprawdzić każde drzwi, czy nikt nie odpowiada.

- A co z nami? - zawołałem, widząc że wszyscy gotują się do odejścia. Czułem się częściowo odpowiedzialny za zaginionych.

- Też chcemy pomóc! - dodał Noram.

Cóż z tego, skoro nikt nie zwracał na nas uwagi. Jeden po drugim, ludzie znikali w gęstniejącym śniegu. Pełni gniewu, obserwowaliśmy jak odchodzą. Przy drzwiach zostały tylko małe dzieci, Damdus ze swoim uczniem,

Szrama i Mrazin - nawet kobiety i młodzieńcy poszli w ślady mężczyzn!

- Dajcie sobie z nimi spokój - mag stanął obok nas - Pójdziemy sami, skoro wszyscy uważają nas na bezużytecznych. To znaczy, o ile nie będziecie mieć nic przeciwko naszemu towarzystwu.

- Oczywiście że nie! - odparłem z ulgą. Śnieg był już na tyle gęsty że wędrowka we dwójkę nie wydawała mi się najbezpieczniejsza, zwłaszcza że nie znałem zbyt dobrze tej doliny.

- Dołączę się, jeśli pozwolicie - niespodziewanie usłyszałem tuż za sobą.

Odwrociłem się. Szrama patrzył się na nas z dziwnym, choć niegroźnym, błyskiem w oku. Aż zaniemówiłem z wrażenia.

- Będę zaszczycony - odparł mag - Doświadczony obieżyświat, jak sędzę z wyglądu, może nam się bardzo przydać.

Wędrowiec skinął głową.

- Kolimach - przedstawił się krótko.

- Diamdus - odpowiedział mag - Chyba się nie spotkaliśmy... ale to nieważne. Nie mamy czasu do stracenia. Elab?

- Jeśli pozwolisz, mistrzu... - uczeń łypnął spod oka na udającego zaangażowanie wędrowca - Dołączę do przeszukiwania domów.

Dostrzegając jego zainteresowanie, Kolimach zbyt go przeciągłym, leniwym spojrzeniem, lecz już wiedziałem że to wszystko było udawane.

Mag dziwnie spojrzał na ucznia, potem przeniósł wzrok na wędrowca.

- Jak sobie życzysz. Żeby cię potem sam nie szukał - mag zwrócił się ku nam - Górnicy myślą że jestem za stary na takie przeprawy, lecz moja moc i umiejętności zrównają nasze szanse. Chodźmy!

Gdybym wtedy wiedział jak wielkie podjęliśmy wtedy ryzyko...

Nie uszliśmy daleko, gdy trafiliśmy na jedną z miejscowych kobiet. Pędziła co sił w nogach do gospody, wprost cudem unikając upadku w śnieg. Widząc nas, wyłaniających się ze śnieżycy, skrzyknęła pośpiesznie. Byłaby przewróciła się w śnieg, gdyby Noram nie zdołał jej złapać i podtrzymać.

- Madila? - spytał mag.

- Dobrze żeście ku mnie wyszli! - odpowiedziała, uradowana - Kaj do gospody?

- Prosto! - Noram wskazał za siebie - Ino kilka dziesięci kroków.

Łatwo było zbłądzić. Widać było ledwie na kilkanaście ramion przed siebie. Wiatr rzucał śniegiem to w jedną, to w drugą stronę; otoczenie wirowało wraz z płatkami, jakby swym tańcem specjalnie chciało zmylić nam drogę.

Madila podziękowała i odwróciła się we wskazaną stronę.

- A dzieci? - spytałem szybko - Czy...?

- Dzieci? - kobieta zatrzymała się w miejscu.

Pośpiesznie opowiedzieliśmy co się stało. Na nasze wieści góralka zamarła z wrażenia. Gdybyśmy jej nie podtrzymali, osunęłaby się w śnieg.

- Nie widziałam! - odpowiedziała, chwytając stojącego najbliżej Norama - Bogowie, moje to...? Nie kłopotcie się mną! Bieżajcie, szukajcie!

Zostawiliśmy ją samą sobie, jeszcze raz wskazawszy drogę, po czym ruszyliśmy ku miejscu naszych niedawnych zabaw.

Pogoda nie była tak zła jak sądziłem. Bez trudu dotarliśmy do trzech znajomych sosen. Tu uradziliśmy by iść po spirali, oddalając się od drzew, tak długo jak pozwolą na to warunki. Tak też zrobiliśmy. Brnęliśmy przez śnieg, wołając dzieci po imieniu - bez rezultatu.

Mag okazał się niezwykle czujny, daleko nad swój wiek. Rozglądał się uważnie, zaglądając za każde drzewo, oceniając teren, zgadując którędy dzieci mogłyby przejść, a którędy nie, gdyż pozostawiłyby po sobie ślady na tyle głębokie że wciąż byłyby widoczne, a gdzie nie byłoby na to szansy.

Już wcześniej dziwiło mnie że pnie wszystkich sosen w dolinie - bo tylko one tu rosły - choć wysokie, były nagie aż po niezbyt rozłożystą koronę igieł na samym szczycie. Teraz, po paru dniach śnieżycy, ze zdziwieniem odkryłem że ich czubki są znacznie, znacznie bliżej... a przecież śnieżycy jeszcze się nie skończyła! Było oczywiste iż jeżeli nie odnajdziemy dzieci teraz, żywych, to ich ciała znajdą się dopiero na



wiosnę. Tym pilniej wpatrywałem się w śnieg, by znaleźć cokolwiek, jakiś ślad, nim zginie pod całunem śniegu.

Pędzone wiatrem płatki to opadały na dno doliny, to podrywały się tumanem do nowego lotu przez mroźne, lecz wilgotniejące powietrze. Godzina, pomyślałem, a zasypie wszystko. Może to byłoby i lepiej, gdyż zacząłem się bać chwili gdy znajdziemy wystającą ze śniegu, wskazującą niebo zamarzniętą rękę czy inne równie makabryczne zjawisko. Niestety, ktoś inny znalazł coś gorszego. W pewnej chwili przez szum wiatru dobiegł nas, stłumiony przez śnieżną ścianę, czyjś przerażający wrzask. Gdzieś blisko, zrozumiałem.

Miejscowe dzieci, znając niebezpieczeństwo, nie mogły odejść daleko. Skoro nie wróciły...

Poczułem ciarki. Bez słowa rzuciliśmy się, jak jeden mąż, ku domniemanemu źródłowi krzyku. Rychło powtórzył się, co ułatwiło nam lokalizację. W padającym, gęstym śniegu dostrzegłem pochylającą się nad czymś grupę górników. Nim dobiegliśmy na miejsce, odłączyła się od nich jakaś postać, biegiem udając się ku wiosce. Zwolniłem, sądząc że wiem co znaleźli, lecz gdy podszedłem bliżej...

To było gorsze od wszystkiego co mogłem sobie wyobrazić. Dwa małe ciała - chłopca i dziewczynki - leżały obok siebie, zamarznięte w śniegu, trupio sine, w samym środku mozaiki z przyprószonej bielą czerwieni. Zdarłe z ciał i rozszarpane ubrania tu i ówdzie wciąż wystawały spod śniegu. Gardła i klatki piersiowe obu ofiar były rozszarpane jakby przez potężne zwierzę; z piersi wydarto połowę ich zawartości, wraz z sercem. Teraz śnieg wypełniał otoczone sterczącymi, wyłamany na zewnątrz, nagimi żebrami luki w ich ciałach. Zastygłe w niewypowiedzianym cierpieniu twarze mówiły wyraźnie że morderca zaczął swoje dzieło gdy były przytomne.

Wstrząsnęły mną drgawki. Wiele widziałem, lecz coś takiego... Noram miał mocne nerwy, lecz ja odbiegłem na miękkich nogach kilka kroków, by zwymiotować. Kto mógł zrobić coś takiego? Jaki demon, jaka istota... Trząśłem się, nie tylko za sprawą tego co ujrzałem - rozumiałem przecież że, ktokolwiek to uczynił, mógł być w pobliżu!

Wszyscy stali dookoła, zastygli w grozie znaleziska. Czując się trochę lepiej, podszedłem bliżej, odwracając wzrok od zmasakrowanych zwłok. Nie patrząc, na wpół na ślepo, ukląknęm i zdjąłem rękawicę, by drżącą ręką dotknąć jedno z ciał. Było lodowato zimne.

- Zginęły najmniej godzinę temu - sztucznie beznamiętnym głosem oznajmiał mag.

- Kto, na bogów... - to pytanie zadawał sobie każdy, lecz nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć, może za wyjątkiem Kolimacha i starego Diamdusa. Mag patrzył na ciała jakby ten widok nie był mu obcy, na chłodno oceniając stan i obrażenia ofiar, ich ułożenie i ślady krwi wokół nich. Zaś wędrowiec... Jego oczy rozszerzyły się tak bardzo jak tylko mogły. Postawą ni twarzą nie zdradzał zaniepokojenia, ale jego spojrzenie... Któryś z górników przykucnął, by drżącą ręką otrzeć jedną z na wpół zaspanych twarzy.

- Kłaba - powiedział z trudem. Pochylił się nad drugim ciałem i wypowiedział drugie imię. Byłem zbyt zszokowany by je zapamiętać.

Stałem tuż nad ciałami, zmuszając się by spojrzeć na nie okiem maga - bez skutku. On widział w nich zwłoki, a ja... nie potrafiłem tak ich odczłowieczyć. Z pewnością on ujrzał dzięki temu więcej, jakieś ulotne szczegóły; ja dostrzegłem jedynie że ciała nosiły ślady nie tylko szarpania, lecz także cięcia i klucia - znak że istota, która to uczyniła, posługiwała się także bronią, a nie tylko danym przez naturę orężem. Wydało mi się też iż na jednym z żeber są ślady zębów, ludzkich z pozoru, lecz było w nich coś jeszcze, czego wtedy nie znałem - i chyba nie ja jeden, rzadkie to bowiem ślady, które, jak dziś wiem, zostawia po sobie tylko oprawca będący w naprawdę wielkiej potrzebie...

- Czy w okolicy są jakieś wilkołaki? - ktoś spytał rzeczowo. Odwróciłem się - to był mag.

- Nie wilkołaki, panie - odparł ktoś po długiej, pełnej wahania chwili milczenia - Żadnego, kaj daleko pamiętam. Tylko wilki.

Mag pokiwał na to głową. Nie wątpiłem, zauważył to samo co ja - górnicy coś ukrywali.

- Tam! - wrzasnął nagle Noram, aż ze strachu dech straciłem - Popatrzcie na to!

Ręką wskazywał na śnieg, na zboczu schodzącym w dół doliny. Podbiegłem wraz z innymi - na wpół widoczny, przysypyany ślad małych rakiet kierował się w dół, zaś tuż obok niego biegł drugi, znacznie głębszy, większy i o wiele świeższy. Myśliwy i ofiara, zrozumiałem. Zabił najpierw, w pościg ruszył dopiero gdy skończył... cokolwiek tu zrobił.

Bez słowa pośpieszyłem wzdłuż śladów, w biegu wyciągając miecz. Gnałem jak wariat, niepomny tego co może się stać gdy dopadnę sprawcę. Na szczęście, Noram i Diamdus ruszyli za mną, a za nimi, po chwili

zwątpienia, pobiegli górnicy.

Długo pędziliśmy przed siebie, trzymając się coraz słabiej widocznych śladów. Zapadałem się po kolana, ale biegłem dalej. Po drodze dołączyła do nas grupa przeszukująca wcześniej chaty. Elab, nie pytając o nic, dołączył do swojego mistrza. Wszyscy byliśmy oblepieni śniegiem od stóp do głów. Nawet gdyby morderca był wśród nas - w co nie wierzyłem ani chwili, wszak to co zobaczyłem mówiło mi iż nie mógł to być człowiek - nikt nie dostrzegłby krwi spod śnieżnego pancerza, jaki chcąc nie chcąc nosił każdy z nas. Czyż problemem było wytrzeć ubranie w śniegu, oczyścić się...? Nawet czerwień prędko by znikła pod bielą.

Dorośli najpierw mnie wyprzedzili, lecz trudniej im było brnąć przez głęboki śnieg. Po kilku minutach znów wysforowałem się do przodu, pędząc po śladach jak dziecko, które zapomniało o zagrożeniu, lub nie w pełni zdawało sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Biegłem tak zażarcie iż nie od razu zauważyłem że zostałem sam. Przystanąłem. Ciągące się przede mną ślady były już ledwie małymi dołeczkami... Byłem sam, zagubiony pośród niewielkiego zagajnika, gdzieś na zboczu, przy przejściu w niewielki, boczny parów.

Coś zaszurało za moimi plecami. Odwróciłem się, zamierzając się mieczem do ciosu.

- Musimy zawrócić! - Noram odskoczył przezornie do tyłu, wiedząc w jakim byłem stanie umysłu. Zamieć wzmogła się tak bardzo że musiał krzyczeć, choć stał nie dalej jak trzy ramiona ode mnie - Nic już nie zrobimy! Niczego nie najdziem, zgubimy się, a wtedy...

Zadrżałem na myśl że nieznany stwór może nas dopaść. Rozejrzałem się, zdjęty nagłą trwogą.

- Inni zawrócili! Chcesz tu ostać na zawsze?

Opuściłem głowę, dysząc po długim biegu. Współczułem ostatniemu z trójki dzieci; tym boleśnieszka była świadomość że już nic go nie uratuje. Jeśli bestia dopadła go pierwsza... a nawet jeśli nie, zginie w zamieci, nie mogąc znaleźć powrotnej drogi po panicznej ucieczce, ani bezpiecznego schronienia. Kolejne ciało spocznie w śniegu, czekając na wiosnę...

Wróciliśmy po śladach powracających górników. Gdy gospodarz trzęsącymi się rękoma zamknął za mną drzwi - znak że już wiedział - z mojej piersi wyrwało się westchnienie ulgi. Oparłem się ciężko o ścianę. Serce zwolniło swój szaleńczy rytm; uspokoiłem się, czując się bezpiecznym - jakaż bestia zaatakowałaby nas, gdy byliśmy razem? Lecz nie zapominałem niczego, poza jednym - co kazało mi biec dalej, gdy inni zawrócili?

Elab przetarł twarz ośnieżonym rękawem, ścierając ślady krwi, sączącej się z trzech płytkich, lecz długich zadrapań na lewym policzku. W miarę jak do mojej skóry powracało krążenie, poczułem, dotąd znieczulone przez mróz, rozpalające pieczenie czerwonych pręg na twarzy. Obaj zyskaliśmy pamiętki po szaleńczym biegu przez zagajnik wystających ze śniegów szczytów sosen, choć moje nie były tak głębokie by krwawić. Zrzuciłem zimowe ubranie i przysiadłem w milczeniu na najbliższej ławie. Przygnębieni, milczeliśmy może z godzinę. Wszyscy byli wstrząśnięci, niektórzy wprost przerażeni. Matki trójki dzieci płakały, inne kobiety kiwały się w przód i w tył, tuląc przerażone dzieci. Jak będą się czuły na wiosnę, gdy śniegi odsłonią kolejne ciało...? Czterej młodzieńcy, choć starsi od nas, kulili się w rogu sali. Byłem pewien - ani oni, ani piątka ocalałych dzieci nieprędko znów wyjdą na dwór.

- Berkin nie wrócił - ktoś zauważył - Myślita że on też...?

- Widział go kto?

Nikt nie odpowiedział.

- Nie trza było pchać się w śniegi! - załkała jedna z kobiet - Nic by mu nie było... Jakeście się ubezpieczali, że nie wrócił?

- A bo na takie człek się ubezpieczy? Najgorszy zawał lepszy niżli to! Pod ziemią człek choć wie co go czeka, co począć...

- Będzie co będzie, więcej nie idę! - zawyrokował inny.

Długą chwilę słychać było tylko płacz i lamenty.

- Na bogów, baby, uciszta się! - zawołał jeden z górników - Zdzielę jak jedną z drugą, to dadzą pomysleć!

Nerwy zaczęły puszczać, lecz górnik zmiarkował się w obecności gości.

- Bieżyć nam na dwór trza! - Holmin zerwał się na nogi - Najdziemy bestię i...

Kilku wstało gwałtownie. Górnicy, przesądni i bojaźliwi jeśli chodziło o sprawy świata, w swoich sprawach byli twardzi i nieustępliwi. Ciężko im było wybić z głowy już zapadłe postanowienia. Pragnęli zemsty, byle ubić sprawcę, kimkolwiek, lub czymkolwiek był.

- Kogo chcecie dopaść? - wstrzymał ich mag - Kogo? Ktoś to widział, wie jak wygląda?

Górnicy popatrzyli jeden na drugiego. Rozległy się szepty. Było jasne - nikt niczego nie widział, a my, wraz z pozostałymi dziećmi, byliśmy ostatnimi którzy widzieli je żywymi.

- Kto mógł zrobić coś takiego? - to Rumberd zadał pytanie, które musiało paść.

- Nie człowiek, z pewnością - Apok z kolei wypowiedział to, o czym każdy myślał.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

- Z pewnością, masz rację - Diamdus spojrzał na niego znacząco.

- Nie to miał na myśli, stary, łysy głupcze! - krasnolud zerwał się na nogi.

- Wiem. Ja też nie - obserwowany przez wszystkich, mag podszedł do elfa. Stanęli ze dwa ramiona naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

- On tego nie zrobił, durnie! - warknął krasnolud - Cały czas byliśmy razem!

Obserwowałem ich, zaskoczony. Elf nie miał żadnych powodów by popełnić tak straszną zbrodnię, lecz jego ostra reakcja - i baczne, wbite w maga zimne spojrzenie - były reakcją winnego, lub co najmniej kogoś kto, choć niesłusznie oskarżony, rozumie że dowody są przeciwko niemu. Niemożliwe...? Jaki sekret skrywała ta para?

- Świadek wiernego towarzysza! - ironicznie odparł Kolimach. Nie mogłem powiedzieć dlaczego, lecz czułem przez skórę że coś się w nim zmieniło - Jakież przekonujące...

- Odłączyliśmy się. Co z tego? W chacie...

Nagle zamieszanie zagłuszyły słowa krasnoluda. Wieki temu elfy znikły z Gór Granicznych, lecz pozostałe po nich legendy nie zawsze były przychylne Wysokiej Rasie. Zagrzebana od wieków niechęć wobec ich pradawnego panowania, ożywiona tragicznym zdarzeniem, skupiła się teraz na tym jednym przedstawicielu tejże rasy. Jak słabo pojmowałem wtedy reakcje tłumu... Zbrodnia była przerażająca, a elf był obcym. Prostim ludziom to wystarczyło.

Mag, wciąż mierząc się wzrokiem z elfem, wznosił władczą rękę w górę. Hałasy ustąpiły jak za dotknięciem magii.

- Znam tobie podobnych - oświadczył spokojnym głosem - Nie jesteś zwykłym elfem. Jesteś Mrocznym.

Z niewiarygodną zręcznością i szybkością, Apok przyskoczył do maga, płynnym ruchem wydobywając broń.

Dwa mrugnięcia okiem - i ostrze szabli tkwiło już przy gardle stojącego wciąż nieporuszonego maga. Elab, jakby znając zamiary swojego mistrza, wyrwał jednemu ze strażników parecznicę wraz z parą beltów, odtrącił go do tyłu, odciągnął cięciwy, załadował i wymierzył w elfa. Oczom nie wierzyłem! Gdyby ktoś mi powiedział że starczy parę uderzeń serca by ją załadować, uznałbym go jeśli nie za kłamcę, to za szaleńca!

Rumberdowi tylko moment dłużej zajęło sięgnięcie do toporka, lecz nie podszedł ani kroku bliżej maga.

Przeszkodził mu w tym Kolimach i jego nieduży, lekki miecz, którego ostrze znalazło się nagle przy gardle Niskiego Człowieka.

Strażnicy doskoczyli do kupca, zasłaniając go murem z mieczy i parecznic. Nie chcieli się wtrącać i jasno dawali do zrozumienia że lepiej zostawić ich w spokoju. Ja i Noram odskoczyliśmy do tyłu, przywierając plecami do siebie, z mieczami w dłoni. Dzieci i młodzież skryły się po kątach lub umknęły za ojców którzy, nie bacząc na nic, sięgnęli po kilofy, pałki, polana i stołki - co który zdołał pochwycić - odgradzając rodziny od przybyszy. Krasnolud spoglądał nerwowo to na maga, to na powstrzymującego go wędrowca, to na Elaba. Spinał się, gotów do akcji, lecz Kolimach zdawał się lepiej wiedzieć o co chodzi w powstałym zamieszaniu.

- Szukasz śmierci, starcze? - syknął Apok - Dość już masz tego świata?

- Wyrzekniesz się swojego dziedzictwa, Dziecię Mroku? - starzec, choć jednym zdaniem postawił całą gospodę na noże, stając tym samym na dobrej drodze by być pierwszym który padnie na ziemię, zachował niezmacony, nienaturalny wręcz spokój - Wiem że jesteście zbyt dumni by kryć się pod imionami waszych braci. Zaprzecz, a uwierzę.

Elf ani drgnął; dyszał tylko, jak po długim biegu, błyszczącymi od gniewu oczami wpatrując się w demaskatora. Nie wątpiłem, mag się nie mylił. Mroczne Elfy od swoich braci z północy nie różniły się niczym, poza wierzeniami i zachowaniem. Zadrzałem. Mówiono że uprowadzają ludzkie dzieci, by składać je w ofierze podczas mrocznych rytuałów, że żyją blisko ludzi, czasem pod naszymi miastami, kryjąc się, żerując na nas jak wampiry... że nawet są z nimi za pan brat. Pojąłem żywioną od początku niechęć Rumberda do starego maga. Ludzie zaznajomieni z mocami pierwsi wyczuwali prawdziwą naturę jego towarzysza. Były rejony, zwłaszcza na południu Cesarstwa, gdzie samo oskarżenie starczyło by zawisnąć nim Saratus ponownie wychylił się znad horyzontu... i bałem się że jest ono prawdziwe. Czyż taka istota, jeśli choć połowa

z tego była prawdą, nie potrafiłaby nas zwieść swoim zachowaniem?

- Daj dziadowi spokój! - warknął wściekle krasnolud - Nie odpowiadaj, nie...

- Milczenie uznaję za potwierdzenie - ostrzegł Diamdus.

- Wiele mówią o Mrocznych, starcze - Apok wysyczał prze zaciśnięte zęby - Wiele złego... Ale nie jesteśmy ani gorsi, ani lepsi od was, ludzi. Nie zabijamy bez potrzeby!

- Więc jesteś - spokoj magą być nie zmacony. Jeden choćby mięsień nie drgnął na jego twarzy, żaden gest nie zdradził by żywił jakiegokolwiek emocje.

Górnicy mocniej ścisnęli w garści pochwyconą naprędce broń.

- Nie jestem. Nie jestem żadnym z nich. Jestem wygnańcem!

- Ale byłeś!

- Z urodzenia! - Apok opuścił szablę - Możesz wybierać gdzie i z kogo się narodzisz? Nasz jest tylko wybór co z tym zrobić. Trzymam rodowód w tajemnicy, nie możesz mnie za to winić! Lecz nie wypieram się go gdy prawda wychodzi na jaw.

Elab opuścił parecznicę, choć nie zwrócił jej jeszcze właścicielowi. Kolimach odsunął miecz od szyi Rumberda. W chwili jak ta, przeciętny krasnolud, nie bacząc na nic, wbiłby mu natychmiast topór w brzuch - na szczęście Rumberd, przynajmniej jeśli chodziło o impulsywność, okazał się niegodnym przedstawicielem swojej rasy.

- Prawda, Mroczne Elfy nie mordują ani mniej, ani więcej niż ludzie - mag przesunął wzrokiem po górnikach. Na dostrzegalną chwilę jego spojrzenie zatrzymało się na Kolimachu - Lecz gdy to robią, widok, jak ten na zewnątrz, często znaczy ich robotę.

- To nie ja! - Apok uniósł zaciśniętą w pięść lewicę, pokazując magowi skromny pierścień. Spojrzałem na krasnoluda, by potwierdzić swoje spostrzeżenie. Dobrze pamiętałem, nosił podobny, na tym samym palcu - Chcesz się przekonać?

- Przepraszam - rzekł Diamdus - Nie przyznałbyś się, zacny elfie, a ja musiałem mieć jasność mojego widzenia - minął go i stanął przed miejscowymi - Uspokójcie się, dobrzy ludzie! Sprowokowałem towarzysza do wyznania, lecz nie dla obciążenia go winą. Czułem zmianę, coś dziwnego. Musiałem to wyjaśnić, by zmysły mocy pozostały dla mnie czytelne. Nasz elfi przyjaciel nie jest groźniejszy niż budzący zaufanie kupiec - odwrócił się ku strażnikom, wykrzywiając twarz w podobnym do uśmiechu grymasie.

- Trzeba było to załatwić w cztery oczy - elf wsunął szablę do pochwy, rozglądając się podejrzliwym wzrokiem

- Teraz wszyscy...

- Oni też muszą wiedzieć. Nie ja jeden miałem... podejrzenia - rzucił spojrzenie na Kolimacha - Uwierz mi, to dla twojego przyszłego bezpieczeństwa.

- Wierzę - Apok spojrzał tam gdzie on. To samo uczynił Elab. Ręka ucznia drżała na spuście - Przekłęte dziedzictwo krwi!

- Czyny ważniejsze niżli lędzwie ojca! - odparł Rumberd - Tych ci nikt nie zarzuci.

- Jeśli już mam coś komuś do zarzucenia... - Apok nagle odwrócił się do Kolimacha. W rękach znów dzierżył szablę.

- Daj pokój łotrowi, jeszcze doczeka się sprawiedliwości! - krasnolud ściągnął jego uzbrojone ramię w dół. Spojrzał Szramie w oczy; jego głos powiał chłodem - Bacz panie, by mój topór nie zagościł w twojej czaszce. Jeden jeszcze raz wyciągnij ku mnie broń...

Kolimach skłonił się szyderczo, odwrócił i odszedł bez słowa na swe zwyczajowe siedzisko. Nie mogłem oczom uwierzyć! Poznałem już kilku krasnoludów - żaden z nich nie puściłby czegoś takiego płazem!

- Pokój, dobrzy ludzie, pokój! - Diadmus wzniosł dłonie w uspokajającym geście - Nie wyciągajmy ku sobie broni z tak błahego powodu! Nie tu czai się prawdziwe niebezpieczeństwo.

Dziwne słowa, jak na sprawcę zamieszania, ale typowe, jak na maga. Musiał coś sprawdzić, więc zrobił to w najprostszy sposób, w swej ciekawości nie rozważywszy do końca konsekwencji, zaś gdy te objawiły się z pełną mocą, próbował naprędce zaprowadzić porządek. Niemniej sytuacja uspokoiła się, choć ludzie wciąż obdarowywali się ukradkowymi, nieufnymi spojrzeniami. Wszyscy byliśmy ich obiektami, nawet ja. Nie winiłem ich - sam równie podejrzliwie odnosiłem się do pozostałych.

Elab oddał parecznicę strażnikowi. Jej właściciel, Lajkisz; nie dał znaku by żywił urazę, czy zgodę dla tak nagłego i sprawnego odebrania broni. Jak zauważyłem, Lajkisz nie zwykł wiele mówić, za to lubił działać. Całe zdarzenie ujawniło dwie zastanawiające rzeczy - Elab zadziwiająco sprawnie posługiwał się tą rzadką

bronią, a sam Kolimach, mimo żywionej ku niemu wyraźnej niechęci, ochoczo ruszył na pomoc jego nauczycielowi...

Apok bacznie obserwował Elaba. Łypnął jeszcze złym wzrokiem na kupca i jego gwardię, by wraz z Rumberdem odejść ku najbardziej odosobnionemu stołowi. Odprowadziły ich nieżyczliwe im spojrzenia. Prawdziwie niezwykła para - elf porywczy jak krasnolud; krasnolud spokojny i rozważny jak elf, zawsze razem, przyjaciele na śmierć i życie... Chyba w obu, zwłaszcza w elfie, płynęło zbyt wiele ludzkiej krwi.

\* \* \* \* \*

Apok na długo pozostał w centrum uwagi. Ludzie milkli gdy się zbliżał, wodząc za nim wzrokiem ilekroć wstawał ze swojego miejsca, lub wchodził do sali. Jedno oskarżenie - i wszyscy zapomnieli jaki był wcześniej. Otoczyła go ulotna, lecz wyczuwalna aura strachu. Nawet Loina zdawała się żałować niedawnej zażyłości. Sama myśl o poprzednich dniach przyprawiała ją o mdłości.

W cieniu tej obserwacji rozgrywały się inne zdarzenia, mniej widoczne, lecz ja widziałem. Widziałem że Kolimach i Elab wciąż mają na siebie wzajemne baczenie, że kupiec - w nagłym przypływie skupienia i uwagi - wraz ze swą lustrą spojrzeli na wszystkich po równo, w tym i na nas dwóch; że mag, choć wycofał się do swojego stołu, wcale nie jest tak spokojny jak zdawał się wczoraj. Stale obserwował swojego ucznia i obiekt jego wprost niezdrowej uwagi. Och, wciąż wydawał się roztargniony, zamyślony... Nie od razu dostrzegał to co widzieli inni, za to widział to wtedy wyraźniej niż ktokolwiek. Ostatni podejrzany, rzekłbym każdego innego dnia, lecz nie wtedy, nie tam. Dla mnie wszyscy byli równie podejrzani, nawet gospodarz, który wraz z wójtem zaczął obdarzać starego maga nagłą, niezrozumiałą dla mnie uwagą. Wciąż darzyli go szacunkiem, dla jego pieniędzy, wciąż byli gotowi spełnić każdą jego prośbę, jakby była rozkazem samego księcia, lecz obserwowali go równie bacznie jak Elab Kolimacha. Ze wszystkich gości, poza nami, tylko Apok i Rumberd nie gapili się na pozostałych, co rusz rozmawiając cicho ze sobą, w nieznanym mi języku.

Każdy był podejrzliwy wobec każdego. Pod wieczór pomyślałem iż każdy, kogo pogoda zamknęła w tych ścianach, skrywa jakiś mniej lub bardziej mroczny sekret - nawet górnicy. Nasz pośpiech w dotarciu do miasta, jak słusznie zauważył krasnolud, także rzucał na nas cień. Które sekreciki były równie niewinne jak nasze, a które...?

Nim zrobiło się ciemno, kolejne zdarzenie postawiło wszystkich w stan czujności.

Kupieccy strażnicy, wraz z pracodawcą, przez resztę dnia siedzieli przy jednym stole. Udawali spokój, lecz ich ręce zbyt często wędrowały w pobliże broni. Co rusz któryś wstawał, by leniwym krokiem obejść salę, niczym strażnik na warcie... Ale dopiero gdy usłyszałem okrzyk Loiny, zauważyłem że chwilowo odłączyła się od kompanów.

- Znowu jest! - usłyszałem nagle.

Odwrociłem się. Loina spoglądała przez okno, nerwowo wpijając paznokcie w drewnianą futrynę. To, oraz dziwna nuta w jej głosie, były jedynymi wskazówkami podpowiadającymi iż tym razem jej opanowanie jest nieprawdziwe - Tam, na dworze! Ten cień!

Rumor wypełnił salę. Ludzie w pośpiechu wywracali się o stołki i wpadali na siebie, byle dotrzeć do okna, lecz gdy, jako jeden z pierwszych, dopadłem szyby, po drugiej stronie, poza szarą kurtyną, nie było już nic.

- Musi być blisko! - Apok doskoczył do drzwi i pochwycił jedną z podpór, próbując ją odrzucić - Za nim!

Dopadnijmy to i zatłuczmy, zanim...

- Zanim co? - donośny głos maga wstrzymał wszystkich w miejscu.

Diamdus wciąż siedział tam gdzie siedział, lecz teraz patrzył na nas surowym wzrokiem, niczym srożący się rodzic. Speszony elf zaprzestał siłowania się z przyporową belką.

- Zanim dopadnie kogoś jeszcze! - odparł energicznie.

Mag wstał powoli. Obserwowany przez wszystkie oczy na sali, nieśpiesznie podszedł do okna naprzeciwko swojego stołu i zastukał w nie palcem.

- Patrzyłeś chociaż, porywczy przyjacielu, na pogodę za drzwiami? - spytał - Jeśli ten majaczący w śniegu cień naprawdę był sprawcą, co uznaję za prawdopodobne, lecz nie przesądzone, znaczy to że jego orientacja pośród żywiołów jest lepsza od naszej. Kim jest? Nie wiemy. Też wierzę że, cokolwiek to jest, czai się na zewnątrz, lecz goniąc w śnieg bez zastanowienia narazisz się tylko na ten sam los, jaki spotkał tamte

dzieci. Rozwagi nam trzeba, nie brawury!

Powiedziawszy to, powrócił do stołu, ale tym razem demonstracyjnie wybrał ławę po przeciwnej stronie, by mieć okno za plecami.

- Ma rację - przyznał krasnolud. Poklepał towarzysza w przedramię i odszedł w głąb sali - Nie teraz, jeszcze nie teraz.

Nie było nikogo kto by się z nimi nie zgodził, włączając w to Apoka. Nie dziwiłem się ani jego woli pognania w śnieg, ni reakcją na dobre rady, którymi był zawód i zniechęcenie. Nerwowość, jaką wzbudzał, działała także na jego nerwy. Dopadając sprawcę, udowodniłby jaki jest naprawdę, lecz póki co... Musiał czekać, jak wszyscy.

Wróciliśmy na swoje miejsce. Noram rozejrzał się na boki i pochylił się ku mnie

- Zbyt mi tu nerwowo - stwierdził - Winny czy nie, to miejsce gotowe pójść na noże.

- Trudno nie zauważyć - zgodziłem się. Odruchowo spojrzałem w stronę maga by, ku mojemu zaskoczeniu, napotkać jego wzrok. Starzec skinął mi głową, gestem dłoni wskazując miejsce obok siebie. Rozejrzałem się - włączając się po sali Elab, choć wyraźnie spokojniejszy niż wczoraj, nie przejawiał ochoty na powrót do swojego mistrza.

- Co o tym sądzisz? - spytał Noram.

- Rób co chcesz, ja zmieniam miejsca - odparłem, wstając.

Noram wstał również. Milcząco uznaliśmy bliskość maga, oraz kupca i jego zbrojnej świty, okupującego stół zaraz obok, za jedyną w tej sytuacji gwarancję bezpieczeństwa. Siadłem po prawicy starego maga, Noram po jego lewej stronie, odkrywając prawdziwą przyczynę odwrócenia się od okna - wraz z magiem mogliśmy obserwować całą salę, bez obaw że ktoś coś knuje za naszymi plecami. Diamdus wydobyl z woreczka starą, poplamioną, drewnianą fajkę, oraz szczyptę ziela. Zręcznie nabił główkę, po czym dotknął ją palcem - ni stąd, ni zowąd, poczuliśmy przyjemny aromat sączącego się z niej dymu.

- Próbowaliście palonego ziela? Najlepsza mieszanka, jaką można zdobyć na zachód od Imperium. Nie tak dobra jak ta z orczych fajek, lecz równie warta grzechu.

- Bardzo chętnie! - ochoczo odparł Noram.

Zaciągnął się mocno, wstrzymał oddech i wypuścił dym nosem. Starał się palić jak znawca, choć nie potrafił trzymać dostatecznie długo. Zawsze wydychał w pośpiechu - lecz nie tym razem.

- Zaiste, przednie ziele! - przyznał z zachwytem, oddając fajkę - To jak... jak...

- Jedni mówią że każdy raz jest jak noc ze wspaniałą kobietą - rzekł mag - a inni że zawiera w sobie całą poezję piękna nocy. Bez porównania z ostrym zielskiem, palonym przez krasnoludy, czy mdłym sianem górali.

- Dobrze prawią!

Uśmiechnąłem się do siebie. Noram lubił sobie zapalić, jeśli było go stać na coś lepszego niż, jak mawiał, zwykłe siano pospólstwa, lecz jak dotąd był tylko z jedną kobietą - dokładniej dziewczyną, bynajmniej nie piękną i bynajmniej żadne z nich nie było tym spotkaniem zachwycone - i daleki był od uniesień poetów. Krótko mówiąc, nie dostrzegłby piękna nocy nawet gdyby ktoś uwiązał go podczas najpiękniejszej pełni do ziemi na szczycie wzgórza i nićmi przyszył powieki do brwi.

- Nie spróbujesz, chłopcze? - Diamdus zbliżył ku mnie dłoń z fajką, kierując jej ustnik w moją stronę.

- Nigdy nie paliłem - odparłem, wspominając duszący, drapiący gardło zapach Noramowego zielska.

Dobrywający się z fajki aromat był wprawdzie zupełnie inny, przyjemny, lecz nie sądziłem by doświadczenie wiele się różniło.

- Spróbuj chociaż - zachęcił - Możesz nie mieć innej okazji, a warto.

- Nie chcesz mojego, dobra - przyłączył się Noram - Ale to coś zupełnie innego, mówię ci.

Zachęcony, sięgnąłem po fajkę, przyłożyłem ją do ust i zaciągnąłem się ostrożnie, gotów do kaszlu, jaki zwykł towarzyszyć niewprawnemu palaczowi przy pierwszym wdechu; dym był jednak zadziwiająco łagodny i orzeźwiający, niczym kadzidło, choć o znacznie przyjemniejszym smaku i zapachu. Prawdę mówił starzec.

To wspaniałe, niewysłowione, uczucie... Nie potrafiłbym go opisać nawet w przybliżeniu, tak wtedy, jak i dziś.

Zachęcony, wypuściłem dym ustami i zaciągnąłem się ponownie, tym razem głębiej. Chwilę trzymałem dym w płucach, pozwalając mu rozejść się po ciele, nim wypuściłem go przez nozdrza. Zaraz poczułem się lepiej. Uspokoilem się. Myśli rozjaśniły się, kłopoty stały się odległe. Pierwszy raz zapomniałem o pośpiechu, o tym

że z każdym dniem ryzykowaliśmy utratę zarobku. Zapomniałem też, na krótką, lecz jakże cenną chwilę, o tym co się dziś przydarzyło.

- Nie za wiele na raz - Diamdus odebrał mi fajkę - Palenie bywa szkodliwe, jeśli nie znacie ziół zabezpieczających przed zgubnymi skutkami dymu. Oczywiście, kilka wdechów nikogo nie zabije... chyba że w ziele znajdzie się trucizna... ale nie radzę wam się przyzwyczajać. Nie na wasze to mieszk! Wziął głęboki, powolny wdech, wstrzymał powietrze, wyjął fajkę z ust i wypuścił je, tworząc szereg ścigających się kólek z dymu.

- Mości krasnoludzie, nie przyłączysz się do nas? - spytał nagle, odwracając się w prawo.

Siedzący nieco dalej Rumberd cały czas węszył ukradkiem niezwykle aromat, lecz milczał, pochmurnie gapiąc się na zamknięte naглуcho drzwi wejściowe. Na słowa maga tym razem nawet nie odburknął, nawet nie spojrzał. Wraz z elfem, odwrócił się do nas plecami.

- Nie dobry to pomysł, zadawać się z nimi - burknął Noram.

- Nonsens! Nasz niski przyjaciel ma mi za złe wyjawienie tajemnicy swojego towarzysza. Nie chce kruszyć lodów, trudno. W końcu zrozumie że to musiało się stać.

Od momentu ujawnienia natury elfa, Noram trzymał się od niego z daleka. Przyznaję, z początku też miałem taki zamiar, lecz ciekawość zwyciężyła. Zawsze patrzyłem na świat inaczej niż on, próbując go raczej zrozumieć, niż nauczyć się w nim żyć - wbrew podobieństwom, są to dwie różne sprawy. Nie obawiałem się zresztą Apoka. Obiecałem sobie że nie popełnię błędu Norama: nie osądzę nikogo po urodzeniu, lecz po czynach.

Spojrzałem na nerwowo obserwujących się nawzajem gości, i na górników, obserwujących gości. Nawet ku nam co rusz posyłali dziwne spojrzenia. Gospoda była tak pełna podejrzliwości jak dolina śniegu. Zaparte belkami drzwi, w które tak uparcie wpatrywał się krasnolud, chroniły nas teraz nie tylko od zamieci, ale także od czającej się w niej grozy...

Czy aby na pewno? Spojrzałem na Apoka. Ledwie wczoraj stronił od trunków; teraz wychylał któryś z kolei kufel...

- Spójrzcie na nich - Diamdus w zadumie żuł ustnik swojej fajkę, kącikiem ust z wolna wypuszczając dym - Nerwy jak postronki, a to dopiero początek...

- Początek? - zdziwił się Noram.

- Sprawca nie został złapany. Nie sądzę by to... coś... poprzestało na dwóch ofiarach.

- Trzech - przypomniałem, lecz Diamdus nie zareagował.

- Ono zaczyna polować - dodał - i nieprędko przestanie. Za bardzo to lubi.

Zamilkliśmy, nie wiedząc co odpowiedzieć.

Już od dłuższej chwili elf bez skrywania wbijał swe spojrzenie to w kupca, to w wojowników, szczególnie wiele uwagi poświęcając Loinie. Nagle wstał i podszedł do ich stołu. Wywołało to natychmiastowe poruszenie, nie tylko wśród strażników.

- Kim wy właściwie jesteście? - spytał, patrząc na kupca - Co naprawdę tu robicie?

Strażnicy wstali i z wola otoczyli go, trzymając dłonie na głównej swoich szablach. Krasnolud, z miną równie zaskoczoną jak u kupca, znacznie szybciej dotarł do towarzysza.

- Zostaw - doradził mu - Nic nie ws...

- Zawiedziona duma? - Loina, mijając elfa, pochyliła się na moment i głośno szepnęła uwodzicielsko wprost do jego spiczastego ucha, przesuwając końcem języka po jego płatku - Szukasz więcej? - obesła go dookoła, musnęła jego ramię skrytymi pod kolczugą piersiami i przesunęła dłonią wzdłuż jego pasa, zaczynając od krocza, a kończąc na ściśnięciu za pośladek - Jesteś dobry... Masz taki piękny, delikatny elfi tyłeczek, i rozmiar w sam raz... lecz nie jestem z tych co chcą z każdym. Widzisz, nie zadaję się z Mrocznymi.

Elf poczerwieniał z ledwie hamowanego gniewu.

- Będzie zabawa... - Noram szepnął w moją stronę, odchylając się do tyłu. Spojrzałem pod stół - powolnym ruchem wydobył miecz, tak by nikt niczego nie zauważył, i położył go na kolanach, ściskając rękojeść.

Mag zdawał się nie słyszeć jego szeptu, ani nie dostrzegać naszych obaw. Jak zawsze, spokojnie obserwował rozwój sytuacji, jakby od początku wiedział czym się skończy. Jego uczeń, znacznie bardziej zainteresowany, oparł się o ścianę tuż przy lewym korytarzu, obserwując. Nawet Kolimach, co zauważyłem kątem oka, wstał ze swojego miejsca.

- Trzymaj waść swe zbóje na wodzy! - ostrzegł kupca krasnolud, widząc co się święci. Towarzysze strażniczek natychmiast odwrócili się ku niemu.

- Nazwij nas tak jeszcze raz, karle - rzucił jeden z nich, Lajkisz chyba - a...

Krasnolud bardzo powoli dobył topora. Stał w rozkroku, oparł się na broni, zapierając koniec jej drzewca o podłogę, bez słowa patrząc wyzywająco w górę, na strażników.

- Nie schlebiaj sobie, syrenia dziwko, nie o ciebie mi idzie - chłód w głosie elfa nie szedł w parze z ognistą czerwienią jego twarzy. Złapał ją za ramię, wykręcił je na plecy, odepchnął ją od siebie i oparł dłonie o stół, patrząc wprost na kupca - Ktoś kto nosi taką broń - zaakcentował mocno, patrząc na leżącą na stole parecznicę jednego z wojowników - jest... zwykle... zdolny do wszystkiego.

Cała czwórka umilkła natychmiast, lecz ich spojrzenia, znów skupione na elfie, mówiły za siebie. Czyżby elf miał rację? - pomyślałem. Ale jeśli tak, po co nosili parecznice na wierzchu? To ich zdradzało! A może... nosząc je jawnie, sądzili że...

Potrząsnąłem głową, odrzucając kłębiące się pod czaszką domysły.

- Rzekłbym że to broń bardzo dziwna - wtrącił niespodziewanie Kolimach. Odwróciłem się w bok, zaskoczony jak niepostrzeżenie zaszedł scenę zdarzenia, by stanąć blisko drzwi - Zważywszy że nie jesteśmy nawet w mieście...

Krasnolud spojrzał na niego z niechęcią, zahaczając wręcz o nienawiść. Najpierw przeciwko nim, a teraz z nimi - nie dziw że nie wierzył w jego intencje. Jak i on, tak i ja byłem skłonny uwierzyć że od dawna interesowało go po co strażnicy noszą parecznice i tylko wykorzystał nadarzającą się okazję.

- To kompletnie bezpodstawne oskarżenie! - kupiec - jak podsłuchałem, zwany, ze wschodnia, Kurkusa - nie zważał na wędrowca. Nie kryjąc zdenerwowania, wstał i oparł dłonie o stół, mierzając się wzrokiem z elfem - Jeśli broń moich ludzi o czymś świadczy, to tym bardziej twoje pochodzenie, Mroczny Elfie!

Pomruk zgody przetoczył się po sali.

- Na dwór z nim! - ktoś zawołał - Niech poluje, jeśli chce!

- Tylko bandyci używają parecznic! - wysyczał elf - Dlaczego nie nosicie zwykłych...

Kupiec, choć Apok rzucił mu oskarżenie w twarz, uspokoił się szybko. Zmarszczył nos i usiadł, przezornie trzymając ręce na stole.

- Mości elfie! - rzekł dobitnie - Nie ja decyduję jaką bronią posługują się moi ludzie. Płacę im, lecz nie mówię na co mają wydawać swoje złoto. Jeśli ta broń im pasuje, to porozmawiaj z nimi, nie ze mną. Najlepiej gdy wytrzeźwiejesz...

Elf uderzył otwartą dłonią w stół, lecz znać było iż ją miarkować swe zachowanie. Opuścił głowę, by unieść ją gwałtownie i spojrzeć na Loinę.

- To nie jest broń której władania można nauczyć się w miesiąc! - warknął - Uważaj komu powierzasz życie i majątek!

Odwrócił się i odszedł ku korytarzowi, pod rękę z krasnoludem. Po drodze wbił jeszcze spojrzenie w Elaba, odwracając ku niemu głowę w miarę jak zostawiał go z tyłu. Rumberd otworzył drzwi, wepchnął go do pokoju i wszedł za nim.

W sali od razu zrobiło się spokojniej. Strażnicy wrócili na swoje miejsce.

- Najpierw tamto, a teraz jeszcze to... - kupiec westchnął szczerze. Jego głowę zdawało zaprzętać coś ważniejszego niżli Apok i jego oskarżenia.

- Nie mogę nie zauważyć pewnej słuszności w słowach naszego elfiego towarzysza - Diamdus wydobyl fajkę z ust i obrócił się ku kupcowi - Dawno jesteście razem?

Kupiec spojrzał na nas, jakby oceniał o co naprawdę nam chodzi. Jego strażnicy nie byli aż tak uprzejmi - posłali nam krzywe, wręcz ostrzegawcze spojrzenie.

- Trzy miesiące będą - odparł - Dość mieli okazji, jeśli ku temu zmierzasz, szlachetny panie.

- Lubię wiedzieć na pewno - mag skinął głową, na powrót wsuwając fajkę w usta - Czasem rzeczy na pozór oczywiste wcale takimi nie są, a sprawy dziwne okazują się mieć trywialnie proste wytłumaczenie. Rzekł to tak jakby dawał kupcowi do zrozumienia by nie przejmował się elfem, gdyż nie on jest tu największym kłopotem.

- Na pozór czy nie, mamy do siebie... zaufanie - ostrożnie rzekł Kurkusa - Nie musimy bać się nikogo, czy to potwora, czy najciemniejszego z elfów.

- Zaiste tak, zaiste... - stary mag pokiwał tajemniczo głową, w zadumie pykając fajką.



- Widzę że awantura to nie jedyne wasze zmartwienie - powiedziałem, by zakończyć temat, czułem bowiem że bezpieczniej będzie dla wszystkich jeśli mag i kupiecka świta nie pogrążą się we wzajemnej nieufności, za sprawą li tylko jednego elfa z niewyparzoną gębą.

- Dziecko, jestem tylko drobnym kupcem - odparł, czemuś markotny, wpatrując się w blat stołu naprzeciwko siebie - Choć rzecz winienem iż byłem. Za mało wożę by moje słowo miało znaczenie. Lotna banda ze stepów zgrabiła nas w drodze między twierdzami, a nie dalej niż tydzień temu doszło mnie iż moja jedyna latająca barka, wożąca towary wzdłuż Andy, rozbiła się na jednej z bram u przełomu, gdy podmuch zimy rzucił ją na Barierę! - rozłożył ręce w lamencie - Lata zbierałem złoto by ją kupić, a teraz wszystko co mam to dwa liche wozy...

Nierządka to była historia. Szlaki Wschodnie, ten Wielki, jak i ten Mały, jedną ręką dawały, by drugą zabrać - i zawsze cios spadał nieoczekiwanie. Mógł ktokolwiek przewidzieć uderzenie śnieżycy, czy ruchy band, czyhających skrycie na uboczu na okazję do ataku? Rozrzucone z rzadka szlakowe garnizony mogły je przepędzać, niszczyć czasem, lecz traktem płynęła zbyt wielka rzeka złota by brakło amatorów chcących czerpać go pełnymi garściami, nie brudząc sobie rąk pracą.

- Cóż mi pozostało, jak wrócić do domu, do Szyrku, do rodziny - zakończył.

- Dlaczegoż nie obraliście drogi stepem na południe, wzdłuż Bariery? - spytał Noram - Duża karawana nie przejdzie, ale krasnoludy nie miałyby nic przeciwko by dwa wozy przejechały ich tunelami ku Andzie...

- Przeprawa przez Przełęcz jest tyleż ryzykowna, co popłatna - zauważył jakby mimochodem Diamdus - Wielu dorobiło się majątków, kupując towary na jarmarkach najbliższych księstw szlakowych i sprzedając je na szeolskim targu kupcom z Cesarstwa, zbyt leniwym by brnąć dalej na wschód. Droga to niedługa, lecz niebezpieczna. Liczne grupy zbójców przemierzają step, trzymając się blisko traktu... i to spotkało naszego zmartwionego przyjaciela.

- Takóż było - rzekł Femilur, jeden ze strażników.

- Liczyłem że odrobnię straty - przyznał zmartwiony Kurkusa - A teraz nie wiem czy zdołam. Nie wiem co zrobić...

- Strata oznacza zmianę - przyznał mag - a jak widzę, nie żałowałaś sobie niczego, mości kupcze. Twoje prawdziwe zmartwienie, mój drogi człowieku, jest innej natury: Czy zdołasz utrzymać swój styl życia? Kupiec zacisnął dłonie; twarz wykrzywiła się w gniewie, lecz potem ściągnął brwi w głębokim namyśle.

- Może i racja... - rzekł z wahaniem - ale nie myślę tylko o sobie. Mam rodzinę. Oni też... - rozłożył bezradnie ręce.

- Wiedz zatem, że trudności związane z pieniędzmi wydają się wielkie tylko na początku. Ilu ludzi żyje wokół ciebie, znacznie gorzej przecież niż ty i twoja rodzina, a jednak to wytrzymują? Urodziłeś się z pieniędzmi, lecz teraz przyjdzie ci żyć bez nich. Wielu przytrafia się odwrotnie.

- A ty co taki mądry, starcze? - drwiąc odezwał się Kolimach - Powiedz jak to z tobą, panie szlachetny magu!

Odwrociłem się. Stał oparty o drzwi, ze splecionymi na piersi rękoma, przysłuchując się nam z uśmiechem rozbawienia. Nie wiedziałem że po odejściu elfa nie wrócił na swoje miejsce, ani tego że porzucił obserwację Elaba na rzecz rozmowy Diamdusa z Kurkusa.

- Ciekawskiś, co? - zauważyła Loina - Nie przytrzeć ci aby nosa?

- Może później, u mnie - odciął wędrowiec - Jak rozumiem, twój elf cię zanadto zmęczył, ale moje siły... Mag, pykając jak nigdy nic fajką, popatrzył najpierw na nią, potem na niego. Strażniczka już miała odpowiedzieć, lecz pod wpływem jego spojrzenia odwróciła się, zaciskając pięści.

- Ja, zacny obieżyświacie, nie jestem ani biedny, ani bogaty, jeśli liczysz tylko złoto...

- Zacny, niech mnie... - mruknęła strażniczka, lecz w porę zmełła w ustach zakończenie.

- Nie gromadzę go nad potrzebę - starzec udał że tego nie słyszał - Wydaję część na utrzymanie, a gdy zbiorę dość, ruszam poznawać naturę Świata. Gdy się kończy, zaczynam nasłuchiwać gdzie kto z możliwych jest gotów zapłacić za moje usługi.

- Łatwo idzie starym magom naleźć dobrze płatne zajęcie, jako widzę po szatkach - zauważył zgryźliwie Kolimach - Nie każdy ma to szczęście.

- Nie każdy, ano nie każdy - Diamdus z zadumą i spokojem wciąż spoglądał na wędrowca - Lecz ty, w swoim zawodzie, wiesz o tym najlepiej.

Kolimach umilkł równie nagle jak się odezwał. Speszony, nie wiedzieć czym, odwrócił się i odszedł, lecz

jeszcze przez długi czas darzył maga wnikliwymi spojrzeniami z dystansu, znacznie częstszymi od tych kierowanych niedawno na nerwowego Elaba.

- Lękaś się stracić majątek, zacny kupcze, lecz niepotrzebnie - mag podjął przerwana rozmowę - Gdy przebijesz już rozpacz, jak sztylet przebija delikatne sukno, odkryjesz żeś niezależny, jak ci tu chłopcy - położył dłonie na naszych głowach, jakby błogosławiąc. Spojrzeliśmy na niego ze zdumieniem - Nikt, żaden pan na zamku, Cesarz czy Imperator, nie jest równie wolny, nawet my. Żałuję że sam, w ich wieku, nie odważyłem się sięgnąć po tę swobodę - spojrzał nam kolejno prosto w oczy - lub raczej, los mnie do tego nie zmusił. Jak już sam bowiem wiesz, nie jest to rzecz której człowiek poddaje się dobrowolnie.

Cofnął dłonie, lecz ja wciąż czułem się dziwnie. Nigdy nie patrzyłem w ten sposób na swoje życie. Starzec miał rację. Nie odpowiadałem za nic i za nikogo, poza sobą; nie miałem majątku o który mógłbym się martwić, poza tym co miałem na saniach, lecz i choćbym to stracił, nie byłoby mi to zmartwieniem, gdyż były to rzeczy niewiele warte, przydatne raczej przy przetrwaniu niż cenne z samych siebie. Jak ptaki na niebie, pomyślałem, jak obłoki, mogliśmy przemierzać świat bez zmartwień, zaiste wolni.

- Złoto może i niewoli - głos kupca sprowadził mnie na ziemię - lecz daje bezpieczeństwo.

- I gdzie ono teraz, hę? Pomoże ci w starciu z bestią?

Kupiec spojrzał na starca, lecz nie odpowiedział.

\* \* \* \* \*

W gospodzie zrobiło się ponuro i dziwnie chłodno. Jakimś sposobem udało mi się tamtej nocy przespać godzinę czy dwie. Atmosfera była tak napięta że gdy następnego dnia zawieja trochę osłabła - choć wciąż padał gęsty śnieg - prawie wszyscy goście wybieżeli na dwór, nie bacząc na to co mogło tam na nas czyhać. Nikt zresztą nie oddalał się od wioski i gospody.

Wyszliśmy wraz z innymi. Oszukiwaliśmy się że zdołamy coś znaleźć, trop jakiś, lecz po prawdzie, musieliśmy stamtąd wyjść, jak inni. Przeszedłem przez próg - i zatrzymałem się, jakbym wrósł w śnieg. Przede mną rozciągała się łagodnie opadająca ku dolinie biała równina, przebita gdzieś wierzchami sosen, lecz... nigdzie nie było chat! Poszedłem kilka kroków do przodu, by natychmiast, mimo rakiet na butach, zapaść się po kolana w śniegu. Nasypało go aż pod próg skały. Niechybnie zamieć zmiotła domy, uznałem. Wiosną mieszkańcy będą musieli zacząć wszystko od nowa. A domy wyglądały jednak na solidne... Za radą Diamdusa, ludzie trzymali się w grupach. Ja i Noram postanowiliśmy się nie rozdzielać, choćby nie wiem co. Bestia mogła sobie dać radę z trójką niedoświadczonych dzieci, pomyślałem, zaciskając dłoń na rękojeści miecza, lecz z nami nie pójdzie jej tak łatwo. W oczach chodzących po dworze górników czaił się dziki błysk zemsty zawziętego myśliwego. Było zbyt oczywiste czego naprawdę szukają w śniegu. Przytulną, lecz nagle nieprzyjazną gospodę opuściła większość gości, za wyjątkiem elfa i krasnoluda. Jak rzekli, woleli zostać, by nie budzić nerwowości ni podejrzeń. Zupełnie jakby wiedzieli co się wkrótce wydarzy...

Mimo ostrożności, co rusz zapadaliśmy się po pas w luźnym śniegu, brnąc przezeń z najwyższym trudem; czołgając się, ni to płynąc, ni brodząc. Wilgotny puch lepił się do wszystkiego, lecz było to lepsze od pozostania w środku. Szczerze współczułem każdemu na szlaku, kto nie znalazł bezpiecznego schronienia. Wyższe ceny na szeolskim rynku miały, jak wtedy odkryłem, swoje pokrycie w przedwcześnie zakończonych żywotach nie dość przezornych kupców i ich zaginionych wozach...

Zeszliśmy kilkanaście ramion ku dolinie. Tam, ku swojemu zaskoczeniu, nastąpiłem na coś twardego, dającego niezwykle pewne oparcie stopom.

- Noram, zaczekaj! - ukląknę i zacząłem kopać w śniegu - Coś tu jest!

Im mocniej bałem się tego co mogłem odsłonić, tym energiczniej kopałem dalej. Noram rychło przyszedł mi z pomocą, ale to, co uwolniliśmy spod śnieżnej okrywy, wpawiło nas w niebotyczne zdumienie. Regularny, kamienny kwadrat z wypełnionym śniegiem wnętrzem nie pozostawiał złudzeń co do natury tutejszej zimy i przezorności mieszkańców doliny.

- A niech mnie... Dyc to szczyt komina! - Noram w zdumieniu usiadł na piętach.

Chwycił mnie na wpół histeryczny śmiech. Cały czas chodziliśmy nad chatami! Wioska była poniżej progu przełęczy; jaskinia, wraz ze skrytą w jej wnętrzu gospodą znajdowała się nad nim. Śnieg, który wichury miotają na skałę, był ledwie częścią tego co niósł w głąb doliny. Każdego dnia od nowa zasypywał drzwi, lecz pogrzebanie nam nie groziło. Czymże jest człowiek wobec górskiej zimy, pomyślałem, po raz kolejny

uświadamiając sobie jakąż głupotą było moje uporczywe gnanie do miasta.

- Masz pojęcie ile śniegu musi tu spadać co roku? - spytałem. Wyraz twarzy Norama pomógł mi opanować dziki śmiech. Nie rozumiał jak bardzo tego wtedy potrzebowałem.

- Będzie dość na jedno wielkie morze - odparł, szeroko się uśmiechając.

Odkopywaliśmy komin za kominem, licząc kto znajdzie ich więcej. Nagle, kopiąc kolejny dół, spostrzegłem że widoczność spadła na parę ramion. Co gorsza, Noram gdzieś zniknął!

- Noram! - zawołałem z całych sił. Rozejrzałem się jeszcze raz, dając krok w tył; potknąłem się o krawędź komina i wyładowałem łokieć pod śniegiem. Gdy jakoś się wygrzebałem, zacząłem krążyć po spirali - bez rezultatu. Śniegu było już dość by w kilkanaście minut po dwakroć zasypać każde ślady, ruszyłem więc w kierunku w którym, jak podpowiadały mi zmysły i wyjątkowo zgodna dziś z nimi intuicja, winna znajdować się gospoda.

Dotarłem do krawędzi ściany. Idąc wzdłuż niej, odnalazłem wejście - drzwi wciąż były otwarte. Lecz gdy wszedłem...

Błady niczym śnieg Mrazin siedział oparty plecami o kupiecki stół, niewidzącymi oczyma gapiąc się bezmyślnie na zamknięte przejście do kopalni. Przeraziłem się że nie żyw, ale zauważyłem że oddycha. Norama nie było. Kilku górników zebrano się wraz z żonami i dziećmi po prawej stronie sali. Oprócz Apoka i Rumberda, towarzyszył im Kolimach, Diamdus, oraz Kurkusa, wraz z połową swej świty - Osselem i Femilurem. Wszyscy obdarzyli mnie dziwnym, przyprawiającym o dreszcze spojrzeniem.

- Co się stało? - spytałem, zdjęty paniczną obawą o los Norama.

- Bydło... - wyszeptał kupiec - I nasze konie... one...

Tak przerażonym jeszcze go nie widziałem. Pierwotny lęk czaił się w jego odmienionych szaleństwem oczach. Dwójka strażników spoglądała z obawą to na siebie, to na swego mocodawcę, nie wiedząc co czynić. Nawet w spojrzeniu Kolimacha tkwiło szaleństwo kupca, choć maskował je pod wyrazem sztucznego spokoju.

- Zabite - odparł spokojnie i rzeczowo stary mag - Tak jak...

- Nie tak jak dzieci! - piskliwie, histerycznie zawołał kupiec - Nie jak dzieci...

- Tak samo jak dzieci - z naciskiem dokończył mag.

Oparłem się o ścianę. Ulga że to jednak nie Noram walczyła we mnie z lękiem że teraz to, cokolwiek to było, mogło czaić się tuż za ścianą, a może nawet gdzieś... Och, rozumiałem kupca aż za dobrze! Jeszcze rano mogliśmy się łudzić że to jakaś dzika bestia zbłądziła w pobliże osady, a ślady nie miały z nią nic wspólnego. Lecz teraz... teraz zrozumieliśmy że to będzie się powtarzać, aż...

- Był tam już ktoś? - spytałem - Sprawdził...?

- Nie - odparł mag.

- Więc na co czekacie?

- Na co czekamy?! - zawył kupiec - Ten dzieciak pyta...

Kolimach wzruszył ramionami, ale na jego wargach zakwitł uśmieszek. Wszyscy bali się przekroczyć próg drzwi do przedsionka - poza magiem, krasnoludem oraz jego towarzyszem, lecz oni cicho, lecz gorączkowo rozprawiali o czymś na uboczu, nie zważając na innych, a na kupca w szczególności. Ich plecy zasłaniały teraz okrągłe tarcze - ta należąca do krasnoluda była trochę mniejsza od elfiej.

- Jeśli się boicie, ja pójdę pierwszy! - odparłem, bynajmniej nie z głupoty. Byłem po prostu przekonany iż żadna bestia nie czekałaby aż tak długo.

Uniesiona w zdumieniu brew Kolimacha tylko utwierdziła mnie w postanowieniu. Dobyłem broń i ruszyłem ku kopalni. Wbrew rozumowi, cała odwaga poszła mi w pięty już po pierwszych krokach, jednak nie zważyłem. Gdy mijalem Diamdusa, położył swą dłoń na moim ramieniu. Razem zbliżyliśmy się do zamkniętych drzwi. Przejścia strzegł solidny zamek, oraz skobel, zabezpieczony słuszną rozmiarami, lecz otwartą teraz kłódką. Klucz tkwił w zamku - gospodarz zamknął przejście w ostatnim odruchu umykającej odwagi. Przekręciłem go, zdjąłem kłódkę i pociągnąłem za metalową klamrę. Z ulgą odkryłem iż w nasze ślady poszli wszyscy - Kolimach, górnicy, Apok i Rumberd, kupiec, a nawet wciąż błady gospodarz.

Błade światło zawieszzonej na belce oliwnej lampy oświeślało ledwie połowę przedsionka. Rozejrzałem się, wsłuchany w nagłą ciszę, przyglądając się drgającym na nagiej skale cieniom. Spostrzegłem niewyraźną

ścieżkę z krwawych śladów i kropli zakrzepłej, niemal czarnej krwi. Prowadziła od zagród po prawej ku sztolniom. Długą chwilę wpatrywałem się w nieoświetlone przejście w głąb kopalni. Wreszcie odetchnąłem - bestii już tu nie było.

Mając za plecami parę doświadczonych wojowników z kuszami, oraz grupę uzbrojonych w kilofy górników, pewniejszym już krokiem skierowałem się ku zagrodom. Prawdę rzekł gospodarz - zwierzęta były martwe; zarówno należące do osady duże, włochate pegreny o zakręconych rogach, jak i konie z kupieckich zaprzęgów. Cokolwiek tu było, tym razem ograniczyło się do rozszarpania gardeł zwierzętom, ale widok wcale nie był lepszy do zniesienia. Bestia wydarła ciało aż do samego kręgosłupa, lecz podobne do poprzednich ślady mówiły że teraz się kontrolowała. Nie targała nią ta sama żądza, czy głód, co na zewnątrz...

- Słyszałem... ryki... - wydusił z siebie Mrazin - Parskanie... tumult... Odkryłem drzwi... i...

Mag podszedł do niego i coś szepnął. Gospodarz zamilkł.

- Nie rozumiecie co to znaczy? - Kurkusa jął toczyć histerycznym wzrokiem po milczących ludziach - To jakoś się tu dostało!

- Niby jak? Przez wrota? - Kolimach podszedł do zamkniętych wierzei i szarpnął nimi mocno. Wciąż były solidnie zawarte.

- To... ty! - kupiec zwrócił się ku Mrazinowi - Ty! Nie upilnowałeś drzwi...

- Nie był sam! - przypomniał Apok - Nikt z nas niczego nie zauważył!

- Pamiętacie ślady? - przypomniałem - Kimkolwiek... Czymkolwiek jest sprawca, był z zewnątrz, został na zewnątrz... a za nami nikt nie zawrócił!

Powiedziałem to tylko po to by ich uspokoić. Wiedziałem że sprawca mógł zatoczyć koło, zetrzeć z siebie krew śniegiem, dołączyć do pościgu i wrócić wraz z nami... Niemniej, milcząco przyznali mi rację. Gdy jako pierwszy przekroczyłem przez próg przedsionka, zyskałem u nich może nie tyle zaufanie, co odrobinę szacunku; dość by nie traktowali mnie jak dziecko, a jako pełnoprawnego podróżnika.

- Nie ma innych wyjść z kopalni? - krasnolud zahuczał basowo w zdenerwowaniu.

Górnicy niepewnie spojrzeli na towarzyszy. Dopiero teraz zauważyłem iż ich szef, Isfita, został w gospodzie.

- Nie wiemy... - odezwał się wreszcie jeden z nich - To bardzo stara kopalnia... Przekopali my się tu i ówdzie... Zasypalim wprawdzie, ale kto go tam wie...

Elf i krasnolud bez słowa dobyli oręż. Apok, stojąc najbliżej wejścia, lewą ręką odczepił ze ściany lampę; krasnolud zdjął z pleców tarczę.

- Macie eksplozyt? - spytał krasnolud.

- My przecie biedni, panie krasnoludzie! Skąd...

Krasnolud machnął na to toporem, wraz z towarzyszem kierując się ku prowadzącemu w głąb góry tunelowi. Za nimi, mimo strachu, ruszyło kilku górników, z oskardami w dłoniach.

- Idźcie z nimi - drżącym głosem polecił kupiec - Wspomóżcie, znajdźcie to... i... i...

Z paręcznicą w lewej ręce, z orczą szablą w prawej, obaj strażnicy bez słowa poszli w ślad za górnikami.

Uznałem to za akt odwagi kupca - wszak pozbawił się jedynej zaufanej ochrony. W obecnej sytuacji znaczyło to więcej niż się zdawało.

Kolimach nigdzie się nie wybierał, a i Diamdus nie czuł się na siłach by zwiedzać kopalnię. Wraz z pozostałymi zawróciłem do gospody, by czekać na Norama. Liczyłem że wrócił w międzyczasie, lecz w środku był tylko zgarbiony na stołku pod ścianą Isfita. Nie strach go tu trzymał, to wiedziałem od razu. Siadłem przy kupieckim stole, wraz z magiem i gospodarzem, mając baczenie na zamknięte drzwi do przedsionka. Miecz położyłem przed sobą, na drewnianym blacie, by był gotów do użycia. Milczeliśmy. Pół godziny, może godzinę, siedziałem pogrążony w letargu złych myśli. Wiedziałem że Noram nie zszedł do kopalni, a mimo to modliłem się by go tam nie znaleźli. Zdarzenia przeczyły wszystkiemu co wiedziałem, wszelkiej logice. Zamknięte pomieszczenia, dolina na zewnątrz... Jak to możliwe że wszędzie działało się to samo...?

Odgłos dobijania się do drzwi wejściowych poderwał mnie na nogi. Zgarnąłem miecz i stanąłem w rozkroku na długo zanim zorientowałem się co się dzieje - życie na szlaku czegoś mnie jednak nauczyło. Kolimach, z długim sztyletem w dłoni, błyskawicznie przypadł do okna, jakby mógł coś zobaczyć w nasilającej się stale śnieżycy, gdy pozostali - dwóch górników, mag, nawet Isfita - doskoczyli do drzwi i jęli usuwać ustawione tam

wcześniej podpory. Wędrowiec popatrzył na nich z niesmakiem, święcie przekonany iż na zewnątrz nie oczekują na nas towarzysze, lecz sama bestia. Zacząłem się obawiać iż powoli traci rozum...

Śnieg i mróz gwałtownie wdarły się do środka, wraz z grupą pokrytych bielą postaci. Życzenia, zwłaszcza te gorące i najszczerze, rzadko się spełniają - bogowie chyba nie lubią gdy ludzie, miast zwrócić się do nich, rzucają swoje prośby losowi pod nogi - lecz, ku mojej niewysłowionej uldze, to jedno się ziściło - jedna z postaci była wyraźnie niższa!

Nie brakowało nikogo. Szczękając zębami, resztką sił Noram zaczął rozbierać się z futra. Pomogłem mu bez słowa, choć na usta cisnęło mi się mnóstwo pytań. Usadziłem go na dosuniętej do kominka ławie i popędziłem do sań, by znaleźć coś na rozgrzewkę.

Elab, Loina i Lajkisz wcale nie byli w lepszej formie. Mag zabrał swojego ucznia do wynajętego pokoju.

Kurkusa ochoczo zakrzętnął się przy swoich ochroniarzach - ich powrót wyraźnie dodał mu odwagi.

Gospodarz, nim zdążyłem go o to poprosić, zniknął za kotarą, by wrócić z wrzątkiem. Natychmiast zaparzyłem wszystkim rozgrzewające zioła, jakie zebrałem, lub kupiłem jakiś czas temu w innych częściach Gór. Nie wszyscy je znali, lecz czując ich działanie wszyscy wyrazili mi swoją wdzięczność.

- Na bogów, co się stało? - spytałem, gdy otulony podanym naprędce przez gospodarza kocem Noram przestał szczękać zębami na tyle by przełknąć pierwszy łyk z kubka. Ledwie panowałem nad swoim głosem. Jeśli bestia zaatakowała tu, w kopalni, jakże mógłbym powiedzieć że na zewnątrz było bezpiecznie? Lecz on zdawał się tego nie zauważać.

- A jak myślisz? - wysapał - Widziałem coś, więc...

- Poszedłeś sam, by to sprawdzić? Oszalałeś?!

- Wołałem cię, ale starczyło kilka kroków by gromu nie usłyszeć! A potem... Nie mogłem cię odszukać, więc...

Zawróciłem - jego ciałem Norama drżenie. Mocniej otulił się kocem i przysunął stopy do kominka - Nie ja jeden coś widziałem. Przy samych drzwiach spotkałem strażników, zebraliśmy się więc by to dopaść. Po drodze... Elab... i już razem...

Pomogłem mu wlać w usta kolejny łyk takry z glinianego kubka.

- Gdyby nie Loina, nie trafiłbym nawet do drzwi! - dodał pewniejszym głosem - Pochwaleni Władcy Gór, co za parchata pogoda! Ależ zamieć!

Pochodziłem ze wschodnich dolin, Noram z południowych fiordów. Żaden z nas nigdy nie zaznał w życiu srogości zim w centralnych partiach gór, a co dopiero mówić o Barrierach! Zima tutaj tak się miała to tego co wtedy znaliśmy, jak zimy z naszych rodzimych stron do zim w cesarskich puszczech - są tak samo mroźne, lecz niewiele tam wiatru, a śniegu napada raptem przez tydzień na łokieć czy trzy, by potem przestać na miesiąc...

- Ja nie miałem takiego problemu - odparłem z nutą złości - Wystraszyłeś mnie!

Noram tylko się uśmiechnął. Marnie wyglądał jego grymas, lecz wiedziałem że to wkrótce przejdzie. Miał więcej szczęścia niż rozumu; wychłodził się tylko, a temu miała zaradzić takra. Powoli sączył stygający napar, wiedząc że nie należy pić go łąpczywie.

- Pustawo tu - zauważył, opróżniwszy już kubek - Stało się co?

Opowiedziałem mu więc o odkryciu Mrazina i krasnoludzkiej ekspedycji. Noram zbladł, lecz nic nie odrzekł.

Wstał, szczerzej owinął się kocem i, dobywszy miecza, wraz ze mną ruszył ku mieszkańcom gospody, trwającym na posterunku przed drzwiami do przedsionka.

Minęły godziny nim z kopalni doszły nas pierwsze, ciche odgłosy. Drzwi odchyliły się powoli, wpuszczając zmęczonego krasnoluda, nie mniej wyczerpanego elfa, oraz wykończonych towarzyszy. Wstaliśmy, oddając im stół. Nie wyglądali najlepiej, choć ich oręż nie nosił ni śladu krwi.

Padli na ławy, gdzie który mógł. Gospodarz szybko zamknął za nimi drzwi, upewniwszy się trwożliwym spojrzeniem w głąb przedsionka, że nikogo tam nie zostawił, po czym znów zniknął za kotarą. Nawet Kolimachowi nie przyszło do głowy by wodzić za nim wzrokiem; wszyscy oczekiwali wieści, lecz uczestnicy wyprawy milczeli jak zakłęci. Jedynie ich zmęczone oczy i opadłe ramiona mówiły że nie osiągnęli tego co zamierzali.

Gospodarz wrócił za chwilę, wraz z ciepłym, parującym piwem na rozgrzewkę. Krasnolud zamaszystym ruchem ręki złapał za kufel, wlał pół zawartości do gardła - i natychmiast wypluł je na ścianę.

- Do kroćset tuneli! - zawołał - Jest zima! Niech choć ten jeden raz piwo będzie jak lód! Wystaw je kto na

dwór!

Każdym ruchem, każdym grymasem wyrażał płynący z niepowodzenia gniew, lecz nikt się nie ruszył. Byliśmy równie chętni na otwarcie drzwi jak na spacer w głąb sztolni. Kilku górników, z tych co zostali, z pomocą co bardziej krzepkich żon, już jakiś czas temu powyciągało skądś skrzynie i paki; teraz zaczęli tarasować nimi drzwi do przedsionka. Gdy skończyli, większość oręża znów znalazła się w pochwach.

Apok bez słowa wypił duszkiem całą zawartość swojego kufla. Jego zapalczywość zdawała się przepływać na towarzysza, nie zostawiając energii nawet na najmniejszy gest zniechęcenia czy zawodu. Rumberd, z wyraźnym zniecierpliwieniem, znów pociągnął z kufla, przełknął i skrzywił się niemiłosiernie. Wstał, podszedł do okna, spojrzął przez szybę, po czym, gapiąc się na zamieć, wypił resztę.

Zapadła cisza.

- Nu gadajcież wreszcie, coście naszli, tam w dole? - spytał w końcu Mrazin.

- Tunele są zbyt rozległe, zbyt rozgałęzione - odezwał się Apok - Pojedyncza grupa nie zdoła ich sprawdzić, a czuję... że nie powinniśmy się rozdzielać.

- Musimy zablokować przejście - rzekł Kolimach, jakby nie widział że to już się stało - By nic stamtąd nie przelazło!

- Nic więcej nam nie trza! - rzekł nerwowo jeden z górników - Przetrzywać śniegi, a potem...

Spojrzał na oskard, trzymany wciąż w zaciśniętych do białości dłoniach.

- O ile to coś nam pozwoli - mruknął ponuro krasnolud, nie odwracając się.

- Dyc i nazad poginęło bydłatek - cicho zauważył jeden z młodzieńców - Nie wszystkie zebralim, parę gdzie ostało.

- Niech je ma, byle nam pokój dała... - odparł mu drugi.

- Przecie to nie o...

Umilkli pod spojrzeniami dorosłych mieszkańców osady. Mag spojrzął na nich, po czym odwrócił się ku drzwiom do przedsionka, czymś zamyślony. Kolimach tymczasem zaczął krążyć wokół zgromadzonych, nerwowo poruszając palcami. Jego umysł był już w innym świecie. Obserwowałem go bacznie, lecz on zdawał się nie zważać na nikogo, nie słuchać rozmów.

- To mógł być każdy... - w panującej już jakiś czas ciszy rozległ się jego suchy głos. Stanął niedaleko mnie i Norama, ze wzrokiem wbitym w podłogę - Mógł być ktoś kogo nie podejrzewalibyśmy... nigdy... kto widział ofiary ostatni...

W jednym uderzeniu serca pojąłem do czego zmierza, lecz Kolimach, ruchem szybszym niż oko, wy dobył miecz i przytknął czubek jego ostrza pod brodę Noramowi, nie dając mu dość czasu by choćby mrugnąć. Wszyscy zerwali się na nogi, na powrót dobywając broni. Choć na zewnątrz zmęczeniu i uspokojeniu, wewnątrz wszyscy żywiliśmy równie świeże lęki i obawy. Wymierzone w wędrowca parecznice nie wróżyły Noramowi długiego życia - nawet śmiertelnie ranny, Kolimach zdoła z nim skończyć. Byle iskra mogła wysadzić tę beczkę emocjonalnego eksplozytu w powietrze.

Zaciśniętą do białości dłoń trzymałem na rękojeści miecza, bojąc się jednak go dobyć. Bogowie wiedzieli do czego szalony wędrowiec był gotów się posunąć.

- Ilekroć to się zdarzyło, on był na zewnątrz - Kolimach przeszedł przed nim dwa kroki, wpatrzony w oczy Norama, naciskiem ostrza zmuszając go by śledził go spojrzeniem - Młody wilkołak ma siłę dorosłego mężczyzny... Nieprawdaż, magu? Nie rzekłeś sam że to sprawa tych stworzeń?

Rzuciłem się na Kolimacha jak tylko zwrócił się do mnie plecami, lecz wy dobyłem ostrze ledwie do połowy, gdy wędrowiec machnął szybko wolną dłonią w dół i skierował ją ku mnie. Znieruchomiałem w pół kroku, czując na krtani ukłucie czubka ostrza sztyletu. Z trudem przełknąłem ślinę przez zaciśnięte gardło.

- Podróżujemy od dawna! - zawołałem, choć z wahaniem, oślepiiony jego argumentem. Czy znaliśmy się tak dobrze...? Niemożliwe bym tyle czasu niczego nie zauważył! - Noram nie...

- Chyba że to wy obaj, co? - Kolimach spojrzął na mnie - Kryjcie się wzajem, mordercze dzieci...

W jego oczach widziałem czyste, bezrozumne szaleństwo, wilczy szal przemożnej chęci pokąsania najbliższej istoty, nieważne wrogiej, czy niewinnej. Przeraziłem się tego spojrzenia bardziej niż sztyletu na gardle - tylko ono bowiem mogło popchnąć ostrze do działania.

- Dość tego! - Rumberd, Apok, nawet Loina, dzierżąc w dłoni uniesioną broń, dali krok w stronę Kolimacha - Tylko historii tu braknie! Rusz się, a sam długo nie pożyjesz!

Jeśli zaatakują... Dwa szybkie pchnięcia i padniemy bez życia na podłogę, jako pierwsze ofiary starcia.

Dopadną go, tak - cóż z tego, skoro nas nie odratują. Rozluźniłem dłoni; pochwa pochyliła się, miecz wysunął się z niej i z brzękiem opadł na podłogę. Zaciśnąłem oczy, pewien że ten gwałtowny hałas wystarczy by Kolimach odruchowo zatopił ostrze w moim ciele, lecz na szczęście, mimo szaleństwa, wciąż panował nad mięśniami.

Powoli, bardzo powoli, uniosłem ręce w górę, nie spuszczać oczu z wpatrującego się we mnie ze zdwojoną uwagą wędrowca. Noram z wahaniem postąpił podobnie. Widząc w jego oczach błysk gotowości do ataku pokręciłem bardzo powoli głową. Kolimach trzymał nas pewnie, skutecznie i był gotowy zabić, wierzył bowiem w to co mówił.

- Kogo innego straciliśmy z oczu, gdy przydarzyły się te... morderstwa? - spytał - Kto inny...

- Niedorzeczność! - mag wzniosł dłonie w uspokajającym geście - Każdy z nas choć raz był nieobecny gdy to się zdarzyło. Albo więc wśród nas grasuje cała szajka szalonych morderców, albo źle szukasz sprawcy! To może być ktoś z zewnątrz. Istota którą...

- Może - uciał Kolimach - Ale jaką możesz mieć pewność, magu?

- Mogę to sprawdzić. Znam test który powie kto z nas nie jest człowiekiem.

Kolimach odwrócił się gwałtownie ku niemu, wciąż trzymając broń przy naszych gardłach. Wśród górników powstało nagle poruszenie; nawet kupiec gapił się na Diamdusa jakby ten nagle pojawił się znikąd.

- To oczywiście, stary gadzie, że ja nie jestem! - krasnolud zwietrzył jakiś podstęp.

- Przepraszam, źle się wyraziłem. Znam test odpowiedni dla twojej rasy.

- A dla elfa? - Loina spojrzała z nieskrywaną niechęcią dla Apoka.

- Elfy są odporne! - odwarknął jej krasnolud - Nie mogą zarazić się wilkołactwem, ani nie stają się wampirami!

- Prawda - Elab nie dzierżył żadnej broni, za to patrzył na Kolimacha tak, jakby był gotów pod byle pretekstem udusić go własnymi rękoma, nie oglądając się na nasz los - Tak samo jak orkowie. Mroczny czy nie, elf jest wśród nas jedynym komu możemy ufać... w tej jednej sprawie - zaznaczył ironicznie.

Jego stwierdzenie bynajmniej nie ulżyło nikomu, może poza mną. Górnicy milczeli jak zakłęci. Niie wykazywali strachu - rzekłbym raczej iż nagle stali się wrody.

- Prawda to, szlachetny Diamdusie? - kupiec nie dowierzał ni uczniowi, ni krasnoludowi. Jeśli chodziło o mnie, wobec tego pierwszego żywiłem podobne uprzedzenia.

- Prawda, zapewniam - mag, rozumiejąc widać że tylko jemu ufają, z powagą skinął głową - Elfy nie zapadają na żadne odmienności, włączając w to pospolite przypadki opętania. Muszę uprzedzić, w tych warunkach, w rozsądnym czasie - mniemam bowiem że chcecie by test odbył się szybko - jestem w stanie jedynie wykryć odmiennosc. Nie zdołam od razu powiedzieć jaki jest jej rodzaj - przerwał, poświęcając chwilę by spojrzeć na każdego ze zgromadzonych - Jeśli więc ktoś z tu obecnych ukrywa fakt że jest zmiennym, opętanym czy znajduje się pod wpływem innego, trwałego zaklęcia czy klątwy, niech uprzedzi o tym, by uniknąć niepotrzebnych oskarżeń i... problemów - tu spojrzał znacząco na Kolimacha.

Nikt nie odezwał się słowem. Kolimach patrzył to na nas, to na maga, niepewny komu uwierzyć.

- Zatem każdy jest magicznie czysty... - na moment Diamdus spojrzał ku górnikom, ku Isfście - Doskonale. To ułatwi badanie - zbliżył się do Kolimacha - Czy takie rozwiązanie zdaje ci się satysfakcjonujące?

Kolimach poruszył się, lecz broni nie cofnął.

- Test można świadomie sfalszować, by odwrócić uwagę! Ty i oni, w dobrej jesteście komitywie! Mógłbyś...

- To nie ma żadnego znaczenia. Jeśli nie są w pełni ludźmi, nie będę tego ukrywał.

- A jak nic nie wykaże?

- Wtedy znaczyć to będzie że ci chłopcy nie są winni, jako mówią. Czy teraz ich puścisz?

Z jakże wyraźnym wahaniem Kolimach podejmował decyzję! Gdy już ją jednak obrał, bez słowa cofnął ostrza, choć nie od razu wsunął je do pochew. Spojrzał na wymierzoną w niego broń; dopiero gdy ta wróciła na swoje miejsce, sam schował swoją, płynnym ruchem rąk.

- Niechże będzie po twojemu, magu - odparł - Ale będę czujny!

- Jak i my wszyscy, rzeźniku! - rzucił krasnolud.

Zmierzyli się chłodnym wzrokiem, lecz na tym poprzestali.

Mag udał się do wynajętego przez siebie pokoju, by wrócić z dziwnym talizmanem w dłoni. Nigdy wcześniej nie widziałem materiału z którego został wykonany - błyszczał niczym metal, lecz ciepłem, nie chłodem. Diamdus wyciągnął krzesło na środek sali i usiadł.

- Kto pierwszy? - spytał.

Nikt inny się nie kwapił, więc Noram i ja wystąpiliśmy do przodu. Kolimach złapał nas jednak za kark i lekko, acz stanowczo, pociągnął do tyłu.

- Ty, magu! - rzekł, nie patrząc nawet na nas - Patrzę ci na ręce, więc bacz co robisz!

- Nie mam powodów by oszukiwać, wędrowcze - mag zmierzył go spokojnym spojrzeniem, bez cienia irytacji

- Wszyscy jesteśmy równie zagrożeni. Nie będę stawiał się poza badaniem.

Wyciągnął przed siebie lewą rękę, dłonią do góry; palcami drugiej uchwycił końca umocowanego do talizmanu łańcuszka. Rozpostarł palce lewej dłoni, zawiesił nad nią wisiołek i zaczął nim poruszać, jak wahadełkiem, od palców do nadgarstka i z powrotem, mruczając coś w nieznanym języku, cały czas wpatrując się z uwagą w rękę.

- Widzisz? Nic się nie stało - odparł wreszcie, kierując spojrzenie wpierw ku Kolimachowi, potem na obserwujących go bacznie ludzi.

- Skąd mam wiedzieć że to nie jakaś tania sztuczka? - wędrowiec wprawdzie nas puścił, lecz tylko po to by oskarżycielsko wymierzyć palcem w maga.

- Wierz mi lub nie, twoja sprawa - odparł Diamdus, jakby opędzał się do natręta - lecz wkrótce przekonasz się o jej skuteczności.

- Dalej! - zawołał Apok - Miejmy już z tym spokój!

- Teraz my! - złapałem Norama za rękę i pociągnąłem za sobą. Dość miałem podejrzliwych spojrzeń, już nie tylko Kolimacha - jego pomysł podchwyciło już kilka rodzin górników.

- Pojedynczo - uprzedził starzec. Mnie pierwszego złapał szybkim ruchem za lewy nadgarstek, wyciągając mą dłoń ku sobie, wnętrzem do góry - Wyprostuj palce!

Posłusznie wykonałem polecenie. Kolimach przyglądał nam się ze splecionymi na piersi rękoma. W jego ciele czaiło się napięcie; był gotowy, przy najłżejszym ruchu, rzucić się i podciąć mi gardło. Mag zaczął kiwać swoim talizmanem, coś mruczając. Byłem pewien że nic się nie stanie, lecz nagle poczułem silne mrowienie w dłoni. Pewnie bym ją cofnął, gdyby starzec nie trzymał jej tak mocno.

- Już - powiedział, puszczając mnie nagle - Chłopcze, jesteś człowiekiem.

Cofnąłem dłoń i przyłożyłem ją do piersi, masując drugą ręką, byle pozbyć się swędzenia.

- Jest? - spytał Kolimach - Więc co robi z ręką?

- To normalna reakcja - Diamdus pochwycił znienacka rękę Norama i powtórzył swój tajemniczy zabieg.

Puszczony, Noram natychmiast zaczął się drapać po wnętrzu dłoni.

- Dlaczego oni się drapią? - warknął Kolimach. Nie wiem kiedy dobył jeden ze swoich sztyletów, teraz gapił się na nas, pragnąc jedynie w kimś go zatopić. Najlepiej w nas.

- Zaraz się dowiesz - mag wbił w niego wyczekujące spojrzenie - Mości Kolimachu, czas pokazać że sam nie jesteś tym, o co oskarżasz innych.

Wezwany tak nagle do próby, wędrowiec rozejrzał się nerwowo. Wyraźnie nie ufał ani próbie, ani magowi, ani komukolwiek w gospodzie.

- Dalej, rzeźniku! - krasnolud przystąpił krok do przodu. Kładąc ręce na toporku, groźnie spojrzał na Kolimacha - Wiemy już do czegoś zdolny. Posmakuj swego lekarstwa, albo...

Wezwany bez słowa zbliżył się do maga. Procedura powtórzyła się, z podobnym wynikiem. Kolimach, puszczony, odskoczył w tył, jakby wsadził rękę w ogień, lecz zaraz potem odwrócił się ku nam, z grymasem na wpół histerycznego uśmiechu.

- Widzicie? - powiedział sztucznie głośno, chichocząc nerwowo - Jestem... normalny!

- Więc czego się drapiesz? - Noram zapytał z całą jadowitą słodyczą, na jaką go było stać.

W odpowiedzi Kolimach obdarzył go, a potem mnie, spojrzeniem tak zimnym że poczułem się jakby kto wystawił mnie nagiego na dwór. Dreszcz przeszył mnie od stóp do głów, skuliłem się, poprzysięgając sobie że nie odezwę się do niego w ten sposób, póki nie ochłonie.

Próba szła za próbą, najpierw goście, potem górnicy. Jeden po drugim, odchodzili od maga z ulgą, ustępując miejsca kolejnym. Nikt nie wątpił w szczerłość Diamdusa, więc i nikt nie zakwestionował jego próby, nawet ja. Będąc zawsze podejrzliwym, uważnie przyglądałem się jego czynnościom i słuchałem melodii słów dziwnego języka, starając się zapamiętać jak najwięcej, dostrzec jak najwięcej szczegółów. Wiedziałem stąd że wszystkich, w tym i siebie, potraktował dokładnie w taki sam sposób.

- Czy to aby działa? - warknął w pewnym momencie Apok, zniecierpliwiony wciąż tymi samymi rezultatami.



Mag spojrział wtedy gdzieś w głąb sali, ku górnikom, po czym wrócił do badań. Gdy podążyłem za jego wzrokiem, dostrzegłem to, co on musiał widzieć znacznie wcześniej. Pochłonięty obserwacją, pełen obaw o to co się stanie gdy test da inny niż dotychczas wynik, nie zwróciłem uwagi iż Isfita cofnął się daleko za swoich kompanów z osady. Starał się nie patrzeć na maga, lecz jego pełen obaw wzrok co rusz wędrował ku starcowi. Czekaający na swoją kolej górnicy patrzyli z kolei ukradkiem na swojego szefa; nawet gospodarz i wójt nie stronili od rzucania mu spojrzeń, lecz te zdały mi się bardziej ostrzegawcze niż pełne obaw... Zozumiałem zamysł starca, lecz zmilczałem, czekając końca, czując że to nie wygląda do końca tak, jak myślałem że wygląda. Jeśli mnie bliskość Isfity przyprawiała o tak dziwne uczucia, jak musiała wpływać na widzenie maga? Lecz Diamdus z jakiegoś powodu zwlekał z wyjaśnieniem tej zagadki. Ufałem że wie co robi. Isfita robił co mógł by jak najpóźniej poddać się próbie. Najpierw siedział wyczekująco pod ścianą; potem, gdy tłumek oczekujących się przerzedził, skrył się za plecami innych, lecz w końcu nadeszła i jego kolej. Jaki miał wybór? Odmówić i uciec, ściągając na siebie podejrzenie, czy też zdradzić swój sekret, jakikolwiek by nie był? Jego zachowanie zdążyło już przyciągnąć nie tylko moją uwagę. Jeden ze strażników jawnie sięgnął już po parecznicę... Sam, nie wiedząc co się stanie, ani o co magowi chodzi, odruchowo zacisnąłem rękę na głowni miecza - zbyt często ostatnimi dniami przychodziło mi robić ten gest.

- Podejdź! - rzekł mag stanowczym głosem, wyciągając dłoń ku Isficie - Nuże!

- Czekamy! - o dziwo, nie Kolimach to powiedział, lecz Femilur.

Krokiem szubienicznika, Isfita zbliżył się do starca. W milczeniu poddał się próbie, z góry chyba znając jej wynik. Wahadełko ledwie kilka razy przesunęło się wzdłuż dłoni górnika gdy, ku zaskoczeniu wszystkich, zaczęła ulegać deformacji. Palce wygięły się, skóra się ściagnęła, paznokcie wydłużyły... Czy same, czy może to złudzenie od cofającej się skóry...?

Grymas bólu wykrzywił twarz Isfity. Skulony nagle, wyszarpnął dłoń, zgiał się, przyłożywszy ją piersi i odwrócił się, stając twarzą w twarz ze ścianą mieczy. Nie tylko Noram, nawet ja wymierzyłem ostrze w jego stronę, wraz ze wszystkimi gośćmi - poza elfem i siedzącym nieruchomo, choć bynajmniej nie zaniepokojonym magiem.

- To on! - krzyknął Kolimach - Morderca!

- Brać go! - dodał Elab.

Postąpiliśmy do przodu, lecz wtedy z obu stron zaszli nas osadnicy. Górnicy, ich żony, nawet młodzieńcy, uzbrojeni w widły, pałki i kilofy - co który miał pod ręką - jak jeden mąż postąpili ku nam, groźnie pochyleni, gotowi do walki, bez cienia strachu.

- Ostawcie! - ostrzegł wójt Holmin - Nasz ci on, żyje z nami od dawien!

- Nikt tu nie zginał takim sposobem - dodał Mrazin - póki wy nie przybyli!

- Krzywdy nikomu nie robi! - dodał któryś z osadników.

- Ale to wilkołak! - zawołał Noram, pochylony, jak ja, w oczekiwaniu na atak, w zdenerwowaniu patrząc to ku jednej grupie osadników, to ku drugiej.

- Jak możecie... - zaczął kupiec.

- Spokój! - ostry, stanowczy głos maga uciął narastające napięcie. Wstał i wystąpił naprzód, wprost między nas, osadników i zgietego w bólach Isfitę - Cofnijcie się, wszyscy, nim krew się poleje!

Cofnęliśmy się dwa kroki, nie rozumiejąc niczego. Osadnicy także się wycofali, lecz niedaleko, nie spuszczając z nas oka.

- Ależ mistrzu... - Elab bezradnie opuścił broń ku podłodze.

- Stary mag trzyma z mordercą! - zawołał piskliwym głosem Kolimach - Oni i te potwory od zawsze trzymali ze sobą układy, mówię wam! To jedna...

- Zastanówcie się co chcecie uczynić! - odparł głośnie mag - Jest wiele rodzajów wilkołactwa. Największą, zasłużenie złą sławą cieszą się dzikie, gdy natura zwycięża nad nieszczęsnym rozumem, lecz są i inne... co żyją wśród was i nawet o tym nie wiecie! Sam spotkałem przypadki kiedy sam wilkołak nie wiedział że jest wilkołakiem!

- Ja wiem! - Isfita wyprostował się z trudem, lecz głos miał słaby - Jak i to żem niegroźny dla nikogo...

Mag podszedł do niego bez najmniejszej obawy. Stał może dwie dłonie przed nim.

- To się okaże - spojrział na niego bacznie, podczas gdy my, z rosnącą obawą i zdumieniem przyglądaliśmy się jak rozmawia z bestią - Potrafisz się zmienić?

- Ból okropny, panie... - szef górników zgiał się niby w pokłonie i kiwnął głową.

- Jasne słońce ci nie wadzi?

- Nigdy, przysięgam! - energicznie pokręcił głową - Choćby i środek lata, nad szczytami...

- Więc czemu siedzisz pod ziemią, ryjąc skały? - spytał Apok, bez śladu gniewu czy wrogości w głosie. On wiedział jak to jest, pomyślałem, on też był prześladowany...

- Boć najsilniejszym jestem...

- Ile masz lat? - mag dał ręką znak elfowi by się uciszył.

- Nie wiem dokładnie... będzie z półtora setki...

Kupiec i jego strażnicy mruknęli z podziwem - dziwne, lecz to zaskoczyło i wystraszyło mnie bardziej niż wszystko inne, za wyjątkiem nagłej przemiany Isfity i wystąpienia osadników w jego obronie.

- Zwierzęta, twoja to robota?

- Nie, na bogów, przysięgam! Jeśli bym musiał, wziąłbym jedno, ale to tylko na wiosnę...

- Prawdę mówi, ostawcie go! - poparł go Holmin.

Isfita zarzekł się szczerze. Pomyślałem że mimo tym kim był dla nas, tu i teraz, przede wszystkim pozostał prostym górnikiem, niezdolnym do tak poważnego kłamstwa. Nie w chwili gdy sprawa mogła pójść na noże...

- Wyciągnij rękę! - rozkazał mag.

Isfita, wciąż skulony, wyciągnął niepewnie ku niemu drżącą, prawą dłoń.

- Pokaż mi!

Isfita zawahał się.

- Pokaż! - powtórzył rozkazująco, nie znoszącym sprzeciwu, królewsko władczym głosem.

Isfita zamknął oczy. Jego ręka znów zaczęła się odkształcać. Spomiędzy zaciśniętych powiek górnika wypłynęły dwie łzy, twarz wykrzywił grymas potężnego bólu. Przemiana szła dalej - sterczące w górę włosy jawiły się niczym sierść, wysunięte w przód paznokcie zgięły się w szpony, palce podkurczyły się, poduszeczki dłoni powiększyły, zgrubiały i stwardniały... Ręka trzęsła się w spazmach bólu, lecz reszta ciała pozostała nie zmieniona.

Nie wiedziałem że coś takiego jest możliwe. Nie słyszałem, bo i żadna bajka o tym nie mówiła, że wilkołak tak może kontrolować swoje ciało. Mówiono jedynie że, choćby na co dzień był najmiłszym i najłagodniejszym człowiekiem, zamienia się przy pełni w morderczą, nie panującą nad sobą bestię. Tę część legend znałem z doświadczenia; samemu umknąłem z podobnych tym szponów, lecz to co teraz widziałem...

- Dość! Wystarczy! - mag zacisnął oczy i wyciągnął ku niemu rękę. Przysięgałbym iż w jakiejś części podzielił cierpienie górnika - Działa na ciebie pełnia? Zmusza do przemiany?

Isfita dyszał długą chwilę, drżąc cały, zaciskając zęby, gdy jego dłoń wracała do pierwotnych kształtów..

- Ino wiosną... - odpowiedział z trudem - Wtedy nie zwytrzymuję... Ale uciekam... uciekam na ten czas w góry. Zdarza się, ubiję... kilka jeleni, bydełko... Ale nie człowieka! - wyprostował się i potoczył po nas wzrokiem - Nigdy nie odebrałem nikomu życia!

- Przepraszam za to, przyjacielu - mag położył dłoń na ramieniu górnika i spojrzał na nas - On jest niegroźny!

- Niegroźny? - Loina dobyła broni - Łeb mu obetnę, to wtedy...

- Ostawcie go, rzecz! - osadnicy, za przykładem Holmina, postąpili w przód - Ostatni raz powiadam!

- Nie zamierzam spać pod jednym dachem z tym... czymś! - odparł Elab.

- Drzwi otwarte! - Mrazin wskazał wyjście - Śpij gdzie chcesz, panie, jego nie ruszysz.

- Nuże, uwiążem go! - rzekł wtedy Rumberd - W łańcuchach krzywdy nie robi.

- Jakże tak? - Kolimach spojrzał na niego dziwnie, elf jednak skinął towarzyszkowi głową.

- Jak zostawimy dolinę za sobą, to zrobią z nim co zechcą - objaśnił krasnolud - Do tego czasu będę miał na niego baczenie...

- Wraz z jednym z moich ludzi - przerwał mu Kurkusa.

- Dzięki, dobry kupcze, za tak szczerą pomoc - powiedział Diamdus - Takie rozwiązanie zadowoli każdego z obecnych. Co o tym sądzisz, gospodarzu?

Odwrócił się ku grupie górników pod przywództwem Mrazina. Ten spojrzał wpierw po swoich ludziach, potem pytające spojrzenie skierował na Isfitę. Górnik z rezygnacją wyciągnął przed siebie ręce, kiwając w pokorze opuszczoną głową.

- Niech i tak będzie - zawyrokował gospodarz - Ubijcie go tylko, a jako rzekłem, nikt z was z doliny żyw nie ujdzie, nawet dzieci!

Nerwowo przełknąłem ślinę - jeszcze raz nasze życie zależeć miało od rozsądku lub szaleństwa obcych mi

osób. Górników i ich szefa łączyła głęboka więź. Ni przez chwilę nie wierzyłem by, jeśli oni taką pokładają w nim ufność, był on zdolny do popełnienia tych czynów. Prości ludzie są niedouczeni, niewiele wiedzą o świecie, lecz głupi przecież nie są.

- Podobno ich krew jest czarna - niespodziewana uwaga Kolimacha zdała mi się przedsmakiem kłopotów, za jakie mogłem dać gardło. Ściskając sztylet, postąpił krok ku Isficie - Rzadka to okazja by to sprawdzić...

- Och, zamknij się, głupcze! - odwróciłem się i wrzasnąłem mu w twarz, nie panując nad sobą. Nie dbałem o to co czynię, jakie będą tego konsekwencje, po prostu przyłożyłem czubek swojego miecza do jego gardła - Chcesz dać głowę dla kropli wilkołaczej krwi? Nikt nie chce umierać za twoją głupotę!

- Dobrze chłopak prawi - zgodził się krasnolud - Zamkniemy bestię. Póki nie wyjdzie, nikt jej nawet skaleczyć nie może, ale gdy wylizie, sam łeb jej utnę - popatrzył dziko na górników - i ubiję tylu z was ilu zdołam, jeśli zemsty popróbowujecie!

Obie strony konfliktu zmierzyły się wzrokiem, lecz ja odkryłem że mam poważniejsze zmartwienie.

Odsunąłem się od Kolimacha, drżąc cały z uświadomionego sobie czynu. Jego oczy mówiły wyraźnie - gdy śniegi się skończą, nie odejdzie stąd bez mojej głowy.

Rumberd, w asyście strażników, skuł Isfitę górniczymi łańcuchami. Myślę że nie przez przypadek za więzienie wybrał pokój na końcu korytarza, naprzeciwko siedziby Kolimacha. Apok wprawdzie próbował coś do niego mówić w nieznanym języku, lecz krasnolud tylko mruczał coś pod wąsem, nie zwracając na niego uwagi. Zamknął drzwi na klucz i stanął po jednej ich stronie, Ossel zaś po drugiej. Starczyło by brzękło choć jedno ogniwo, a zaraz obaj zerkali do środka przez dziurkę od klucza, z dłońmi na broni. Bali się, jak większość gości, poza magiem może i Apokiem, lecz ja nie czułem tej nienawiści co oni, jedynie współczucie. Godzinę po tym jak go zakuli w naprędce sklecone kajdany - gdy ludzie jako tako się uspokoili, gdy Kolimach przestał mi posyłać mordercze spojrzenia, a ja przestałem błagać bogów o to by doszedł do zmysłów i odpuścił mi atak - podszedłem do strzeżonych drzwi. Strażnik był wobec mnie obojętny, lecz Rumberd spojrzał na mnie krzywo.

- Odejdź, dziecko - poradził - zanim...

- Nie wierzę by był zły! - odpowiedziałem, z całym przekonaniem - Nie wierzę by kogoś zabił! Nie tamte dzieci...

- Chcesz tu czego? - zirytował się Ossel.

- Dajcie mi porozmawiać - poprosiłem - Tylko chwilę...

- Zabije cię! Starczy mu okazja...

- Moje zmartwienie! Otwórzcie!

Ossel już chciał mnie przegonić, lecz krasnolud zasłonił mnie ręką. Długą chwilę patrzył mi głęboko w oczy, nim cofnął się. Chyba zrozumiał że musiałem tak postąpić, musiałem...

- Niech idzie - powiedział.

Dobyli broni i otworzyli drzwi. Przeszedłem przez nie, nie kryję, z obawą. Krasnolud mruknął jeszcze coś niezrozumiałego i po chwili byłem zamknięty w pokoju, wraz z Isfitą.

- Spróbuj no tylko czegoś - usłyszałem jeszcze przez drzwi - a zobaczysz...

Było oczywiste, nie do mnie były te słowa. Isfita, ze skutymi rękoma i nogami, spętany łańcuchem, uwiązany nim do łóżka, patrzył na mnie zagadkowym wzrokiem. Nawet jeśli był groźną bestią, nie widziałem możliwości by mógł się uwolnić.

Stałem tak, plecami oparty o drzwi, gapiąc się na niego, leżącego z głową zwróconą ku ścianie, jakby mnie tam wcale nie było... Nagle odwrócił ją i wbił we mnie dziwnie przenikliwe spojrzenie.

- Czegoś tu przylazł? - spytał z gniewem - By się gapić? Dziś nie jarmark!

- Ja tylko...

- Ty tylko! - odparł pogardliwie - Dzieciuk wynalazł widowisko. Obaczyłeś już groźnego potwora?

- Nie moja wina! - odpowiedziałem w nagłym gniewie - Ja im nie wierzę...

- Stawałeś z nimi! Broniąc, bałeś się o swoje gardło, nie o mnie - odwrócił wzrok - czym mnie nachodzisz? Ostaw mnie...

- Ja... chcę wiedzieć... jak to jest...

- Być starym? - zadrwił górnik - Ściganym? Drzeć o skórę gdy bywają ku nam nowi goście, że któremu kiedyś coś się najdzie, ubić spróbuje, lub gorsza, nie rzeknie nic, ino siepacza z miasta narai, dla garści złota? -

rzekł z goryczą - Nie prosił się ja o to...

- Nie rozumiesz... - powiedziałem, spuszczać głowę. Nie patrzyłem na sytuację jego oczami, lecz teraz zrozumiałem. Poczułem się nie na miejscu, ze swoimi jakże głupimi, dziecięcymi pytaniami - Ja już widziałem... wilkołaka... - wykrztusiłem - ale... Ale musiałem odejść zbyt szybko, nie zdążyłem... Umilkłem. Isfita nie odpowiedział. Wiedział co taki dzieciak mógł myśleć. Miał prawo oskarżać. Nie rozumiał że przyszedłem do niego, by móc spojrzeć nań nie swoimi, przesadnymi oczyma, lecz by widzieć w nim to, co dojrzały stare oczy maga - by choć w ten sposób znaleźć dla siebie częściowe przebaczenie za swój głupi strach, gdy stanąłem wraz z innymi przeciwko czemuś, czego nawet nie próbowałem zrozumieć, a mimo to bałem się jak inni, bo tak było łatwiej. Bo łatwiej było razem, niżli samotnie, przeciwko innym...

- Jak się zaraziłeś? - spytałem.

- Duży wilk to był - powiedział z namysłem, wciąż wpatrzony w ścianę - Strzeż się takich, inaczej skończyć jak ja możesz, albo i gorzej. Mawiają, walka się w ciele toczy. Wygra w tobie wilk, mawiają, będziesz ino jak ten dziki zwierz. Rozumieć będziesz, jako człek, lecz ciało nie ciebie słuchać będzie, tylko jego.

- Ale tyś się nauczył...?

- Nie - odwrócił ku mnie głowę - Nie dane jest nauczyć. Kto w duszy dziki, zwierzem będzie, a kto łagodzien, tego wilk nie odmieni, lecz posłuszny będzie. To jest dane z kłutwą.

Dziwnie mówił, inaczej niż osadnicy, lecz przecież prawie tak samo. Prawił o uczonych rzeczach, choć prostym językiem. Kim był wcześniej? Uczonym, wędrowcem, prostym góralem, a może zapomnianym księciem? Czy dowiedział się tego, szukając wiedzy o tym czym się stał, czy to półtora wieku życia wśród prostych ludzi, kryjąc się przed uczonymi i cywilizacją, która jeden los zgotować mu mogła, dostosował się do nich, na dobre wrósł w osadę? Półtora wieku... Wilkołaki, mówiono, są nieśmiertelne, lecz sto pięćdziesiąt lat... To ludzka natura i jej pierwotne lęki sprawiły że Isfita wśród swojego rodzaju uchodziłby za starca. Dysponując mocami większymi niż ludzkie, był pośrodku drogi pomiędzy nimi a jeszcze potężniejszymi i przebieglejszymi wampirami; dość potężny by walczyć o przetrwanie, lecz zbyt słaby by, jak one, wywalczyć sobie wielowiekowe istnienie...

- Dlaczego to... tak bardzo boli? - spytałem z wahaniem.

- Ciało chce się zmienić, lecz kości twarde... Mięśnie wyginają stawy... Czuję to w każdej kości. Pierwszy raz... - westchnął - Zim tak wiele, a wciążem nieprzyzwyczajon. Idźże już - znów odwrócił się do ściany - Gadać ze mną będziesz to i zabijają cię, jako mnie chcą.

Czując nagły lęk, oparłem się o deski i zastukałem w drzwi.

Pogrążony w myślach, powolnym krokiem wróciłem do sali. Odruchowo siadłem przy Noramie - u boku maga i blisko stołu kupca. Mój przyjaciel nie odrywał ode mnie wzroku. Choć nań nie patrzyłem, widziałem że chciał coś powiedzieć, spytać po co zaatakowałem Kolimacha, lecz milczał, gdyż tak naprawdę myślał wtedy dokładnie to samo co ja.

- Po coś tam polazł? - spytał w końcu o co innego, byle spytać i byle ominąć tamten temat.

- Musiałem wiedzieć - odparłem krótko. Musiałem zrozumieć, pomyślałem, po prostu musiałem, dla spokoju sumienia, gdyż niewielka częśćka mnie, choć przytłoczona przez rozsądek, wciąż wierzyła w coś innego.

- I już wiesz?

- Wiem.

- Współczujesz mu? - spytał cicho Diamdus, używając zaji - rodzaju języka pochodzącego od krasnoludzkiego, różniącego się jednak wymową i gramatyką, gdyż dostosowany był do pisania wspólnym pismem - znakami alfabetu ludzi, w którym zapisywano mowę gór i podobny do niej język Cesarstwa - a nie runami krasnoludów.

Pokiwałem głową. Noram słabo znał zają, lecz dość by go rozumieć i zadawać proste pytania. Rozejrzałem się kto jeszcze mógłby nas dosłyszeć i pojąć o czym mówimy. Kupiec toczył własną dyskusję ze swoją świtą; Apoka, który, sądząc po swojej zażyłości z Rumberdem, z pewnością by nas rozumiał, nie było w sali.

- Ja też - potwierdził stary mag - Lecz nie zmienimy tego że chłopci, a nawet wykształceni ludzie, boją się tego czego nie pojmują. Łatwo i chętnie wkładają swoje obawy do jednego worka z przesadami. Co jest czarne, nie może im być białe, i na odwrót. Ich oczy są ślepe na wszelkie odcienie szarości.

- Ale skąd wzięło wilkołactwo? - nieskładnie spytał Noram - Bogów kłutwa?

- Oni nie mieli z tym nic wspólnego - pozazdrościłem Diamdusowi biegłości w zaji, jego słownictwa i czystej

wymowy - To od zmiennych. Widzieliście ich kiedy?

- Nigdy nie byłem w Imperium - pokręciłem głową.

- Ni ja - przyznał Noram.

- Ach, cóż... Zmienni to niewolnicy imperialnych orków. Potrafią przybrać każdą formę, o ile dorównuje objętością ich ciała. Nie krwawią, nie mają kości. Są zmiennokrwieści, ich ciało nie robi sobie wiele z mrozu czy upału pustyni, choćby trafili tam bez wody czy ubioru. Czasem tylko, na silnym mrozie, stają się wolniejsi, jak gady, choć one nie przeżywają w tak niskich temperaturach. Ogień zabija ich jak każdego, choć wytrzymują obrażenia które każdą zwykłą istotę wysłałyby na drugą stronę. Gdy umierają, zmieniają się w galaretę, lecz chodzą, mówią, zachowują się, nawet wyglądają jak orki czy ludzie. Posiadają wewnętrzną, niemagiczną moc przemiany, a jednak pozostają posłusznymi niewolnikami swoich panów... Hmm... - zamyślił się - Nigdy się nie buntują, nie sprzeciwiają... nie podnoszą ręki...

- Wilkołaki - przypomniałem, zainteresowany jego wyjaśnieniem.

- A, tak. Widzicie, my, magowie, wierzymy iż wilkołactwo wzięło się z połączenia pierwiastka wilka z pierwiastkiem zmienności, stąd też pewne cechy przeszły wraz z nim na nowe istoty. Choć pochodzi od zmiennych, ogranicza się do przybierania tylko jednej formy, gdyż pierwiastek zmienności za długo przebywał w wilkach, nim zawędrował do ludzi. Nabral do nich podobieństwa i stał się dość silny by zająć ciało. Jedni mawiają że ktoś stworzył go celowo, inni że to przypadek, naturalne połączenie. Dziś nikt już nie wie tego na pewno, może za wyjątkiem elfów z... - urwał nagle, by po chwili zacząć inną myśl

- To połączenie daje żywemu ciału część elastyczności zmiennych, lecz kości są martwe, więc nie poddają się łatwo, przyprawiając ofiarę o niewysłowione bóle przemiany. Za sprawą pierwiastka zmienności rany wilkołaka goją się też dłużej niż ludzkie. Opowieści o walczącej mimo ran bestii, gojących się na oczach dzielnego bohatera, są zwykłą bzdurą.

- O ciele to rzeczesz, a dusza? - spytał Noram.

- Powiadają że zmienni nie mają duszy, lecz mówią tak tylko orkowi uczeni. Nie dają nam do nich dostępu, lecz prawdą jest iż nikt nigdy nie przywołał ducha zmiennego... Orka zresztą też nie, ni smoka, choć łatwo przywołać duszę wilków, kotów, jeleni i wszelkiego dzikiego zwierza - uśmiechnął się tajemniczo - Czy więc możliwość przywoływania zmarłych może być jedynym kryterium istnienia duszy u istot? Jeśli tak, nie są lepsi od swoich niewolników.

- Ale co się dzieje z ludzką duszą po zarażeniu? - spytałem.

- Wraz ze zmiennością wkrada się do niej część duszy wilka, lub wilkołaka. Jego ugryzienie też może zarazić, lecz wtedy w umyśle inna rozgrywa się walka, zaś pogryziony staje się sługą napastnika.

- A nie jest tak aby, że wilk też staje się panem wilkołaka, nie wie o tym tylko, więc jego panowanie jest chaotyczne?

Diamdus uśmiechnął się do mnie.

- Bystry z ciebie chłopak - przyznał - Myślimy iż tak sprawy się mają. W ofierze miesza się jej wola z odpryskiem woli napastnika, tak że staje się jednością, nie ustępującą nawet gdy zginie sprawca. Wtedy dręczy wilkołaka jej duch, a nie żywa wola. Jedynie od wrodzonej siły umysłu zależy czy podda się obcej obecności. Zważcie jednak, końcowy efekt zależy nie tylko od siły ducha, lecz i ciała. W połowie przypadków odrzuca od siebie pierwiastek wilkołactwa, niczym człowiek który powinien umrzeć od śmiertelnej dawki trucizny, lecz przeżywa. Wilkołactwo ciało traktuje jak chorobę. Gdy raz je odrzuci, staje się na nie odporne, jak na zachodnią Zarazę, lecz gdy ulegnie mu całkowicie, wilkołak może na zawsze utracić człowieczą formę, jakby jego ciało umarło. Zwykle jednak ciało poddaje się tylko częściowo i wtedy umysł podejmuje walkę, już gdy ono zawiedzie. Wilkołakiem człowiek stanie się wtedy na pewno, lecz tylko od tego jaki jest w głębi siebie zależy czy będzie sobie panem, czy sługą, zarówno żądz kłusującej go dzikiej bestii, jak i woli gryzącego go wilkołaka. Nasz zakuty w łańcuch przyjaciel miał szczęście. Przyjął wilka do siebie i poskromił go, miast mu ulec.

- Wilkołak to krzyżówka więc, zmiennego, wilka, człowieka? - zdziwił się Noram.

- Tak, możesz to tak nazwać. Różne są proporcje. Wiedźcie jednak, gdy pierwiastek wilkołaka przeszedł z wilka i związał się z ludźmi, stworzył coś nowego...

- Wampira - nie wiem jak to odgadłem, lecz wydało mi się to logiczne. I wampiry, i wilkołaki zwano przecież Dziećmi Nocy, pomyślałem więc że musi być coś co je łączy.

- Wampira - mag znów się uśmiechnął - W nich przemiany idą dalej i innej są też natury. Wilkołaki zupełnie

nie panują nad mocą, za sprawą pierwiastka zmiennych, który w zamian nadaje ich ciału elastyczność, wampiry jednak mają w sobie więcej pierwiastka ludzkiego, a to zbliża ich do mocy, odbierając za to zdolność przemiany. Wilkołak ma zepsutą krew, wampiry za to nie mają jej wcale, lecz żyć bez niej nie mogą. Muszą ją pić, by zastąpić własną, inaczej giną. Muszą też jeść, jak każda inna istota, lecz krew i pożywienie nie są dla nich jednym i tym samym. Jednak, choć może to wam zdać się najważniejszą zmianą, to nią nie jest. Najważniejsza przemiana odbywa się u nich w umyśle i duszy, przez drogę jaką obierają ku zaspokojeniu swoich potrzeb, żądzy i sumienia.

- Jeśli ciało potrafi odrzucić wilkołactwo, czy istnieje lekarstwo? - spytałem, przypominając sobie że elfy, jak mówili wędrowcy, potrafią wydobyć odporność z ciała uzdrowionego człowieka i przekazać je choremu, by go uleczyć.

- Zależy to tylko od stopnia uległości ciała. Widzisz, pierwiastek wilkołactwa zawsze można pokonać, lecz gdy jest zbyt silny, ciało nie zdoła bez niego przeżyć. Gdy jest słaby, ciało szybko zastąpi stracone tkanki własnymi, lecz z wiekiem jest to coraz trudniejsze. O wiele łatwiej uleczyć wampira, lecz... rzadko który tego pragnie.

- A Isfita?

Mag zamyślił się. Zauważyłem wtedy że Noram nie słucha już tego co mówił, pogrążony we własnych myślach.

- To, czy ciało zdoła się uleczyć, nie zależy od umysłu - odparł w końcu - Człowiek może się kontrolować, władać wręcz swoimi przemianami, lecz jego ciało może być zależne od wilczego pierwiastka. Tylko po tym jak dalece zachodzi przemiana mogę powiedzieć ile w ciele zostało człowieka, a ile jest wilkołaka. Obawiam się że nasz przyjaciel z osady ma go w sobie za dużo. Lek mógłby zabić.

Zasmuciłem się, choć mogłem to odgadnąć. Isfita sam musiał kiedyś szukać leku. To że po stu pięćdziesięciu latach wciąż był tym, kim był, mówiło że jego poszukiwania zawiodły. Któżby chciał dobrowolnie pozostać wilkołakiem?

- Różnice, jeśli tak wielkie, to próba twa wykryje też wampira? - spytał nagle Noram.

- Nie. Wampiry, jak rzekłem, nie mogą zmieniać kształtu, a moja próba polega na zmuszeniu ciała do przemiany. Je wykrywa się zwykle po śladach bytowania, po tym co i jak czynią, choć słyszałem o różnych sposobach. Tu by trzeba próby srebra. Nigdy go nie próbowałem, ale... W kontakcie z nim, mówią... ich krew... - zamyślił się głęboko.

Nie doczekawszy końca odpowiedzi, Noram kiwnął głową w bok, dając znak że lepiej będzie zostawić maga sam na sam z myślami. Wzruszyłem ramionami, nic innego nie miałem bowiem do roboty, lecz on nieśpiesznie pociągnął mnie za sobą do naszego pokoju. Poczułem wtedy że coś go zaniepokoiło.

- Wszyscy gadają o wilkołaku - rzekł już w zwykłym języku, gdy zatrzasnął za sobą drzwi - ale nikt nie pomyślał że to może być wampir!

- Wampir? - spojrzałem na niego dziwnie.

- A czego nie?

- Bo są rzadsze od wilkołaków, a te są pospolite - jakoś nie potrafiłem się do tego przekonać - Kontrolują się też dobrze. Gdyby tu był wampir, na pewno nie zdradzałby się w tak głupi sposób. To robota czegoś dzikiego. Sam słyszałeś, wilkołak może nad sobą nie panować.

- Może i tak... - Noram uspokoił się, ale w zamian jego obawy przeszły na mnie.

Wróciliśmy do sali. Tym razem siedliśmy gdzie indziej, nie chcąc przeszkadzać magowi i jego uczniowi - akurat grali w stoczki. Zdumiałem się - Elab był rozluźniony, wręcz zadowolony! Czy tak bardzo przekonany był o winie Isfity?

Zbyt byłem zamyślony od chwili pojmania górnika by dostrzec zmiany w ludziach - a tych, jak w tamtej chwili poznałem, było wiele. Diamdus, nawet podczas gry, dziwnie patrzył na swego ucznia - wszak już samo to że Elab nagle stał się dość skupiony by grać, było dziwną odmianą! Jakby wstąpiła w niego nowa energia; więcej nawet, nie zwracał już uwagi na Kolimacha, jakby ten wyszedł na dwór i nie wrócił. Jego uprzednia nerwowość w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób musiała przepłynąć na wędrowca, gdyż odtąd nerwowo poruszał on rękoma w okolicach skrywających sztylety rękawów, zerkając niespokojnie w stronę młodzieńca... Nawet kupiecką świtę zainteresowała ta nagła zmiana... u ich obu.

Elab grał bez przekonania; tym bardziej nie rozumiałem po co zaczął. Szybko przegrał. Nie tylko mi granie

nie było w głowie, choć... byłem pewien że gdybym zaproponował starcowi rozbiór czy dwa, przystałby na to z ochotą. Na przemian, to zazdrościłem mu, to przeklinałem go za tę zdolność wyłączania pewnych zdarzeń ze swoich myśli. Mistrz, zgarnąwszy kości do mieszka, zaczął coś szeptać do ucznia, który z rzadka coś mu krótko odpowiadał. Nie słyszałem o czym rozmawiali, zresztą nie wątpiłem że znali dość niezrozumiałych dla innych języków by obawiać się podsłuchania.

- Co mu się nagle stało? - szepnąłem do Norama.

- Z nim jak z nim - odparł mi szeptem - ale co ugryzło jego? - dyskretnie kiwnął głową w stronę Kolimacha.

- Coś dziwnego tu się dzieje - przyznałem - i Isfita nie ma z tym nic wspólnego...

Diamdus chyba zganiał swego ucznia, gdyż Elab wstał gwałtownie. Kilka razy nerwowo przeszedł po sali, lecz ilekroć mijał Kolimacha, ilekroć na niego spojrzał, wargi rozciągały mu się w nieskrywanym, pogardliwym uśmiechu. Wędrowiec zaczynał wtedy przesuwac ostrze sztyletu wzdłuż krawędzi blatu stołu, jakby był on dużą osetką.

- Zauważyłeś? - nagle szepnął Noram.

- Co? - odwróciłem się ku niemu, może zbyt gwałtownie.

- Jego pas...

Ostatnie wydarzenia wyrwały z mojej pamięci prośbę Apoka i Rumberda, lecz teraz wszystko sobie przypominałem. Przypominałem sobie, gdyż na pasie Elaba, na prawym biodrze, wyraźnie czegoś brakowało...

\* \* \* \* \*

Zakucie Isfity w łańcuchy mogło uspokoić kilka osób, lecz nie mnie - i nie Kolimacha. Wędrowiec wyniósł się ze swojego pokoju, demonstracyjnie zajmując inny, tuż obok naszego. Nic dziwnego że tej nocy sen miałem niespokojny. Przez kilka godzin to budziłem się, to zasypiałem. Wreszcie udało mi się twardo zasnąć, ale znów, nie na długo.

Siadłem gwałtownie na posłaniu, z głową wciąż pełną krzyków i głosów. Kolejny koszmar... lecz głosy były tak wyraźne! Niewiele myśląc, wstałem i podszedłem do drzwi.

- Wybierasz się gdzie? - spytał sennie Noram.

- Chyba coś słyszałem - odparłem cicho, nasłuchując - Muszę...

- W środku nocy? - Noram przysiadł na łóżku i skrzesał iskrę na lampę. Już w jej świetle, bez słowa objąłem zastawiającą drzwi przeszkodę, odsuwając ją na bok.

- Jak uważasz - stwierdził, widząc że nie zamierzam zrezygnować - Pamiętaj o zbój z sąsiedztwa...

Ściskając miecz w dłoni, goły tak jak spałem, wyjrzałem na ciemny korytarz - i zaraz mój wzrok spoczął na wpatrującym się we mnie Kolimachu. W opartej na drzwiach ręce dostrzegłem sztylet. Nie ja jeden miałem wrażenie że coś się wydarzyło. Drzwi wszystkich wynajętych pokoi były otwarte. Diamdus stał już na korytarzu, nasłuchując. Apok właśnie wychodził - sądząc po niedawnych odgłosach, także miał problem z udrożnieniem przejścia. Obok drzwi, opuściwszy swój posterunek na końcu korytarza, przystanął Rumberd, wraz z towarzyszącym mu w zadaniu górnikiem. Kurkusa obserwował co się dzieje, gotów czmychnąć do pokoju, jakby ktoś lada moment miał rzucić się na niego; obok jego dłoni wзираła na zewnątrz głowa bynajmniej nie zaspanej Loiny. Na nasz widok rychło cofnęła się w głąb pokoju.

- Co się u licha dzieje? - Kolimach gapił się na mnie wzrokiem dalekim od senności. Poza krasnoludem, był wśród nas jedyną w pełni ubraną osobą. Albo w nim spał, albo nakładał je szybciej niż wprawny kochanek - Ktoś coś słyszał, czy tylko ja?

- Ktoś krzyczał - szepnął Rumberd - Zamknij żesz się, bo...

Wtedy usłyszałem cichy łoskot, odległy i niewyraźny.

- Słyszałeś to? - szepnął krasnolud.

- Sąsiedni korytarz! - odszepnął Apok.

W ich dłoniach lśniła broń. Krasnolud poszedł przodem, prawie nagi Apok trzymał się jego boku, gotów do ataku. Zawierzywszy słuchowi elfa, ruszyłem ostrożnie za nimi. Po świetle drugiej lampy poznałem że równie goły co ja Noram jest tuż za mną. Działo się tu coś dziwnego, co przejmowało mnie dreszczem bardziej niż chłód podłogi...

Palenisko w kominku ledwie się żarzyło. Dogasające polana świeciły jak oczy czającej się w mrokach dzikiej

bestii. Stąpając ostrożnie, udaliśmy się ku sąsiedniemu korytarzowi. Nim doń doszliśmy, usłyszeliśmy czyjeś szepty.

- Ludzie! - zauważył cicho Rumberd.

- Górnicy - przytaknałem.

Przyspieszyliśmy kroku. W korytarzu pachniało krwią. Gdzieś w jego połowie, w świetle trzymanej przez kogoś słabej lampy, stała milcząca garstka górników, wśród nich Mrazin i Holmin. Z wymalowaną na twarzach zgrozą w niemym przerażeniu wpatrywali się w coś na podłodze, nieruchomi niczym posągi. Tylko wójt posłał nam krótkie, przerażone spojrzenie.

Apok i Rumberd podbiegli do nich i gwałtownie odepchnęli na bok. Wcisnąłem się między nich.

Spodziewałem się ciała, lecz zamiast niego... Podłoga na wprost otwartych drzwi od jednego z pomieszczeń tonęła w na wpół zakrzepłej krwi. Stojąca obok młoda dziewczyna, z szeroko rozwartymi oczami, zakrywała dłonią usta.

Trzymając się ściany by ominąć krwawą kałużę, doszedłem do pokoju. W środku było jeszcze gorzej.

Trzymana przez górniką lampa ledwie oświetlała wnętrze, ale i bez tego zebrało mi się na wymioty. Tułowia ledwie rozpoznawalnych ciał kobiety i młodzieńca rozszarpano prawie na strzępy. Nie wytrzymałem.

Wszystko zawirowało mi przed oczyma; silna, dusząca woń krwi wywróciła żołądek na drugą stronę. Na wpół ślepy, ruszyłem w stronę znajdującego się na końcu korytarza wychodka, lecz już przy pierwszym kroku pośliznąłem się na krzepnącej krwi. Gdyby Apok w porę mnie nie schwycił, padłbym niechybnie na podłogę.

- Czekał, dzieciaku! - pociągnął mnie za ramię do tyłu i przyświecił zabraną Rumberdowi lampą - Nie widzisz śladów?

Dopiero wtedy dostrzegłem prowadzące w głąb krwawe tropy - nieregularne plamy i linie z rozbryzganych kropli, równie świeże jak plama na podłodze. Gdy elf uniósł lampę, poznałem że biegną one wprost do wychodka. To wtedy mój żołądek zdecydował opróżnić się gwałtownie pod drzwiami - gdzie chwilę wcześniej zrobili to samo Elab i Ossel.

- Sprawca wciąż musi tam być! - stwierdził Kolimach.

Ominęliśmy na wpół przytomnych górników i z bronią gotową do użycia podeszliśmy do zamkniętych drzwi.

Zewnętrzny skobel wisiał swobodnie, lecz gdy Rumberd nim szarpnął, rozległ się jedynie głuchy łoskot.

- Zamknięte od środka! - ostrzegł cicho. Zrozumieliśmy: to coś wciąż jest w środku...

- Trza je wyważyć! - zawołał zza moich pleców Elab, lecz nim ktokolwiek się ruszył, coś stuknęło w wychodka. Drzwi otworzyły się. Oparty na nich, ledwo żywy górnik osunął się wprost w ramiona krasnoluda. Jeszcze dychał, ostatkiem sił, choć na dobrą sprawę już powinien być martwy. Jedną dłoń zaciskał na rozciętym gardle, drugą obejmował rozdarty brzuch; płaty mięsa i wnętrzności wyzierały spod rozszarpanej koszuli. Nikt na Świecie nie zdołałby mu już pomóc.

- Kto? - zawołał krasnolud, podtrzymując go - Kto to zrobił? Co się stało?

Mężczyzna bladł w oczach. Uniósł głowę i spojrzał w głąb korytarza, jakby kogoś szukał.

- Widziałem... - wybulgotał. Z ust wypłynął strumień krwi - Ludzie...! Hałas... otworzyłem... i bestia... na nas... wszystkich...

- Kto? - głos Kolimacha drżał od skrywanego strachu - Na bogów, mów nim...!

Górnik nie odpowiedział. Ręka jeszcze mu drgnęła, głowa opadła, gdy zsuwał się bezwładnie w dół. Skonał nim ciało dotknęło podłogi.

Krasnolud cofnął się o krok. Elf wpadł do wygodki, szybko rozglądając się po niewielkim, wymazanym krwią pomieszczeniu. Do odoru krwi dołączył smród odchodów. Serce podeszło mi do zaciśniętego gardła. Ciężko wparłem się o ścianę. Wszystko zdarzyło się w gospodzie! Nie gdzieś na dworze, lecz tutaj!

- Jak się tu dostała? - Apok gorączkowo miotał się po wychodku, sprawdzając każdą rysę, każdą nierówność w skalnej ścianie - Skąd się tu wzięła? - wypadł na korytarz - Nie mogła ukryć się w gospodzie!

- Chyba że przez wychodek... - powiedział niewyraźnie Noram. Chyba nie do końca opróżnił żołądek za pierwszym razem.

- Wychodek? - krasnolud nie wiedział czy żartuje, czy mówi poważnie, lecz zaraz spojrzał do tyłu, na kogoś za moimi plecami - Ma połączenie z doliną?

Odwróciliśmy się. Mrazin stał z dziwnym wyrazem twarzy, jakieś ramię od nas.

- Toż to ledwie szczelina do jamy poniżej! - zauważyłem.

- Jest wyjście z tej pieczary w dole? - krasnolud zignorował mnie - Może do kopalni?



- Juści... musi być... - wydusił z trudem gospodarz - Z kopalnią nie, ale z doliną... Jakżeby my inaczej nieczystości wygrzebywali?

- Jakie to ma znaczenie? - rzekł Kolimach - Sami widzicie, toć to ino ledwie szczelina w skale, na półtorej głowy szeroka! - złapał mnie za ramię i w zdenerwowaniu potrząsnął z całej siły, aż uderzyłem tyłem głowy o cegły - Dzieciak się nie przecisnie, co dopiero wilkołak...

- Ale zmienny mógłby - zauważył Femilur.

- Zmienny? Niby skąd? Tak daleko od Imperium?! Widziałeś tu gdzieś orka, czy tylko mnie oczy zwodzą?

- Nawet zmienny zamarzłby na kość w taką pogodę! - zauważył Diamdus.

- Więc... jak nie zmienny... to kto? - spytałem drżącym głosem.

- Jak to kto? Wilkołak! - Kurkusa stanął przed krasnoludem - Wy skończeni głupcy! Czy to nie oczywiste? Kto inny, jak nie on, wybił rodzinę? A ty zostawiłeś go samego?!

Femilur i Lajkisz, nagle ożywieni wzmianką o Isficie, pobiegli ku sali, odtrącając gapiących się na nas górników. Jeden z nich natychmiast ruszył w pościg - ten sam który towarzyszył Rumberdowi w pilnowaniu drzwi.

- Noram, za mną! - zawołałem, bez wahania ruszając w ich ślady. Za nami ruszyła reszta.

- Zdradziecki łotrze, łeb ci rozwalę! - grzmiał po drodze krasnolud - Każ im zawrócić!

Na szczęście dotarliśmy na miejsce na czas. Drzwi były dość mocne i dobrze zamknięte; strażnikom nie udało się ich w porę wyważyć, zaś klucz tkwił w mieszkku krasnoluda. Górnik, który pobiegł za nimi jako pierwszy, wstawał już chwiejnie na nogi, wspierając się o ścianę. Na strażników natychmiast rzucił się Apok, Mrazin oraz Holmin, wraz z towarzyszami.

- Stójcie, mówię, bo na miejscu ubiję! - ryknął Rumberd, zamierzając się na przygniecionych do ściany niedoszłych napastników.

- Mordercy bronisz! - zawołał za nim Kurkusa.

- Mordercy? - krasnolud opuścił topór i powoli odwrócił się ku niemu - A jakże to miałby uczynić, skoro skutą w łańcuchach i zamkniętą? Uważasz żeś ślepy? Że nie zauważyłbym, gdyby wyszedł?!

Kupiec cofnął się dobre dwa kroki przed jego gniewem.

- Pokaż nam! - odezwał się Kolimach - Otwieraj drzwi, krasnoludzie!

- Tylko gdy zabierzecie stąd tych siepaczy!

Górnicy odepchnęli wszystkich strażników w głąb korytarza. Mało brakowało a rzucaliby nimi niczym idącymi do młyna workami z ziarnem. Krasnolud otworzył drzwi i poświecił lampą. Isfita zadzwęczał okowami, zasłaniając oczy przed nagłym światłem. Rumberd oddał lampę Apokowi i pociągnął za łańcuchy. Więzień patrzył na nas w milczeniu

- I co, sam siebie w kajdany zakułeś? - rzucił w stronę gapiącego się nań z korytarza Kurkusa. Kupiec jak niepyszny cofnął się do tyłu.

- Co się stało? - spytał Isfita.

- Kolejne trupy, a cóżby innego? - krasnolud obejrzał się przed wyjściem - Ciesz się żeś tym razem niewinny, dzięki mnie!

Po chwili drzwi znów były zamknięte.

- Musiałeś coś widzieć - stwierdził Elab - Coś zauważyć...

- Światła były pogaszone, w sali ciemno! - odparł krasnolud - Końca korytarza nie widziałem, co dopiero...

- A czy aby krasnoludy nie widzą lepiej w ciemnościach?

- I co, nibym miał widzieć jak w dzień? - nagła złość krasnoluda wydała mi się dziwna - Myślisz, młodziku, że cały czas ślepiłem w korytarz, mając wilkołaka za plecami?

- Jednak coś widziałeś... - Diamdus podszedł do niego - Czuję to... Mów!

Krasnolud rozejrzał się nerwowo. Spojrzał na nas, na drzwi, na lampę...

- Jak to w ciemni... - zająknął się - Wydawało mi się... jakiś kształt, jakby... wyszedł korytarzem, na końcu... - wybełkotał, zaskoczony - Demon go wie jakie figle noc płała! Może coś widziałem, może nie, nie przysięgnę!

- rzekł bez pewności w głosie - i było to z godzinę temu! O wiele za wcześniej!

- Przywidziało się ślepemu karzełkowi i tyle... - zaironizował Kolimach. Na jego szczęście krasnolud, zakłopotany swoją niekompetencją, nie zareagował na tak jawną obelgę.

Wszyscy byli wstrząśnięci. Myśl że bestia ma dostęp tak do doliny, jak i do gospody, przerażała nas do głębi. Kolimach maskował swój strach bezczelnością; ja uciekałem przed nim w rozmyślania jak mogło do tego

dojść. Gdy wyszedłem na korytarz, widziałem wszystkich - tak mi się przynajmniej zdawało. Albo sprawcą był jeden z górników, a pozostali postanowili go chronić - to wytłumaczenie odrzuciłem od razu - albo sprawca zdołał umknąć, wiedząc że śmiertelnie ranny górnik nie zdoła go zdradzić. Gdzie by się ukrył? I dlaczego nie zostawił po sobie krwawych śladów, innych niż te prowadzące do wychodka? Musiał być wprawny, skoro się nie ubabrał...

- Możemy się dalej nawzajem obrażać, lecz dziś niczego nie wymyślimy - Diamdus krzywo spojrział na Kolimacha - Proponuję wrócić do swoich pokoi i zamknąć się w nich dobrze. Wygląda na to że bestia nie zna ni drzwi, ni żadnych innych przeszkód. Ja i Elab zbadamy to, co zostało z ciała. Zamierzam sprawić by ich śmierć nie poszła nadaremno. Może powiedzą nam więcej niż żywi - przesunął wzrok po twarzach zgromadzonych - Zaczniemy natychmiast. Ktoś chce nam towarzyszyć? Nie było chętnych i nie liczyłem że jacyś się znajdą. Wszyscy widzieli jak wyglądało miejsce zbrodni.

\* \* \* \* \*

Zamknęliśmy się w pokoju, lecz do końca nocy nie zmrużyliśmy oka. Świadomość bliskości maga, badającego zmasakrowane zbroki w obryzganym ludzką krwią pokoju, świeżo po makabrycznej rzezi, wcale nam w tym nie pomagała.

Z samego rana - czyli gdy zapalono lampę na korytarzu - zwlokłem się ze skromnego posłania. Czując się niczym ścięty, poczłapałem na korytarz, ku znajdującej się na końcu naszego korytarza wygodce.

Niewyspany umysł nawet nie protestował, gdy zbliżyłem się ku jej drzwiom, choć łączyła się ona, przez szczelinę na odchody, z tą samą jaskinią co wychodek w drugim korytarzu. Wtedy to mój wzrok spoczął na stojącym twardo na swoim posterunku Rumberdzie. Prawdę mówili, krasnoludy to twarde ludziki.

Towarzyszący mu strażnik nie był tym samym który stał przy nim gdy wróciliśmy do siebie - oni się zmienili, krasnolud trwał dalej. Dopiero kilka godzin później zmienił go Apok.

W sali trwała żałoba po zmarłych, lecz lamenty osadników tylko grały gościom na nerwach, przypominając o ostatnich wydarzeniach, o naszej bezsilności i o tym że, choć skryci za grubą ścianą i solidnymi drzwiami, nie jesteśmy tu bezpieczni. Nikt nawet nie zająknął się pytaniem o to co odkrył mag. Rychło też pojawił się kolejny, o wiele poważniejszy problem.

Polana zaczęła się kończyć. Ogień w kominku przygasł, w sali zapanował chłód. Osadnicy nie byli głupi, zgromadzili na zimę całkiem spory zapas drewna, lecz znajdował się on w przedsionku kopalni i nikt nawet nie myślał by odsunąć zabezpieczającą przejście barykadę, a tym bardziej o wejściu doń, nieważne jak złudna była ta bariera.

- Albo to, albo to - w próbie przemówienia mieszkańcom do rozsądku Holmin wskazał na okna, za którymi szalała zamieć, lecz ci nawet nie chcieli go słuchać.

- Zamarzniemy tutaj! - stwierdził ze złością Kolimach, zacierając ręce. Mi jeszcze aż tak zimno nie było - Na bogów, mamy już sprawcę! Czego jeszcze się bać?

Osadnicy oczywiście myśleli inaczej. Wciąż bali się swojej własnej, dobrze znanej przecież kopalni. Nikt się nie ruszył. Upór górników drażnił, lecz rozumiałem go - bez niego nie przetrwaliby tu ani jednej zimy.

- Takiś mądry, to idź sam! - rzucił kąśliwie Elab.

Kolimach stanął przed nim i spojrział mu prosto w twarz. O co, na demony, chodziło tej dwójce?

- Żebyś wiedział że pójde! - syknął, jakby słowami mógł splunąć mu w twarz - Żebyś wiedział! - odwrócił się do osadników - Wychodzę na dwór, ale potrzebuję pomocników! Kogoś kto będzie rąbał... czy kopał, jeśli gdzieś pod tym śniegiem są polana, gdy ja będę pilnował...

- A ja będę pilnował ciebie! - Elab splótł ręce na piersiach - Zbyt ochoczo dobywasz... noża.

Równie wściekłego jak wtedy spojrzenia Kolimach jeszcze nie postał nikomu, nawet mi.

- Mości kupcze? - Diamdus zwrócił się do Kurkusa - Czy użyczysz nam pomocy?

- Ja pójde - oświadczyła szybko Loina, łypiąc złowrogo na Kolimacha - Ludzi tracim za wiele. Tu czy tam, trzeba się pilnować.

- Nie chcecie włączyć do kopalni, dobrze - stwierdził Mrazin - Niech będzie po waszemu, ale ciepło być musi!

Chcąc nie chcąc, wybierając mniejsze zło, górnicy wydelegowali spośród siebie dwóch, którzy mieli ruszyć w dół doliny. Użyczyliśmy im swoich sań - wszelki ciężki sprzęt osady zamknięty był, wraz z drewnem, w kopalni - i, z całego serca życząc powodzenia, zamknęliśmy za nimi drzwi, podpierając je jedną tylko belką.

Wichura, choć znacznie słabsza niż pierwszego dnia, wciąż była nielicha, lecz nic nie zapowiadało by dziś lub jutro miało się polepszyć, a zapasy drewna liczyły sobie ledwie kilka polan.

Wyprawa miała trwać trzy, cztery godziny, tymczasem było już późne popołudnie, a nikt nie wrócił. Wszyscy szybko uznali że żywym ich więcej nie zobaczą, ja jednak, nie porzucając tak szybko nadziei, siedziałem przy oknie, opatulony w futro, wypatrując powracających sylwetek.

- Nie wróć! - zaniepokojony krasnolud zaczął krążyć po sali.

- Może tylko zabłądzili w śnieżycy - Apok porzucił swoje stanowisko, pozostawiając drzwi pod strażą górala i kupieckiego wojownika - Dajmy im jeszcze trochę czasu.

- Trochę czasu? Trochę czasu? Pół dnia ich nie ma! Ileż może trwać zrabanie kilku drzewek i zatarganie ich dwieście ramion...

- W takim śniegu bardzo długo!

- Górnicy dobrze znają teren - Diamdus, jak zwykle, spokojnie siedział na swoim miejscu, paląc fajkę - nawet jeśli skryty pod ramionami śniegu.

- Prawdę mówicie, panie - przyznał gospodarz - Nie pobłądzą. Może drzewa dość nie należeli. Od dawien nikt u nas nie pobłądził w śnieżycy.

- Ale wszystko się zmieniło! Chaty zasypane, czuby drzew ledwie nad śniegiem sterczą...

- Toć dla nas nie pierwszyczna! Takie zimy mamy co rok!

- Ale czy co rok chodziecie w zawieję po drewno?

Tylko kupiec milczał, wpatrzony w czubki zetkniętych ze sobą palców obu dłoni.

To wtedy popełniliśmy pierwszy poważny błąd. Tak mocno zaabsorbowało nas oczekiwanie iż przestaliśmy zwracać uwagę na to co się działo w samej gospodzie. Wkrótce to się zemściło. Nagle, w nerwowej ciszy, usłyszeliśmy stłumione brzęknięcie metalu, towarzyszący mu ni ludzki, ni zwierzęcy skowyt i głuchy łoskot upadającego przedmiotu.

- Na Figha, wilkołak! - krasnolud pochwycił topór i zniknął w korytarzu.

Popędziliśmy za nim. Drzwi do tymczasowego więzienia były przyknięte, obok leżał górnik - nieprzytomny, lecz żywy. Gdy zaś, w ślad za krasnoludem, wpadliśmy do pokoju...

Isfita, przemieniony w wilkołaka, szamotał się na łóżku ze strażnikiem. Grymas jaki wykrzywił jego twarz...

Aż zadrzałem. Nos, usta, policzki - cała dolna twarz wysunęła się do przodu, na kształt pyska z odsłoniętymi zębami. Działka cofnęły się, przez co zdawały się kłami - lecz było to tylko złudzenie. Lego lewa noga i ręka wciąż były skute, lecz zdołał wyrwać na wolność prawe kończyny i teraz, warcząc głucho, bronił się zaciekle przed Lajkiszem, próbującym śmiertelnie ugodzić go pod pachę długim, cienkim sztyletem. Strażnik był blisko wykonania swego zamiaru, lecz pazury wilkołaka nie pozostawiły go nietkniętego - lewa, zaciśnięta na krtani przeciwnika ręka była rozszarpana aż do mięśni.

- Szybko, szybko! - zawołał kupiec - Zaatakował go, musicie go...

Krasnolud ryknął, zamierzając się toporem w głowę Lajkisha, lecz Apok był szybszy. Odrącił topór - ostrze minęło cel o łokieć - po czym sam, drugą ręką, uderzeniem w głowę pozbawił strażnika przytomności. Lajkisz znieruchomiał. Wilkołak, dysząc ciężko, opadł na plecy. Rozłożył ręce i zawył przeciągle, aż mnie zmroziło, gdy jego ciało zaczęło powracać do swojej formy.

- Powinienem rozwalić mu czerep! - ryknął krasnolud.

- Idioto! - Apok, z płonącymi wściekłością oczami, odwrócił się do kupca, gdy Ossel i Femilur odciągnęli towarzysza od coraz bardziej przypominającego siebie, choć wijącego się w mękach przemiany Isfity - Przecież skutyl! Kupiecki łotrze, tak chciałeś się go pozbyć? Niewiele ci z tego że ściągasz na nas walkę z niewinnymi ludźmi!

Dochodzący od drzwi głuchy pomruk poświadczył kto ma przewagę i za kim ona stoi.

- Bestia musi zginać! - zawołał piskliwie kupiec - Dla naszego bezpieczeństwa! Inaczej...

- Czepieś się niewinnego człowieka! - powiedziałem, nie mogąc zmilczeć.

- Człowieka? - odpowiedział pogardliwie, patrząc na mnie jak na śmiecia - Dziecko, zważ co mówisz! Nie człowiek to, a wilkołak! Wybryk natury, niebezpieczne dziwadło...

- Jak ja? Mnie też chcesz się cichcem pozbyć? - elfa nagle ogarnął spokój - Ty tłusty, zdradziecki synu portowej dziwki! To ty zginiesz pierwszy, dla bezpieczeństwa osady!

Niczym w tańcu, obrócił się lekko w lewo, dobywając szabli, po czym w prawo, płynnym ruchem, ciął ku szyi

kupca. Już gdy wykonywał pierwszy ruch, Felimur i Ossel puścili towarzysza na ścianę i załadowali parecznice, wymierzając je w elfa.

Ostrze szabli zatrzymało się może ze dwa palce przy szyi Kurkusa.

Tym razem nie dobyteł broni. Obserwowałem walkę Lajkisa z wilkołakiem, stojąc wciśnięty w futrynę przez pchających się do środka górników. Noram, nie mogąc się dopchać, został na zewnątrz. Teraz górnicy ruszyli, z nie wiedzieć skąd wziętymi widłami, wprost na kupca, wypychając mnie do środka, wprost między elfa i parecznice strażników. Odskokczyłem do tyłu, ku Isficie. Nieważne w jakiej był postaci, jego nie bałem się wcale - to inni mnie przerażali.

- Stójcie ludzie, stójcie, na litość bogów! - po raz pierwszy i jedyny widziałem wtedy biegnącego Diamdusa. Przecisnął się gwałtownie przez górników, zręcznie omijając dzierzoną przez nich broń, i wpadł do pokoju - Wstrzymajcie się!

I wstrzymali się. Jeszcze raz jego obecność zażegnała, zdawałoby się, nieuchronną jatkę. Osadnicy mierzyli widłami w strażników i kupca, który stał nieruchomo, z przekrzywioną w bok głową, zaciskając zęby, z dziwnie niewzruszoną jak na niego, kamienną twarzą. Apok ciągle trzymał szablę blisko jego szyi; za sprawą napięcia drżała lekko w jego dłoni. Strażnicy wciąż mierzyli w elfa, choć kątem oka chłodno obserwowali górników i ich dwóch przywódców, gotowi zginać w tej walce. Dobrych ludzi dobrał sobie Kurkusa - posłusznych i odważnych aż do granic głupoty.

Mag stanął przed nim, z twarzą ściągniętą gniewem.

- W czym tak ci zawinił ten nieszczęśnik, żeś gotów go zgładzić, choćby i podstępem? - spytał drżącym wściekłością głosem - Nie on jest winien śmierci, czemu więc narażasz bezpieczeństwo nas wszystkich, przesądny głupcze? Czy ktoś tu wyrządził ci krzywdę?!

Kupiec nie odpowiedział. Mógł go nie słyszeć, gdyż w skupieniu świdrował wzrokiem oczy elfa. To Apok wykonał pierwszy ruch. Powoli wzniosł w górę lewą dłoń i opuścił szablę.

- Trzeba było urznąć tę tępą łepetynę! - wydyszał krasnolud. Sam poprzysiągł strzec wilkołaka, lecz zawiódł, głupio opuszczając posterunek. Przez to, za sprawą zdrady, jego podopieczny o mały włos nie opuścił tego świata. Kodeks krasnoludzki był w takich sytuacjach bezwzględny, lecz znów, gotów był go ominąć! - Nieważne co by się potem działo, byłoby na świecie o jednego....

- Nie obchodzi mnie ten głupek - jego towarzysz odwrócił się ku strażnikom, by widzieli że zrezygnował - Chcę w spokoju dotrzeć końca śniegów i odejść z tej przeklętej doliny. Mamy ważniejsze sprawy... Róbcie co uważacie za słuszne - rzucił w stronę górników.

- Nie! Stójcie! - zawołałem, gdy górnicy dali krok w przód - Musi być inne wyjście! Musi...

- Oni nie pojmą - odezwał się nagle Isfita, patrząc na kupca - Znają jedno ino, zabijać...

- Dobra, dobra! - krasnolud myślał gorączkowo - Od teraz, ja, albo Apok, i dwóch górników przed drzwiami. Żadnego więcej strażnika! Jak który się zbliży, zabiję na miejscu! - warknął w ich stronę - Nogi odrąbię i łeb rozwalę, choćby tylko chciał spojrzeć! Klnę się na przodków, wilkołak żywy ostanie, albo pozabijam wszystkich zdrajców, i mniejsza o mnie!

Górnicy spojrzeli po sobie. Wiedzieli, winą już, jeśli nie przysięga, utrzyma krasnoluda w postanowieniu - trudno stwierdzić co w ich przypadku miało większe znaczenie.

- Zgodzim się, ale on musi dać gardła - Holmin, bacząc na reakcję kupca, wskazał na nieprzytomnego wojownika - Rękę podniósł, napadł na naszego, krew utoczył...

Mięśnie na twarzy Kurkusa ściągnęły się w wybuchu bezsilnej wściekłości. Spojrzał na swoich ludzi, lekko kręcąc głową. Widziałem jak wzrokiem wydał im rozkaz - załatwcie przywódców, to reszta się zastanowi. Nie rozumiał że reszta nie będzie się zastanawiać...

- Ustąpcie, jako i szlachetny elf - odparł Diamdus - Więcej krwi chcecie?

- Zostawcie - rzekł Isfita - To na nic. Pamiętajcie dzieci i... Coś jest w dolinie...

- Daruję mu - oświadczył Mrazin, nienawistnie patrząc na strażników - ale zabierzcie z niego łańcuchy! Będzie się bronić, gdy znów popróbują go kłuć. Tym razem, oby i zabił! - odwrócił się i wyszedł.

Odetchnąłem z ulgą. Sytuacja znów była opanowana, choć strażnicy nie opuścili parecznic.

- Mądra decyzja. Koniec z łańcuchami! - oświadczył Apok, patrząc w oczy kupca - A niech zabije w samoobronie...

- Szlachetny elf... - kupiec odwzajemnił spojrzenie. Nie odwracając wzroku, splunął Apokowi pod nogi. Krew się w elfie zagotowała, lecz wstrzymał się. Odetchnął kilka razy, odepchnął silnie kupca z drogi i pośpiesznie

wyszedł na korytarz.

- Na co mi przyszło - krasnolud zgrzytnął zębami - Ja, obrońcą potworów! - ruszył za towarzyszem. Obaj stanęli przy drzwiach, pozwalając by inni wyszli, lecz mając jednocześnie baczenie na to co się działo. Rzucając złowrogie spojrzenia i ciche przekleństwa, ludzie rozeszli się po korytarzu, wciąż w gotowości. W międzyczasie, bez niczyjej zachęty, uwolniłem Isfitę od łańcuchów.

- Przepraszam - powiedziałem. Po prostu musiałem, za całą ludzką podłość.

- Nie twoja wina - odparł cicho Isfita - Ludzi nie zmienisz.

Odrzuciłem łańcuchy pod ścianę i odsunąłem się, pozwalając mu przejść kilka kroków. Doszedł on zaraz do drzwi, oparł się o framugę, patrząc dziwnie na odchodzących gości - ni ze złością, ni z politowaniem. Zawrócił i usiadł na łóżku.

Wyszedłem jako ostatni.

- Wszyscy precz! Od teraz nikt się tu nie zbliża! - krasnolud zamknął drzwi i stanął wraz z Holminem i potężnym, barczystym górnikiem przed drzwiami, tarasując przejście. Patrzył już jednak na mnie zupełnie inaczej niż poprzednio.

Noram na mój widok w milczeniu pokręcił głową.

- To dla naszego bezpieczeństwa - skłamałem - Górnicy nie darowaliby nikomu.

Nie odpowiedział. Wraz z magiem wróciliśmy do sali.

Nieudana próba zamachu odciągnęła z kolei nasze myśli od tych co wyszli na wyprawę, lecz rychło niespodziewany, gwałtowny łoskot po drugiej stronie drzwi i mocne weń uderzenie przywróciło nam pamięć. Jeden z górników przyskoczył do okna.

- Nikogo nie ma! - zawołał w zdumieniu - Coś bym przecie dojrzał, przecie...

Czekaliśmy, nasłuchując. Hałas się nie powtórzył, lecz mógłbym przysiąc że ktoś chwilę temu próbował się dobijać...

- Może ktoś chce nas wywabić? - Noram wypowiedział to o czym myślało przynajmniej kilka osób. Jakże się wtedy różniliśmy...

Gospodarz bez słowa podszedł do drzwi, jednym silnym uderzeniem ręki odbił podporową belkę i otworzył je na oścież. Kłęby śniegu znów buchnęły na całą salę, lecz Mrazin, znikając w śnieżnej bieli, pozostawił je otwarte.

Wybiegłem za nim, choć Noram starał się mnie zatrzymać, trzymając za rękaw. Mało go nie oderwałem.

Mieszkańcy gospody, ci tymczasowi i ci stali, zbliżyli się ostrożnie, bojąc się tego co mogło przyjść, nie ważąc się podejść bliżej drzwi niż na ramię.

Wychodząc na dwór zachwiałem się pod uderzeniem walącego od przełęczy wiatru. Ledwie byłem w stanie utrzymać się na nogach, co dopiero mówić o biegu. Przysłoniwszy oczy zgiętą w łokciu ręką, ruszyłem do przodu. Zrobiłem dwa, może trzy kroki w śnieg, gdy wpadłem na Mrazina; ledwo go widziałem przez pędzące płatki. Pochylał się nad białymi wzgórkami, leżącymi może dwa łokcie obok drzwi.

Nim podszedłem bliżej, gospodarz zerwał się na nogi i zatoczył w stronę drzwi.

- Chodźta, chłopcy, pomóżta! - zawołał - Tożę nasi!

Z pomocą kilku górników wciągnęliśmy do środka sanie, wraz ze spoczywającą na nich parą ciał, oraz pokrytą śniegiem postać, która dociągnęła je aż tutaj, nim padła w śniegu. Górnicy z trudem zamknęli za nami drzwi.

- A gdzie drewno? - spytał kupiec.

- Co tam drewno! - elf odtrącił zgromadzonych wokół sań górników - Gdzie pozostała dwójka?

Kurkusa kiwnął głową. Ossel doskoczył do drzwi, lecz grupa górników energicznie odepchnęła go w głąb sali i samemu wyskoczyła w śnieg. Tymczasem mag, elf, ja i Noram, zajęliśmy się ciałami. Coś mi mówiło że nie znajdę wśród nich górników - nie wiem dlaczego, po prostu to wiedziałem. Powrócili tylko Kolimach, Elab i Loina - jeśli można to było nazwać powrotem. Byli nieprzytomni i poranieni, lecz żywi. Przynajmniej tyle dobrego, pomyślałem. Nie wierzyłem by w osadzie żył ktokolwiek - uzdrowiacz, mag samouk, czy kapłan - kto byłby w stanie uleczyć świeżo zmarłe ciało i przywrócić mu życie - na takie usługi człowiek mógł liczyć tylko w dużym mieście.

Kapłani i wprawnie manipulujący mocą uzdrowiciele potrafili ożywić zmarłego. Zdarzało się że kogoś pchnięto zdradziecko w alejkach, zmarł kto w podróży, od uderzenia czy nagłej choroby - mawiano nawet że

na Świecie żyje kilku zdolnych ożywić nawet po śmierci od trucizny. Warunek był jeden - przyczyna śmierci musiała zostać usunięta na czas; rany uleczone, trucizna zneutralizowana, choroba wstrzymana. Bez tego przywrócona dusza znów opuściła by ciało. Niestety, trzeba było je wyleczyć w ciągu około pół godziny - potem, a czasem i wcześniej, więź między ciałem a opuszczającą je duszą ostatecznie zanikała. Tylko po spełnieniu tych warunków odpowiednie zaklęcie mogło przywrócić życie. Gdy pajęcza nić, łącząca duszę z ciałem, została zerwana, ciało mogło ożyć już tylko jako umarłak.

Postać leżącą w śniegu, tuż przed mocno nadwerżonymi saniami, okazała się Loina. To ona musiała sprowadzić je ku gospodarzowi i resztką sił zastukać do drzwi. Jej przypadek był najłżejszy. Pozostawiwszy dwa pozostałe opiece znajdujących się lepiej na rzeczy wędrowców, z pomocą górników i jej towarzyszy broni przenieśliśmy ją na stół i rozebraliśmy.

- Jest zmęczona i przemarznięta - powiedziałem - Najpierw klatka piersiowa. Płuca i serce muszą być rozgrzane najpierw...

- I niby wiesz to wszystko? - kupiec wyraził swoje ironiczne zdziwienie.

Odwrociłem ku niemu głowę, nie odpowiadając. Dostrzegłem jak Diamdus rzucił na Kurkusa szybkie spojrzenie. Wraz z Noramem zaczęliśmy rozcierać ciało strażniczki. Gospodarz znów zaparzył wody. Próbuąc ożywić Loinę, odkryłem duży siniak na jej karku. Zdumiewające że zdołała to wytrzymać, zachować przytomność i dociągnąć sanie aż tutaj! Póki co, zmilczałem, uznając że na dochodzenie przyjdzie czas później.

Wreszcie, wciąż nieprzytomna, Loina westchnęła ciężko. Jej oddech, dotąd ledwo dostrzegalny, wzmocił się i nabrał regularności. Skóra zaróżowiła się, szybko wypierając bladoniebieskie plamy. Nie znalazłem śladu odmrożeń; pozostało nam tylko okryć ją ciepłymi kocami. Pozostawiłem ją pod opieką Norama i ruszyłem zobaczyć jak radzą sobie inni.

Górnicy wrócili z niczym. Po ich oczach wiedziałem że zażądają wyjaśnień. Nie wątpiłem, po tym co się stało w gospodarstwie będą bardzo stanowczy. Kurkusa dobrał się tymczasem do sań, znajdując ledwie kilka zgarniętych gdzieś po drodze polan. Natychmiast wrzucił je do ledwie żarzącego się paleniska w chłodnym już kominku.

Przecisnąłem się przez otaczający pozostałych pacjentów tłumek. Stan pozostałej dwójki był dobry. Siniak, jaki dostrzegłem na karku Kolimacha, łudząco przypominał ten u Loiny. Wędrowiec był znacznie bardziej wychłodzony, lecz ocalił go gruby kożuch, okrywa śnieżna i fakt że dłużej leżał na saniach. Tu i ówdzie dostrzegłem niewielkie rany i zadrapania, lecz nie wyglądały poważnie. Gorzej było z Elabem. Był cały w zakrzepłej już krwi; pierś, od lewego barku aż ku prawemu biodru, rozcinały krwawiącymi w cieple, trzy szerokie rozdarcia, jakby od potężnych pazurów. Prawy bark rozszarpały cztery inne, lecz nawet on miał szczęście gdyż, choć głębokie, rany nie rozdarły ciała aż do kości. Rzekome pazury musiały jednak w którymś miejscu wnikać głębiej w ciało, gdyż sącząca się krew była wyraźnie ciemna - jak wiedziałem, krew takiej barwy wychodzi z przeciętych żył płucnych. Większość energii ciosu poszła jednak na rozdarcie ciężkiego futrzanego kożucha i lekkiej, skórzanej zbroi, jaką, jak się okazało, nosił tuż pod wierzchnią tuniką. Widziałem już kiedyś coś takiego, na sobie - ślady przypominały jako żywo niedźwiedzie pazury, lecz były zbyt wąskie, zaś broń zwierza zdawała się ostrzejsza. Po ich układzie poznałem że młodzieniec stał wtedy na nogach - nie była to więc roleta wilka. Ten zwierz nie sięgał tak wysoko pazurami, nie zdołałby też drapać tak głęboko. Zauważyłem też dwa duże sińce na czole i rozciętą w dwóch miejscach wargę. Jakiż zwierz mógł mu je przyprowadzić?

Stare palce Diamdusa sprawnie poruszały się tymczasem w tańcu z igłą i nicią, zaszywając rany, gdy jeden z górników ścierał sącząca się z nich krew. Mag bynajmniej nie robił tego po raz pierwszy.

- Masz zioła na krwawienie? - spytał, na chwilę unosząc ku mnie wzrok znad stołu.

Kiwnąłem energicznie głową. Przecisnąłem się obok obserwującej maga pary strażników - Femilur właśnie bezceremonialnie odepchnął Norama od Loiny - i pośpieszyłem po specjalne, gojące bandaże, sztuki sporządzania których nauczyłem się dawno temu. Większość ze zgromadzonych nawet nie wiedziała jakie kryją w sobie moce, lecz gdy okładałem nimi świeżo zaszyte rany, przez twarz Diamdusa przemknęło coś na kształt zdumienia. Musiał je rozpoznać, nie dał jednak żadnego znaku zainteresowania.

Resztki naszych zapasów ziół i bandaży poszły na opatrunki i kurację; także Mrazin wysupłał co tylko mógł. Diamdus, mając trochę własnych medykamentów, polecił mi je przynieść z jego pokoju. Przy okazji

przejrzałem, z ciekawości, bagaże jego i Elaba. Nie znalazłem nic szczególnego, poza rzucającym się w oczy bogactwem. Nawet należące do nich drobiazgi były wysokiej jakości.

Nim Diamdus skończył zszywanie ucznia, Kolimach zaczął dawać pierwsze oznaki powrotu do życia.

Wkrótce, wraz z Loiną, gapił się na dogasające płomienie, jakby nie dostrzegając że wszyscy, poza pilnującymi bezpieczeństwa wilkołaka górnikami i krasnoludem, oczekują na wyjaśnienia. Współtowarzysze z wyprawy zapomnieli na chwilę iż nie tak dawno byli gotowi posiekać się wzajemnie, połączeni czymś straszniejszym niż najbardziej zjadła niechęć.

Otoczyliśmy ich, to siedząc, to leżąc, cierpliwie czekając aż dojdą do siebie.

- Zeszlim w dolinę, jak było mówione - Kolimach odezwał się słabym głosem. Wciąż gapił się w ogień, lecz nie musiał się rozglądać by czuć naszą obecność - Górnicy znali drogę. Nie zabłądziliśmy...

- Cięli w drzewo gdy coś... - podjęła Loina, gdy przerwał. Nie mogłem nie dostrzec jak odwracali od siebie wzrok - Coś było w śniegu, się czało... Więc pobieglim...

- Samych ich ostawiliście? - spytał gniewnie Holmin.

- Przecież by złapać zabójcę - mechanicznie, bez emocji odpowiedziała strażniczka - Kolimach ostał na straży. Pobiegliśmy, ale... ale... - pokręciła głową - Pogubiliśmy się. Chłopak gdzieś mi zginął. Nie chciałam zostać sama, nie wtedy gdy... Poszłam za głosami toporów i wtedy... Wtedy... - zadrżała - Krzyki... a potem... cisza... Wszystko ustało... - jej twarz wykrzywiła się w histerycznym uśmiechu.

- Wrzasków żem nie słyszał - Kolimach odwrócił się ku nam i złapał za kark - Baczyłem na drwali i okolicę. Wiedziałem, coś było nie tak! I nagle... coś mnie uderzyło i...

Pomruk gniewu przetoczył się po sali. Rozejrzałem się nerwowo, ale górnicy tylko stali i słuchali. Kolimach zmilczał; po chwili mówić zaczęła Loina.

- Pierw znalazłam ciała, rozedarte jak te pierwsze... - wyciągnęła przed siebie dłonie - A potem...

Młodzieniec... pochylony nad... - kiwnęła głową ku towarzyszowi - Nie widziałam wyraźnie w śniegu, ale miecz uniósł... Zaraz spojrzał na mnie i krzyknął...

Objęła się ramionami i zatrzęsała. Oto jak chwile szoku i napięcia wydobywają z ludzi miejsce ich prawdziwego pochodzenia, obdzierając ich mowę z maskujących, zdobywanych w szerokim świecie naleciałości. Nie ze średnio zamożnych, mieszczańskich rodzin pochodziła ta dwójka, co próbowała poświadczać swą mową, lecz z ulic ubogich dzielnic.

- To... to... z tyłu... uderzyło mnie nagle i pchnęło w bok... W śnieg padłam, ale przytomna byłam. Nie majacze! - ożywiła się, zerwała na nogi i stanęła naprzeciw nas - Jak wstałam, młody leżał w śniegu, we krwi. Złapałam miecz, ale to już uciekło!

- Krzyknąłem byś uważała, głupia! - usłyszeliśmy nagle z drugiego końca sali, gdzie na kupieckim stole leżał Elab.

Odwróciliśmy się ku niemu jak jeden mąż. Elab zeskoczył ze stołu; zachwiał się, lecz w porę uczeplił jego blatu. Jedni obserwowali go w zdumieniu, inni z przerażeniem - normalny człowiek nie mógłby tak szybko wstać! - lecz ja wiedziałem. Znałem siłę magicznych bandaży, wiedziałem że potrafią postawić każdego na nogi w jeden dzień, lecz nawet biorąc pod uwagę kryjące się w nich moce, Elam dochodził do siebie niezwykle szybko.

- Spokojnie, ludzie - odezwał się Diamdus - To starożytna sztuka pozwoliła mojemu uczniowi tak szybko wrócić do siebie - zwrócił się ku mnie - Niewielu zna dawne moce leczenia, lecz ten chłopiec wie jaki robić z nich użytek.

Górnicy, kupiec i jego ludzie, nawet Kolimach, spojrzeli na mnie podejrzliwie. Elab tymczasem, czując się pewniej, podszedł ku nam i oparł się dłońmi o stół tuż obok Kolimacha i Loiny, odwracając ode mnie uwagę innych. Mimo znaczącego spojrzenia swojego nauczyciela, popartego kiwnięciem głowy, nie uznał moich starań za warte podzięk. Ledwie na mnie spojrzał, by za chwilę wściekłym spojrzeniem świdrować Loinę.

- Mogłaś to ubić! - na wpół warknął, na wpół wycedził - Mogłaś skończyć kłopoty z bestią, ale stchórzyłaś, strażniczko! Walczyłem z tym, ale ty...

- Walczyłaś? - parsknęła. Oskarżenia szybko przywróciły ją do normalności - Padłeś w śnieg jak ścięta kłoda! Miałam za nim gnać w tej śnieżycy? Gdybym tak zrobiła, głupcze, twoje zwłoki leżałyby wraz z innymi, w śniegu!

- Miałas siłę by wrócić, mogłaś...

- Miałam siłę? - podeszła do niego. Byłem pewien że go uderzy w twarz - A tyś czego chciał od niego? -

wskazała ręką na Kolimacha; ten rzucił jej niechętnie spojrzenie - Nie wiesz, myślisz, że nie widzimy co jest między wami? Zabić go chciał, gardło poderznąć...

- Sprawdzalem czy żyje, głupia kocico! - Elab aż zawył z wściekłości, lecz nie umknęło mojej uwadze iż na krótki moment poruszył oczami, rzucając szybkie spojrzenie na mierzącego go wzrokiem Kolimacha - Myślisz że jestem tak głupi jak ty? Nie ja zgubiłem ślad, nie ja zgubiłem bestię z oczu! Widziałem jak zaatakowała! Tylko przeze mnie nie zdążyła go rozszarpać, jak innych!

Jedna niewyparzona gęba, pomyślałem, a delikatna nić, wiążąca wszystkich razem w strachu przed nieznanym zabójcą, przysła na dobre. Dlaczego tak ochoczo wszyscy skakali sobie do gardeł, gdy wokół czaiło się większe niebezpieczeństwo?

- Tylko dzięki mnie możesz teraz pleść swe głupoty, dziecko! Kto załadował was na sanie, kto je przyciągnął? Nawet nie pamiętam jak tu trafiłam! Zemdlałam po drodze, ledwie znalazłam drogę powrotną... Powinnam sobie ulżyć i od razu zwalić cię z sań! Nie, nie powinnam nawet na nie pakować takiego drania! - osłabiona wybuchem złości, przysiadła na ławie - Nie wiem nawet... byłam pewna...

Elab i Kolimach zmierzili się chłodnym spojrzeniem.

- Tu też się działo - zauważył sucho Apok.

Dotąd spokojnie przyglądał się awanturze, ze splecionymi na piersi rękoma, teraz gapił się na Loinę. Dostał to co chciał - Loina, zaskoczona, rzuciła swojemu szefowi szybkie, ni pytające, ni zdziwione spojrzenie. Oczywiście Kurkusa rozszerzyły się z nagłej obawy, ledwie dostrzegalnie pokręcił głową, lecz było za późno - Loina się zdradziła.

- Wiedziałem! - elf stanął łokieć przed kupcem - Wszystko zostało ukartowane!

- Odejdź, mroczny, bo usiekę, jak słowo daję! - ostrzegł Kurkusa, ale Apok i bez tego nie był w nastroju do sprzeczki. Odwrócił się i odszedł na bok, po drodze posyłając mijanej Loinie zimne spojrzenie.

- Czy teraz wypuścicie Isfitę? - spytałem twardo kupca, spoglądając spode łba na jego ludzi - To oczywiste że...

- Nie ma mowy! Dość nam jednej bestii na wolności!

- A wiemy chociaż czy tam co jest? - dodał Femilur - Wszystko co widzimy, to ino majaki w śnieżycy!

- Tam może nic nie być - inny posłał Kolimachowi wyzywające spojrzenie, zaciskając dłoń na rękojeści szabli

- Kto inny może mordować... Kto był sam na sam z górnikiem, a potem próbował rozprawić się ze swoim kompanem...

- Jak śmiesz, najemny pacholku! - Kolimach zerwał się na nogi i doskoczył do niego, ze sztyletami w dłoniach. Okrążyli się parę razy, gotowi ciąć.

- Taaak? - elf wykrzywił się ironicznie - Więc kto przewrócił waszą ładacznice? Duchy?

- Głupcze! Chcesz wypuścić wilkołaka? - zasyczał Elab - Mało ci tego?

- Warto to rozważyć - ocenił mag - Jeśli bestia jest realna, w co nie wątpię, dodatkowa para rąk...

Nerwowość i nieufność wśród gości była jednak zbyt wielka by ktokolwiek zwrócił na niego uwagę. Jeśli nie Isfita był winny, to jakie siły przyczyniły się do tragicznego końca wyprawy po drewno? Oskarżenia kupieckiego wojownika brzmiały rozsądnie. Mogłem sobie wyobrazić iż Elab celowo zgubił Loinę i zawrócił, by policzyć się z Kolimachem, o cokolwiek im szło, zaś górnicy zginęli, by nie było świadków... Jednego wszak nie potrafiłem wyjaśnić. Jeśli to była ich robota, jeśli górnicy już leżeli martwi - Loina wszak widziała ich rozszarpane ciała - a Kolimach został pokonany i pozbawiony przytomności, to kto przewrócił strażniczkę? Tylko dwie rzeczy mogły to wytłumaczyć - albo dziwna postać, zjawiająca się co i rusz w zamieci, była jak najbardziej realna, lub też cała trójka była w jakiejś przedziwnej zмовie... Niestety, nie było jak tego dowieść. Tylko głupiec podjąłby w taką pogodę próbę odszukania ciał górników, by sprawdzić jak naprawdę zginęli, a i ja byłbym głupcem, próbując wtedy o tym mówić, gdy nawet budzący szacunek Diamdus został zignorowany. Cała sprawa ucichła zresztą szybko. Mało kto dbał o to co i dlaczego łązi po dworze, ani kto morduje. Ważniejsze były wzajemne oskarżenia, podejrzenia, wymachiwanie bronią... jakby sama ilość wysuwanych oskarżeń mogła udowodnić niewinność i zarazem słuszność własnej teorii. Jedyną dobrą rzeczą była ta że, poza napaścią na Isfitę, nie doszło w gospodzie do prawdziwej walki, czułem jednak że jeśli sprawy będą dalej toczyć się swoją drogą, będzie to tylko kwestia czasu.

\* \* \* \* \*



Tej nocy wszyscy szcękali z zimna. Pootulaliśmy się kocami, by choć trochę się ogrzać, nie zapominając o zabarykadowaniu drzwi - tej praktyki nie zamierzaliśmy zaniechać aż do opuszczenia gospody. Mimo niedogodności zdołałem się wreszcie przespać - spadek po zbyt wielu bezsennych dotąd nocach - gdy znów zbudziły mnie przedwcześnie głośny rumor oraz pełne przekleństw, żywo zaniepokojone czymś głosy. Wściekły na tę nową tradycję, wysunąłem się spod koców, budząc Norama. Zaraz też zacząłem drzeć z zimna, ubrałem się więc w futra - inaczej nie dało się wytrzymać w gospodzie - i, zaspany, powlokłem się do sali, skąd dochodził rumor. Tam pojąłem wszystko. Podeszedłem bliżej, nie wierząc własnym oczom - coś, lub ktoś, rozrucił całą blokującą drzwi do przedsionka barykadę! Dobrze że skobel od drzwi był wciąż zabezpieczony kłódką; zamek, jak sądziłem, również pozostał nie tknięty. Drżąc, szczelniej otuliłem się futrami. Obok mnie przystanął Noram.

- Co to znaczy? - spytał, szcękając zębami.

- Wiem tyle co ty - odparłem, chcąc nie chcąc, w podobny sposób.

Chwilę obserwowaliśmy jak górnicy w pośpiechu odbudowują barykadę. Wokół zaczęli gromadzić się goście.

- Co się stało? - spytałem przechodzącego obok w nerwowym pośpiechu Mrazina.

- Czy to... przedostało się do gospody? - dodał Elab.

- Jeśli tak, sprytne musi być bardzo, i czarować potrafi - usłyszeliśmy - Drzwi nie ruszone!

- Jeśli to nie z kopalni... - zdziwił się Noram - Kto i po co miałby to rozwalać?

Gospodarz, nim odszedł, wzruszył ramionami. Spojrzałem z ukosa na stojącego w pobliżu kupca, zastanawiając się czy to aby nie mróz skłonił pewnych gości, gdy inni posnęli, do desperackiej próby pozyskania drewna...

Osadnicy nie pozwolili wejść do kopalni. Ba, nie pozwolili nawet rozebrać barykady! Nikt też nie zamierzał wyjść na zewnątrz; nie było więc rady - klnąc tchórzostwo przesądnych osadników, krwią gotowych bronić przejścia do kopalni, zaczęliśmy palić w kominku meblami. Na pierwszy ogień poszły meble z pokoi na tyłach, oraz skrzynie z zaplecza - te osobiście wynosił Mrazin, za żadną cenę nie godząc się by ktokolwiek szperał w jego zapasach, czy choćby o jedną ławę uszczuplił barykadę. Zajrzałem raz przez skrywającą uchylone drzwi kotarę, stąd wiem że nie było tam nic specjalnego. Gospodarz bardziej obawiał się łap Kolimacha na swoim skromnym majątku niż zimna w piecu.

Dziwna sprawa - zauważyłem przy okazji iż lewa ręka wędrowca nie jest dziś równie sprawna jak jeszcze poprzedniego wieczora. Zdawała się dziś lekko bezwładna. Przyłapałem go raz, gdy wyciągnął ją przed siebie, zagadkowym wzrokiem obserwując jak drży, najwyraźniej wbrew jego woli. Zauważył mnie zaraz i spojrzał wściekle, wahając się pewnie czy nie cisnąć mi sztyletem w gardło, lecz nie odważył się wykonać swego zamiaru.

- On ci nie popuści - szepnął mi do ucha Noram - Wiesz o tym.

- I co mam z tym zrobić? - odparłem z nutą złości - Dać się zabić? Pozwolisz mu na to?

- Tak o mnie myślisz? - szarpnął mnie i odwrócił ku sobie, patrząc prosto w oczy - Po tym co przeszliśmy, miałbym... Nim dopadnie ciebie, musi przejść przeze mnie! - rzucił przez me ramię wściekle spojrzenie Kolimachowi, znacząco ściskając dłoń na swoim mieczu.

- I wzajemnie, możesz być pewien - odparłem z powracającą pewnością siebie - Jeszcze popełni błąd...

Wtedy postaramy się by wszyscy poznali kim naprawdę jest.

Wędrowiec uśmiechnął się tylko z ironicznym politowaniem, nim splótł ręce na piersi i odszedł na swoje stałe miejsce, by robić to, co umiał najlepiej - czyli nic.

Ustaliwszy że oszczędzimy ławy i stoły na ostatek - twarde drewno i tak nie paliłoby się zbyt dobrze - przenieśliśmy się na dobre do sali. Nie tylko w niej jedliśmy - także spaliśmy, opuszczając ją jedynie w drodze do wygodki, lub celem przeszerperania własnych, pozostałych w pokojach pakunków - nie było na nie miejsca w nagle ciasnym pomieszczeniu. Wtedy też, zbierając się, spostrzegliśmy iż kogoś brak. Kupcowi towarzyszył dziś jeden wojownik mniej.

- Gdzie Loina? - Kurkusa, zaniepokojony, wraz z ochroną jął przechadzać się między ludźmi, przyglądając się każdemu - Widział ty ją? A ty?

Rychło okazało się że nie było jej nigdzie, aż od wczorajszego wieczoru. Zaraz też pomyślałem o rozwalonej barykadzie.

- Może bestia wdarła się do środka? - rzekł w pewnej chwili Kolimach - Może jakoś...  
- Cudów nie ma! - zaprotestował kupiec - Paki może i kto porozwalał, ale drzwi, te na dwór i do kopalni, były nietknięte! Na zewnątrz nie wyszła, tym bardziej nic jej nie zabrało ze sobą.  
- Zanim je otworzymy, winniśmy sprawdzić w środku - zgodził się mag - Cokolwiek się stało, ma swą przyczynę w gospodzie, wśród nas. Człowiek nie może od tak zniknąć!  
- Przeszukamy pokoje, to dowiemy się co się stało - stwierdził groźnie kupiec. Po jego minie poznałem że dzieliłem z nim to samo przeczucie.

Z obawą zabraliśmy się za przeczesywanie pomieszczeń. Nie trwało ono długo - któryś górnik naszedł ją w jednym z pokoi przy lewym korytarzu, w części gospody wyznaczonej dla osadników. Nie myliłem się - była martwa. Nie to żebym widział ciało - na to nie pozwolono nikomu. Elab, Apok i Ossel stanęli przy drzwiach, nie puszczając nikogo.

- Nie macie tam czego szukać, szczeniaki - ostrzegł mnie Elab, gdy tylko się zbliżyliśmy.  
Już nie tylko mnie arogancja i bezczelność młodego ucznia zaczynała irytować i nie było to tajemnicą. Nienajlepsza była to chwila by ją okazać, lecz padło akurat na ten moment. Wszystkim puszczały nerwy, z wyjątkiem Diamdusa. I tak wytrzymaliśmy dłużej niż inni.

- Wiele starszyś nie jest! - wycodził Noram - Nie bądź taki ważny, ty...  
- Myślisz że wystraszę się tego co tam jest? - odparłem hardo, przerywając mu - Na szlaku widywałem gorsze rzeczy. Mogłem rozmawiać z wilkołakiem, to i na zwłoki...  
- Wierząc temu co słyszałem, nie wygląda to wiele inaczej niż ostatnio - Apok starał się nas ułagodzić - Stary mag chciał by nic nie ruszać, póki sam nie zbada pokoju. Nawet ja nie byłem w środku, ani nikt z nas. Widziała to tylko dwójka górników.

Łypnąłem na Elaba, pełen gniewu, lecz kiwnąłem głową i odszedłem bez słowa. Wróciliśmy do sali, gdzie Diamdus przygotowywał się do oględzin. Rozłożył na stole zestaw dziwnych, cienkich, wyglądających na ostre nożyków, dwie miski z wodą i kilka czystych szmat.

- Zamierzam zbadać ciało - oświadczył głośno, nie unosząc głowy znad zbieranych narzędzi - Mam nadzieję że powie mi coś o sprawcy. Jak, dlaczego, kim jest... Dostrzegłem pewne różnice w działaniu i... - wyprostował się i spojrzał na Kurkusa - Czy ktoś ma coś przeciw temu co zamierzam zrobić?

Kurkusa spojrzał chłodno na narzędzia starca, rozważając coś w duchu. Nie odpowiedział, nawet nie zwrócił się do towarzyszy zabitej. Nikt nic nie rzekł. Górnikom nie przeszkadzało że zginał jeden z wojowników tego, który nastawał na życie Isfity - choć pewnie na miejscu Loiny chętniej widzieliby Lajkisa. Zdawali się wręcz radzi że to jego człowieka będzie tym razem kroić. Nie było tajemnicą iż wciąż uważali że wszystko to robota jednego z gości i, szczerze powiedziawszy, tylko my dwaj byliśmy poza podejrzeniem. Nam zaś, przygodnym podróżnikom, bardziej zależało na ocaleniu skóry, choćby i za cenę bezczeszczenia zwłok. Gdybyśmy byli w mieście, mag pewnie zostałby rychło powstrzymany przez prostych ludzi i jeno wsparcie służby miejskiej pozwoliłoby mu kontynuować. Tutaj, w naszej sytuacji, jedynie oddział straży mógłby nas powstrzymać od udzielenia wsparcia.

Diamdus wlaźł do pokoju, w asyście Femilura, jako towarzysza ofiary i zainteresowanego obserwatora, oraz górnika, w roli świadka. Elab i Ossel pozostali na straży. Apok, któremu zmęczenie po nocnej warcie zaczęło dawać się we znaki, udał się do sali na krótki odpoczynek. Szybko jednak wrócił, nie mogąc zmrużyć oka. Rychło cisnął się wraz z nami w korytarzu, przy drzwiach. Przyszło nawet dwóch górników, towarzyszących dotąd Rumberdowi w pilnowaniu Isfity, pozostawiając go samego na stanowisku, lecz byłem pewien, w razie potrzeby wystarczy aż nadto, tym bardziej że jedyni zainteresowani gnietli się wraz z nami w korytarzu. Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy, lecz nasłuchiwaaliśmy odruchowo, ciekawi wyniku i tego co się tam dzieje. Wsłuchaliśmy się do tego stopnia że gdy po kilkunastu minutach coś nagle uderzyło w drzwi, wszyscy nieomal doskoczyli sufitu. Na korytarz w pośpiechu wypadł zataczający się górnik - Epok natychmiast zamknął za nim drzwi. Mężczyzna, tęgi przecieź i niebojaźliwy, trzymał dłonie przy ustach, z trudem powstrzymując wymioty. Na wpół ślepy, gwałtownie przebił się przez tłumek i, zataczając się, popędził ile sił w nogach wprost do wygodki. Za kilka minut w jego ślady popędził towarzyszący mu w oględzinach Femilur. Uśmiechnięty ironicznie Elab obu odprowadził wzrokiem.

- Puście mnie, u licha! - Apok przebił się do drzwi - Niech zobaczą co się tam wyprawia!  
Odrzucił młodzieńca i gwałtownie wdarł się do środka, zamykając za sobą drzwi. Byłem pewien że i on zaraz

stamtąd czmychnie, lecz nie... Apok najwidoczniej miał twardy żołądek.

Wyobrażając sobie jakież to okropieństwa mogą się tam dzieć, że wystraszyły nawet doświadczonego strażnika, czekałem z wzrastającą niecierpliwością na wynik. Wreszcie, po może pół godzinie, drzwi otworzyły się powoli, wypuszczając maga i elfa.

- Sprzątnijcie tam - polecił Diamdus, nie patrząc na nikogo. Rękawy jego szaty były podwinięte, ręce po łokcie upaprane we krwi. W jednej dłoni trzymał krwawą szmatkę z nożykami, w drugiej inną, trochę tylko czystsza.

Elf nawet nie był blady. Zamyślony i równie ponury jak pogoda za oknami, w milczeniu szedł u jego boku. Bez słowa ruszyliśmy za nimi, jedynie Ossel i dochodzący do siebie po walce z wilkołakiem Lajkisz doskoczyli do drzwi, by sprawdzić co za sobą kryją.

Mag wrócił do stołu z rozłożonymi narzędziami. Powoli, wręcz z przesadną uwagą, opłukał ręce w pozostawionej na tę okazję misce, obtarł wciąż czerwone dłonie, oczyścił narzędzia, owinął je w czystą szmatkę i zsunął podwinięte rękawy. Nikt go nie popędzał. Wszyscy byliśmy w uścisku wiszącej w powietrzu grozy, którą pogłębił powrót bladych jak śnieg strażników. Długo szeptali coś, jeden przez drugiego, wprost do ucha swojego szefa.

- Nie mam wątpliwości - oświadczył wreszcie Diamdus - Morderstwo, rzekomo dokonane przez bestię, to oszustwo.

Ludzie westchnęli ze zgrozą, ale ja i Noram spojrzeliśmy po sobie znacząco.

- A te poprzednie? - ktoś rzucił pytanie - Czy one też...

- Tamte były prawdziwe, nie mam wątpliwości. Tym razem to co innego. Sprawca musiał użyć topora, by rozpocząć dzieło. Potem, by ukryć prawdę, użył bardziej precyzyjnych narzędzi, lecz to nie wystarczyło. Ktoś ohydnie podszywa się pod bestię, próbując nas wystraszyć! - stwierdził, lecz czułem że nie o bestię chodziło, nie bezpośrednio.

Wyjął coś z chustki, włożył do miski i wypłukał uważnie. Gdy wzniósł to w górę, poznałem fragment ludzkiego żebra, w połowie wciąż pokrytego kawałkami mięsa.

- Wydawało mi się że na odsłoniętych fragmentach żeber u dzieci widniały ślady zębów... Znalazłem je też na zwłokach zabitej rodziny. Tymczasem te tutaj... - wskazał na niewielkie wyszczerbienie, powyżej niewielkiego zgrubienia - To obok to ślad starego złamania, ale tu, o tutaj, to rana od ostrza. To nie były pazury, lecz czyjś nóż, lub miecz! Kości zostały rozerwane, owszem, ale w zupełnie inny sposób!

Odrzucił fragment kości na chustę, jakby to był widelec. Kilku górników umknęło pośpiesznie ku wygodce, przepychając się po drodze. Blady jak ściana Noram także był tego bliski, lecz wytrzymał, jak ja. W odruchu, złapaliśmy się za ręce i ścisnęliśmy mocno.

- Musiałeś ją kroić, by się o tym przekonać, rzeźniku?! - ryknął Kurkusa - Mało ci był ten kawałek kości? Rozumiałem go - musiał kogoś zaatakować, kogokolwiek, bez tego by nie zdzierzył, lecz Diamdus był celem tyleż przygodnym, co potrafiącym skutecznie się obronić.

- Pochopnie nazywasz mnie rzeźnikiem, niedoświadczony kupcze - odparł spokojnie, nie unosząc wzroku znad stołu - Musiałem się upewnić że nie usunięto organów! Nie jestem pewien, nie sprawdziłem tego dokładnie... lecz dzieciom wyssano krew, wyrwano płuca i serce, a zapewne także wątrobę i śledzionę. W takim stanie były poprzednie zwłoki, na ile mogłem to stwierdzić, badając ich resztki, lecz te są inne - wciąż pochylony, zwrócił się twarzą ku kupcowi - Na oko tego nie zauważysz. Owszem, sprawca wyciął waszej towarzysze serce i płuca, oraz spuścił krew, zapewne do jakiegoś naczynia, sądząc po zapachu, lecz pozostawił inne organy, dając tym dowód swojej ignorancji!

Wyprostował się i rozejrzał po zgromadzonych, przyglądając każdemu z osobna. Jego twarz zamieniła się w srogą maskę. Niejeden, choć musiał być niewinny, odwrócił od niego wzrok. Nie spojrział tylko na nas, na Kurkusa i jego świtę, oraz na siedzącego tuż obok Apoka.

- To go zdradziło - oświadczył - Nie przyjrzał się zwłokom aż tak dobrze by w pełni naśladować bestię! Same ślady cięcia nie byłyby jeszcze dowodem. Potwory, które dopuszczają się takich rzeczy, gdy nie głodują na tyle długo by stracić nad sobą panowanie. Zwykle skrywają ślady swojej bytności pod pozorem rytualnych mordów przeróżnych dzikich, prymitywnych sekt - przelotnie spojrział na prawie nie słyszającego go Apoka - Dla zmylenia ludzi nie używają swych kłów, ni pazurów, lecz nigdy, nigdy nie zostawiają w ciele najbardziej... pożywnych części - wskazał na elfa trzonkiem trzymanego w ręku, zakrwawionego wciąż nożyka - Spytajcie mojego asystenta, jeśli macie wątpliwości.

Asystent nie odpowiedział, dumając nad czymś. Nikt zresztą nawet na niego nie spojrzał - poza strażnikami. Pobledli wszyscy, którzy wciąż byli w sali. Zadrżałem, obejmując ciało ramionami. Nie wiedziałem co Diamdus wyprawiał w tamtym pokoju, lecz mówił o tym tak rzeczowo że aż miałem ochotę biec od wygodki. Zrozumiałem przyczynę jego wiecznego spokoju. Kto, zajmując się takimi rzeczami, dla wielu jawiącymi się zwykłym świętokradztwem, miałby w sobie jeszcze miejsce na emocje? A jednak, pozostał uprzejmym, miłym człowiekiem, nie tak jak jemu podobni, nieprzystępni, aroganccy magowie. Przyczynę ich zachowania także począłem pojmować.

Nie szło już o zwykłe zabójstwo. Do tych można było się przyzwyczaić, lecz masakrowanie zwłok, nieważne czy dla zaspokojenia dzikiego głodu, czy dla dowiedzenia prawdy... To nie było coś z czym nieuczony człowiek mógł się pogodzić, a i wśród magów różne panowały opinie. Wielu wołało testować magią, miast kroić, nawet jeśli magia była bardziej zawodna od takich oględzin.

- A ty, mości magu, dziwnym zbiegiem okoliczności znasz się na... - zaczął Kolimach.

- W mojej pracy nie raz musiałem sprawdzać takie ofiary - Diamdus wrócił do porządkowania stołu, choć, byłem pewien, nikt już doń nie zasiądzie i rychło skończy w piecu - Kroilem po równo wampiry, wilkołaki i nieszczęśników, których znaleźli na swojej drodze. Chcę tego czy nie, należy to do niektórych aspektów mojego zawodu. Nie raz dochodzi do sytuacji gdy staje się to jedynym sposobem udowodnienia że w swoich sądach mam rację. Elab może potwierdzić część z tego co mówię, lecz nie sądzę by dla was miało to jakiegokolwiek znaczenie.

- Morderstwo więc, nie napaść... - w zapadłej nagle ciszy niespodziewane słowa Apoka zabrzmiały aż nadto wyraźnie - Żadnych śladów pazurów, ni kłów... Same czyste cięcia.... Kto, na Wielką Czwórkę, mógł to uczynić? Kto... Przecież ktoś z nas...!

Na wpół widzącym wzrokiem rozejrzał się po sali. Gdy jego spojrzenie przesunęło się po strażnikach, otrząsnął się niespodziewanie i zerwał na równe nogi.

- Zaraz! - zawołał, wyciągając przed siebie dłonie - Nie czas na sprzeczki! To nie tak jak...

- A skąd wiesz co myślimy, jeśliś nie ty to uczynił? - Ossel powoli położył dłoń na głowni szabli - Sam rzekłeś, to ktoś z nas...

- Wlazł tam, by zatrzeć ślady! - warknął Femilur.

- Och, nie! - Diamdus był tak pochłonięty pracą że zdawał się nie zauważać co się dzieje - Ślady zatarto dużo wcześniej. Fachowa robota, przyznaję. Poza ciałem, niewiele było do zbadania. Wiem tylko że nie tam zginęła. Ciało wniesiono tam i poszatkowano na miejscu. Nie sądzę byśmy znaleźli właściwe miejsce zbrodni. Ktoś tak ostrożny w tym co zrobił zapewne potrafi też zabić bez śladu.

- To niczego nie zmienia - Femilur puścił jego słowa mimo uszu - Zabawiłeś się z nią, a teraz pozbyłeś? Ty...

- Zastanów się co mówisz, nim sprawię ci nowe, równie kłamliwe usta pod grdyką! - elf sprawnym ruchem wy dobył szablę i skierował ją w stronę strażnika - Całą noc pilnowałem drzwi, wraz z górnikami! Mam świadków, łotrze! Potwierdzą że Rumberd zmienił mnie niedawno! Miałem iść spać, gdy zauważyłem co się stało! Do tego czasu wasza dziwka zdążyła już wystygnać!

- Nazwij ją tak jeszcze raz, pomiecie demona, a... - Ossel zbliżył się ku niemu kocim krokiem.

- W każdej chwili - Apok wyraźnie gotował się do walki - Spróbujcie naraz, równą szansę mieć będziecie... Tamci posłuchali go aż nazbyt ochoczo. Tylko Kurkusa nie palił się do wyciągania broni. Także górnicy, dotąd porywczy w chwytaniu za swój tyleż prymitywny, co skuteczny oręż, trzymali się od wszystkiego z daleka. Otoczyli nas, nie zamierzając się wtrącać. Nawet ich dzieci, co stwierdziłem z zaskoczeniem, przywykły do ciągłych awantur. Już nie bały się tak, jak za pierwszym razem. Trójka młodszych wręcz obserwowała wszystko z ciekawością, zza pleców swoich ojców!

Elf był zdany na siebie. Nikt nie wykazywał woli pójścia mu z pomocą. Krasnolud, nie podejrzewając co się dzieje, dalej strzegł Isfity, dla ludzi, którym los jego kompana był zupełnie obojętny! Tyle było dobrego, że strażnikom też nikt nie chciał pomóc - przynajmniej nie fizycznie.

- Niczego nie widziałeś, całą noc? - spytałem, próbując znaleźć coś co nie dopuściłoby do rozlewu krwi. Kolejna ofiara, kolejna kłótnia, a bestii ani śladu!

- Czemóż miałby? - zadrwił Kolimach. Sam nie mieszał się do walki, lecz aż palił się do tego bo ją podsycić - Krasnolud mógł go wspomóc. Warto by było oślepnąć, na chwilę czy dwie...

- Miałbym widzieć więcej niż Rumberd? - Apok nie spuszczał wzroku z próbujących go otoczyć napastników. Świsnął szablą ku nazbyt zbliżającemu się Osselowi, by za moment obrócić się, mierząc czubkiem szabli w

stronę próbującego wykorzystać okazję by zająć go z boku Lajkisha - Ladacznicą była uwodzicielską, ale śmierci jej nie życzyłem.

Tańczył na palcach, zgrabnie i pewnie trzymając na dystans przeważających liczebnie przeciwników.

Poruszał się z gracją tancerza bardziej niż wojownika, a jednak każdy jego krok i gest miały swoje uzasadnienie. Mag tymczasem obserwował szykujący się pojedynek z nieodgadnionym spokojem. On i Kurkusa zmierzili się na długą chwilę wzrokiem.

- Dość, Ossel - rzekł wreszcie kupiec - Chcę prawdziwego sprawcy, nie byle jakiego trupa!

Strażnicy opuścili broń. Elf przerwał swój taniec, zwrócony plecami ku ich szefowi.

- Jeśli mówisz prawdę - rzucił, mierzając strażników wzrokiem - to szukaj jej kuszy. Miała ją zawsze ze sobą, więc gdzie jest teraz? Znajdźcie ją, to znajdziecie prawdziwego sprawcę.

Zrozumiałem - nie znaleźli jej przy ciele, lecz... Przeczucie mówiło mi że odnalezienie broni niewiele ujawni.

Kolimach, rozczarowany przebiegiem zdarzeń, nie wziął udziału w poszukiwaniach. Zamiast tego, cały czas siedział spokojnie, gapiąc się na nas. Dokładniej - na mnie. Z jego pozy i zachowania biło przeświadczenie iż wkrótce sprawy potoczą się po jego myśli. Nie miałem wątpliwości co mu chodzi po głowie. Ja i Noram także czekaliśmy - miałem bowiem dziwne wrażenie że gdy wyjdę z sali, coś ostrego może wbić mi się w kark, coś cienkiego na tyle by nie zostawić po sobie wyraźnego śladu. Ciosu w plecy się nie obawiałem; chroniła mnie kolczuga, lecz wprawny zabójca nie tam by mierzył.

Tymczasem Apok i Rumberd, za cichą radą Mrazina, przyprowadzili Isfitę do sali i skuli go w kącie. Nie w smak było to Kolimachowi. Co rusz posyłał górnikowi to samo spojrzenie co mi, lecz nawet nie zaprotestował, gdy to się działo. Gapił się tylko, dobrze widząc znając że dziś jego protest, choćby i wsparty kupiecką drużyną, nie zda się na wiele. Isfita nie pozostał mu dłużny - odpowiadał wędrowcowi nieruchomym, chłodnym wzrokiem. Szczerze pragnąłem by Isfita go rozszarpał. Górnicy nie daliby mu zrobić krzywdy, a i wielu gości z ulgą nie powitałby śmierci wędrowca o obiecującym śmierć spojrzeniu. Ja nie miałbym nic przeciwko...

Elf i krasnolud już mieli dołączyć do poszukiwań gdy rozległy się okrzyki, a zaraz potem - wrzaski. Otoczona górnikami grupka strażników wpadła do sali, pchając przed sobą nieźle poturbowanego Elaba. Za nimi, jak zawsze spokojnie i dostojnie, kroczył jego mistrz - a tuż za nim Kurkusa, z przyłożonym do karku maga ostrzem szabli.

- Mamy gagatka! - Ossel darł się na cały głos, wymachując na wszystkie strony znaną parecznicą, oraz zdjętą z niej, zerwaną cięciwą, świszcząc nią niczym batem - Czekaj no, demonie nasienie, naczniem cię ze skóry obierać, to zaśpiewasz jako ta ptaszyna na wiosnę!

Elab milczał, próbując zachować swą zwyczajową, ledwie mieszczącą się w nim dumę oraz godność. Z ironicznym uśmiechem na obitej twarzy pozwolił doprowadzić się na środek sali, gdzie odwrócił się i w milczeniu zmierzył swoich oprawców pogardliwym spojrzeniem.

Ludzie zebrali się w sali, wypełniając ją gwarem krzyżujących się rozmów. Ten i ów splunął w twarz wciąż pogardliwie uśmiechniętego Elaba. Kolimach także się uśmiechnął, splatając ręce w geście bezgranicznego zadowolenia.

- Odłóż tę szablę, głupcze! - ustawiony obok swego ucznia mag ofuknął ze złością kupca, nawet się doń nie odwracając. Nie czekając na reakcję, ruszył przed siebie, nie zwracając uwagi na uzbrojonego Kurkusa.

Staął z boku, pozostawiając ucznia na pastwę tłumu.

- Czekaj no! - kupiec ruszył za nim - Jeśli to jego robota to i ty musiałeś co wiedzieć!

- Zostaw! Mag odpada! - krasnolud, z pomocą elfa, z trudem przedarł się przez ludzki tłum. Staął przed kupcem i hardo patrząc w górę, w jego oczy - Głupcem jesteś, zaiste i zasłużenie! Gdyby to była jego robota, nawet by się nie zająknął że morderstwa dokonał człowiek! - podkreślił ostatnie słowo.

Zmieszany, kupiec dał krok do tyłu.

- Wybacz, panie... -- bąknął niepewnie - Nie pomyślałem...

- Jako widać! - odparł mag z wyższością - I nie pierwszy to raz! Nie jesteśmy długo razem, lecz znam swojego pomocnika na tyle by...

- Więc pozostaje uczeń... - rzekł głośno Kolimach. Wstał i zbliżył się do Elaba. Ludzie rozstępowali się przed nim z wyraźną obawą - To nawet pasuje. Znam ci ja go dobrze, sami to wiecie.

- Jak to było? - Apok zignorował go - Gdzie to znaleźliście?

- A gdzieżby indziej? - ryknął Kurkusa, odzyskując pewność siebie - Cięciwę w jego sakwie, a kuszę w jego własnym pokoju!

- Nie jest to zbyt...

- Wiem co z niego za człek! - Kolimach odepchnął elfa, posyłając mu ostrzegawcze spojrzenie - Daj mi mówić, jeśliś nie lepiej obeznany! - chwycił Elaba pod brodę i skierował jego twarz ku swojej, znosząc ze spokojem jego wściekle spojrzenie - Nie taki on świętoszek, a i do nauki mu daleko! Ukrywać się musi, to i z magiem wędruje! Staruszek nawet nie wie, co? Złodziej i bandyta, morderca niepospolity, i to...

- Wiem o tym, mości wędrowcze - głos maga był suchy niczym piaski pustyni i mroźny jak południowe wiatry - Elab miał na pieńku z wieloma osobami... a tyś jedną z nich... lecz gdy zaoferowałem mu nową ścieżkę życia... - spojrzał srogo na ucznia - poprzysiągł porzucić swoje nawyki, pod groźbą kary za dawne przewiny...

- Więc zakpił z was, maga, jak i z nas wszystkich! Czas kończyć...

W dłoni Kolimacha zaśnił sztylet, kierując się ku szyi młodzieńca, lecz elf był szybszy. Pochwycił rękę za nadgarstek, ledwie o grubość kilku palców przed celem.

- Jakież to są, zabijać, nie dając oskarżonemu głosu? - syknął jadowicie - Boisz się czegoś?

Oczy Kolimacha wybuchły nienawiścią. Szarpnął się. W drugiej, mniej sprawnej dłoni, dojrzałem błysk stali. Próbował zmylić elfa i dokończyć dzieła! Krasnolud jednak nie dał się nabrać. Płazem topora uderzył w nadgarstek niedoszedłego kata. Sztylet poszybował nad głowami osadników, by z brzękiem uderzyć o ścianę. Razem unieruchomili szarpiącego się i ryczącego w wściekłości przeciwnika.

- I kto tu z kogo kpi! - Elab omal nie splunął Kolimachowi w twarz. Jego słowa i akcent przestały być nagle podobne do Diamdusowego, głos podwyższył się od skrytego strachu - Trzymajcież go dobrze!

- Zabijcie go! - ryknął Kolimach - Nim będzie za późno!

Kilku górników przyskoczyło niechętnie do szamoczącej się trójki, pomagając obezwładnić i unieruchomić wędrowca.

- Niech walczą! - zawołał któryś z młodych osadników - Sądy bogów!

- I co, jeszcze Siostrę Sprawiedliwości mam wam wyczarować? - w głosie Apoka zabrzmiała nuta gorzkiej drwiny - Żaden sąd tu niepotrzebny, poza ludzkim!

- Odezwie się, to strzelajcie bez wahania - rzekł krasnolud stojącemu tuż obok Lajkiszowi, mierzącemu z parecznicy do Elaba, pozostawiając ucznia opiece bełtom w kuszy Femilura - Widać że łotr coś skrywa. Posłuchajmy co chłopak ma do powiedzenia! Zabić zawsze go zdążycie. Jeśli spróbuje uciec, to jakby sam sobie gardło podciął. Krwi mniej na rękach...

- Gadaj zaraz! - ostrzegł elf Elaba - I lepiej żeby to miało sens!

Uczeń, czując się bezpieczny, zwrócił się ku Kurkusie.

- Nie mnie szukacie! - zapewnił, trzęsąc się jeszcze po nieudanym zamachu - Zastanówcież się! Jakiż byłbym głupi, ostawiając dowody u siebie! Ktoś mi je podrzucił! - spojrzał na Kolimacha - i wiem kto! Jedną znam osobę, żadną mojego gardła i niechętną waszej towarzyszcze! To on zwał na mnie winę!

- Ach żesz ty łotrze! - Kolimach szarpnął się, lecz uspokoił się gdy Lajkisz znacząco kiwnął parecznicą.

- To ma sens! - zawołałem.

Wszyscy spojrzeli na mnie ze zdumieniem. Ja tymczasem pomyślałem że oto mam szansę ujęcia z życiem i pozbycia się Kolimacha na dobre.

- Wiesz coś, dziecko? - spytał krasnolud.

- Jego ręka! Spójrzcie na jego lewą rękę! Sprawdźcie bark i ramię!

Ossel przyskoczył do więźnia. Jednym ruchem dobytego noża rozdarł kaftan wraz koszulą i szarpnął za materiał, odsłaniając lewe ramię. Przez salę przeszło głębokie westchnięcie - lewy bark był cały siny, zaś w środku odbarwienia tkwiła niewielka, czarna plama.

- Ślad po bełcie z parecznicy...! - zdumiał się krasnolud.

- Broniła się - stwierdził mag - Nie tak łatwo zaskoczyć sprawnego wojownika.

- Ochoczo oskarżał innych, niech tera sam się tłumaczy! - ktoś zawołał.

- Źle mu z oczu patrzy, mówię wam... Od początku wyglądał na takiego co...

- Koniec jarmarku! - Ossel przyłożył nóż do gardła unieruchomionego wędrowca - Dasz za to gardło, gnido!

- Nie tak szybko! - ostrzegł chłodno Kurkusa - On ma błagać o śmierć, nie ją dostać!

- Wierzycie mu?! - rozpaczliwie rozdał się Kolimach - Przyznaję, zdarza mi się sięgać po cudze, ale... Nie, nikogo z was! - potoczył wzrokiem po osadnikach - Nie jestem bandytą, przysięgam! Jestem tylko...

- Najemnym zabójcą - dokończył chłodno elf - Wielu was ostatnio na szlaku... Kolimach, mimo strachu, spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

- Nie jestem na kontrakcie! Kto by za was zapłacił, kto wiedział że tu was najdę? - stwierdził pogardliwie, lecz zaraz się zmiarkował - Drobny ze mnie zbir... Prawdziwego chcecie łotra, tam obok stoi! - wskazał na Elaba - Miałem niedawno kontrakt, przyznaję, lecz zrobić mnie chcieli! W poręę nawiał. Zabijam, ale znaczy to że byłbym w stanie zdjąć co takiego?

- Byłbyś - odpadł Elab jadownicę. Głos wrócił mu do normy - i zrobiliście! Kłamliwe bydlę!

- Ktoś zdolny do takich rzeczy powinien wisieć! - oświadczył stanowczo krasnolud - Lepiej było się przyznać że w samoobronie...

- Ta, zaraz byście uwierzyli... - zaczął Kolimach.

- Przyznać, mości krasnoludzie? - zakpił Elab - Mnie chciał dostać! Dobrze to sobie wymyślił! - pełen pogardy, przeszedł przed Kolimachem w tę i z powrotem - Oskarżyć, szybko wyciągnąć nóż, cięcie i po problemie. Nikt wszak trupa pytać nie będzie... Mój mistrz nie zna się na przywoływaniu zmarłych, więc kłopotu byś nie miał. Znam cię lepiej niż ty mnie, najemniku! Nikogo już nie oszukasz, nie okradniesz, nie zabijesz...

- Nie dajcie mu ujść! - Kolimach darł się jakby już z niego skórę darli - Elfie! Elfie, dałeś mu się tłumaczyć, daj i mi!

- Ma słuszość - orzekł z niechęcią Apok - Nie wiemy dlaczego...

- Dzięki ci, szlachetny elfie, dzięki! - Kolimach mówił szybko - Nie jestem święty, prawdę rzekł, ale on i nie gorszy ode mnie! Moim wpięrw był uczniem, nim poszedł do maga! Och, skórę mi w dreszcze stawiał, ulżyło mi, prawdę mówię, gdy go zabrał, żebym tak padł jak kłamię! Ten, ten... Ja dla pieniędzy, ale on... Dla przyjemności! Myślałem go więcej nie zobaczę, myślałem ja wciąż lepszy, ale on... Klnę się na wszystkich bogów, jeśli tu kto winien tych dzieci... On tylko jeden był w stanie to zrobić!

- Ja, ty zatracony morderco? - zadrwił Elab - Jak? Czy mam kły, pazury jakie? Wyszczerył zęby i wznosił dłonie w górę - całkiem zwyczajne, po mojemu.

- Mag mógł sfalszować badanie, by go chronić - elf krzywo spojrzał na Diamdusa. Przyznaję, nawet mnie na chwilę ogarnęły podejrzenia.

- Miałbym trzymać przy sobie ucznia, który w każdym mieście sprowadzałby na mnie kłopoty? - odparł spokojnie stary człowiek - Róbcie z nim co uważacie za słusne, jeśli poczuwacie się do takiego prawa, lecz nie oskarżajcie go o coś czym nie jest. Jeśli nie wierzycie mi, spytajcie wilkołaka - wskazał w kierunku skrytego za tłumem, skutego, Isfity - Ma wilczy węch, wyczuje swojego. Górnicy rozstąpili się, tworząc korytarz, przez który każdy mógł spojrzeć na siedzącego ze zwieszoną głową szefa górników. Gapili się na niego wszyscy, lecz on nie podniósł głowy.

- Prawda to? - spytał Holmin - Prawieś że ino od wędrowca złem zalatuje.

- Bom węszyć się bał przy magu - odparł Isfita. Poruszył się, chyba po raz pierwszy od dawna, bo dotąd nie słyszałem brzęku łańcucha - Coby nie zauważył żem inien - wznosił głowę, zamknął oczy, skierował twarz w stronę Elaba i odetchnął głęboko - Złem pachnie - przyznał - nieludzko wielkim, ale on nie wilkołak.

- A mag? - Rumberd wykorzystał okazję - Na bogów, powiedz nam o wszystkich!

- Mag nie pachnie niczym - odparł Isfita, nie otwierając oczu - Nawet człowiekiem.

- Czymże ma pachnieć stary człowiek? - Diamdus wzruszył ramionami - Kwiciem? Proszę, powiedz nam o innych. Coś o kupcu, może?

Odwróciłem się ku Kurkusie - dopiero teraz dostrzegłem że, skulony, próbował się wycofać, skryć za innymi, lecz gdy spoczął na nim wzrok wszystkich obecnych na sali, wyprostował się, odchrząknął i powoli wrócił na swoje poprzednie miejsce. Znać było, dopiero teraz spostrzegł że Isfita jest na sali, ale czy to była jedyna przyczyna jego lęku...?

- Nie wierzę w te bzdury - mruknął, choć bez przekonania - Mów, stworze, co masz mówić!

- Nie gorzej wonieje niż wędrowiec i jego pachyły - Isfita wpadł w rodzaj transu - Prawdę rzekł mag co do elfa, mroczny, lecz zła nie czuję... Krasnalków nie znam, nie powiem o małym człowieku, ale chłopiec... - nagle, nie ruszając głową, oczu nawet nie otwierając, wyciągnął rękę, na ile łańcuch mu pozwolił, wskazując wprost na mnie - Szczerością pachnie, prawością. Dawnom takiej nie czułem. On...

Opuścił rękę i zamilkł na dobre.

- Zawsze mówiłem że śmierdzisz uczciwością - szepnął ironicznie Noram.

- Co za nieszczęście... - zaironizowałem równie cicho.

Nikt nie zwrócił na nas większej uwagi - wszyscy gapili się na kupca. Szczególnie uważnie patrzył na niego mag, na co Kurkusa odwzajemnił się istic wilczym wejrzeniem.

- I co? - odparł zdenerwowany - Życ jakoś trzeba... Małe oszustewko tu i ódzie... Nie zapominajcie, kmioty, kogo tu sędzim! - zakończył energicznie, wskazując na Kolimacha.

- Kończyć z nim czas! - zgodził się Elab - Rozwalmy mu czerep!

- Pierw skóra... - nienawistnie upierał się Ossel.

- Nie chcecie wiedzieć dlaczego? - wrzasnął Kolimach, rzucając szybkie spojrzenie na kupca. Czuć już zaczął nóż na gardle...

- Kogo to obchodzi?

- Mnie - krasnolud oparł się o topór - Tylko głupiec morduje, gdy nie ma wyjścia. Coś mi tu cuchnie, mości kupcze, cuchnie bardzo...

- O, szlachetny krasnoludzie, o synu Tanory, jakże słuszne i prawe słowa! - Kolimach rozpląnął się w komplementach - Litości miejcie! Bronilem się tylko! Ona z Sierpu była, przysięgam! Kontrakt na mnie mają... Zamarłem, jak i wielu innych. Sierp, tutaj...? Miałem z nimi kontakt, raz, bardzo dawno. Ogarnęło mnie pełne krwi i śmierci, złe wspomnienie. Czego w takim miejscu, w osadzie na końcu świata, szukałby jeden z imperialnych agentów śmierci, zawodowy zabójca, któremu żadna przeszkoda nie była warta uwagi, żadna ilość ciał zbyt duża by osiągnąć cel...?

- To... poważne oskarżenie! - zachowanie Kurkusa zmieniło się, prawie nieuchwytnie - Sierp wśród... moich ludzi?! Lepiej poprzyj to czym równie poważnym!

- Prawda to! - gorąco zapewnił Kolimach - To ona mnie ubić chciała! Wierzę, szlachetny kupcze, nie wiedziałeś, nie mogłeś! Oni podstępni, zdradzieccy, przebiegli jak węże, ludźmi się wysługują równie często jak... Była z nimi, jako mówię, ukrywała się! Oni tak często! I teraz wszyscy są za mną!

- A skąd niby wszyscy mają o tym wiedzieć? - spytał Noram - Skąd ona miałaby wiedzieć?

- Nie drwij sobie, szczeniaku! - Kolimach spojrzał na niego dzikim, na wpół obłąkańczym wzrokiem - Mają swoje sposoby, o, mają! Pełno tu ich agentów, patrole przez Przełęcz chodzą, w tą i nazad... to jedyna droga w góry!

Gorąco mi się zrobiło. Poznałem że do Kolimacha żadne już nie trafia argumenty, chyba tylko cięcie przez łeb... Po tym co się tu stało bał się nawet własnego cienia. Dość znałem Sierp by wiedzieć że nie przesadza, może za wyjątkiem tempa rozchodzenia się informacji między agentami. Tylko magia mogła tak szybko przekazywać wieści do ludzi poruszających się nieustannie w terenie, a nawet górskie dzieci wiedziały że orki czarować nie potrafią. Dostęp do wypełniającej Świat mocy był im dostępny jedynie poprzez gromadzącą ją kryształ, co ogromnie ograniczało jej wykorzystywanie.

- Więc czemu nie poderżnęła twojego kłamiwego gardła gdy wyszliście po drewno? - Noram po mojemu ciągnął tę kwestię niebezpiecznie za daleko - Po co cię tu przywlekła? Tylko ona pozostała przytomna, z was wszystkich!

- Jedno cięcie, ciało w śnieg i po sprawie - zgodziłem się - Wszyscy czulibyśmy się bezpiecznie!

- Bezpieczniej? Z nią?! Chcecie wiedzieć gdzie ją naszedłem? Pod moimi drzwiami, krok ino od waszych! Ubić mnie chciała, dla nagrody! Nie ja jeden tu... Strzeliła gdy wyszedłem, pierwsza mnie napadła! Ledwo w porę zdołałem się cofnąć... Bełt był zatruty, ale ja znam swój fach, znam odtrutki na takich jak oni... Zadrzałem. Tuż przy naszych drzwiach, a nikt nic nie zauważył. Gdyby tak to on, na nas...

- Masz jakiś dowód, poza kłamiwym językiem? - gdybym sądził po głosie, pomyślałbym że kupiec zmiękł, lecz gdy jego ludzie spojrzeli na niego ze zdumieniem, ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Ossel odstąpił od Kolimacha, pozostawiając go w mocy elfa i trzymających więźnia za ręce górników.

- Tu ja rzec coś mogę - odezwał się Diamdus - Widziałem znak na jej udzie... Znak który istotnie mógłby być znakiem Sierpu. Pewności nie miałem, gdyż ktoś próbował go usunąć, dość jednak zostało bym nabrał wątpliwości...

Przyznaję, przywracając ją do życia aż tak dokładnie się jej nie przyglądałem, a i masowanie uda wiele by jej nie pomogło. Zresztą, mag nie miał powodów by kłamać.

- Widzicie? Widzicie? - zawołał Kolimach - Prawdę mówię! Wściekła dziwka, jako rzekłeś... - kątem oka, gdyż na tyle tylko pozwalał mu elfi uchwyt na karku, spojrzał na Apoka - Bronilem się ino! Ja niewinny!

Upozorowałem bestię, bo byście mi nie uwierzyli...



- Albo ubiliby cię na miejscu, za to coś wcześniej robił - wtrącił Elab.

- Tyś nie lepszy... - zaczął Kolimach. Poznał już że górnicy mu wierzą, zaraz więc począł odzyskiwać pewność siebie.

- Niewinny, drobny zbir? - krasnolud stanął przed nim w rozkroku i spojrzał w górę, na pełną obawy i strachu twarz - A powiedzże mi, okazie świętości, skądżeś ty tu przybył?

Kolimach przełknął nerwowo ślinę, wybałuszając oczy na krasnoluda.

- Śpiewaj ptaszku, bo skrzydełka ci przytnę i flaki przez dzióbek wypatroszę! - ostrzegł Ossel.

- Z... Szeolu - odparł z widocznym wahaniem najemnik - Szlakiem idę na wschód...

- Po nową robotę? - rzucił mściwie Mrazin - Jeśliś szlakiem szedł, jako prawisz, to czemuś w mieście na śniegi nie ostał? Dobrześ wiedział że idą...

- Dziwne to co mi rzeczesz, dziwne... - zamruczał krasnolud - Takoż się składa, iż miesiąc jakiś będzie, jak w Isturii próbowano zamachu na księcia. Isturia to księstwo szlakowe, na wschodzie, a więc i w drugą stronę - zaznaczył srogim głosem, marszcząc groźnie brwi - i to o miesiąc drogi! Kłamiąc, mości zawodowy zabójco, też bym wybrał przeciwny kierunek!

- A niby wy skąd o tym wiecie? - spytał podejrzliwie Noram.

- Między magami wieści niosą się szybko niczym błysk pioruna po stepach, chłopcze - Rumberd zganił go, nie odwracając głowy - Stać nas by zapłacić za informacje. Zarabiamy, ścigając takich jak on. W rzeczy samej, za tym tu łotrem my się tu uganiamy! - ryknął, postępując ku poblądnemu nagle Kolimachowi - Zamachowcy, zdrajcy, zabójcy...

Słowa krasnoluda zaskoczyły Apoka. Na moment ledwie poluzował uścisk, nie wiedząc czy udusić Kolimacha, czy sięgnąć po broń, lecz to było dość by najemnik wyrwał się z elfich rąk. Uderzył głową, okręcił się, zasłaniając się ciałem elfa przed parecznicami - strażnicy nie strzelili chyba tylko dlatego że sami długo by potem nie pożyli - wyszarpnął ręce i wolnymi już łokciami uderzył górników w twarz, pozbywając się ich asysty. Moment starczył, a już w jego lewej ręce tkwił sztylet, a w prawej - krótki miecz.

Osadnicy rozstąpili się w popłochu. Napędzany płynącą ze strachu energią, Kolimach odskoczył pod ścianę i przywarł do niej plecami, kierując ostrze nerwowo to w jedną, to w drugą stronę. Ruszyliśmy ku niemu półkolem - wszyscy, za wyjątkiem maga, kobiet, dzieci i skutego w kącie Isfity. Krasnolud pewnie dzierżył oburącz swój topór, elf stanął obok niego, z wydobytą szablą. Przyłączyłem się do nich, pragnąc dopaść najemnika, nim się wymknie i dopadnie mnie pierwszy.

- Nie strzelajcie! - krzyknął histerycznie Ossel, gdy jego kompani wymierzili z parecznic - Pierw skóra żywcem...

- Chodź tu i dawaj głowę, jak mężczyzna! - warknął elf - Z wyroku księcia...

- Zaraz, zaraz! - ryknął kupiec - Nam ona należna, prawem zemsty! Dla was to tylko pieniądz, a ten dostaniecie ode mnie, wraz z głową...

- Chwila! - zawołał Kolimach - Powoli! Precz ode mnie! - cały w nerwach, pchnął ostrzegawczo ku zbliżającemu się osadnikowi - Nie jestem winien zamachowi!

- Oł, niewiniątko! - tuż obok mnie Elab szykował się do wypadu. Poprzysiągłem sobie skoczyć zaraz za nim. Nieważne jak był zły, nieważne co mówił Isfita, wędrowca chciałem, nie ucznia - Ochoczo nazywał innych mordercami, czas by sam się przezwiał wedle swojej profesji! Rozwalmy mu czerep, mówię! - zawołał z zapalem - Co będziem z nim gadać, widać że łąe! To ona się broniła, przed nim, stąd ta rana! Głupków szuka...

- Broniła się kuszą? - szepnąłem cicho. Mimo wszystko, liczyła się dla mnie prawda, a ta, w tym jednym szczególe, zdawała się być po stronie Kolimacha.

- Z nim ty, czy z nami? - spytał ostrzegawczo Elab, nie odwracając wzroku od najemnika.

- Z prawdą, ale i z wami - odparłem szybko.

- Brałem w nim udział, tak! - przyznał osaczony - Ale, jak wyszło, jako przynęta! Głupi nie jestem... Precz, mówię! - wzrok miał może szalony, lecz dość przenikliwy by Elab zrozumiał iż tak łatwo go nie dopadnie. Cofnął się. Kolimach dźgnął ku Osselowi, zmuszając go do cofnięcia się - Zabić się nie dałem... Do tyłu! ...to i plan nie wyszedł... Do tyłu, mówię! Za to mnie teraz ścigają, za to! Chcecie ich wyręczyć? Za dużo wiem, za dużo mo...

- I może jeszcze powiesz że nigdy nikogo... - zaczął Kurkusa.

- Nie wnikać w twe interesy, kupcze! - zasyczał Kolimach - O ile nim naprawdę jesteś!

Naprawdę oszalał, pomyślałem. Lepiej dla nas i dla Świata jak tu legnie...

- Jak śmiesz!

- Nie wiedziałeś? Nie wiedziałeś że twoja ładaczka była z Sierpu i nastawała na mnie, gdy tylko co zwąchała? Pewnikiem spała z wami wszema! Musieliście widzieć zamię, usunąć więc próbowaliście, by wstydu uniknąć! - rozejrzał się w panice. Jego spojrzenie spoczęło na mnie - Chłopak dobrze widział, ale zbyt głupi by zrozumieć! Nie widzicie? Jestem ofiarą! Mogę ujawnić prawdziwych sprawców! Nie tego kto trzymał sztylet, lecz tego kto płacił dzierżącą go rękę! Prawdy chcecie, czy zemsty?

Kilku najwyraźniej zaczęło się wahać. Kolimach miał swoją rację, ale był kim był...

- Och, obie sprawy się załatwi! - odparł uradowany krasnolud - Łapska gadzinie obetniemy i zabierzemy do Szeolu. Tam wyśpiewa wszystko nim zadynda na sznurze!

- Nie, jeśli ja mam coś do powiedzenia!

- Już nie szlachetnym? Ja ci za...

- Dość! Dość! - zawołał mag - Planujecie wieszanie, a nie wiemy czy ktoś z życiem ujdzie!

Odwrociłem się ku niemu, jak wielu innych. Wokół rozległy się szmery.

- Staruch głupstwa plecie! - strażnicy, Rumberd i Apok wciąż próbowali dobrać się do Kolimacha - Skończmy z tym zbójem!

- Co przez to rozumiesz? - spytałem maga - Przecież on...

- Sprawa została wyjaśniona - pouczył mnie mag - Jakiż przyjdzie więc pożytek z jego śmierci? Pamiętajcie, ludzie, jest on sprawny w swoim fachu, a w pobliżu czai się coś może nawet bardziej morderczego i mrocznego niż człowiek bez sumienia.

- Nie taki on dobry, skoro mamy go otoczonego! - zawołał hardo Noram.

Holmin usłuchał jednak głosu rozsądku.

- Prawda to - przyznał - Nigdy nie mieli czego takiego. Nie przeżyjem sami o sobie...

- Kto stawia czoła bestii? - mag dostrzegł że za sprawą wójta górnicy zaczęli się wahać i jął kuć żelazo póki gorące - Ty, mości kupcze, ze swoimi wojownikami? W pojedynku, mimo wyraźnej przewagi, wasz człowiek nie dał sobie rady z jednym zabójcą! Myślicie że on lepszy od niej? Może polegnie w walce, jeśli nie za nas, to za siebie, ale na wasze plany zawsze będzie czas! Nigdy na odwrót. Nieistotne dawne winy! Póki się nie rozejdziemy, musimy zawiesić spory na kołku, inaczej sami siebie powybijamy - zakończył i usiadł.

- Jestem za, jasnie dobrodzieju! - zawołał Kolimach.

- Och, na moce nieczyste, nie wątpię! - odparł elf.

- Współpracować będę, klnę się...

- Niby na co? Na co ktoś taki jak ty...

- Zrozumcie, ludzie! - widząc że nic nie wskóra, Kolimach postanowił go przekrzyczeć - Ci z Sierpu użyli mnie, mówię wam! Użyli jak nędznego robaka na wędce, zwalili winę...

- I wciąż żyjesz? - spytałem z drwiną.

- Dziecko, rzeknij tak raz jeszcze, a zobaczysz co potrafisz! - Kolimach wcale nie żartował i dobrze o tym wiedziałem - Trafisz cię i stąd, choćby i chorą ręką, doskoczę nim padniesz. Dobrze się przyjrzyj swoim flakom, nim skonasz...

- A ty legniesz obok niego! - Noram wyciągnął ku niemu miecz, jakby pchnąć go chciał z dzielących ich dwóch ramion odległości.

- Nikt nikogo nie będzie mordował - ostrzegł elf - Już na pewno nie dzieci. Tylko sprawiedliwa egzekucja...

- Sprawiedliwa! - krzyknął Kolimach - Jakaż to...

- Zamknij się! - przerwał mu krasnolud - Chłopak dobrze mówi, a ty bzdury gadasz! Sierp...

- Umknąłem mu! Jestem dość dobry by dać im radę. Nie wierzysz, chodź się przekonać!

- Nie kuś!

Kolimach wreszcie spuścił z tonu. Rozłożył na chwilę ręce, by zaraz ostrzegawczo wymierzyć je ku strażnikom, którzy o stopę przesunęli się ku niemu.

- Nie jestem głupi - powiedział, już spokojniej. Przyglądał się nam ostrożnym i nieufnym wzrokiem, oceniając kto szczerze chce go dopaść, a kto chce słuchać - Z Sierpem nie wygram. Mogę kryć się do końca życia... a tego nie chcę. Dlatego pomogę! Jestem za wami! Wydam zleceniodawcę, bogowie mi świadkiem! Wydam, bo muszę, inaczej łotr dotąd będzie płacił tym orczym żeńcom, tym sierpiętnikom z demonich otchłani, aż mnie dopadną, albo... tamten pierwój zginie. Wtedy Sierp przekona się że nie muszą mnie zabijać, bym

milczał. Nic do nich nie mam, choć nie znają honoru... - krasnolud już chciał rzucić jakąś uwagę, lecz zamilczał, za sprawą wymownego spojrzenia elfa. Na czas walki role spokojnego i nerwowego zdały się odwrócić - ...ale ja mam swój kodeks. Wtedy... - zamilkł.

- Racja, na pewno cię puszczą wolno... - zamruczał krasnolud, nie wytrzymując - Skóra to będzie nic.... Umiłkł jednak szybko. W następną ciszę zmierzylł się wzrokiem z płatnym zabójcą.

- Jak to, ona z Sierpu? - zdziwił się jeden z osadników - Przecie nie wyglądała jak orczyca...

- Głupiś! Sierp wysługuje się ludźmi! - odparł któryś z sąsiadów -- Dobrze ponoć płaci...

- Złożę broń - nagle oświadczył Korkusa - Ja i moi ludzie. Jeśli prawdą było, że Sierp...

Umiłkł. Wszyscy spojrzeli na niego w zdumieniu. Chyba tylko ja popatrzyłem także na jego sługusów. Nie wyglądali jakby mieli wolę sprzeciwić się swojemu płacodawcy, choć chwilę temu skórę ze sprawcy pasami drzeć chcieli. Słuchali go jak idące na rzeź pegreny, choć chodziło o zemstę na ich towarzysze broni!

Niepojęte... Wszak płacił im tylko za szable, gotowe do obrony wozów, a ona była dla nich... Chyba że...?

- Nie może być! Nie może... - zdumiał się krasnolud. Tak zaskoczonym jeszcze go nie widziałem. Spojrzał po zgromadzonych, nie tak dawnych żadnych krwi sojusznikach - Ludzie, powiedzcie coś na to!

- Mag ma rację - sam się zdumiałem że to powiedziałem, jakby kto inny przemówił moimi ustami - Potrzebujemy siebie, by przetrwać.

Elf spojrział na mnie uważnie.

- Jesteś pewien? - spytał po chwili namysłu.

- Nie do końca - przyznałem - Ale zabicie go nie da się odwrócić, gdy ocalenie można - spojrziałem na Kolimacha - Nie mam do niego nic, jak długo on nie podniesie ku mnie ostrza.

Patrzyłem na niego, a on na mnie. Wreszcie wędrowiec rozluźnił się odrobinę i kiwnął głową. Cokolwiek było między nami, odłożyliśmy to na czas wyjaśnienia sytuacji, lecz wokół pozostało dość ludzi - w tym Elab - którzy mu nie ufali.

- Zwariowałeś! - syknął Noram, lecz ja pokręciłem głową i schowałem broń. Przy okazji, zupełnie przypadkiem, spostrzegłem jak Ossel szepce coś szefowi do ucha.

- Jeśli chłopiec tak mówi, ja także odstępuję - elf schował szablę - Dla wspólnego dobra.

- Nasza sytuacja niepewna - mag pokiwał głową - Wiele może się zdarzyć. Wczorajszy zabójca jeszcze może zasłużyć na naszą wyrozumiałość.

- Niby jak? - krasnolud zgrzytnął zębami - On?!? To my takich dziesiątkami, a wy...

- Do tego jednak czasu... - zaczął Kurkusa.

- O nie! - Kolimach, przeczuwając jego zamiar, wysunął ku niemu miecz, choć już w obronnym geście - Zamknąć mnie chcesz, kramarzu?! Coby bestia łatwiej mnie dopadła?

- Nie miałeś wiele przeciwko zamykaniu innych - zauważyłem.

- Nie porównuj, bo jak mi bogowie świadkiem...!

- To rozwiązałoby problem - stwierdził krasnolud z nie udawanym namysłem - Gdyby tak zastawić pułapkę z taką przynętą... ho, ho!

- Co to za układ! - jęknął Kolimach - Na pewną śmierć mnie dajecie!

- Swoją swoją nie ruszy, bandyto! Włazisz do cudzych pokojów, to siedz w jednym, aż...

- Zaraz! - protest i zaskoczenie wędrowca zdały mi się bardzo szczere - O czym ty mówisz?

- Ktoś próbował do nas wejść, pierwszego dnia - chłodno zauważył Apok - Ty byłeś tu wcześniej... i widziałem jak nas obserwowałeś!

- Obserwowałem wszystkich! Sierpu szukałem, niech mnie pioruny... To nie ja, mogę przysiąc na...

- Twoja przysięga niewiele warta! - zauważył złośliwie Elab - Pewnie nie masz dowodów?

Sytuacja stała się ciekawa - wpierw Kolimach oskarżał Elaba o to co sam zrobił, teraz, według mojej wiedzy, było na odwrót. Milczałem jednak, wraz z Noramem. Spojrzeliśmy po sobie ukradkiem, ciekawi czym to się skończy. Nikomu nie powiedzieliśmy jeszcze o naszym znalezisku, nie będąc pewnym jego znaczenia; wszak i ich obserwacja nie była bezpodstawną.

Po mojemu, krasnolud był gotów czepić się wszystkiego, byle tylko nie wypuścić Kolimacha - a w tym jednym przypadku elf gotów był go wesprzeć. Ossel, Apok i kilku górników, w tym Mrazin, pośpiesznie wróciło na miejsce kłótni, wprowadzając bez broni, lecz nie wątpiłem, że szybko znajdzie się w ich rękach, jeśli dowody się potwierdzą. Kropla, przelewająca czarę - przed taką sytuacją stanął Kolimach. Musiał zrobić wszystko, by nie wpadła ona do pełnego po brzegi kielicha ludzkiej cierpliwości. Nie zależało mi specjalnie by najemnik

pozostał na wolności, mieliśmy za to okazję dowiedzieć się kto tak naprawdę gmerał ukradkiem po gospodzie.

- Jak mam udowodnić że spałem, zamiast włóczyć się po pokojach?

- Możesz udowodnić że było inaczej - Apok wydobył ozdóbkę, wziął ją w palce i pokazał Kolimachowi - Pokaż swój pas.

- Czego chcesz od mojego pasa? - Kolimach owszem, był podejrzliwy, lecz nie wystraszony.

- Nie brak na nim czego? - Rumberd znacząco przesunął kciukiem po łukowatym ostrzu toporka - Pokaż pas! Pokaż, albo toporem poczęstuj!

Kolimach prędko pojął jego prawdziwe zamiary. Dzierżąc miecz prawą dłonią, lewą ściągnął z siebie pas. Rozejrzał się po otaczających go ludziach, patrząc komu zaufać, po czym rzucił go Noramowi na pierś. Noram złapał go nim zsunął się na podłogę.

- Dowierzam im bardziej niż wam - stwierdził - Niech chłopak sprawdzi.

Krasnolud baczyl na wędrowca; Apok odwrócił głowę ku nam. Noram przesunął pas przez palce, z uwagą przyglądając się każdemu z odcinków. Pas był równie skromny jak reszta ubioru, równie znoszony, lecz tak samo wytrzymały. Ozdabiał go główki szerokich, niskich metalowych ćwieków.

- Niczego nie brak - stwierdził, bez zaskoczenia patrząc na elfa - Ni śladów naprawy. Nie ma tu niczego podobnego, kształtem ni metalem.

- Pokaż no! - krasnolud wyrwał przedmiot z jego ręki, rozcinając mu ćwiekami skórę między palcem wskazującym a kciukiem. Sapiąc z gniewu, rozczarowania i zakłopotania, w pośpiechu przejrzał zdobycz, po czym wyciągnął oskarżycielsko dzierżącą pas lewą rękę ku właścicielowi.

- Czemu więc mieszek przewiesiłeś, łotrze? - spytał podejrzliwie.

- Nie twoja sprawa... - zaczął Kolimach, lecz widząc ściągające się w gniewie zmarszczki na wolnej od zarostu twarzy krasnoluda szybko zmienił ton - ...ale jak musisz wiedzieć, karle, to rzemyk mi się zerwał!

- Dam ja ci karła...

- Dość! - mag wyciągnął uspokajająco ręce - Zamierzacie każdemu sprawdzać pasy?

- A i choćby... - zauważył wójt - Kradzieże w gospodzie...

- Nie teraz! - odparł przezornie elf - Pozabijamy się, zanim ktokolwiek odepnie klamrę.

Miał rację - atmosfera stała się napięta. Górnicy mieli daleko gdzieś zabójstwo strażniczki, lecz jeśli chodziło o mienie, potrafili być bezwzględni daleko poza jego rzeczywistą wartość. Choćbyś im kilof ukradł, osądzić mogli jak za kufer złota.

Atmosferę, ku zaskoczeniu wszystkich, rozładował sam Kolimach.

- Oddasz mi pas, czy nie? - spytał spokojnie Rumberda.

Krasnolud zaniemówił, rozumiejąc niewypowiedziane znaczenie tych słów. Długą chwilę gapił się na niego wilczym wzrokiem.

- Przepraszam za karła - dodał wędrowiec - ale to wy postawiliście mnie pod ścianą!

Krasnolud sapnął coś pod nosem i rzucił mu pas.

- To bez sensu! - oświadczył głośno - Teraz to już niczego nie udowodnimy!

- Mamy czekać na kolejnego trupa, mości krasnoludzie? - głos gospodarza zadrżał na wspomnienie poprzednich. Kolimach tymczasem, pewien zwycięstwa, schował broń i jął naciągać pas.

- Jak się uda, nie będzie nowych - odparł ze spokojem Diamdus - Będziemy się pilnować. Obawiam się że to my sami, nie bestia, możemy okazać się naszym największym wrogiem.

- Prawda to, święta prawda! - potwierdził Mrazin.

- Nie... nie, ja w to nie wierzę! - Rumberd spojrzał na towarzysza, na Kolimacha, i znów na Apoka - Naprawdę... puścisz go, tak... tak po prostu?

- Tylko na razie - Apok wskazał na okna - Nigdzie nie ucieknie, a wybić nas wszystkich nie zdoła. Spróbuje raz i to będzie jego koniec. Musi współpracować, jak wszyscy. Chcesz go, bierz go, ja ustępuję. Nie czuj się tym związany.

- Słusznie prawi - Holmin dołączył do powiększającego się grona - Niech będzie, między nami na razie pokój. Osądzą cię później... ale niech no kto na kogo rękę podniesie, pierwszej winnym uznam niżli kogo innego, choćby i wbrew dowodom!

Cofnął się za swoich podwładnych. Elab, widząc że już po wszystkim, odszedł wraz z magiem ku zwyczajowo zajmowanemu przez siebie stołowi. Górnicy kolejno opuszczali broń i wycofywali się z pola,

zdawałoby się, nieuchronnej walki. Krasnolud patrzył na nich z rozdziawionymi ustami, aż wreszcie machnął ręką i wsunął toporek za pas.

- Niech będzie po waszemu - spojrzał na mnie krzywo - Zachowam topór na prawdziwego mordercę... - i tak, znacząco patrząc na Kolimacha, zmierzyszy go od stóp do głów, odszedł wraz z Apokiem. Nie uszło mojej uwagi że elf zmilczał jego słowa.

- Mości krasnoludzie, jeszcze jedno - spokojnie rzekł Kolimach, gdy Rumberd się odwrócił - Nie szukam z wami zwady. Dlatego powiem, jeśli szukasz sprawcy, obacz pas mego dawnego ucznia... nim będzie za późno.

Sklonił się, tak zwyczajnie, bez podtekstów, bez ironii, po czym odszedł, pozostawiając krasnoluda na pastwę zdumienia i złości.

Mimo ocalenia, Kolimachowi wcale nie było do śmiechu. In o Elab gapili się na siebie ponuro, równie ponuro jak na nich patrzyli z kolei pozostali, lecz nikt nic nie rzekł. Poza przekleństwami i oskarżeniami, a tych dość padło wcześniej, niewiele było do powiedzenia. Jakby tego było mało, krasnolud siadł przy pobliskim stole, na końcu ławy, na wprost najemnika. Leniwie oparł toporek trzonkiem o podłogę, splótł ręce i ułożył je na szerokiej górnej krawędzi swojej broni, bez ustanku, minuta po minucie, gapiąc się na Kolimacha takim wzrokiem jakby rozważał czy upiec go na rożnie w całości, czy poćwiartować. Co czas jakiś spoglądał ku Elabowi, dokładniej ku dolnej części jego ciała. Jestem pewien iż Rumberd doprowadzał Kolimacha do szału, Elaba zaś do gubienia się w myślach czego niski człowieczek od niego chce, i dlaczego nagle patrzy na niego wilkiem - lecz obaj niewiele mogli na to poradzić.

Milczeli wszyscy, poza kupcem, który zaraz po awanturze oparł się o najbliższy stół i, drżący, ciężko osunął na ławę.

- Wszechmocny Belelu! Agent Sierpu moim... - zajęczał po raz nie wiem który.

Spojrzał na siedzących naprzeciwko, milczących, gapiących się na niego z zagadkowym wyrazem twarzy ochroniarzy

- Odejdźcie! - rozkazał, a gdy go wypełnili, wrócił do swojego zawołania - Sierp w mojej...

Zdawał się nie zauważać iż mag bacznie mu się przygląda, spod nasuniętego na głowę, nie wiedzieć z jakiego powodu, kaptura. W zamyśleniu pocierając dłonią podbródek, mrucał coś do siebie, spoglądając to na niego, to na obserwującą się parę. Niezdrowe zaciekawienie i pełne obaw spojrzenia nie były zresztą specjalnością gości. Coś, nie wiem co, lecz na pewno nie zapach dymu z palonych mebli, z wolna wypełniało salę wonią cmentarza.

Nie chcąc psuć tajemniczej obserwacji Diamdusa - nie chcąc też brać udziału w dziwnych podchodach Norama, który nagle postanowił zakraść się do Elaba od tyłu by, wykorzystując jego zaabsorbowanie kim innym, wyjaśnić zagadkę jego pasa - skierowałem swe kroki ku siedzącemu z dala od innych, pogrążonemu we własnych myślach elfowi.

Choć Apok czuwał całą noc - jak dawny mi się teraz zdawał dzisiejszy poranek! - awantura i związane z nią gniew, napięcie i emocje, usunęły z niego całe zmęczenie. Po tym co się stało wiedziałem już że on jeden był tu najbardziej godzien zaufania, ustępując w tym jedynie przed magiem i jego życzliwością dla każdego, nieważne jak podłego, osobnika. Winą Apoka byli jedynie rodzice, gdy tymczasem coraz więcej i więcej zdawałoby się zwyczajnych osób okazywało się jeśli już nie łotrami, to kimś kim nie byli w rzeczywistości. Elf nie udawał nikogo i może dlatego od początku sprawił na mnie dobre wrażenie.

Czyż ktoś, zadałem sobie pytanie, kto był tak zły jak szeptali zabobonni górnicy, umiałby grać tak pięknie, z takim wyczuciem?

- Doskonały kamuflaż - gdy siadłem, Apok spojrzał na wciąż mamroczącego coś kupca. Elfia twarz przybrała nieodgadniony wyraz - Ciekawe czy nie znaczy czegoś więcej...

Milczałem, nie wiedząc co ma na myśli.

- Nie boisz się do mnie przychodzić? - spytał nagle, wykrzywiony w tyleż ironicznym co smutnym, pełnym wyrzutu grymasie - Nie boisz się że cię pożrę, albo złożę w ofierze?

- Nie wierzę w te bzdury! - parsknąłem, urażony niecnym oskarżeniem - Diamdus powiedział że nie możesz być wilkołakiem...

- Ten sam mag, który wyjawiał ludziom mój mroczny sekret?

- ...i pamiętam naszą grę - dokończyłem, nie zważając na jego gorzkie słowa.

- Przykro mi, mały, nieprędko będę w nastroju na kolejną.

- Wiesz że nie to chcę powiedzieć.

Milczeliśmy chwilę, spoglądając sobie w oczy - on próbując odgadnąć co naprawdę o nim myślę, ja chcąc zgadnąć jak daleko sięgała jego nieufność wobec obcych, zwłaszcza magów.

- O pasie, prawda to? - spytał wreszcie.

- Prawda - kiwnąłem głową - Sam to widziałem, po tym jak skuli Isfitę - jakże łatwo innym było mówić na niego wilkołak, zauważyłem wtedy. Ja wciąż myślałem o nim przede wszystkim jako o tym czym był przez większą część czasu, jak o człowieku z imieniem - Noram mi pokazał. Na jego pasie czegoś brakuje, na prawym biodrze.

- Nie spieszyło się wam z nowiną - zauważył.

- Chcieliśmy mieć pewność, zanim... - skłamałem.

Zamilkłem. Elab, odkrywając wreszcie iż stał się obiektem niezdrowej ciekawości Norama, rzucił mu chłodne spojrzenie. Noram wycofał się szybko w kąt i siadł przy krasnoludzie, by, ubezpieczony jego towarzysztwem, razem z nim gapić się na obu.

- To dlatego twój przyjaciel zachowuje się teraz jak ptak z obciętym łbem? - Apok na chwilę podążył za moim spojrzeniem.

Wzruszyłem tylko ramionami. Nie chciałem więcej kłamać. Zbyt niewielu osobom mogłem zaufać, by tak głupio tracić sojuszników. Zostać sam na sam z wrogami, w samym środku obojętnego nam tłumu...

- To jak gotowałeś się do walki... - powiedziałem cicho - Nigdy czegoś takiego nie widziałem! Czy... jesteś Tancerzem Miecza?

Wśród ludzi, istnienie Tancerzy było legendą. Nie mogło być niczym więcej - elfy żyły daleko od Gór i wcale się nimi nie interesowały. Może spotkałbym Tancerza gdzieś w Cesarstwie, pewnie w Lannanie, gdzie kończyła się podlegająca elfom część Szlaku Północnego, może także w Imperium, z którym łączyła je wspólna polityka wobec hord dzikich, stepowych pobratymców orków, ale tu, w górach? Tancerze Miecza byli elitą ich wojowników, w czasach pokoju zajmującą się często tym samym co i Sierp, czyli szpiegowaniem i agenturą, lecz w zupełnie inny sposób. Złotem, giętkim językiem i umowami, zamiast podrzynaniem gardła czy trucizną, kierowali sprawy we właściwą stronę. Sierp woli posuwać się do przemocy, znacząc swoją robotę mającym wzbudzić strach ciałem; Tancerz woli być niewidzialny, nie zostawiać śladów, jedynie otwartą furtkę powrotu. Obie formacje żywiły jednak wobec siebie szacunek i w razie groźby konfrontacji schodziły sobie z drogi. Jedynie renegaci którzy porzucili stowarzyszenie, nie ukończyli treningu, lub zostali wygnani, ważą się łamać ten niepisany kodeks - chyba jedyny, jak rzekł Kolimach, który Sierp znał i respektował.

- Ja, Tancerzem Miecza? - Apok zaśmiał się cichutko - Nie mam nawet bandalei! Wiedziałbyś o tym, patrząc na moją szablę - dobył jej i położył przed sobą na stole. Powiodł wskazującym palcem wzdłuż zagiętego ostrza - Bandaleja, którą się posługują, czy jednoręczna, czy ciężka, oburęczna, jest bardziej zakrzywiona i inaczej wyważona. Ta tutaj, to zwykła elfia szabelka.

- Czy to lepsze niż miecz? - spytałem z powątpiewaniem.

- I tak, i nie. Na wschodzie i północy walczy się inaczej niż u was, w górach, w Cesarstwie, czy na stepach. Wasze metody walki to odpowiedź na nieustanne zagrożenie inwazją orków z północy, a kiedyś i ze wschodu, oraz stałe napady Ludów Morza z południa. Ci wrogowie nie są zwinni, za to bardzo silni. W pojedynku niewiele trzeba by przejść przez ich obronę, lecz w prawdziwej bitwie... Kujecie wzmocnione magią pancerze, by uchroniły was przed ich siłą na polu walki, oraz zdolne je przebić miecze, by bić się między sobą. Szabla pochodzi z innych, dawnych czasów, gdy walczyliśmy z Imperium. Nawet nazwa Tancerzy Miecza pochodzi z waszego języka. W naszym nazywamy ich Tancerzami Bitwy.

- Ale... mógłbyś być... - ni spytałem, ni stwierdziłem.

- Nie, nigdy. Szlachetne elfy nie pozwoliłyby mrocznemu bratu wstąpić w szeregi elity - Apok uśmiechnął się krzywo - Nie przeszkodziło mi to wszak podejrzeć metody ich szkolenia. Nie sądzę bym był tak dobry jak oni, ale...

Schował szablę, nie chcąc już mówić o tych sprawach. Nie tylko z szabel słyną elfy, pomyślałem wtedy, lecz przecież i z bystrego wzroku i spostrzegawczości.

- Powiedz, co znaleźliście w kopalni? - spytałem.

Elf uniósł brwi.

- Słyszałeś przecież...

- Co naprawdę znaleźliście - podkreśliłem z naciskiem - Coś tam musiało być! Inni mogli nie widzieć, ale wy... Co, na bogów, może chodzić w taki śnieg i przeżyć?

- Ślady - rzekł cicho Apok po namyśle - Masz rację, inni ich nie dostrzegli. Nie patrzyli dość bacznie, ale ja i Rumberd... - pochylił się ku mnie - Ktoś tamtędy chodził, wiele razy, i to niedawno. Były świeże! Cokolwiek się czai na zewnątrz, może być i tam, i tutaj, za tymi drzwiami - kiwnął głową ku przedsiownikowi kopalni - Nie sądzę wędrowców zbyt pochopnie za ich strach, nie w tym przypadku. Nie rozumieją niebezpieczeństwa, lecz życie wśród gór uczy właściwej reakcji, choćby i bez udziału rozumu.

- Pozostałe przypadki są wystarczająco... obrzydliwe - zmełłem w ustach to słowo - Bronieś wilkołaka. Może czujesz się podobny do niego, może nie, to mnie nie obchodzi. Nie jesteś jak inni, jak... - kiwnąłem głową ku obserwującej się parze.

- Zachowując się wbrew większości łatwo stracić głowę, nieważne w słusznej, czy niesłusznej sprawie. Żadna różnica. Oto prawda o was, ludziach - dodał, prostując się.

Poczułem się dotknięty - cóż z tego, skoro miał rację.

- Dobrze ci radzę - dodał - Nie ufaj swojemu nowemu przyjacielowi, temu magowi. On... Widziałem, nie zemsta, ni uraza przez niego przemawiały, lecz prawdziwa obawa.

- Z wszystkich tutaj, jemu wierzę najbardziej - odparłem - Bardziej nawet niż wam dwóm. Nie zrobił nic za co mógłby się wstydić.

- Niczego o czym byśmy wiedzieli - przyznał elf - Lecz to nie czyni go świętym. Zbyt ochoczo uniewinnia innych, jak na człowieka o czystym sumieniu. Długie życie stawia przed niejedną pokusą, a cena za trwanie jest dla każdego inna.

Chwilę potem grupa górników wytaszczyła owinięte w płótno zwłoki. Ich twarze były równie blade jak całun strażniczek. Kupiec umilkł, nawet Elab, Rumberd i Kolimach porzucili wzajemną obserwację by obserwować jak, w asyście gospodarza, otwierają drzwi i wyrzucają ciało w śnieg, gdzieś pod ścianę. Kupiec znów jęknął coś o Sierpie. Mag, który chwilę wcześniej przytrzymał kaptur dłonią, by nie zdmuchnął go wiatr, ściągnął go z głowy i odwrócił się plecami do kupca, za to przodem do stołu i do szyby, by zapalić fajkę. Gdzieś tam wyładowało ciało, pomyślałem, w pobliżu okna...

Nie wiem czy Kurkusa słyszał coś z naszej rozmowy, czy to może wzbudzone widokiem ciała nagle wspomnienie kazało mu zerwać się na nogi i podejść do maga. Stał za jego plecami i niespodziewanie wybuchnął gniewem.

- Tak myślałem! - zawołał na całą salę - Znam cię, starcze! Najemny mag, oto czym jesteś! Te badania, bezczeszczenie zwłok... Do spokoju wzywasz, ale sam... kroisz ludzi jak... jak pegreni udziec! O tak... tak! Teraz sobie przypomniałem!

Diamdus z wolna, bez słowa, odwrócił się ku niemu i spojrzał, nie wstając, na jego wykrzywioną nienawiścią twarz. Jak gdyby nigdy nic, z obojętną miną dalej pykał fajką, wyraźnie czekając na dalsze wyjaśnienia. Nawet zachęcił kupca gestem dłoni.

Kurkuse zmieszał ten niespodziewany spokój. Odchrząknął i rozejrzał się po sali. Uwaga wszystkich skupiła się na niego, przywracając mu pewność siebie.

- Pamiętasz Damlin, magu? - spytał - Byłeś tam kiedy?

- Byłem - przyznał spokojnie mag - To znane miasto na szlaku, daleko na zachód stąd. Stolica księstwa Akbardu, czyż nie?

Spokój jego odpowiedzi zabarwił twarz kupca głęboką czerwienią. Elab zbliżył się do nauczyciela, lecz tak by Kurkusa nie widział że jest w pobliżu. Apok dostrzegł jego zamiar, jak i to że strażnicy kupca przeszli powoli ku ławie po jego lewej stronie, zaś Kolimach stanął niedbale po jego prawicy. Elab zmierzył ich wzrokiem.

- Brałeś tam udział w pewnym polowaniu... - ciągnął kupiec - Nie! Ty je rozpocząłeś, te łowy na prawowitego dziedzica tronu, za pieniądze jego wuja-regenta! Mało ci było że uciekł, mało że miesiącami chłopak ukrywał się w górach, z dwoma ostatnimi wiernymi mu rycerzami! Musiałeś dostać jego głowę! Na bogów, miał ledwie osiem lat! Niedobrze mi się robi na samą myśl że z tobą gadał...

Szmer gniewu przeszedł po sali. Sam, czując się podle oszukany, w gniewie zacisnąłem dłoń na broni. Dotąd mag słuchał kupca ze spokojem, lecz na koniec twarz mu nagle stężała. Odłożył fajkę i stanął naprzeciwko Kurkusy.

- Zapominasz, kupcze, o okolicznościach! - odrzekł twardo - Jak widzę, paranoja tamtych czasów wciąż nie opuszcza ludzi. Byłeś tam, więc słyszałeś o...

- Kto ci uwierzy? - syknął kupiec - Ośmiolatek miałby mordować ludzi? Dorosłych mężczyzn? Wojowników?!

- Był wampirem! - pierwszy raz Diamdus podniósł głos - Z jakiej innej przyczyny zabójstwa ustały wraz z jego śmiercią? Przypadek? Gdybyś wsłuchał się w to co mawiano na ulicy, wśród złodziei, a oni lepiej znają miasto niż władza...

- Są inne metody! Wampira można wyleczyć!

- Nie było czasu i środków! Pełnia się zbliżała, jak teraz... Ile byś poświęcił ludzi, kupcze, dla życia jednego dziecka? Dziesięciu, dwudziestu?

Zawiesił głos. Wszystkich przeszedł dreszcz. Goście z grozą spojrzeli na zdającego się ich nie zauważać, wciąż skutego Isfitę. Szybko zliczyłem dni, odkąd widziałem Agmisa na niebie po raz ostatni. Prawdę mówił starzec, większy z pary księżyców zbliżał się do pełni, przynosząc wraz z sobą wzbudzenie wilczego pierwiastka, ożywienie wszystkich istot związanych z mrokiem...

- Mamże wierzyć iż był to jeden raz, sługusie mamony? Te twoje drogocenne szmatki... - spojrzał nań z pogardą - Wszystko za skóry wyśledzonych ludzi!

Mag odwrócił się od kupca. Spojrzał na mnie, jakby przepraszająco - odpowiedziałem mu chłodnym spojrzeniem - nim stanął przed zgromadzonymi na środku sali ludźmi.

- Przykrą historię przywiódł z przeszłości nasz towarzysz niedoli - powiedział - Szkoda że targowy handlarzyna nie zna jej całej.

Zignorowany, Kurkusa już chciał doskoczyć do niego, by znów oskarżać, lecz spostrzegł iż wzmianka o wampirach wystarczyła ludziom by zaczęli słuchać starca baczniej niż jego ataków. Podbiegł mimo to, chcąc coś powiedzieć, lecz mag odsunął go stanowczo na bok.

- Więc jaka jest, ta cała prawda? - zawołałem.

Starzec nie odwrócił się, nie spojrzał, lecz odpowiedział.

- Prawda? Prawda jest taka że wampiry, jedne z Dzieci Nocy, żyją wśród ludzi, lecz doskonale kryją swoją obecność. Wokół żyją całe klany, toczące wojny o których mieszkańcy miast, ich pól bitewnych, nie zdają sobie sprawy. Granice ich terytoriów nie zawsze zależą od tych ludzkich, lecz często się pokrywają, gdyż tak jest praktyczniej. To, o czym rzekł kupiec... Lata temu jeden ze wschodnich klanów, Klan Gaela, po jednej z wampirzych wojen został zmuszony do opuszczenia swoich wschodnich siedzib, ojczyzny ich rodzaju...

- A co to ma wspólnego z... - zaczął Kurkusa.

- ...i zaczął szukać nowej, wśród gór - mag dopowiedział głośno, z taką stanowczością że kupiec zamilkł - Lasy na wschód za stepami i na południe od Imperium roją się od ich rodzaju. Pobite klany chętnie szukają schronienia w Górach. To druga, zaraz po wschodniej, ostoja Dzieci Nocy - tym stwierdzeniem napędził strachu wszystkim - Celem Klanu Gaela stał się ten właśnie chłopak, syn księżęcy. Głowa klanu umyśliła że gdy tron obejmie młody, posłuszny starszyźnie wampir, zdoła ukryć ich i swoją obecność na władanych przez siebie ziemiach. Nietrudno by im było stworzyć tajną służbę, skracającą o głowy, lub wysysającą krew z każdego kto byłby na tyle nieopatrzny by wypuścić z ust ledwie słowo o tym że czyjaś śmierć mogła być zasługą wampira... Całe księstwo stałoby się dla nowej kolonii tym, czym dla was stado pegrenów.

Żywicielem! - zagrzmiął, aż ludzie cofnęli się o krok - Księżę był jednak wampirem młodym, niedoświadczonym i jako dziecko, przepelnionym żądzą, zaspokajaną na dziecięcy sposób, bez zahamowań

- spojrzał na Elaba, który cofnął się pod jego spojrzeniem, porzucając bliskość Kurkusa i jego ochrony - Pomniejsi członkowie klanu szybko zajęli miejsca w otoczeniu młodego księcia. Bogom niech będą dzięki za to że pewne zdarzenia w porę zastanowiły jego wuja. Wszedłem do gry tuż po tym jak sam z ledwością uniknął zamachu.

Mag usiadł na ławie, spoglądając na osadników i gości gospody.

- Klan Gaela znany był ze swojego sposobu na przejmowanie władzy nad ludzkimi włościami - przyznał - Nie była to bezpieczna zabawa. Stałem się tarczą wuja, przeżyłem i zdemaskowałem prawdziwą naturę następcy tronu... Wpierw tylko jemu, zastawiając pułapkę, w której sam byłem przynętą. Wpadł w nią jeden z opiekunów młodego księcia. Regent domyślił się że jeśli opiekun księcia jest wampirem, to musi być nim również jego podopieczny. Z żalem wysłał za nim swoich najlepszych ludzi i wszystkich najemników którzy tylko odpowiedzieli na jego wezwanie. Chłopiec ocalał, wraz z parą ostatnich wampirzych opiekunów. Z pomocą zaufanej straży umknął z zamku i zaszły się w górach... licząc iż ludzie myślący jak kupiec - spojrzał



z ukosa na Kurkusa - dopadną mnie i obalą regenta, zanim zabójcy dopadną jego. By mu pomóc, ukryta w mieście starszyczna klanu rozpuściła tysiące plotek... w tym takie które oskarżały mnie o bycie wampirem! Uśmiechnął się i zamyślił, szybko jednak otrząsnął się z krótkiej zadumy.

- Zabójcy byli szybsi. Po śmierci księcia-wampira, wuj zyskał możliwość udowodnienia jego natury, w sposób podobny temu w jaki udowodniłem naturę prawdziwego zabójcy tej nieszczęsnej kobiety, której ciało marznie teraz za oknem - kiwnął głową ku widocznej za szybami zawiei - W Akbardzie klan Gaela zakończył swoje istnienie. Nie ostał się żaden wampir, ni półwampir, których używają w kontaktach z ludźmi - Diamdus oparł dłonie na kolanach i pochylił ku Kurkusie - I co teraz rzeczesz, mości kupcze?

- Ja... ech... nie wiedziałem... - odparł zmieszany kupiec.

- Nie wątpię. O takich sprawach nie mówi się głośno, nawet między magami, co dopiero ze zwykłymi ludźmi... Wróg to podstępny i dobrze znający ludzką naturę. Rozgrywka z klanami to szarada kłamstw, pomówień i oskarżeń, często opartych na emocjach, lub dowodach, które tylko z pozoru zdają się prawdziwe. Wystarczy spojrzeć nań dokładniej...

- Jakąż mamy pewność? - spytał wójt.

- Żadnej - przyznał Diamdus, z zadumą patrząc na Kurkusa i jego świtę - Nie przeczę, łatwo stać się paranoikiem, a nasza sytuacja niewiele się różni. Mamy wszak do czynienia z pokrewną bestią. Niech moją obroną będzie to iż większość nasłanych na to rzekome dziecko zabójców nigdy nie wróciła.

- Nie to złe co do ust ludzkich wchodzi - rzekł nagle elf - Lecz co z nich wychodzi. Wszyscy dobrze wiemy co wychodzi z nich ostatnio: pomówienia i oskarżenia, wobec każdego!

- Zapominasz o truciznie - Kolimach uśmiechnął się drwiąco.

- Prawda - zgodził się Diamdus - Słowa mącą i niszczą umysły niczym trucizna ciało. W naszej sytuacji dawka śmiertelna jest niebezpiecznie niewielka. Jeśli ktoś ma jeszcze jakieś oskarżenia, wobec kogokolwiek, niech je teraz wypowie, lub zmilczy, aż śniegi ustaną.

Ludzie rozeszli się w milczeniu, nagle bojąc się choćby otworzyć usta. Kurkusa umknął w róg jak niepyszny, wraz ze swoimi ludźmi. Jeśli ktoś tu jest mistrzem w obracaniu słowem, pomyślałem, to tylko Diamdus. Jakże gładko obrócił oskarżenie przeciw oskarżającemu, samemu jawiąc się jako wybawca... Mnie jednak nie przekonał do końca.

- Czy przed tym mnie ostrzegałeś? - spytałem Apoka. Czyżby wiedział od początku...?

- Nie - pokręcił głową - Nie było mnie wtedy w Damlinie, choć gdy się dowiedziałem, przybyłem jak najszybciej, by się upewnić że kraj jest czysty od wampirów.

- Naprawdę był?

- Szukaliśmy długo - potwierdził Apok - Głównie tych pomniejszych, młodszych, niedoświadczonych, w jakich zmieniają ludzi te stare, by odbudować siłę klanu, lecz chłopci wytropili i wybili już większość, a reszta uciekła. Choć szukaliśmy, nie znaleźliśmy niczego. Żadnych świeżych śladów żerowania, za to wiele starych.

- Ale... Skąd mam wiedzieć że Diamdus mówi prawdę?

Elf nie odpowiedział od razu. Długo patrzył na mnie, rozważając co rzec.

- Jestem pewien, stary mag kryje jeszcze wiele tajemnic - odpowiedział w końcu - Wiele gorszych niż ta, lecz do jego zawodu należy podejmowanie bardzo trudnych decyzji, niezrozumiałych zwykłym ludziom.

Kimkolwiek, czy czymkolwiek jest, nie wierzę że jest zły, w naszym rozumieniu zła. Musi mieć wielką odwagę, skoro świadomie stanął do walki przeciwko całemu klanowi, choćby i pobitemu przez pobratymców.

Chłopcze... Nordon - wpatrzył się poważnie w moje oczy - Nie o tym mówiłem, gdy cię ostrzegałem. Ktoś taki jak on może mieć człowieka za nic, gdyż za często musi ich poświęcać dla czegoś ważniejszego. Jedno wiedz, nim go oskarżysz. Wielu dzielnych i dobrych ludzi, krasnoludów, nawet orków, nie tylko tych z Sierpu, zginęło w tym polowaniu. Byś może i my byśmy polegli, gdybyśmy dotarli na czas. Wampir to potężny, lecz skryty przeciwnik. Rozum ma ludzki, lecz zmysły i instynkty przebiegłego zwierzęcia. Zabić go prosto, można też zwyciężyć w walce, jeśli dość władasz bronią by pokonać wiekowe doświadczenie nieśmiertelnych, lecz dopaść go... Mając wybór, wolałbym stanąć twarzą twarz przeciw smokowi, niż polować na wampira.

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, oskarżać jest równie łatwo, jak popełniać w oskarżeniu błędy. Uprzejmość Diamdusa mogła być wszak jego poczuciem winy za przygodne, niemożliwe do uniknięcia ofiary; rodzajem pokuty... Postanowiłem że, mimo wszystko, na razie będę się trzymał od maga z daleka, aż jego słowa, lub słowa elfa, znajdą potwierdzenie.

Pierwsza wspólna noc, w jednej sali, napawała mnie przerażeniem. Mimo zgaszonych lamp daleki byłem od uśnięcia, bynajmniej nie za sprawą chrapania, posapywania przez sen czy pomruków śpiących wokół ludzi - do tego byłem przyzwyczajony, a i wyjący na dworze wiatr i szelest bijącego w szyby śniegu skutecznie je zagłuszały. Nie było też to sprawką śpiącego tuż obok lekkim snem Isfity - jego nie bałem się wcale, w łańcuchach czy bez; dość rzec iż to przy nim wybrałem sobie miejsce na tymczasowe legowisko. Śpiąc w jednym pomieszczeniu z mordercami, bez dzielących mnie od nich ścian i zabarykadowanych drzwi, czułem się podwójnie nagi i odsłonięty na atak. Wiercący się obok niespokojnie Noram czuł to samo, choć nigdy by się do tego nie przyznał; bąknąłby jedynie coś o zwyczajowej ostrożności. Przyjaźń skłoniła go by leć przy wilkołaku, ale nie ułatwiała mu zaśnięcia. Obaj, gapiąc się w sufit, marzyliśmy o chwili gdy będziemy mogli wrócić do pokoju. Niestety, bez opatu było to niemożliwe.

Jednak zasnąłem tej nocy, i to snem kamiennym. Obudziłem się też, żywy, choć z graniczącym z bólem uciskiem w głowie. Właściwie, czemu nie miałbym się obudzić - taka była pierwsza myśl tego ranka. Jedna wszak tylko osoba nastawała na nasze życie. Gdyby coś nam się stało, nie przeżyłaby nas długo. Próbując dojść do siebie, przyglądałem się bezwiednie Kurkusie. Kupiec, nie wiedzieć czemu, szamotał się ze swoim leżem, czegoś pod nim szukając, mówiąc coś cicho w zdenerwowaniu do swoich ludzi, w jakimś wschodnim, niezrozumiałym mi języku. Umilkł natychmiast gdy dostrzegł moje na wpół przytomne spojrzenie, lecz poszukiwań nie poprzestał. Nie zauważył jednak spojrzenia na wpół przymkniętych oczu maga, siedzącego niedaleko, w porannej pozycji kontemplacyjnej...

Nie my jedni nie czuliśmy się najlepiej. Każdy narzekał na ból głowy. Pomyślałem zrazu że to od ognia - bywało że całe rodziny dusiły się od złego żaru, jak nazywano to rzadkie zjawisko - lecz grzebiąc w kominku znalazłem tylko zimny, do cna wypalony popiół.

Odrzuciłem się, słysząc wtórujące brzękowi metalu nagłe, głośnie przekleństwa. Mrazin stał przy jednym ze stołów, wściekle potrząsając kółkiem z kluczami.

- Złodzieje! - wołał gromkim głosem, kierując wolną rękę ku gapiącemu się nań, bynajmniej nie ze zdziwieniem, Kolimachowi - Klucze mi ukradł, rabuś jeden!

- Hola! Co się stało, gospodarzu? - krasnolud łypnął na najemnika i ruszył ku Mrazinowi.

- Co się stało?! - oburzył się tamten - Mości krasnoludzie, kluczem dziś znalazł tu, na stole! - uderzył dłonią w blat - choć gdy spać szedłem, wisiały na kołku w spichlerzyku! - wskazał na drzwi za zasłoną - zamknięte na... na...

Nerwowo obmacał się po kieszeniach, potem, z szeroko otwartymi oczami i nabiegłą krwią twarzą sprawdził klucze na kołku.

- Na ten oto klucz? - mag, wsparty o swój kostur, wskazał coś pod stołem.

Gospodarz zanurkował pod stół. Gdy się wyprostował, w drżącej z gniewu dłoni trzymał kolejny, pojedynczy klucz.

- Zrabowano mnie! - zawołał - Zgrabiono! Gwałtu! Ludzie, do...

- Każdy dzień lepszy - zawyrokowało cichutko Noram.

- Lepsze to niż zwłoki z rana - odparłem, obserwując bieg zdarzeń.

Oczywiście, wszyscy rzucili się ku Kolimachowi, ten jednak siedział spokojnie na swoim pościeli, nic sobie nie robiąc z otaczających go, rozwrzeszczanych ludzi.

- Myślałem że jest mądrzejszy - zauważył Noram.

- Bo jest - naciągnąłem koszulę na grzbiet i wstałem, nakładając spodnie - Pomyśl chwilę. On nie mógł tego zrobić!

- Niby czemu?

- Gdyby był w stanie, zrobiłby to wczoraj! Otworzyłby kopalnię, by w niej ukryć zwłoki, zamiast podrzucać je w pokoju.

- Może chciał by je znaleźć?

- Jakoś nie sędzę - odparłem, zapinając pas - Kusza i cięciwa znalazłyby się, prędzej czy później, a bez ciała byłoby mniej pytań.

- Mówiąc o kuszy... - Noram rozejrzał się za czymś, lecz ja obserwowałem już awanturę wokół Kolimacha.

Oskarżony klócił się właśnie zajadle z Mrazinem i wspierającym go Holminem. Jego dawny spokój był już

historią.

- Ktobądź to był, wiedział jak je podebrać! - wołał zaciekle gospodarz.

Kolimach, siłąc się na spokój, odwiązał od pasa mieszek, przecisnął się bez ceregieli przez otaczającą go ciżbę, podszedł do najbliższego stołu i wysypał zawartość skórzanego woreczka na stół. Oczom wszystkich ukazała się spora garść dużych, złotych monet.

- Powiedzże mi teraz, kmiotku - Kolimach odwrócił się ku gospodarzowi - Miałabym powód cię okradać? Masz tu choć dziesiątą część tego złota?

Mrazin z rozdziawionymi ustami i rozszerzonymi oczyma gapił się na stosik monet, próbując coś z siebie wydusić, gdy tymczasem kupiec i jego świta, dotąd trzymający się dziwnie z daleka od kłótni, jęli gorączkowo sprawdzać swoje sakwy. Oparty o kostur Diamdus stał tylko, w milczeniu obserwując to jednych, to drugich.

- Skądżeby znowu... - wyjąkał wreszcie gospodarz - Skądże... ale...

- Nie wiem czy winien czy nie - rzekł wtedy mag - Ale co innego mogło nim kierować. Mój uczeń zaginął. Ja i Noram popatrzyliśmy po sobie. Może jednak ten dzień niewiele się będzie różnił od poprzedniego...

Znów przeszukano gospodę, tym razem bez rezultatu. Śladu po Elabie nie było. Nie to żeby się martwić o ucznia, źle mu wszak z oczu patrzyło, lecz mogło kiedyś paść na nas.

- Oto dlaczego klucze leżały na stole - stwierdził mag - Ktoś ich potrzebował by otworzyć drzwi, być może by pozbyć się ciała...

- Ktoś? - krasnolud powoli dobył toporka, gotów spełnić swą niedawną obietnicę - Dobrze wiemy kto chciał mu aż nazbyt ochoczo wczoraj grdykę poderżnąć!

- A jakież to sens miałoby teraz? - spytał cicho, pochylając się ku Noramowi. Musiałem się z kimś podzielić wątpliwościami, a mieszać się do awantury jeszcze nie zamierzałem - Gdy wszyscy wiedzą? Bandytą jest, ale i nie głupi...

- Jeszcze go bronisz? - odszepnął mi.

Nie odpowiedziałem. Kolimach był jednak, po mojemu, zbyt spokojny jak na sprawcę.

- Bzdury gadacie! - rzekł jeden z górników - Ciała nie ma, a gdyby drzwi otworzył... Słyszeliby my i jedne i drugie.

- Nie da rady zrobić tego po cichu! - przyznał wójt - Ni paki rozebrać, ni belki odwalić...

- Tak jak uprzednio? - spytał mag - Gdzie więc mój uczeń?

Wszyscy umilkli bezradnie. Oczywiście było - nieważne czy wyszedł sam, czy został wyniesiony, ktoś musiał zamknąć za nim drzwi i zawalić skrzyniami przejście do kopalni.

- Powiem wam co ja o tym myślę - starzec wyszedł przed zgromadzonych wokół Kolimacha ludzi, oparł się o kostur i spojrzał w ich twarze - Ktoś wrzucił Elaba do kopalni, żywego lub martwego, i na powrót zabarykadował drzwi, licząc że ta sama bestia, co zagryzła bydło, zajmie się resztą...

- A jak, u licha, ten ktoś... - krasnolud wymownie spojrzał na Kolimacha - zdołał to zrobić, nie budząc elfa?!

- Usłyszeliby my przecie! - powtórzył wójt - Taki hałas...

- O to możecie spytać jaśnie pana kupca - mag, podtrzymując się prawą ręką za kostur, lewą wskazał na Kurkusa - Najwyraźniej jemu noc także nie posłużyła.

Kupiec jakby wrósł w podłogę. Znieruchomiał niczym posąg, gdy wszystkie spojrzenia w jednej chwili skierowały się ku niemu.

- Ja? - Kurkusa bardzo powoli obrócił się ku górnikom, nerwowo próbując poluzować niezbyt obcisły kołnierz, jakby nagle trafił do gorącego pieca - O czym znów bredzisz, magu?

- O fiolce, którą chowałeś gdy się obudziłem.

- Fiolce? - elf zbliżył się ku niemu ostrożnym, kocim krokiem - Mogę ją zobaczyć?

Stał przy kupcem wyczekująco, ostrzegawczo kładąc dłoń na karku, przy rękojeści szabli. Kupiec z wyraźnym wahaniem sięgnął do kieszeni i z gniewem wyszarpnął z niej buteleczkę, rozmiarów dłoni. Nie było to bynajmniej zwykłe, szklane naczynie. Choć miało jeden, z pozoru zwyczajny otwór, wewnątrz dzieliła na dwoje zmyślnie wykonana przegroda, ciągnąca się aż do jego ujęcia, pozwalając zatkać każdą część z osobna połówką rozciętego korka.

Elf otworzył naczynie i powąchał ostrożnie, z łokcia odległości. Skrzywił się.

- Jakiś usypiacz - stwierdził sucho - Nie dziwne że każdemu kto w sali łeb od rana pęka!

- Macie pojęcie jak drogie to rzeczy? - pisał kupiec, chowając się za plecami wojowników - Ja jej nie użyłem!

- To wiem - stwierdzenie maga zaskoczyło wszystkich. Nawet elf odwrócił się do niego, z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia.

- Wiesz? - spytał równocześnie z kupcem.

- Spał jak inni - wytłumaczył mag - Nie udawał. Widziałem rano jego zaskoczenie. Nie wiedział co się stało... a raczej, nie wiedział jak się stało. Ktokolwiek to uczynił, wziął uprzednio odtrutkę, która uchroniła go od działania narkotyku. Mógł nas wszystkich pokroić we śnie, a nikt by się nie obudził.

Kurkusa nerwowo spojrzał na maga, potem na Kolimacha, na koniec wlepił spojrzenie w swój bagaż.

- Tak, też bym to sprawdził - zauważył mag - Jestem pewien że tam także brakuje kilku flaszek, i to od jakiegoś czasu.

- Powinieneś lepiej baczyć na tobołki, głupi kupcze, jeśli masz ze sobą takie rzeczy, zamiast planować zamachy na niewinnych! - rzucił rozeźlony do granic wytrzymałości elf. Odwrócił się, by ruszyć ku magowi.

- O na słodkiego Belala! - westchnął kupiec - Gdyby sprawca uwolnił wil...

Elf zatrzymał się i odwrócił głowę, posyłając kupcowi zabójcze spojrzenie, namyślił się jednak i nic nie odpowiedział.

- Trzeba nam przeszukać kopalnię! - rzekł, zwracając się ku górnikom.

- Elf zwariował! - zawołał Kolimach - Otwierać ją, by bestia...

- Nie o to ci chodziło, morderco? - stwierdził chłodno krasnolud.

- Niechże kto pomoże odwalić mi to na bok! - zakomenderował mag, ruszając ku drzwiom przedsionka - Gospodarzu, klucze!

- Nikt nie ruszy tych drzwi! - zaprotestował Mrazin - Nie...

- Gospodarzu, klucze! - mag odwrócił się ku niemu, z szybkością i gwałtownością o jaką nigdy bym go nie posądział - Mości kupcze, sprawdzisz bagaże później. Teraz potrzebuję twoich ludzi, by strzegli przejścia. Starczy mi sprawdzić przedsionek, nie będę wchodził do korytarzy. Ktokolwiek przeszedł te drzwi, nie zapuszczałby się tak daleko.

- Słyszeliście, chłopki? - gniewnie zahuczał krasnolud - Otwierać mi drzwi, ale już!

- Wejdziemy z tobą - elf zaoferował magowi pomoc - Czas wyjaśnić kilka spraw...

Chcąc nie chcąc, górnicy rozebrali barykadę. Mag otworzył drzwi i wraz z krasnoludem oraz elfem wszedł do środka. Trójka strażników zaraz skoczyła za nimi do środka, bynajmniej nie po to by pomagać - bez rozkazu szefa, choć z jego wyraźną aprobatą, zaczęli znosić do sali całe naręcza polan, zwalając wszystko na beładną kupę przy przeciwległej ścianie, ku złości Mrazina, mruczącego coś o grożącym im dla odmiany pożarze. Reszta osadników w napięciu obserwowała drzwi, jakby rychło miał się w nich pokazać smoczy łeb. Ku ich uldze, poszukiwania nie trwały długo. Pół godziny potem, sprawdzwszy wszystko, od zagród po paki, Diamdus, wraz z Apokiem i Rumberdem wrócili do sali. Rychło na powrót zabezpieczyła je barykada.

- Cokolwiek się dzieje, ma swoje wytłumaczenie - elf oparł się plecami o ścianę przy barykadzie, lecz nie wyglądał jakby wierzył swoim własnym słowom - Ludzie nie znikają, od tak, nawet za sprawą bogów!

- Dwa mamy wyjścia - zauważył mag - Jeśli nie przez jedno, to przez drugie...

- Więc nikt nie ruszał drzwi do kopalni? - zawołał wściekły kupiec - Naraziłeś nas, magu...

- Na ciepło w gospodzie - zauważył chłodno Diamdus.

Kupiec umilkł jak niepyszny. Unikając wzroku starca, spojrzał na trzaskający w kominku ogień, obiecujący rychły powrót do swoich kwater, gdy to nikt nie będzie w stanie bezkarnie grzebać w cudzych rzeczach.

- Póki nie sprawdziłem, nie wiedziałem - wyjaśnił mag - Elaba nie było w kopalni, brak też śladów walki... Mówią że przecucie, choć niewyjaśnione, może zdradzić więcej prawdy niż logika. Tamtego ranka miałem jedno dziwne przecucie. Mag, choć uparcie szukał Elaba, nie sprawiał wrażenia by koniecznie znaleźć go żywym... Może, pomyślałem, Kolimach miał rację? Może stary Diamdus sam to zrozumiał i teraz chciał się tylko upewnić... Nie żałował go, czułem to, może nawet sam zapragnął się go pozbyć. Sam wcześniej rzekł - nie potrzebował ucznia który by wszędzie zwracał na siebie uwagę...

Podszedłem do blokujących drzwi belek, przyglądając się im uważnie, jako pierwszy. Od razu zdały mi się jakby inaczej ustawione. Ktoś w nocy wyniósł Elaba w śnieg, by zamarznął, odgadłem, bo sam by nie wyszedł. Zawieja na pewno wdmuchnęła do środka trochę śniegu, ten do rana stopniał bez śladu, minęło więc sporo czasu... Ktoś ukradł klucze, otworzył drzwi i podparł je belkami. Ktoś w gospodzie wiedział co się stało... i przychodziła mi na myśl tylko jedna osoba, którą ucieszyła nowa sytuacja; osoba która, jako jedyna,

zmlczalaby o losie ucznia... Lecz robiąc to o co ją podejrzewałem, kładłaby tym samym głowę pod topór! Wszyscy bez wahania gotowi byli uznać winę Kolimacha - dlaczegoż miałby on popełniać tak skomplikowane samobójstwo?

Chyba że osoba, która otworzyła drzwi, nie była tą samą która je zamknęła...

- Gospodarzu! - zawołałem - Wyście tak podparli drzwi? Wydają się ruszone.

Ludzie zaraz rzucili się, by przyrzeć się belkom, spychając mnie w bok. Gapilem się na nich, zaskoczony tak gwałtowną reakcją. Gdy klębili się przy drzwiach, Nordon odciągnął mnie do tyłu, na bezpieczną odległość.

- A niech mnie demony... - gwizdnął nagle.

- Co się stało? - odwróciłem się. Stał przy oknie, gapiąc się na szalejącą śnieżycę. Wiatr nieco zelżał, śnieg spadał rzadszy, lecz pogoda wciąż nie zachęcała do wyjścia.

- Sam zobacz - wskazał coś za oknem.

Podszedłem do szyby, lecz nie dostrzegłem. Już miałem się spytać o co mu chodzi, gdy zrozumiałem.

- Ciało! - zawołałem - Ono... znikło?

Śnieg śniegiem, myślałem gorączkowo, lecz zwłoki rzucono niedaleko, więc powinienem je widzieć, kopczyk jakiś, cokolwiek. Tymczasem na zewnątrz nie było nic poza białą równią...

Przezornie odskoczyłem do tyłu, w samą porę nim goście zaczęli cisnąć się przy szybie. Ciekawe że górnicy nie wydawali się zdziwieni zniknięciem ciała. Jakby nigdy nic, gadali między sobą o podpórkach i o tym że ktoś naprawdę wyszedł na zewnątrz...

- Mikima mi świadkiem, coś dziwnego się tu dzieje - rzekł krasnolud - Coś mrocznego, demonio przewrotnego...

Diamdus milczał, pogrążony w myślach. Kupiec z pomocnikami cofnęli się w głąb sali, pośpiesznie przekopując się przez swoje bagaże. Z ich nerwowych ruchów wyzierała panika.

- Kto byłby tak głupi by wyjść w taką pogodę? - spytałem głośno - I dlaczego?

- Może by uciec - mag spojrzał na Kolimacha - Przed czymś, lub przed kimś...

- Znowu zaczynasz? - wycodził najemnik.

- Nie wyglądasz na zmęczonego - zauważył Apok - Coś dobrze ci się spało... za dobrze!

- To oczywiste - stwierdził Diamdus - On także wypił odtrutkę.

- Ciekawe dlaczego... - krasnolud znacząco oparł się o toporek - Skąd żeś wiedział że akurat tej nocy, co? Gadaj prędko, pókim dobry! Dość mam twoich wykrętów, zbójce nasienie!

Miałbym do powiedzenia kilka rzeczy w temacie - widziałem bowiem Elaba w pobliżu kupieckich tobołków, jak im się wczoraj przyglądał, i jak Kolimach go wtedy obserwował - lecz wolałem zmlczeć. Ledwie wczoraj, z Noramem, zawarliśmy cichy rozejm z najemnikiem. Nie chciałem go psuć głupimi uwagami, które i tak niczego by nie zmieniły, jedynie bardziej rozsierdziły już i tak zezłoszczonych ludzi.

- Chcesz wiedzieć? - Kolimach z niepokojem spojrzał na jego oręż, potem na elfa - Gdy wy gapiliście się na mnie, ja widziałem jak Elab dobrał się do kupieckich tobołków...

- Widziałeś...? - kupiec, od początku rozmowy podejrzliwie obserwujący Kolimacha, podbiegł do niego i złapał za kaftan - Łotrze! - zagrzmiał - Widziałeś jak grabi mój dobytek i paryś z gęby nie puścił?!

- A bo to moje zmartwienie? - Kolimach oderwał jego ręce i z odrazą odepchnął od siebie - Kto wczoraj pasy drzeć chciał ze mnie, no kto?

- Pasy mozem drzeć i dziś - Ossel, z groźną miną, zaszedł go od boku - Skądżeś ją miał?

- To oczywiste skąd u niego wiedza i takie rzeczy, ale u was? - Apok stanął między nim a Kolimachem, krzywo patrząc na kupca - Nie tylko narkotyk wziął od ciebie, kupcze, mam rację? Także odtrutkę...

- Ja... ale... a... mam ją do samoobrony... - zająknął się kupiec - Cóż wam po głowie chodzi, szlachetny elfie...

- Mniemam, tak samo parecznice? - podejrzliwość elfa szybko wzrastała.

- Mniejsza o odtrutkę! - odparł pojednawczo kupiec - Mości elfie, pomyślcie! Skoro ten tu nie spał... nie Snem Kwecia, na pewno... To nie tylko słyszeć musiał jak drzwi się otwierają, nie tylko widział kto je otworzył... ale, nie wątpię, sam to musiał zrobić! W śnieg go wyrzucił...

- Wyrzuciłem? - Kolimach splótł ręce na piersi i obdarzył go pogardliwym spojrzeniem - Kupcze, tyś albo głuchy, albo głupi! Nie ja wypuściłem Sen Kwecia, tylko Elab! Był równie przytomny jak ja!

- Więc się przyznajesz!

- Przyznaję że nie spałem!

- Wiedziałeś! - grzmiał kupiec - Był przygotowany, na okazję czekał, a ty wiedziałeś!

- Hej, hej! Gotował się by ze mną skończyć... - zaczął Kolimach.

- Jeśli tak, to czemu jeszcze żyjesz? - nie wytrzymałem, choć prawdziwe pytanie, jakie sobie wtedy zadałem, było inne: dlaczego ja żyję, dlaczego żyje ktokolwiek inny?

Wiedziałem do czego zmierzał Kolimach. Czemu nie zabił mnie, czemu nie strażników, jeśli wszystkiemu był winien Elab? Tym razem naprawdę mógł zrzucić na niego całą winę. Jeśli tego nie zrobił, to tylko dlatego że sam coś ukrywał - coś co uczynił tej właśnie nocy i coś, czego się bał, do czego nas potrzebował... żywych! Potrzebował nas tak bardzo iż zaryzykował wciąż możliwe wydanie go władzom w Szeolu, byle nas zachować!

Kolimach nie odpowiedział, nie słowami. Zmierzył mnie tylko ostrzegawczym spojrzeniem.

- Walki nie było - zauważył Apok - Elab nie planował morderstwa, tak samo najemnik...

- Bacz, Mroczny Elfie, jak mnie przeżywasz! - ostrzegł Kolimach.

- Ty lepiej bacz co mówisz! - wzmianka o mrocznych poważnie rozsierdziła krasnoluda, na tyle że ślina z jego ust zaczęła przyskać przy każdym słowie - zły to znak w rozmowie z Małymi Ludźmi! - Gadaj no szybko coś widział, bo resztki cierpliwości tracę!

Kolimach wznosił ręce w uspokajającym geście.

- Wasz uczeń, mości magu, w nocy drzwi otworzył i w śnieg wyszedł - odpowiedział - Nie wiem po co, ja tylko zamknąłem za nim drzwi! Nie zabiłem go...

- I owszem, zabiłeś - stwierdził sucho elf - Gdyś je zamknął!

- Jeszcze mi za to podziękujesz!

- A może by tak już, od razu? - krasnolud, z błyskiem w oku, wznosił topór

- Mniejsza z nim, mości elfie i panie krasnoludzie - nagle odezwał się mag - Żywy był, gdy wychodził, to mi wystarczy. Chcę znaleźć swojego ucznia.

Krasnolud sapnął gniewnie, topór jednak opuścił.

- Może i żyw był gdy wychodził, ale przeżyć nie mógł - odrzekł, wciąż patrząc groźnie na Kolimacha - Niewielkie szanse. Nie tyle czasu...

- Więc poszukam jego zwłok. Sam pójdę, jeśli nie ma chętnych by mi towarzyszyć. Mości gospodarzu!

Diamdus był stanowczy - gospodarz znów musiał ustąpić. Gdy otworzył drzwi, mag pierwszy wyszedł w śnieg, szczelnie opatulony w swój ciepły płaszcz. Za nim ruszył Ossel, Lajkisz, Kurkusa - choć trzymał się blisko drzwi - Kolimach, kilku górników, potem i ja - a za mną Noram, choć wyraźnie temu niechętny. Pierwsze co zrobiłem, to podbiegłem na miejsce gdzie powinno leżeć ciało, lecz śladu po nim nie było. Rozejrzałem się - nadaremnie. Widziałem nie dalej niż na cztery ramiona.

- Coby nie mówić - rzekł Noram, przytupując z mrozu - jedno jest pewne. Odkąd zakuli wilkołaka, nikt nie zginał tak, jak wprzód te dzieci...

- Bzdury gadasz! - zawołałem, próbując go ucieszyć, lecz gdy spojrzałem na twarze towarzyszących nam gości, zrozumiałem że zło już się stało. Poczułem ogromną przykrość na myśl że on w to uwierzył - Prawdziwa bestia ukrywa się gdzieś, chcąc nas prze...

- I niby kto nią jest? Skąd miałaby wiedzieć co tu się dzieje? Tylko on...

- Pełnia się zbliża - przypomniał mag - Gdyby Isfita kłamał o przemianie, wiłby się teraz i wył z bólu, próbując zerwać łańcuchy. Zresztą, gdyby to był on, czy rzuciłby się na swoich?

- Właśnie! - zawołałem, przypominając sobie jak górnicy zareagowali na wieść o pierwszym ataku - Miejscowi żyją z nim od lat, znają go lepiej! Jeśli ci ludzie mu ufają, tako i ja!

Nawet nie spojrzeli wtedy na Isfitę, powtarzałem w myśli, a przecież wiedzieli... Jeśli nie wszystko inne, już tylko to było mi ostatecznym dowodem!

Diamdus uśmiechnął się smutno, nie wiem czy do mnie, czy do siebie. Uzmysłowiłem sobie wtedy iż jeśli rychło czegoś nie znajdziemy - dowodu, czegokolwiek - uznają go za winnym. Niepokój został zasiany. Obiecując nagadać Noramowi za jego niewyparzone gadki, jałem baczniej rozglądać się w szalejącej śnieżycy.

- Co teraz, mości magu? - zawołał krasnolud. Ledwie go słyszałem, jak przez wełnę, choć nie stał daleko - Pomocą służę, byle odnaleźć ofiarę tego rzeźnika, lecz gdzie go szukać?

- Dzięki ci, szlachetny synu Tanory! Próbuję znaleźć go swoją magią, lecz nigdzie go nie czuję... Za to... Zaczekajcie!

- Tam! - w tej samej chwili Noram wskazał przed siebie - Tam coś jest!  
Spojrzałem - w rozpuńczonym wiatrem śniegu majaczyła jakaś postać!  
- Może to Elab? - spytał ktoś. To wtedy dostrzegłem nerwowe drgnięcie ręki Kolimacha.  
- Elab! - zawołał Diamdus, lecz postać, zamiast podejść, cofnęła się, znikając z oczu.  
- Jeśli to Elab, to czemu ucieka? - bez namysłu rzuciłem się ku niej, by po kilku krokach zaryć się twarzą w śnieg. Wstając, spostrzegłem niewysoki, biały kopczyk - przyczynę mojego potknięcia.  
- Znalazłem ciało! - zawołałem. Uznałem że silny wiatr przetoczył tu zwłoki Loiny spod okna. Nie było to przecież daleko, jakieś dwa, dwa i pół ramiona dalej... lecz gdy przykląknę i obtarłem ze śniegu miejsce, w którym, jak sądziłem, była twarz - lecz w rzeczywistości znajdowały się stopy - zamarłem w zdumieniu. To nie były nawykłe do podróży, mocne i wytrzymałe buty strażników, lecz proste obuwie, w jakim chodzili na dwór osadnicy...  
Kolejna ofiara...? Lecz przecież nikt nie zginął! Wyprostowałem się, wciąż gapiąc się na kopczyk. Pozostałem w takim stanie aż do chwili gdy ktoś położył mi dłoń na ramieniu.  
To był Diamdus.  
- To nie Loina... - wydusiłem z siebie, gdy wszyscy stanęli wokół ciała.  
Nie wiem czy ktokolwiek mnie usłyszał. Chyba tak, gdyż górnicy pochyliłi się i zaczęli oczyszczać je ze śniegu. Nawet Kurkusa zdobył się na odwagę by podejść bliżej.  
- Berkin... - choć stałem ledwie o ćwierć kroku, ledwie usłyszałem szept jednego z nich.  
- Ale... myśleli my... - zdumiał się drugi.  
Ciało zaginionego, o którym myśleliśmy że podczas poszukiwań dzieci dopadła go bestia, leżało teraz u naszych stóp. Odsłonięty, czerwony od krwi śnieg skleił się wokół w twardą, lodową płytę - znak że bestia, czy cokolwiek to było, dopadła go niemal przy samych drzwiach, tuż przy nas, lecz zbyt daleko byśmy mogli coś usłyszeć...  
Dopadła go, prawda, teraz to poznaliśmy. Rozszarpała go jak poprzednie ofiary, lecz nie wtedy, a bardzo niedawno. Twarz zastygła w wyrazie nieopisanego przerażenia... Strach było myśleć o tym co widział, nim skonał. Ślady dwóch osób nikły niedaleko, ledwo widoczne, lecz to starczyło mi bym wiedział iż ledwie kwadrans temu były tu dwie istoty. Jedna z nich pozostawiła po sobie dziwne zagłębienia, niemal nieludzkie... lub chodziła w ogromnych, szerokich butach, bez rakiet. Wtedy też zauważyłem iż martwy górnik także nie miał ich na nogach, choć niknące ślady swą znaczną szerokością i niewielką głębokością wyraźnie wskazywały iż doszedł tu na nich...  
Jedno wiedziałem - Isfita nie mógł tego zrobić. Oto był dowód jego niewinności! Bogowie mnie wysłuchali, lecz gotów ich byłem przekląć za taką pomoc! Noram spuścił głowę pod moim srogim spojrzeniem.  
- Jeszcze na dobre nie ostygło! - jeden z górników wyprostował się w zdumieniu - Żyw był, te wszystkie dni żyw był! - przesunął zdumione spojrzenie po naszych twarzach.  
- Jakże to? - spytał Ossel.  
Drugi z górników pognął w śnieg. Nim ktokolwiek spróbował pobiec za nim, wrócił rychło, cały przejęty.  
- Do chaty się dokopało! - wołał już z daleka, wskazując za siebie - Wyciągnęło go! Wielka jama, świeża, aż ku drzwiom!  
Więc tak zdołał przeżyć... Nie mogąc się wydostać, przegapiony przez szukających go naprędce, może już wystraszonych ludzi, siedział zamknięty w chacie, pod zwałami śniegu, bogowie wiedzą z jak nielicznymi, jeśli jakimkolwiek, zapasami, nie mogąc nawet otworzyć drzwi, ni okna, nawet rozpaść ognia, gdyż śnieg zasypał komin... I wtedy, nie mogąc dobrać się do nas, bestia dobrała się do niego.  
- I tak by długo nie pożył - Ossel pochylił się nad ciałem - Wychudzony straszliwie...  
- Gdyby nie potwór, uratowalibyśmy go już na początku! - zawołałem z goryczą - Nie uwierzylibyśmy że go zabił, szukalibyśmy go do skutku!  
Przytłoczony bezsilnością, pomyślałem że bestia zabiła go trzy razy - wpierrw w nas, potem w nim samym, pozostawiając go w jego więzieniu, a na końcu, dzisiaj, dopadła go naprawdę.  
- Tak jak teraz mamy szukać ucznia maga? - spytał Kolimach - On już też pewnie zimny... i tym lepiej dla nas. Bez urazy, mości magu, lecz był złem wcielonym. Magu...?  
Mag nie odpowiedział, może nawet nie słyszał, pogrążony w jakiejś dziwnej medytacji.  
- Spójrzcie tutaj! - Ossel, kierowany przecuciem, odsłonił szyję ofiary - To dopiero prawdziwa robota Sierpu! Widzicie to cięcie?

Pochyliliśmy się nad ciałem. Ossel przeciągnął palcem, nad szyją, wskazując nam dostrzeżoną przez siebie linię. Ledwie widoczny w resztkach rozszarpanej tkanki, głęboki aż do kręgosłupa ślad po ostrzu szedł przez szyję, ni to wzdłuż, ni w poprzek, od lewego ucha aż do prawego obojczyka. Nie, poprawiłem się zaraz, na odwrót. Cięcie szło z dołu, więc sprawca był praworęczny, jeśli zwyczajem Sierpu ciął od lewej do prawej. Cofnąłem się z obrzydzenia, lecz zaraz naszła mnie dziwna myśl. Ktokolwiek to zrobił, nie udawał że jest wilkołakiem, jak próbował to uczynić Kolimach. Wyraźnie widziałem na żebrach ślady zębów. Czego jednak zabił inaczej? By nas wystraszyć, by zasiać wątpliwości? Prędzej bym w to uwierzył, niż w dwie jednocześnie grasujące w okolicy bestie, w tym jedną która, nie wiedzieć czemu, cierpliwie czekała aż dotąd na swoją okazję.

- Chcesz powiedzieć że bestia jest na usługach Sierpu? - Kolimach cofnął się o krok i trwożnie rozejrzał wokół - Nie... Niemożliwe! Jeśli... Zgubieni jesteśmy!

- Ale kto...? Nikt więcej nie wyszedł... - także Lajkisz, prawdziwie przerażony, odsunął się od ciała. Nie rozumiał z tego więcej niż ktokolwiek inny.

- A bo bestia potrzebuje siedzieć w środku?

- Jakaż przekłeta gra tu się prowadzi... - głos kupca drżał. Trząsł się cały, choć był w grubym futrze - Sierp jest za mną, mówię wam! Już po mnie! Oni wszyscy wiedzą! Stracili swego i teraz pomsty szukają...

Nieważne jaką ma misję, zajmie się i mną, przy okazji! To za mną...

- Och, zmilcz wreszcie, tchórze! - mag zdawał się być gotów by sprzedać mu siarczysty policzek - Nikt nie wie za kim był, ale gdyby był za tobą, byłbyś już dawno razem z nim. Wiemy chociaż że najemnik mógł mówić prawdę - pochylił się nad ciałem - Sierp może być za nim - rzekł z naciskiem - ale pomylił się srodze... Polować na niego może ktoś inny, kto podstawił waszą towarzyszkę by go zmylić, jak i was próbuje. Zmylić i skłócić, aż przestaniemy sobie ufać, by wziąć nas jeden po drugim!

Kupiec skulił się jeszcze bardziej.

- Co możemy...? - wyjąkał.

- Czuwać.

Diamdus wyprostował się, rozejrzał i powolnym krokiem, jakby odmierzał odległość, ruszył w stronę gdzie wcześniej leżało ciało Loiny.

- A jeśli to on? - szepnął Lajkisz, wodząc za nim wzrokiem.

- Głupota! - odparłem - Pomyślcie co uczyni! Gdyby nie on, już dawno pozarzynałibyście się wzajemnie, ułatwiając robotę! Czy ktoś taki chciałby zostawiać świadków?

- A może zostawił więcej potencjalnych sprawców, by się wśród nich schować - stwierdził Kolimach - Brata się z wilkołakiem, kroi nieboszczyki... i jest zdolny do wszystkiego, jak ci z Sierpu...

- Czy człowiek w takim wieku miałby dla nich wartość? - zadrwiłem - Prędzej ja jestem z Sierpu niż on!

Stojący tuż obok mnie krasnolud mruknął coś niezrozumiałego.

- Nie kuś pomyślników, nie kuś, bo dasz gardło we śnie! - Noram wyszeptał mi do ucha cichutkie ostrzeżenie. To wtedy znów ujrzałem postać.

Ledwie ją widziałem. Ktoś inny mógłby uznać ją za przywidzenie, lecz tym razem nie miałem wątpliwości. Nie był to Diamdus - postać stała od strony wioski, mag poszedł zaś w drugą stronę. Obejrzałem się - wciąż był przy ścianie, zaraz przy domkniętych drzwiach.

Nie myślałem wiele. Prawdę rzekłszy, nie myślałem wcale, ani o tym co może czaić się na zewnątrz, ani jakie mam szanse dokonać tego co zamierzałem. Zginać mogłem równie dobrze na dworze, jak i w gospodzie, lecz idąc w zamek miałem szansę coś wyjaśnić i, być może, zapobiec temu co działo się w jaskini.

- Zaczekaj, głupi! - Noram spróbował mnie złapać. Bał się za nas dwóch, wyczułem to jak tylko ruszyłem bez słowa ku tajemniczej postaci - Sam nic nie działasz...

- Stój! Stój, mówię! - to wołał krasnolud - Chory chłopak! Z wilkołakami gada, z magami się przyjaźni, z bandytami nie boi się stawać do walki i jeszcze w śnieżycę na oślep bieży! Żyć mu się nie chce czy...

Ryczał głośno, ale w końcu i jego słowa utonęły w wichurze, wytłumione przez płatki śniegu. Noram milczał, oszczędzając oddech by mnie dogonić, lecz szybko zostawiłem go w tyle. Pchała go troska o mnie, mnie zaś gnało coś więcej, co dodawało mi ogromnej siły. W końcu to ja, z nas dwóch, byłem bardziej porywczy w działaniu; on był tym ostrożnym i rozważnym, choć nie zawsze potrafił mi wybić z głowy głupie pomysły. Gnałem za umykającą, tajemniczą postacią, choćby i zginać mi przyszło za samo poznanie kim ona jest.

Zgubiłem Norama - poznałem to gdy przestał biec, a zaczął wołać bym zaczekał, lecz puściłem jego prośbę



mimo uszu. Gdybym to zrobił, mógłbym równie dobrze zawrócić do gospody. Dlaczego tego nie uczyniłem? Chyba miałem już dość tego co się w niej działo i postanowiłem wyjaśnić sprawę, raz na zawsze. Coś gnało mnie naprzód, niczym szalonego - jak się potem dowiedziałem, choć popędzili za mną wszyscy którzy byli wtedy na dworze, za wyjątkiem Kurkusa, to nikt nie zdołał mnie dogonić. Zbrakło im mojej desperacji. Z początku dobrze mi szło - uciekająca, przygarbiona postać majaczyła nie dalej jak kilka ramion przede mną. Wtedy jednak śnieg pod moją stopą ustąpił zbyt łatwo; rakietą nie znalazła dość oparcia w wypełnionym nim, luźnym zagłębieniu. Przewróciłem się; gdy wstałem, postaci już nie było. Ruszyłem pośpiesznie jej tropem, goniłem długo, lecz ostatecznie, ten urwał się w zagajniku wierzchołków sosen. Bojąc się weń zagłębiać, okrążyłem go dwa razy, lecz za drugim nie widziałem już nawet własnych śladów. Śnieg padał za szybko, za szybko też uciekało to co ścigałem.

Wtedy naprawdę się wystraszyłem. Dotarło do mnie jak daleko zaszedłem. Zrozumiałem że skazałem się na śmierć, ale otrzeźwienie przyszło zbyt późno. Nawet nie zastanawiałem się dlaczego, choć byłem sam, bez ochrony, zupełnie niegroźny dla takiego przeciwnika, nie zostałem zaatakowany; dlaczego ta istota, czymkolwiek była, nie zwróciła się ku mnie, wybierając ucieczkę. Zdjęty paniką, zawróciłem. Gnałem śpiesznie szlakiem własnych stóp, lecz te stawały się coraz mniej wyraźne... Wreszcie większa ich część znikła pod śniegiem. Zrozumiałem że jeszcze tylko kilka ramion, a znajdę gładką, chłostaną wiatrem równię. Ruszyłem przed siebie, na wpół na oślep, mając nadzieję że obrałem dobry kierunek. Nie wiedziałem gdzie północ, gdzie południe, kierowałem się wyłącznie przecuciem, choć nawet nie wiedziałem czy postać biegła prosto przed siebie, czy umykała zygzakami. Czy, wracając, sam biegłem prosto, czy może skręciłem? Jak długo biegłem? Nie widziałem nad sobą żadnej jaśniejszej plamki, nie wiedziałem nawet gdzie szukać słońca, co dopiero któregoś z księżyców. Chmur nawet nie widziałem, przez rozpięty nad górami ołów, tak gęsty sypał śnieg. Wiatr siekł nim tak mocno że gdybym nie przesłaniał oczu obraną w grubą rękawicę dłonią, niechybnie wytarłby mi je z czaszki.

Przysiągłbym że poznawałem mijane drzewa i zagajniki, lecz za drgającą, to pędzącą w nagłym podmuchu kurtyną bieli wszystkie wyglądały podobnie. Gdy śnieg osłabł, spostrzegłem że tkwię w samym środku rozpościerającego się wokół mnie bezgranicznego, białego pustkowia, otoczony rzednącą zasłoną z wirujących płatków. Kilkadziesiąt kroków później, jakby za sprawą złych dusz, przypominałem sobie historie o doświadczonych góralach, znalezionych nieopodal progu własnego domu, po tym jak padli w śnieg, okrążywszy chatę kilkadziesiąt razy, nie widząc jej w śnieżycy... Zrozumiałem jak to było możliwe, lecz tego doświadczenia, wtedy, chętnie bym się pozbył. Śnieg wprowadził zieleń, lecz, dla równowagi, wzmógł się wiatr, by chłostać mą twarz zamrożniętymi płatkami śniegu, niczym szczotką z igieł. Byłem pewien że gdy wrócę - jeśli wrócę - pozostanie z mojej głowy jedynie naga czaszka, z resztkami skrywających zęby warg... To wtedy wydało mi się że coś usłyszałem. Zatrzymałem się, wsłuchując w wyjący wiatr. Odgłos powtórzył się. Choć stłumiony i niewyraźny, poznałem go. Szczęk oręża! Wierząc że dobrze oceniłem z której nadszedł strony, podbiegłem tam ostrożnie, licząc że może ktoś właśnie dopadł bestię. Po krótkim biegu dostrzegłem przed sobą poruszające się, majaczące, zatarte sylwetki. Niemal uwierzyłem iż doznałem widzenia śnieżnego - rzadkiego, danego przez moc ścierających się żywiołów wejrzenia w przeszłość lub w przyszłość, o jakim czasem mówili górale i magowie, lecz odgłosy walki stały się głośniejsze, wyraźniejsze - zbyt rzeczywiste...

Moich uszu doszedł niewyraźny okrzyk. Ostrożnie, z mocno bijącym sercem, podszedłem bliżej... Nie wierzyłem własnym oczom! Dziesięć może ramion przede mną, niewyraźne, lecz rozpoznawalne bez żadnych wątpliwości, walczyły ze sobą dwie postacie - Elab i Kolimach! Zatrzymałem się, jak zahipnotyzowany obserwując ich zażartą walkę. Obaj byli poranieni. Górna część ciała Elaba była cała we krwi; jego ubranie rozdarte na strzępy. Jak zdołał przeżyć, jak zachował dość sił i energii by walczyć... nie rozumiałem. Patrzyłem na nich jakbym był zupełnie gdzie indziej, a oni byli ledwie gotową rozplynać się w śniegu iluzją.

Nie wiem ile minut obserwowałem walkę. W pewnej chwili rozdzielili się, przystanęli. Dysząc ciężko, jeden gapił się na drugiego... Dlaczego para z ust Elaba jest taka niewyraźna, pomyślałem beznamiętnie, na wpół przytomnie, podczas gdy oddech Kolimacha buchał w mroźnym powietrzu niczym para z kociołka?

Kolimach skierował ku niemu miecz; w lewej, wzniesionej lekko w górę dłoni, dostrzegłem sztylet. Czekał. - Będziesz następny! Nikt nie będzie cię szukał! - Elab rzucił się pierwszy, w prawej ręce miecz, w lewej... wyglądało to jak pięciopalczaste grabie, lecz z pewnością nie były to ani pazury, ani nic związanego z jego

ciałem.

Kolimach okręcił się wokół własnej osi. Elab przemknął obok; ciął go przez plecy, ale ledwie drasnął. Uczeń odwrócił się błyskawicznie, tnąc na oślep za siebie. Kolimach niemal tańczył, choć inaczej niż Apok, nie tak zręcznie; Elab rzucał się jak niewprawiony chłop, powoli, ociężale, jakby zamarzał... lecz wciąż ciął szybko i precyzyjnie, jak zabójca.

Utyłani w śniegu, wpatrywali się w przeciwnika dzikim, obłądnym spojrzeniem. Elab niby po raz kolejny dał się zwieść Kolimachowi, lecz gdy znalazł się za jego plecami rozdziawił nagle usta i rzucił się do przodu, ku jego karkowi. Nie sędzę by Kolimach to widział, czy wiedział. Usłyszał po prostu zbliżający się oddech przeciwnika, wyprostował zgiętą dotąd w łokciu lewą rękę i pchnął nią w tył. Sztylet wbił się w środek piersi Elaba. Kolimach puścił jego rękojeść i obrócił się, tnąc równo mieczem. Bezgłowe ciało runęło w śnieg.

- Ciebie też nie będą szukać! - warknął do zwłok - Trza było zostać z nią, i nie wracać!

Zacząłem się cofać, choć nogi same uginały się pode mną. Nic z tego nie pojmowałem, nie wiedziałem co się działo, ani co się stało... Poślizgnąłem się i padłem plecami w śnieg, uderzając o coś piersią. Jęknąłem.

Kolimach to usłyszał. Złapał za miecz, odwrócił się...

Czując niemal jego ostrze w swojej piersi, pogałem przed siebie jak jeszcze nigdy dotąd, nie odwracając się ani na chwilę. Przewróciłem się, sturlałem w dół zbocza; ległem, dysząc, nie mogąc się podnieść, lecz nic się nie działo. Kolimach musiał mnie zgubić w zamieci, miał zresztą własne problemy. On także musiał wrócić do gospody, lecz przynajmniej znał drogę...

Nie odważyłem się iść po jego śladach - na jego miejscu wykonałbym pętlę i zacząłbym się przy najbliższym drzewie. Zacząłem błądzić. Stan mojego umysłu coraz bardziej odchodził od normalnego, nie wiem czy za sprawą tego co ujrzałem, czy zwyczajnie z zimna. Gdy niespodziewanie, tuż obok, usłyszałem stłumiony, ludzki głos, ujrzałem siebie już po tamtej stronie istnienia. Nogi na dobre zgięły się pode mną.

- Idiota! - Diamdus pochwycił mnie gdzieś w połowie drogi ku lodowatej, puchowej głębi - Po coś to zrobił?

Wszyscy są pewni żeś martwy. Wiesz co pomyśłą gdy wrócisz, żywy?

- Coś... widziałem... - powiedziałem, wciąż zwrócony twarzą ku białej powierzchni.

- Myślisz że ja nie? Och, to nieważne - odwrócił mnie ku sobie - W taką pogodę możesz widzieć co chcesz, i tak nie zdołasz tego złapać. Zostań na następny raz w gospodzie, to zaoszczędzisz wszystkim przechadzki.

- Oszczędzić... tak... - spojrzałem w jego twarz, nie wiedząc co myśleć, nie wiedząc kim naprawdę jest, kim są inni, kim ja... Mag usiał dostrzec że nie jestem w najlepszej formie. Jego siarczysty policzek zapiekł mnie mimo przemarzniętej twarzy. Zaraz też pomógł mi stanąć na nogi.

- Widziałem... Widziałem twojego ucznia! - powiedziałem z przejęciem, wskazując za siebie - Kolimach... ten zabójca obciął mu głowę!

- Obciął głowę, mówisz? - spojrzał na mnie świdrującym wzrokiem.

Nieskładnie, choć z każdym zauważonym szczegółem, opowiedziałem mu co widziałem. Diamdus wysłuchał mnie uważnie, w milczeniu, cały czas prowadząc gdzieś, bez wahania, w sobie tylko znany sposób odnajdując drogę.

Długo nie odezwaliliśmy się słowem.

- Cokolwiek dziś widziałeś - rzekł wreszcie - Oczyma duszy czy ciała, zachowaj to dla siebie, a przeżyjesz, ty i twój przyjaciel.

Serce zamarzło mi od przeszywającego je nagle lodu. Dziwnie to powiedział, ni ostrzeżenie ni groźba...

- Nie mam na myśli ni siebie, ni nawet Kolimacha - odrzekł, wyczuwając widać targające mną nagle dreszcze

- Dzielila ich stara sprawa. Załatwili ją, na tym koniec. Nie zmienimy tego, zresztą wiem jaki był Elab i... nie będę za nim tęsknił. Pomyliłem się wobec niego, zwiodył mnie jego obietnice i... Ale to mój błąd. Nie popełnij kolejnego, swojego.

- Mojego...? - nie wiedziałem co miał na myśli.

- Wiesz co się dzieje w gospodzie. Chciałbym uwierzyć że to biała gorączka, czy zwykłe, zimowe szaleństwo, lecz to coś innego, gorszego. Ludzi ogarnia panika, a w panice... Człowiek w zamknięciu, bez drogi ucieczki, nie patrzy w co uderzać, byle uderzać. To przynosi spokój prostym umysłom. Powinieneś milczeć, by w was nikt nie uderzył, by inni nie widzieli w was nieistniejącego dla nikogo, lecz rzeczywistego dla obłąkanego umysłu zagrożenia. Dlatego, i tylko dlatego.

Kiwnąłem głową. Nie wiem czy to zauważył czy nie; choć pewnie jakoś wyczuł swoimi magicznymi zmysłami. Nie trzeba mi było więcej dowodów na świadectwo iż Diamdus nie jest dla nas zagrożeniem. Czy ktoś taki

mógł odpowiadać za te zbrodnie? Przy całej swojej podejrzliwości, nie potrafiłem się przekonać do takiej myśli. Cóż mu wtedy szkodziło, skrócić mi kark, złamać jak gałązkę, rzucić w śnieg, albo i zataszczyć pod gospodę i rzec że znalazł mnie, już martwego? Uwierzyliby że to on mnie zabił? Prędzej że dopadło mnie to co ścigałem, a co przecież widzieli także inni. Mógł też powiedzieć co widziałem, oskarżając Kolimacha... Łatwo pozbyłby się kolejnego z nas, samemu pozostając poza wszelkim rozsądnym podejrzeniem. Czym się różniłem od tamtej trójki dzieci? Chyba tylko głupotą...

Do gospody wróciliśmy razem, żywi. Im bliżej byliśmy, tym Diamdus był słabszy. Wyczerpywała się nie tylko jego magia, lecz i siły. Pod koniec to on wspierał się na mnie, w milczeniu wskazując dłonią kierunek. Tak doszliśmy do skały, a idąc wzdłuż niej - do drzwi.

Co więcej, wkrótce po nas, jak gdyby nigdy nic, wrócił także Kolimach, lekko wprawdzie poraniony, lecz za to bardzo, ale to bardzo... spokojny.

Wszyscy ucieszyli się z naszego powrotu. Jedni udawali, jak najemnik, inni, jak Nordon i Isfita, cieszyli się szczerze. Nikt, poza Kurkusą, nie wierzył już w winę szefa górników - przynajmniej to było dobre.

- Ty skończony idioto! - powiedział mnie Noram. Pienił się ze złości - Cóżes ty sobie wyobrażał w tej swojej...? Bez słowa odepchnąłem go łagodnie na bok. Byłem na zewnątrz godzinę, może trochę więcej, a czułem się wykończony jak po całodniowym marszu. Dotarłem do sań, wydobyłem ostatki maści i nasmarowałem coraz bardziej piekącą twarz. Skóra szczęśliwie była na miejscu, choć czerwona i boląca. Maść koła go powoli, zamieniając w niewinne, łaskoczące pieczenie. Coraz słabiej wierzyłem że ktokolwiek mógłby przeżyć na zewnątrz. A jednak, na własne oczy widziałem Elaba...

Wróciłem do Norama. Patrzył na mnie z troską, pomieszaną z obawą.

- Dobrze się czujesz? - spytał - Ledwo stoisz...

Pokręciłem głową, lecz powiedziałem co innego.

- W porządku. Przeżyję.

Wziąłem go pod rękę i zaprowadziłem na bok, wprost ku kominkowi. Tam, wciąż trzęsąc się z zimna i szczękając zębami, jak najciszej opowiedziałem co mi się przytrafiło, byle zdążyć z tym nim wyobraźnia zacznie robić swoje, dopisując drobiazgi, które nigdy się nie przydarzyły. Jeśli znajdą mnie martwym, myślałem, lub gdy zaginę na dobre, pozostanie ktoś kto będzie wiedział kto i dlaczego mnie zabił, i zdąży o tym opowiedzieć...

Pamiętam kiedy zacząłem, nie pamiętam kiedy skończyłem. Wiem że potem długo siedziałem, na wpół nieprzytomny, przy kominku, mechanicznie sącząc napar, myśląc nad czymś. Nie wiem skąd wiedziałem że z dworu nie wrócił jeden z górników, oraz Lajkisz. Drugiego górnika znaleziono mocno poranionego, na wpół wykrwawionego i nieprzytomnego, ale żywego. Osadnicy zaopiekowali się nim sami, zabrali do zajmowanej przez siebie części gospody i tam ukryli. Musiałem to bezwiednie usłyszeć; umysł, choć błędził gdzieś daleko, zachował dla mnie tę informację. Pobiegli za mną i tam zostali, myślałem. Krasnolud znalazł jedno ciało - a w jego słowa nie wątpiłem. Drugiego nie widział nikt - nikt też nie wierzył by strażnik miał tyle szczęścia co znaleziona dziś pierwsza ofiara.

Lajkisha nie żałowałem. Po tym jak podniósł rękę na Isfitę jego los był mi jeszcze bardziej obojętny niż jego towarzyszy. Co innego górnicy. Pobiegli za mną i przeze mnie zginęli. Zginęli, tak, gdyż po tym co zasłyszałem, nie wierzyłem by ocalony zdołał choćby odzyskać świadomość zanim... Czułem się podle winny. Nie zważałem na kolejne fale oskarżeń, jakimi obrzucali się kupiec i najemnik, przy wtórze elfa. Za dużo ofiar naraz, za dużo - w głowie pojawiała się i znikła jedna, uparta myśl - za dużo, jak na jedną tylko bestię... Choćby to była wspólna robota Elaba i Kolimacha... Lecz mieliby jeszcze czas na walkę, skoro uganiali się za sobą, skoro Kolimach wiedział że uczeń maga przeżył?

Noram zatopił się w myślach. Zachowanie maga też niewiele się różniło od mojego. Siedział z dala od innych, na swoim zwykłym miejscu, bezwiednie paląc fajkę. Owszem, ten i ów oskarżył go o coś, lecz Diamdus albo ich nie słyszał, albo bardzo dobrze udawał. Nie zauważył gdy uznano go za niewinnego i skierowano się ku komuś innemu, by wreszcie zakończyć sprawę na niczym. Robili postępy - mag się nie wtrącił, a mimo to nikt nie zginął.

W przeciwieństwie do nich, choć ochłonałem, nie miałem sił do wymyślania winnych. Myślałem znam odpowiedź, że... Ale wiedziałem też że nie miałem przywidzenia - uciekająca postać, choć ludzkie miała kształty, wysoka była i rosła niczym niedźwiedź. Widziałem tylko plecy, w pegrenie futro ubrane. Nie

człowiek, myślałem, nie człowiek, ale nie zawrócił, nie zabił głupiego, goniącego go dziecka...

Ledwie godzinę po naszym powrocie, gdy zdążyłem odtajać i jako tako dojść do siebie, górnicy poprosili mnie bym zobaczył czy mogę coś zrobić dla ich rannego towarzysza. Skinąłem głową i w milczeniu udałem się za Holminem. Przyprowadził mnie do jednych z drzwi i zapukał. Rychło usłyszałem szcęk zamka. Gdy uchyliły się, Holmin wskazał mi bym wszedł, sam zostając na zewnątrz.

Błada, miejscami posiniąta twarz górnika wyglądała jakby już był martwy; resztę ciała skrywały koce. Dwie kobiety czuwały nad rannym. Teraz spojrzały na mnie z nadzieją.

- Obacz, dziecko, ty światowy, może... - powiedziała jedna z nich.

Kiwnąłem głową, choć nie miałem wielkich nadziei. Odkryłem koce, na pół łokcia. Spodziewałem się że chory będzie wyziębiony, lecz jego ciało było rozpalone, targane lekkimi drgawkami, co chwila przechodzącymi we wstrząsy. Pot spływał strumykami po twarzy i całym torsie. Dotknąłem czoła - było rozpalone, lecz pierś, z wyjątkiem okolicy mostka, zupełnie chłodna, jak u od godziny martwego nieboszczyka. Na szyi miał ślady szarpania - mogła to zrobić tak bestia, jak i Elab swoimi rzekomymi szponami. Z karku coś zerwało mu skórę, na rozmiar dłoni, wraz z dobrym kawałkiem mięsa; na klatce piersiowej znalazłem liczne ślady kłucia.

- Tu zioła nie pomogą, tylko magia - powiedziałem - Troski mu trzeba, zimnych okładów na czoło i ciepłego okrycia.

Nie wiem czy dostrzegły po moich oczach co naprawdę myślałem o jego stanie. Podziękowały mi, zalewając się łzami. Gdy wyszedłem na korytarz, natychmiast zamknęły za mną drzwi. Chciałem odejść, lecz Holmin złapał mnie za rękę.

- Co mu będzie? - spytał drżącym głosem - Ozdrowieje?

Pokręciłem powoli głową.

- Ktoś z rodziny? - spytałem.

- My tu wszyscy z rodziny, tajemnic nie mamy. Co mu?

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem... Jakby głowa miała inną chorobę niż ciało. To... nie wiem czy od mrozu... Nie wydaje się poważne, ale krwi stracił zbyt wiele, sił może nie mieć... Wiele dni może tak leżeć, aż... Nie wiem, nie wiem...

Wójt odsunął się z ciężkim westchnieniem. Zrozumiał. Wróciłem do sali, do kominka. Holmin wrócił długie minuty później. Nie wiem czy komukolwiek powiedział o mojej diagnozie, czy, jak ja, uznał że lepiej o tym nie mówić.

Kątem oka zauważyłem Kolimacha, kierującego się do lewego korytarza, do wygodki. Ciekawe że Ossel poszedł tam tuż za nim... Niespecjalnie zdziwił mnie nagły, wściekły ryk najemnika i szczęki oręża.

Walcząca para wpadła z powrotem do sali. Kolimach, wściekły niczym szerszeń, napierał na broniącego się Ossela. Jego nie tak dawno niesprawną ręką szybko odzyskiwała utraconą sprawność. Najemnik naprawdę znalazł się na truczniach.

- Taki wasz rozejm, łotry? - zawołał - Próbowaliście mnie zdjąć?

- Dość! - zawołał ostro Diamdus. Bijatyka była dla niego tą ostatnią, przepelniającą czarę. Nie to żeby nie było tak i dla mnie - Mości wójcie, o pomoc proszę! Wytlumaczcie się, obaj!

- Broń w dół, albo weźmiem obu! - Holmin, wraz z kilkoma górnikami, ochoczo przyskoczył do walczących. Zdumiałem się - jakim poważaniem i posłuchem cieszył się u nich stary mag!

Kolimach i Ossel opuścili posłusznie oręż.

- Polazł za mną! - oskarżył najemnik - Usiec chciał w wygodce, bogowie mi świadkiem, porąbać na kawałki i...

- Jakby przybytek był tylko dla ciebie! - odwarknął tamten - Myślisz że tobie jednemu się zachciewa?

- Zawsze chodzisz tam na palcach, tak? Cicho niczym mysz? - zadrwił Kolimach, łypiąc jednak wściekle na kupca. Ten zaraz odwrócił głowę - Nie jestem ni tak głupi, ni naiwny! Mam oczy z tyłu głowy, nie dopadniecie mnie tak łatwo!

A to stare zbójce, pomyślałem. A niechby się pozarzynali! Miałbym choć chwilę spokoju...

- Tępi idioci! - podsumował Rumberd - To nie jarmark! Coś gotowe nas pożreć, a oni...

- To chyba oczywiste - stwierdził sucho mag - Gdy stanie się coś komuś z jednej strony, druga natychmiast i niechybnie zostanie o to oskarżona. Nie gwarantuję iż w obecnych okolicznościach ktokolwiek będzie wysłuchiwał jakichkolwiek tłumaczeń, nim na szybko zostanie uczyniona sprawiedliwość. Rozważcie więc,

wszyscy - powiódł wzrokiem po strażniku, najemniku i Kurkusie - czy opłaca się konspirować...  
Myślę że po tak jasnym ostrzeżeniu przeszła im na dobre ochota do skrytego podrzynania sobie gardeł. Mag wrócił na swoje miejsce, by zająć się fajką. Niedawni rywale usiedli jak najdalej od siebie, lecz jeszcze długi czas pozostawali pod baczeniem krasnoluda, Apoka, Diamdusa - i Isfity.

Jakieś pół godziny później, gdy jako tako się uspokoiło, poznałem że gospodarz i kilku górników spogląda ku mnie, rozmawiając o czymś na uboczu, przy zasłonie. Nie pierwszy raz gadali o czymś cicho między sobą, lecz tym razem byłem naprawdę ciekaw o czym - spojrzenia w moją stronę wszak wskazywały że miałem z tym coś wspólnego. Widziałem ich ledwie kątem oka, udałem więc że niczego nie zauważyłem; nie odwróciłem się nawet, lecz uważniej nastawiłem uszu, udając na wpół przytomnego.

- Nie wątpię, stara kręci się w pobliżu - usłyszałem przyciszony głos Holmina. Prostymi byli ludźmi, obce im były intrygi i sztuka szeptania - Musiała...

- Tyle zim jej nie było! - odparł przejęty czymś Mrazin - Myślałem że odeszła, na dobre...

- Ale nigdy dotąd...! - ktoś zaprotestował zbyt głośno. Zaraz ze strachu przyciszył głos, nie usłyszałem dalszego fragmentu, jedynie pod koniec doszło mnie coś jak - ...dzieciukami się zabawiała... dyć chłopaka ostawiła w pokoju... To do niej podobne...

- Ale... widzieliście jak wrócił... Gdyby w porę nie należeli...

- Nie może by to ona, mówię, nie może...

- ...ale nie wrócił!

- A bestia... Pamiętacie...? Nie wiemy czy żywa. Może ją zeżarł? Zim wiele, mógł wrócić do leża, ale drogę spamiętał i teraz, gdy wszędy śniegi...

Osadnik długo mówił coś niezrozumiałego. Inni, o ile dostrzegłem, tylko kiwali głowami.

- Nikt przecie nie widział czym się to ukończyło... - ktoś przytaknął - Oba by przecie nie...

Obróciłem lekko głowę, by dostrzec ich reakcję. Kręcili głowami, lecz wtedy któryś spojrzał w moją stronę i rzekł coś cicho. Szepty przycichły; górnicy przesunęli się ku przeciwległej ścianie, na swoje, jak się okazało, nieszczęście. Wciąż siedziałem, licząc że jednak coś usłyszę, lecz słowa do czyichś innych trafiły uszu.

- O kim, lub o czym, gadacie? - zagrmiał nagle Kurkusa.

Nie było już sensu udawać. Odwróciłem się. Kurkusa, ze swoją świtą, otoczyli już Mrazina i Holmina, zaczynając nową awanturę. Tym razem sprawy wyglądały poważniej.

- To oczywiste że oni coś wiedzą - stwierdził elf. Pożałowałem że chociaż jemu nie powiedziałem co się stało, lecz było za późno.

- Jeśli, kmiotkowie, nie zaczniecie gadać co się w śniegu czai, jako żyw przyrzekam, roztworzę kopalnię i krew utoczę, jeśli który spróbuje ją zamknąć! - obiecał kupiec.

Niezwyczajnie to było, zważywszy iż sam się bał ją otwierać, jednak osadnicy bali się tego bardziej. Widać było że nie żartuje.

Wstałem i dołączyłem do otaczających miejsce dysputy gości i kilku osadników. Nikt nie wiedział do czego to doprowadzi, lecz czułem że nie będzie to nic dobrego.

- Wiedziałem że coś kryją! - warknął Kolimach - Czułem ten smród od pierwszego dnia...

- I teraz o tym mówisz? - zadrwił Ossel. Zauważyłem jednak między nimi niewielką zmianę w zachowaniu.

Już nie byli ze sobą na noże, jak ledwie chwilę temu, jedynie na pyskówki. Wspólne obawy połączyły ich skutecznie, zacierając wszelkie wcześniejsze niesnaski.

- Skłamałbym, gdybym powiedział że znamy wszystkie tajemnice - Diamdus, cały ciężar ciała opierając na kosturze, choć z przyzwyczajenia raczej niż z potrzeby, bo siły już mu wróciły, bacznie obserwował wójta - Czuję że coś tu się kryje. Czas to ujawnić, nim ona nas pozabija, czy to własnymi, czy naszymi rękoma - dodał, przenosząc wzrok na Kurkusę i jego wciąż przerażoną kolejną stratą świtę.

- Wyduśmy to z kmiotów! - stwierdził Kolimach.

- I na co to się zda? Milczeć będą - mag spojrzał na wójta i gospodarza, miotających na gości wściekłe spojrzenia - Ich wciąż więcej, a nas coraz mniej. Nie szukam zwady - podszedł do mnie i położył dłoń na mojej głowie - Chłopiec coś widział. Wierzę iż nie było to złudą, gdyż sam coś poczułem, nie raz i nie dwa. Wolę inne sposoby, lecz... trzeba to wyjaśnić, na dobre. Dlatego zdecydowałem się wyjść i odnaleźć to, co nam umyka.

- Stary czarownik wreszcie oszalał! - zawyrokował krasnolud - W taką pogodę...

- Nie pobiłdę, mości krasnoludzie - Diamdus wyszedł przed wszystkich - Widzę rzeczy mimo śniegu i wiatru. Chcę znaleźć tę tajemniczą, chodzącą w zamieci istotę, by ocenić zagrożenie, zanim zaszlachtujemy się nawzajem w awanturach o swojej przeszłości - pod siłą jego wzroku Kolimach i Kurkusa spuścili głowy, niczym skarcone dzieci - Słaby jednak jestem. Potrzebuję silnej ręki i sprawnego miecza, a i nie chcę wychodzić na dwór samotnym.

Trzymając w dłoniach kostur, nie opierając go jednak o podłogę, jakby chciał pokazać iż dość ma sił by wyjść, podszedł do Isfity.

- Ufam wam bardziej niż tu obecnym - choć się nie odwrócił, wiadomym było kogo ma na myśli - Czy zechcecie...

- Nic z tego, dziadku! - zaprotestował Kurkusa - Samżeś rzekł, pełnia blisko. Staryś, gotów cię powalić i uciec, choćby i z żelazem na rękach i nogach. Dopiero wtedy będziemy mieć szalejącą na zewnątrz bestię!

- Jakbyśmy już jednej nie mieli! - rzucił Apok.

- ...i kilku w środku - dorzuciłem, spoglądając Kolimachowi w oczy. Zbyt mnie równie niedbałym spojrzeniem jak w dniu gdy pierwszy raz skrzyżowaliśmy swój wzrok. Dla niego, co by się nie działo, ta sprawa zdawała się zamknięta. Otworzyła się za to inna, a on odzyskał spokój... i to przerażało mnie najbardziej.

- Wilkołakom zimno nie straszne - mag nie odwrócił się - Byłby dobrym pomocnikiem...

- Zapomnij! - powtórzył kupiec - Nie dam go! Chcę go mieć na oku!

- Jeśli tak, mości kupcze - Diamdus stanął łokieć przed nim - Udzielisz mi jednego ze swoich ludzi, w imię wspólnego bezpieczeństwa?

Zmierzyli się wzrokiem. Kurkusa zawahał się.

- Pójdę! - odrzekł Femilur.

- Dzięki niech ci będą - starzec kiwnął głową. Odwrócił się plecami do kupca - Szlachetny elfie, czy mógłbyś nam towarzyszyć? Przyda się twa szybkość i bystre oko.

- To zaszczyt, służyć pogromcy klanu Gaela - Apok skłonił się dworsko - Paru moich przodków zginęło w walce z ich zwiadem.

- A dajże sobie spokój! - rzekł Rumberd - Niech idzie ten tu... - kiwnął głową w stronę stojącego z boku Kolimacha - Niedawno usiedzieć na miejscu nie potrafił...

- Mości krasnoludzie, będę się czuł znacznie bezpieczniejszy, wiedząc że zostaniesz tutaj, z nim - odpowiedź Diamdusa, choć uprzejma z tonu, dość była znacząca by nikt nie żywił wątpliwości wobec jego intencji - Nie zbłądzę, to ci przyrzec mogę, dzięki mojej mocy dostrzegę też wszelkie niebezpieczeństwo, nieludzkiej natury, gdy tylko się zbliży.

- Powinienem jednak... - zaczął krasnolud, gdy mag ruszył ku swoim pakunkom.

- Jeśli nalegasz - starzec odwrócił się ku niemu - Miej jednak na uwadze że zostawisz mieszkańców wioski sam na sam z kupcem i jego strażnikiem.

- Ale co to...

- Zostań, Rumberdzie - zgodził się Apok - Powinniśmy mieszać ze sobą wojowników z różnych grup, pamiętasz? Agent Sierpu może nie działać sam. Ktoś musi baczyć na dzielnego i dostojnego kupca - w jego głosie zabrzmiała subtelna ironia, lecz adresat udał że jej nie dosłyszał - naszych gospodarzy, oraz na chłopców, byśmy mieli do kogo wrócić.

- Żałuję że nie poszedłem wraz z innymi po drewno - dodał Diamdus - Lecz to się nie odstanie. Rychło, mam nadzieję, wrócimy, a wtedy każdy sam będzie mógł baczyć na innych.

- Wiesz chociaż gdzie iść? - targany wątpliwościami krasnolud zerkał to na maga, to na elfa.

- Myślę że mam całkiem dobre pojęcie gdzie tego szukać.

Mrucząc coś w swoim języku, Rumberd potruchtał za Apokiem, by pomóc w przygotowaniach. Długo przy tym o czymś rozprawiali.

Bez zbędnego pośpiechu, lecz i bez zbędnej zwłoki, wyruszająca trójka zebrała swój ekwipunek. Gospodarz kolejny raz tego dnia otworzył drzwi. Odeszli w stronę stoku.

Wtedy widziałem Apoka po raz ostatni. Gdybym tylko wiedział...

\* \* \* \* \*

Pół godziny minęło, lecz nam czas ten dłużał się nieznośnie. Górnicy kłócili się w rogu sali, tym razem bacząc

by nikt ich nie dosłyszał. Milkli zawsze gdy w pobliżu znalazł się Kurkusa lub Ossel - którzy, nie wątpię, podchodzili ku nim specjalnie. Osadnicy wodzili wtedy za nimi ponurym wzrokiem, by wrócić do swojej zażartej dyskusji, tam gdzie ją przerwali.

Uspokojony, Kolimach znów leniwie obserwował otoczenie ze swojego tronu. Wraz z Noramem siedziałem przy jednym ze stołów, nie spuszczać zeń oka. Milczałem, ale nie trzeba było maga by wiedzieć o czym myślałem. Zabójca, z udawaną uwagą, wciąż oczyszczał sztyletem spód swoich paznokci, co rusz znacząco spoglądając na mnie spoode łba. Nie wznosił przy tym głowy choćby o palec, że niby bez zainteresowania, lecz ja wiedziałem.

- Klnę się, nie tknie cię palcem! - Noram położył swój miecz na stole, dziko patrząc na złodzieja - Nikt nie będzie bezkarnie zabijał moich przyjaciół! Poszedłem za tobą na krasnoluda, pamiętasz? Pójdę i teraz! Pamiętałem. Wtedy to było co innego. Tamten był szalony, a ten tutaj - wyrachowany i dokładny. Nie wiedziałem co sądzić o całej sprawie, jakie tamci dwaj mieli powody by walczyć, lecz to się nie liczyło. Nie chciałem by Noram podzielił mój ewentualny koniec.

- Słuchaj, powinniśmy powiedzieć... - zaczął.

- Nie! - zaprzeczyłem stanowczo - Cokolwiek robi, nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

- Ale jesteś świadkiem...

- Jeśli komuś coś powiemy, wszyscy się pozabijają! Zostaniemy sam na sam z bestią! Potrzebujemy go...

- Ale on nie potrzebuje nas! Ten ośliszły wąż, gad o...

Kolimach z wolna podszedł do naszego stołu i usiadł naprzeciwko. Z politowaniem spojrzął na leżący na blacie miecz. Noram przełknął ślinę. Ponuro spojrzałem w twarz zabójcy. Nieuważnie bawił się sztyletem, upewniając się że zrozumie przesłanie. Nie musiał.

- Nie widziałeś dzisiaj aby czego, dziecko... w tym śniegu? - spytał od niechcenia.

- Nie... nie jestem pewien - odpowiedziałem spokojnie, choć zadrżałem gdy pociągnął ostrzem po kancie stołu, niby po gardle - Może...

- Więc, jeżeli może sobie przypomnisz... - rzekł, niby niedbale, kładąc jednak wyraźny nacisk na trzy ostatnie słowa - to może nie dożyjesz jutra...

Oparł łokieć uzbrojonej ręki o drewniany blat i pokiwał ostrzem ku mojej twarzy.

- Nie wiecie kim był ten łajdak - powiedział - To nasze sprawy i naszymi mają pozostać. Moją - spojrzął Noramowi w oczy. Było w jego wzroku coś z wpatzonego w ofiarę węża, aż obaj się skuliliśmy - Do was nic nie mam... jak długo trzymacie jężory na wodze.

- Będę milczał - odparłem jednym tchem - Bardziej boję się bestii. Gdy zaczniemy walczyć między sobą, ona...

- Myślę że od teraz będzie spokój - morderca wstał - Ofermą nie jesteś, ale na następny raz uważaj. Gdybym nie miał ważniejszych problemów, już byś gryzł śnieg.

Odszedł, równie powoli jak przyszedł. Pewność, z jaką to rzekł, uderzyła mnie tak, jakby mnie kto młotem przez łeb przeświadczył. Niestety, on także się mylił.

Po godzinie usłyszeliśmy kołatanie do drzwi, lecz gdy gospodarz je otworzył, do środka, zataczając się, weszła tylko jedna postać! Stała zaraz za drzwiami, gdzie blade światło lamp z ledwością pozwalało dostrzec szczegóły. Mrazin wyskoczył na zewnątrz, lecz wrócił szybko. Wiatr się wzmógł, śnieg zgęstniał; szarzało, lecz i bez tego zrozumiałem że nie ma tam nikogo więcej, nawet ciał. Zamknął pośpiesznie drzwi, nie próbując nawet ich podeprzeć.

Zerwaliśmy się wszyscy. Postać stała nieruchomo; śnieg opadał z niej płatami na podłogę. Drżącą lewą dłonią sięgnęła do głowy, odrzucając kaptur. Diamdus! Dlaczego był sam? Drgnięcie prawej ręki maga strząsnęło śnieg z dzierzzonej weń kuszy - parecznicy Femilura! Bełty były na miejscu, zatem musiał załadować ją tuż przed wejściem... Po co, dlaczego?

- Na bogów, co się stało?! - zawołał Rumberd.

- Znalazłem... siepacza Sierpu... - mag wbił wzrok w coś za naszymi plecami. Ruszył ku nam, wkraczając w krąg jasnego światła. Zszedłem mu z drogi, podobnie inni. Wzniósł kuszę i wymierzył nią w Kurkusa i Ossela. Oni jedni nie ruszyli się ze swojego miejsca za stołem, choć na widok przybysza zerwali się na nogi - Twojego strażnika!

- Wiedziałem... - pod Kurkusa kolana się ugięły. Zamamrotał coś, zatoczył się w bok, by oprzeć się o stół.

Mag wodził za nim bronią - Wiedziałem...!

- Gdzie Apok?! - zaryczał Rumberd, ściskając topór.

- Zginał w walce... gdy... próbował nas zaskoczyć... - Diamdus omal nie zakrztusił się powietrzem. Opadła z niego kolejna warstwa śniegu. Dopiero teraz spostrzegłem że nie tylko jest przemarznięty i wycieńczony, lecz także poważnie ranny - Zginał... Zranił go śmiertelnie, lecz zginał pierwszy... Ja... dobiłem... mordercę... Wzniósł splamioną czerwienią, wolną już od śniegu lewą dłoń i otarł twarz, jeszcze bardziej rozcierając krew po twarzy. Wyprostował się, lecz wciąż nie patrzył na nas. Kolejna zdrada!

- Jemu nie zdołałem pomóc - powiedział pewniejszym głosem, spoglądając ponuro w podłogę u swych stóp - Dowody winy są na jego ciele... tatuaże, znaki Sierpu... i to.

Rzucił na podłogę coś co trzymał dotąd w lewej dłoni. Kawałek blaszki, bez wartości, z wybitymi na niej znakami.

- Znak Sierpu! - powiedziałem. Widziałem już taki, podobny, lecz nie wątpiłem, był prawdziwy - znak człowieczego agenta! Z ich pomocą rozpoznawali się w terenie.

- Masz taką samą blachę przy sobie, prawda? Nie, nie musisz wyciągać. Ja wiem!

Obserwujący każdy ruch maga Ossel zerknął ukradkiem na swojego szefa. Kurkusa, niby taki przerażony, odpowiedział przenikliwym, pewnym siebie spojrzeniem. Tylko ja, będąc niższy od dorosłych, zauważyłem że obaj położyli ukryte pod stołem dłonie na broni.

- Zginał? - przerażający, bojowy wrzask Rumberda przeszył mnie od stóp do głów. Rzucił się na maga, lecz zatrzymał o dwie dłonie od jego pleców, z wzniesionym toporkiem - Zabiję! Po coś się tam pchał?

Diamdus nie zareagował; nawet nie zadrżał, choć ja i wszyscy wokół mnie cofnęliśmy się krok do tyłu. Mróz chyba ściął magowi krew w łód.

- Widzieliśmy... ślady - wytłumaczył z trudem - Musieliśmy zbadać...

- Wreszcie spokój... - kupiec z westchnieniem osunął się ciężko na stołek - Byle doczekać końca śniegu i wynieść się stąd...

Diamdus podszedł, jakby do stołu, jakby chciał się wesprzeć, lecz ożywił się w pół kroku. Jednym ruchem dopadł kupca, owinał lewe ramię wokół jego szyi i pociągnął go w górę, stawiając na nogi. W lewej dłoni załśnił przytknięty do karku Kurkusa, wzięty nie wiadomo skąd nóż; prawa mierzyła z parecznicy w Ossela, lecz mag nawet nie spojrzał w jego stronę.

- Nie, to jeszcze nie koniec! - odpowiedział zupełnie innym, żywym głosem - Dobrze wiesz dlaczego. Nie prosisz o łaskę, nie trzęsiesz się, kupcze? - syknął, wpatrzony w jego twarz.

Kurkusa, ostrzem sztyletu zmuszony do uniesienia głowy, patrzył na maga wściekłym, lecz nie nienawistnym, chłodnym, wykalkulowanym wzrokiem. Nikt nawet nie jęknął.

- Nie jesteś zbyt tłusty jak na handlarza, co? Marionetko Sierpu! Nie lepszyś od tego płatnego rzeźnika, Kolimacha! - Diamdus spojrzał na Ossela - Kusza za słaba, belt pancerza nie przebije, ale te groty wciąż są zatrute, a moje oko dobre i ręka dość szybka by trafić tam gdzie nic cię nie kryje! Rusz się tylko, a stracisz dowódcę!

Ossel znieruchomiał. Nie atakował, lecz ręki z broni nie zdjął. Przeraziłem się, lecz nie prawdziwej natury kupca, bynajmniej! Nawet Kurkusa, jak się teraz okazało, zawodowy zabójca, likwidujący ludzi bez wahania czy mrugnięcia okiem, na co dzień igrający z losem... Nawet on bał się, bał panicznie, gdy odnaleźliśmy martwe bydło! Mógł udawać kupca, lecz nikt nie był zdolny tak dobrze odegrać szczerzego przerażenia...

- Mordercy! - krasnolud z rykiem ruszył do przodu, lecz osadnicy w porę go złapali - Puście mnie bo, na przodków, rozwalę wam łby! Puście...

- Wiedziałeś o mnie i o Damlinie - rzekł mag - bo wraz ze swoimi siepaczami brałeś udział w polowaniu na chłopca! Wyście przynieśli wujowi jego głowę, w worku! Co rzekłeś o moich szatach? Że są za skóry wysłędzonych, tak? Przecież tyś jest tym, który ich zabijał!

Diamdus zaniósł się kaszlem, lecz pewnie dzierzył oręż. Spojrzałem na boki. Nie było dobrze. Górnicy patrzyli na kupca z wyraźną pogardą. Pamiętali kto wstrzymał walkę o Isfitę, tak samo dobrze jak to kto próbował go zgładzić. W walce o ludzkie serca kupiec poniósł sromotną porażkę i był tego świadom.

Nieważne było jakie mroczne sekrety Kurkusa byłby w stanie wywlec z przeszłości maga, osadnicy nie wierzyliby już słowom, lecz czynom.

- Zachowałeś to na dobrą okazję, magu! - w jego ustach zabrzmiało to jak obelga - Niewiele mi ustępujesz!

- A tyś postąpił inaczej? Od kiedy wiedziałeś? Od pierwszego, drugiego dnia? Odwagę masz, przyznaję,



skoro poruszyłeś ten temat, nie mając pewności czy cię rozpoznam! To już ponad dziesięć lat, ale ja pamiętam! Oskarżasz mnie o prześladowanie dzieci, ale to ty jesteś dzieciobójcą! Który z nas teraz gorszy?

- Takiś był zamyślony od początku - zauważył złośliwie Kolimach - Co się stało? Następna ofiara nie dała się tak łatwo zabić?

- Czego chcesz, magu? - wysyczał Kurkusa - Zemsty?

- Nie, nie zemsty - mimo chłodu w głosie, mag mówił coraz ciszej. Ramiona mu opadły, zgromadzona na tę rozstrzygającą wszystko chwilę siła szybko uchodziła z ciała - Tę dostałem na polu. Teraz chcę... pokoju... Puścił kupca. Lewa dłoń opadła; prawa, choć drżała, wciąż mierzyła w Ossela, wciąż dość pewnie by go trafić. Kupiec odskoczył, gotów do ataku, lecz broni nie dobył. Wszyscy znieruchomieli. Nawet krasnolud opuścił topór.

- Szlachetny krasnoludzie - rzekł Diamdus - Nie mam nic przeciwko zemście, lecz nie teraz, jeśli mógłbym prosić. Na wiosnę, po śniegach, ale... - opuścił ze zmęczenia nie mogącą już utrzymać parecznicy rękę i ciężko przysiadł na ławie, przodem ku nam, plecami do stołu - Ślady... Jest ktoś jeszcze, poza nami. Czuję obecność... Pierwsze, pierwsze zabójstwo... - spojrzał ku nam potwornie zmęczonym wzrokiem. Na podłogę kapnęła kropla krwi, po niej druga - Zastanawialiście się dlaczego zginęły te dzieci? Nie wadziły nikomu. Nie wadziliśmy sobie nawzajem, dopóki wypadki nie pchnęły nas przeciw sobie...

- A bo wilkołak nie może służyć Sierpowi? - spytał Noram. Nie odpowiedziałem, nie zaprotestowałem, jak zaczarowany wpatrując się w starca.

- Otrząśnijcie się! - zawołał resztką sił - Coś chce nas skłócić! Już teraz... najlepsi wojownicy... - oparł się plecami o stół, prawie się zeń zsunał - nie żyją... a to coś... wkrótce będzie nas... mogło... zabijać... po kolei...

- podniósł głowę. Spojrzał na mnie i z trudem kiwnął ku mnie dłonią - Chłopcze, powierzam ci się... Nikt inny, tylko ty...

Pochylił się w bok i padł na podłogę, bez przytomności. Dwa wyjścia w taki śnieg, tego samego dnia - to było za dużo dla każdego, choćby dla zdrowego, w pełni sił mężczyzny.

Rzuciłem się ku niemu wraz z Noramem, pochyliłem - i znieruchomiałem, czując na szyi czubki dwóch mieczy.

Ossel wymierzył do Norama z parecznicy. Nerwowość wisiała w powietrzu; gwałtowny, niezamierzony, choćby i niegroźny ruch mógł doprowadzić do czyjejś śmierci.

Powoli wzniosłem rękę.

- Krwi dużo stracił! - zawołałem - Opatrzyć go trzeba!

- Nie warto - chłodno stwierdził Kurkusa - Krew ma na rękach. O dziecku wiem, a ilu przed nim? Zostawmy go, wyrzucmy na dwór, w śnieg, niech zdechnie...

- Wasze nie czystsze! - wstałem, mimo grożących mi ostrzy, i odwróciłem ku niemu, patrząc prosto w oczy - Jego chcecie wyrzucić, to winniście leć zaraz obok!

- Głupie wilcze! - wysyczał przepełniony nagłą nienawiścią kupiec - Dość to przed szczeniakiem pełną michę postawić, by jako wilk kąsał rękę na karmiciela podniesioną!

Nie bacząc na sytuację, sięgnąłem po miecz, lecz Noram złapał mnie za rękę.

- Ostaw - powiedział z naciskiem - Jeszcze się doigrają, choć z innej ręki, a nasze sumienie czyste zostanie. Nie jak...

- Daj chłopakowi robić swoje! - ostrzegł krasnolud, wyciągając ku kupcowi topór - Tylko mag wie co się tam stało, a ja chcę o tym usłyszeć! Jeśli nie, wtedy...

Posłałem Kurkusie złe spojrzenie, przeklinając go w duchu, po czym pochyliłem się nad magiem, odwracając się ku kupcowi plecami. A niechby spróbował, pomyślałem, życząc mu jak najgorzej, niechby nawet. Tym razem górnicy niechybnie go wykończą.

Miecze cofnęły się. Odetchnąłem - lecz przedwcześnie.

- Bałeś się Sierpu, tam, na dworze, prawda? - Kolimach zbliżył się do kupca, niewiele robiąc sobie z życzeń Rumberda - Dlaczego dla nich pracujesz, jeśli wiesz...

- Widać żeś nigdy tak naprawdę nie miał z nimi do czynienia, kontraktowy najemniku! - syknął Kurkusa - Dobrze płacą, nie wiesz nawet jak bardzo... Kupić bym cię mógł, wraz z twoją skórą!

- Lecz nigdy nie wiesz kiedy sięgną po twą własną - odparł zabójca.

Twarz kupca zmieniła się na chwilę. Zmieszał się. Ossel z wahaniem rozejrzał się po sali.

- Wycofać się... to pewna śmierć - przyznał Kurkusa - Musimy pracować do końca! Wysługują się takimi jak

my, ale...

- Wiesz o tym, a mimo to wysłałeś na mnie swoją ładacznicę?! - ryknął Kolimach.

- Boś zdrajca! - warknął Ossel.

- Jako i ty będziesz, gdy z was zrezygnują! Zapolują, jak na mnie... Może już zaczęli - jego usta rozciągnął mściwy, jadowity uśmiech - Swoich, orków, mają za braci, lecz ludzie im ledwie narzędziem! Pozbyć się nie wahają, gdy są niepotrzebne, gdy się stępią... - spojrzał pogardliwie na Ossela - Przez lata dla nich możecie pracować, lecz gdy któryś nagle zdecyduje, rychło idziecie do ziemi, nie wiedząc nawet kiedy i dlaczego, ot tak, na...

- Dość! - zawołałem - Inaczej on umrze! Dajcie mi pomóc!

- Mordy wam pozamykam, jeśli tak się stanie! - ostrzegł Rumberd.

Noram pochylił się nad magiem, pomagając mi go podnieść. Krasnolud przyklęknął, wspomagając nasze siły, tak samo Kurkusa.

- Tylko chłopiec będzie opatrywał! - przypomniał Mrazin. Spojrzałem za siebie. Wieśniacy znacząco złapali za to co mieli pod ręką - Dość skrytych śmierci pod mym dachem!

Kurkusa zrozumiał. Wyprostował się i cofnął, dłonią dając znak ostatniemu ocalałemu pomocnikowi by schował broń. W jednym Diamdus miał rację - osadnicy byli siłą, z którą należało się liczyć.

- Toż to ledwie dzieciak! - zaprotestował po raz ostatni, choć już bez przekonania.

- Wiedzę ma, to starczy - rzekł Holmin - Widział żem jak waszą kobietę opatrzył, a i uczeń maga prędko ozdrowiał. Nikomu innemu ufać nie będziem!

- Ale pomóc nieść chyba mogę? - spytał groźnie krasnolud - Niech no nie dojdzie do siebie, zetnę każdy jeden zdradziecki łeb w tej jaskini!

- Właśnie dlatego to w ich rękach mag winien się znaleźć - oświadczył triumfująco Kurkusa - Te dzieci są wśród nas jedynymi godnymi zaufania istotami. Ktoś inny mógłby... otruć - spojrzał po zgromadzonych, by zrozumieli z czyich ust wyszła ta myśl - ze względu na jego wiedzę, czy dla własnych interesów, by kryć kogoś... lub coś. To dziecko nie ma żadnych.

Giętki język miał, godzien węża, którym zresztą był, a nie człowieka.

- A w razie gdyby mag nie przeżył, zawsze wiemy komu łeb odebrać... - niby mimochodem stwierdził Kolimach.

Ciarki mi przeszły po plecach. Niech no teraz Diamdus umrze, pomyślałem. Cóż za doskonały pretekst by się pozbyć świadka...

- Skończcie gadać i dajcie dziecku pracować! - energicznie uciszył ich krasnolud.

Wszyscy zgodzili się by było jak ustalili. Gdy, z pomocą Rumberda, zanieśliśmy Diamdusa do naszego pokoju. Tam nas zostawili. Już we dwójkę, ułożyliśmy maga na posłaniu.

- Oł, pięknie! - Nordon zabarykadował drzwi, podczas gdy ja oceniałem rany pacjenta - Tożeśmy się wpakowali! Nie dwa, a pięć trupów może dać ta wyprawa!

Nie odpowiedziałem. Skupiłem się na wyskrobywaniu resztek maści z pojemniczków, zastanawiając się ile zostanie nam bandaży, gdy śnieg wreszcie się skończy.

Rany były poważne, dość głębokie, na szczęście daleko im było do śmiertelnych - mimo to jego stan, zważywszy warunki, nie był zachęcający. Diamdus odmroził sobie stopy, zużył siły na własną obronę, oraz na powrót; był blady jak trup, siny z mrozu, prawie bez pulsu - byłem pewien że nie przeżyje. Z trudem opanowałem drżenie rąk, by zszyć jego rany i posmarować maścią. Przy okazji odkryłem na jego ciele liczne, stare blizny i wytatuowane dziwne, rytualne znaki. Założyłem bandaż, wlałem w usta resztki ziół i obłożyłem kocami. Zrobiwszy co mogłem, wyszedłem z pokoju, zostawiając go z Noramem. Ustaliliśmy że nigdy nie zostawimy go samego, póki nie odzyska przytomności - lub skona.

Potrzebowałem gorącej wody. Nim jednak dotarłem do kominka, dostrzegłem że siedzący tuż przy wejściu do korytarza krasnolud wpatruje się we mnie z uwagą, jakby czegoś oczekiwał. Siedział na starym miejscu Kolimacha - jak zrozumiałem, zbój nie wyniósł się stąd z własnej woli. Rumberd palił fajkę, po raz pierwszy odkąd go widziałem. Po tym jak odmówił Diamdusowi pomyślałem nawet że nie pali - nie byłaby to ani pierwsza ani największa różniąca go od pobratymców cecha. Jak na podróźnych, zamkniętych na wiele dni w gospodzie, będącej sceną dla kolejnych morderstw, nie wiedzieliśmy o sobie zbyt wiele.

- Popatrz na nich - wyjął fajkę z ust i kiwnął głową ku osadnikom, gdy tylko się zbliżyłem - Popatrz tylko, a

nauczysz się czegoś o ludziach! Bezdusznicy...

Myślałby kto że nowe trupy zaniepokoją ludzi, lecz, jeśli chodziło o miejscowych, stało się wręcz odwrotnie. Liczyło się dla nich tylko to że nie musieli już znosić obecności mrocznego elfa. Nieważne że zginął, próbując wyjaśnić zagadkę nękających ich morderstw - wszak sami ukrywali coś nielichego.

- To prości ludzie - odparłem - Nie moż...

- Proste kmioty! W tym jednym kupiec-morderca miał rację - Rumberd rozejrzał się wokół, bacząc czy nikt nas aby nie słyszy Ściszył głos - Widziałeś już nasze pierścienie, co?

Pokazał mi palec, na którym tkwił klejnot. Zdjął go i podał, bym obejrzał.

- Zauważyłem że macie takie same - przyznałem. Nie wydawał się specjalnie wartościowy, czy kunsztownie wykonany, choć nie rozpoznawałem metalu.

- Mam do ciebie prośbę - krasnolud odbierał go i założył na palec - To nie są zwykłe ozdóbki, tylko starożytne pierścienie Posłańca. Pewien włóczęga wyciągnął je z grobowca, a potem przegrał z Apokiem w stoczki.

Wyglądają jak tania biżuteria, ale mają swoją moc...

- ...i chcesz bym sprawdził czy mag nie ma drugiego? - odgadłem - Dlaczego?

- Dlatego że gdy dostanę drugi pierścień w swoje ręce, będę wiedział co się tam naprawdę stało - szepnął - Wtedy stary mag mniej mnie będzie obchodził niż to co rok temu działo się za tym oknem - wskazał cybuchem na przeciwną ścianę.

- Nie wiem czy go ma - przyznałem - Nie przeszukałem go zbyt dokładnie, ale...

- Więc zrób to, zrób! - zakręcił dłonią z fajką w powietrzu w zachęcającym geście - Każdemu, kto mi go da, zapłacę sto talentów, w cesarskim złocie!

Zaniemówiłem z wrażenia. Talent był dziesięciokroć więcej wart od prostego dukata. Za tę cenę mógłbym wyposażyć się jak rycerz i jeszcze starczyłoby mi na świetnego rumaka!

- Mam tyle złota, nie martw się - dodał Rumberd - Daj mi tylko pierścień, a będziesz bogaty. Odrobię to sobie na jego głowie - wskazał fajką na Kolimacha - a potem na jego - wskazał na Kurkuse. W jego oczach zapaliły się niebezpieczne ogniki.

Pokiwałem energicznie głową i czym prędzej umknąłem ku kominkowi.

Nie potrzebowałem zachęty ze strony Rumberda by dokładnie przeszukać tobołki maga i jego martwego ucznia. Liczyłem na dodatkowe medykamenty, jednak nie było tego wiele - garść ziół i leków, głównie syropów i wywarów na przeziębienia, oraz kilka nieznanych mi, wschodnich specyfików. Wróciłem do pokoju i równie dokładnie przeszukałem szaty maga, opowiadając Noramowi o propozycji Rumberda.

- Niech to demon porwie! - zawołał cicho - Wiesz co to znaczy?

- Że możemy być bogaci? - spytałem - Kupić parę porządných wierzchowców i...

- Nie to, głupi! Jeśli ta wieść się rozniesie... - przesunął kantem dłoni po gardle.

Miał rację. Za co jak za co, ale za sto talentów... Ludzie zarzynali się i za mniejsze sumy. Dostarczenie pierścienia, jak i utrzymanie tej sumki przy sobie, w tak doborowym towarzystwie, mogło okazać się problematyczne. Pomyślałem też iż równie problematyczne może się od teraz okazać dla krasnoluda utrzymanie swojego majątku, choć wyglądał na takiego co zdoła uciąć dość łbów by pozostałe zniechęciły się do wsadzania łap w jego kiesę.

- Więc... jeśli znajdziemy pierścień - podkreśliłem - Powiemy o tym jedynie krasnoludowi. Ułożymy się tak by zapłacił nam gdy będziemy bezpieczni, z dala od tego miejsca.

Nordon kiwnął głową, ochoczo pomagając w poszukiwaniach. Rychło okazało się iż martwiliśmy się na wyrost - pierścienia przy magu nie znaleźliśmy. Ciekawie za to zrobiło się w gospodzie.

- Chyba wszyscy już wiedzą - powiedział Noram, gdy stamtąd wrócił - Nawet miejscowi przeszukują te budy, od sufitu po podłogę!

- Więc wiedzą - kiwnąłem głową.

Wyszedłem, by się temu przyjrzeć. Naprawdę wierzyli że Apok zostawił go tu przed podróżą? Musiałby być głupszy niż pegren... Kolimach myślał chyba tak samo, wyglądał bowiem jakby szykował się do wyprawy w zawieję, lecz, koniec końców, pozostał w gospodzie. Bał się wyjść w pojedynkę, wszak samotna wyprawa w taką pogodę mogła się skończyć tylko w jeden sposób, nie byłby też skory dzielić się z kimkolwiek nagrodą, o zaufaniu nie wspominając... Tak oto łotr zebrał żniwo swojego zachowania.

Rozczarowani, tyleż pełni obaw co nadziei, owinięci w futra i koce, legliśmy w rogu pokoju, u samych drzwi,

tak by nie dało się ich otworzyć, nas przy tym nie budząc.

\* \* \* \* \*

Noc przespałem zaskakująco dobrze. Zaraz po przebudzeniu sprawdziłem stan pacjenta, obawiając się że zmarł w nocy - odkryłem iż wręcz przeciwnie, poprawiło mu się znacznie.

Było w magu coś dziwnego, wiedziałem to od chwili gdy zacząłem go leczyć. Szybko odzyskiwał kolory; rany goiły się znakomicie, odmrożenia dobrze się leczyły - całe szczęście, gdyż z braku zapasów niewiele mogłem zrobić. Stare ciało wciąż potrafiło o siebie zadbać, co mnie nie dziwiło - magowie, nawet nieprzytomni, zawsze wspierają się swoją mocą.

Diamdus skrywał niejedną tajemnicę, tego byłem pewien, choć nie byłem już tak pewien czy chciałbym je znać. Dotychczasowe zachowanie kazało mi jednak wierzyć że nie stanowił dla nas zagrożenia. Tajemnice, w końcu, miał tu każdy, poza mną i Noramem.

Dzień był piękny. Wszystko wskazywało na to że śniegi wreszcie przeszły na dobre. Opady ustały jeszcze w nocy, ostatnie chmury odeszły rankiem, pozostawiając dolinę skąpaną w jasnych, ciepłych promieniach słońca. Gotów byłem pomyśleć że wszystko co się stało, zwłaszcza wczoraj, było ledwie złym snem; niestety, leżący bez przytomności, choć oddychający równo Diamdus przypominał iż wcale tak nie jest.

Gdy wyszedłem do sali, spostrzegłem wielki ruch i rwetes. Niepomni na dzień wczorajszy, ludzie gotowali się do wyjścia. Zbyt było oczywiste za czyją sprawą garną się ku drzwiom - mniejsza o bestie i potwory, gdy w grę wchodzi sto talentów. Chciwa, ludzka natura...

Odbito belki. Nim Mrazin, jak inni, wbity w futrzany kozuch, przekręcił klucz w zamku, Rumberd stanął przed przygodnymi poszukiwaczami skarbów. Sam nie wybierał się nigdzie, dobrze wiedząc że jeśli tylko jest tam coś do znalezienia, na pewno zostanie odszukane. Marne szanse, pomyślałem - dość spadło nocą śniegu by dołożyć co najmniej kolejny łokieć.

- Pamiętajcie, kmioty - rzucił - Dla was to złoto, dla mnie to osobiste. Gdy odzyskam pierścień, dowiem się co się tam naprawdę stało - spojrzał wilkiem na Kurkusa - a może nawet będę wiedział gdzie szukać potwora. Jeśli, co rzekł mag, jest prawdą, widzieli jego ślady - miejscowi popatrzyli po sobie, nieudolnie próbując skrywać swoje mroczne obawy - a wtedy, na przodków, bestia równie dobrze będzie mogła sama się powiesić, i będzie to dla niej wybawieniem! - czule pogładził dłonią topór - Jeśli zaś który z was spróbuje go zatrzymać dla siebie... niech lepiej nie wraca. Sam go znajdę.

Ludzie zamarli na chwilę. Słowa krasnoluda, ton jego głosu jak i wyraz twarzy jasno wskazywały że nie rzuca słów na wiatr, lecz zaraz przypomnieli sobie o złocie. Dziesięć minut później w sali nie było już nikogo. Gdy Rumberd przemykał drzwi - w pośpiechu nikt tego nie uczynił - wycofałem się pośpiesznie do pokoju.

- Już czas - powiedziałem do Norama, nawet nie domykając drzwi - Idziemy!

Dzieci wciąż spały, albo chowały się wraz z kobietami po pokojach, dość rzec że nikt z osadników nie przyuważył jak wynieśliśmy z pokoju wszystkie swoje rzeczy, przygotowując sanie do drogi. Mieliśmy zamiar wynieść się z tej przeklętej miejsciny, choćby bestia miała nas pogonić do samej przełęcz. Pracowaliśmy w milczeniu, gdy nagle coś mruknęło za nami basowo. Niewiele brakowało byśmy broni dobyli, lecz to tylko Rumberd zaszedł nas od tyłu.

- Wybieracie się gdzieś? - stwierdził bez zdziwienia - Chyba nie na poszukiwania?

- Wynosimy się - odpowiedziałem - Jak najdalej stąd.

- A wasz stary przyjaciel, mag?

Sięgnąłem do mieszka i wydobyłem klucz. Zamierzałem podrzucić go przed wyjściem do jego pokoju. Wziął go ode mnie z widocznym wahaniem.

- Kilka dni i wróci do przytomności - powiedziałem - Zaopiekuj się nim, proszę. Nikomu innemu nie mógłbym go powierzyć... A górnikowi chyba już nic nie pomoże.

- Nie za łatwo ci szastać ludzkim istnieniem? - spytał z wyrzutem. Z jego zarośniętej brody nie byłem w stanie odczytać na ile poważnie myśli o zatrzymaniu nas w gospodzie.

- Nie wiem czy ktokolwiek tu wart jest by się za niego poświęcać - odrzekłem - Apok powiedział mi raz że żywi do maga szacunek. Pilnuj starca, dla niego.

Krasnolud zjeżył się, jakbym pogładził go pod włos. Zacisnął klucz w garści.

- Słuchajcie, młodziki - powiedział już innym tonem - Wiem że wam spieszo opuścić to miejsce... Mnie także, choć jeszcze nie czas...

- Dasz sobie radę z magiem... - zaczął zniecierpliwiony lekko Noram, lecz umilkł gdy położyłem rękę na jego ramieniu. Z nas dwóch, to ja byłem lepszym dyplomata.

- Nie potrzebujecie nas - powiedziałem - za to nam może się coś przytrafić, jeśli zostaniemy.

- Prawda to? - zdziwił się Rumberd. Pokiwaliśmy poważnie głową - Kto...?

- Jeśli powiemy, pójdzie za nami - stwierdził krótko Noram.

- A, do demona z tym! - krasnolud ze zniecierpliwieniem machnął ręką - Nie tym się wam teraz kłopotać! Nie o maga mi chodzi, ani innych, ale o was, młodziki! Daleko żywi nie ujdziecie. Zapomnieliście jak wielka masa śniegu spadła na nas przez ostatnie dni? Czekać musicie, aż się uleży, osiadzie...

- Mamy rakiety - stwierdził Noram - Jakoś...

- Rakiety? - krasnolud sapnął gniewnie - Słuchaj gdy do ciebie mówię, dziecko! Musicie odczekać aż zejdą pierwsze lawiny! Inaczej... - zacmokał, kręcąc głową - znajdą was na wiosnę, albo i wcale.

Umilkliśmy, niepewni co z tym począć.

- A długo to potrwa? - spytałem w końcu.

- Bogowie wiedzą, ale tyle śniegu... Na to co spadło, zejdzie tydzień najmniej, a bogowie wiedzą czy więcej go nie najdzie...

- Tydzień?! - zawołałem - Całe sześć dni? Nie ma co czekać, idziem w ten raz!

- Nie ma mowy byśmy tyle tu ostali - zgodził się Noram.

- Róbcie jak chcecie, nie związę was, ani nie zatrzymam - krasnolud rozłożył ręce - Miło było poznać i tak dalej - otworzył dłoń i spojrzał na klucz - Wiem że wróćcie, wtedy oddam go wam z powrotem. To przecież nie koniec. Będzie więcej śniegu, mówię wam... - odwrócił się, mrużąc do siebie - Więcej krwi i więcej trupów...

Spojrzelśmy po sobie.

- Może mieć rację - słusznie zauważył Noram.

- Wiem - przyznałem - ale możemy to wpierw sprawdzić. Zostawimy sanie, by nie robić śladów. Wszyscy i tak wyszli, pogoda jest wspaniała...

- Bestia - przypomniał.

Wzdrygnąłem się, wspominając pierwsze ciała. Potem wzdrygnąłem się jeszcze raz, wspominając spojrzenie Kolimacha.

- W środku nie lepiej - podsumowałem.

Odbite od śniegu słoneczne światło niechybnie przyprawiłoby o śnieżną ślepotę każdego kto by wyszedł bez okularów z włosia. Byliśmy na to gotowi, wszak spędziliśmy wśród gór całe dotychczasowe życie, lecz choć w okularach, musieliśmy mrużyć oczy od bieli, zdającej się świecić własnym, przeraźliwie jasnym światłem. Wokół śnieg stratowany był śladami rakiet. Tropy schodziły w głąb doliny - tam gdzie skierował się mag ze swoją wyprawą. Po samych poszukiwaczach nie pozostało nic więcej.

Pośpiesznie brnęliśmy przez śnieg ku przełęczy. Byliśmy może w połowie drogi, gdy gdzieś w górze, nad ścianą przy której szliśmy, usłyszałem szmer i narastający łoskot. Tyle miałem czasu by obalić Norama, kryjąc go swoim ciałem, nim pogrzebał nas walący się na dno wąskiego, skalnego kanionu śnieg. Zapadła ciemność. Usta i nos nagle miałem pełne topniejącego puchu. Wyplułem go, wydmuchałem z nozdrzy resztą powietrza z płuc i ostrożnie, wsparty dłońmi o śnieg pode mną, spróbowałem wypchnąć plecy w górę. Z ulgą znów dałem się oślepić słońcu. Odetchnąłem. Spadło na nas nie więcej jak ramię śniegu. Pomogłem wygrzebać się Noramowi. Spojrzałem w górę, ku przełęczy, potem zwróciłem się ku dolinie, po raz pierwszy spoglądając za siebie.

- Pomyśl co by było, gdybyśmy zeszli na drugą stronę - rzekł Noram - Pomyśl co by się z nami stało, gdyby zeszła prawdziwa lawina, a my byśmy byli na dnie...

Wyciągnął przed siebie rękę. Westchnąłem ciężko. Dolina nie przypominała tej, w którą zeszliśmy, wracając z przełęczy. Gdzie kiedyś były kaniony, teraz była równina; z nagich wtedy skał dziś zwieszały się dziś płachty tającego w słońcu śniegu. Równina ciągnęła się we wszystkie strony, spływając łagodnym, wypolerowanym przez wiatr stokiem daleko w dół; tu i ówdzie sterczały czubki co wyższych drzew. To już

drugi raz, pomyślałem, drugi raz musimy zawracać. Znow wygrały skały i natura.

Uderzyłem w drzwi gospody raz, potem drugi. Rychło stanęły otworem. Rumberd wypatrywał nas przez okno; teraz stał przed nami, a ja dziękowałem mu w duchu nie tylko za ostrzeżenie, lecz i za to że, widząc parę utylfanych w śniegu bałwanów, nie wybuchnął śmiechem. Wyciągnąłem ku niemu okutą w rękawicę dłoń. Bez słowa oddał mi klucz i pozwolił wejść. W milczeniu rozpakowaliśmy sanie i wraz z tobołkami wróciliśmy do pokoju. Nikt nie dowiedział się o naszym zamiarze, i może to i lepiej, ze względu na to co później się stało. Sprawdziłem stan maga, bardziej odruchowo niż z jakiegoś konkretnego powodu. Nasza podróż była zbyt krótka by coś się mogło zmienić.

- Na pewno stracimy te pieniądze - powiedziałem, choć miałem na myśli co innego - Mieliśmy zdążyć przed...

- Na szlaku leży tyle samo śniegu co i tutaj - choć znaliśmy się już jakiś czas, Noram był równie dobry w odgadywaniu tego co naprawdę mnie gryzie jak góral w znajomości technik nawigacji na pełnym morzu - Zdążymy.

- Pieniądze, życie - mruknąłem, czując że zarażam się tym od krasnoluda - Tu możemy je stracić równie łatwo.

- Jeden z nas wystarczy by załatwić sprawę. Chcesz iść?

Nie odpowiedziałem, ale przez kolejne dni ni razu nie wspomniałem o odejściu.

\* \* \* \* \*

Tak jak się spodziewałem, wszyscy wrócili dopiero pod wieczór. Było jasne jak słońce że nikt nie znalazł pierścienia - lub wpadł na to samo co my i postanowił się tym nie chwalić.

Krasnolud mówił niewiele. Gdy był w pobliżu, rozmowy dziwnie się urywały, a ludzie odsuwali się na bok. Od naszego powrotu siedział samotnie. Raz jeden usłyszałem jego okrzyk, natychmiast też wybiegłem z pokoju, by zobaczyć co się dzieje.

- Otwieraj, mówię! - z toporem w garści stał przy drzwiach, bez kożucha, bez niczego - Jak mówię żem to widział, to znaczy żem widział! Bydlę pełzło wzdłuż skały, jak tu stoję!

Gdyby gospodarz, usłużnie i pośpiesznie, nie otworzył mu drzwi, niechybnie porąbałby je toporkiem, wraz z podpierającymi je belkami. Wyskoczył na dwór, w zapadający półmrok, tym razem w milczeniu, cicho niczym kot. Wtedy to przekonałem się że gdy wpadnie w szal, krasnolud nie potrzebuje ni ciepłego odzienia, ni dba o cokolwiek. Wrócił rychło, chmurny i milczący. Przeszedł przez domknięte ledwie drzwi i trzasnął nimi bez słowa.

- Ślady są! - ryknął wreszcie, wskazując za siebie - Chcecie to zobaczcie! Znikają w zagajniku przy skale, tam gdzie dzieci... jakby demon z otchłani rodem zapadł się w śnieg!

Nikt nie odważył się tego sprawdzać. Po wyrazie twarzy poznałem iż wielu sądziło że krasnolud zwariował na dobre - wszak wszyscy słyszeli o berserkerach i o tym jak się nimi stawali. Jeśli chodziło o mnie, nie sądziłem by zmyślał.

W milczeniu obserwowałem jak skierował się ku kominkowi. Usiadł przy nim na ławie i długo jeszcze gapił się w okno, w cichą, spokojną ciemność.

- Pierścień... - mruczał niegłośnie - Przynieście jego pierścień, nieważne kto... a będę wiedział...! Sto talentów za pierścień! Tu więcej niż jedna bestia...

Odwrociłem się i dobrze zamknąłem wraz z Noramem w pokoju.

\* \* \* \* \*

Kolejny dzień był podobny do poprzedniego - znow poszukiwania i znow niepowodzenie. Poproszył niewielki śnieg - niewielki tylko w porównaniu z niedawną śnieżycą; w Cesarstwie uznano by go za regularną śnieżycę - powiał niewielki wiatr, zacierając resztę wczorajszych i dzisiejszych śladów. To ostatecznie zniechęciło ludzi do poszukiwań - jeśli dotąd nie znaleźli niczego, jak mogli się spodziewać odszukać cokolwiek pod dodatkową, białą pokrywą?

Zniecierpliwiony, krasnolud zaczął chodzić od ściany do ściany, gładząc topór; szaleństwo wyzierało mu z oczu. Ludzie cofali się przed nim, choćby miejsca brakło, byle zejść z oczu i z drogi. Szczególnie ostrożnie

zachowywał się kupiec i jego strażnik - wychodzili gdy tylko Rumberd wchodził do sali, nie spuszczać z siebie wzroku.

Zapadła noc. Zamknięci w pokoju, czuwaliśmy nad magiem, szykując się do snu. Siedziałem tuż obok, dumając ile to jeszcze potrwa, gdy nagle złapał mnie za nadgarstek. Aż podskoczyłem z wrażenia, lecz gdy spojrzałem na niego, poznałem że to tylko nieświadomy odruch. Diamdus wciąż był nieprzytomny. Wtedy też usłyszeliśmy dochodzące z sali głośnie hałasy, przekleństwa i odgłosy walki.

- Szybko! - zawołałem, chwytając za miecz.

Wystraszeni, wyskoczyliśmy na korytarz, w pośpiechu zamykając za sobą drzwi. Widząc osadników pod bronią - tym razem chwyciły za nią nawet kobiety - stanęliśmy u wylotu korytarza, w bezgranicznym zdumieniu gapiąc się na to co działo się w sali.

Tego wieczora górnicy na dobre wzięli sprawy w swoje ręce. Kurkusa pieniał się i grzmiał, przy wtórze Kolimacha klął na wszystkie świętości i nieświętości, lecz niewiele więcej mogli zrobić. Czterech górników przyparło kupca i strażnika trzymanymi przy gardłach widłami do ściany. Kolimach, wojowniczy jedynie w słowach, stał w asyście uzbrojonej w kilofy trójki, wściekle łypiąc ku ich żonom, na ich oczach uwalniających Isfitę z łańcuchów.

- Błąd, mówię, popełniacie! - jęczał Kurkusa, stojąc na czubkach palców, z uniesionymi nad głową rękoma - Pełnia dziś... a to... To nie człowiek, a zwierz dziki... Na tę noc jeszcze...

- Tyś lepszy, człeczko? - syknął Holmin - Kłopoty mamy odkąd żeście się tu zjawili, ni dnia wcześniej! Miarkuj się, panie! Słowo jeno więcej, a grdykę jak snop przebiję!

Tak to już jest - gdy ktoś zezłości prostego człowieka, tak bardzo iż odważy się rządzić samemu, wtedy nic go nie wstrzyma. Ze wszystkich gości jedynie Rumberd obserwował całe zajście z obojętnością, a może nawet i skrytą pod wąsami przychylnością. Jeśli o mnie chodzi, znaczną część tego zdarzenia uznałem wprost za zabawną, jeśli nie groteskową.

Kurkusa więcej słowem się nie odezwał. Z przerzedzoną świtą i zębami wideł na gardle, nie był już ani odważny, ani pewny siebie. Kobiety odrzuciły łańcuchy na środek sali. Isfita wstał i o własnych siłach przeszedł chwiejnie kilka kroków - pierwszych od kilku dni. Doszedł do stołu i oparł się o deski, patrząc dziwnie na pilnowanych gości - ni to ze złością, ni z politowaniem. Zauważył nas, kiwnął życzliwie głową - odpowiedziałem tym samym - po czym odwrócił się i usiadł. Siedział tak odtąd już stale, z rzadka odchodząc czy do pokoju, czy za potrzebą, zawsze w asyście kilku górników.

Niewiele mogli zrobić protestujący wędrowcy, poza demonstracyjnym zebraniem się w unii przeciwko wilkołactwu. Siedli przy stole maga, zwróceniu ku wilkołakowi; broń rozłożyli na blacie, nawet parecznice nabili, gapiąc się znacząco na osadników. Wrogowie, połączeni w nienawiści... Normalnie pomyślałbym że wyniknąć z tego mogą tylko kłopoty, lecz tym razem odetchnąłem z ulgą. Kłopoty się skończyły; górnicy pokazali kto tu naprawdę rządzi.

Wreszcie się uspokoiło. Jedni powrócili do przerwanego nagle, późnego posiłku, inni w gwarze rozmów rozważali co też może nas jeszcze czekać. Już mieliśmy odejść, gdy siedzący dotąd spokojnie krasnolud zerwał się na równe nogi.

- Uciszcie się! - zawołał niezbyt głośno, ledwie tyle by inni go usłyszeli - Cicho, ludzie!

Zamarliśmy wszyscy. Krasnolud cichym truchtem zakradł się do barykady. Wkrótce i naszych uszu doszedł rumor w przedsiönku kopalni.

- Cii... - Kolimach kocimi susami dopadł do skrzyń, dając ręką znak byśmy mu pomogli. Skinąłem głową ku drzwiom i podbiegłem do krasnoluda. Noram był tuż za mną.

- Nie mo... - Holmin zaprotestował nieco za głośno. Ossel rzucił się ku niemu równie cicho jak zabójca i zakrył dłonią usta.

- Musimy to dopaść! - powiedział cicho, lecz stanowczo - Innej okazji może nie być. Mogliście zwolnić wilkołaka, ale w tym jednym wam nie ustąpimy! O waszą tu skórę chodzi, tak samo jak naszą.

Holmin zmiarkował że nie żartuje. Kolimach i Kurkusa broń już w rękę trzymali, tym razem nie dostaliby ich tak łatwo. Z wahaniem, kiwnął głową. Ossel puścił go i wraz z kupcem doszedł do krasnoluda i Kolimacha. Dając sobie w milczeniu znaki głowami, zaczęli kolejno zdejmować paki. Wkrótce kilku górników rzuciło się do pomocy.

W takich chwilach zwykle coś lubi pójść nie tak. Przedmioty nabywają przedziwnej woli do wymykania się z rąk, lecz tym razem nic takiego się nie wydarzyło. Barykada została rozebrana szybko i cicho. Kurkusa

zniecierpliwionym gestem przywołał Mrazina, by ten otworzył drzwi. Mrazin podszedł z oporem i wyjął kółko. Klucze brzęknęły cicho.

- Ciszej, na wszystkie górskie demony! - syknął cichutko Kolimach, choć było oczywiste że tak nikły dźwięk nie mógł przedostać się na drugą stronę. Chociaż, pomyślałem zaraz... odmienione istoty zwykły mieć lepsze zmysły niż ludzkie.

Odwrociłem głowę ku czujnie wpatrzonemu w drzwi Isficie. Nasłuchiwał.

- Po co otwierać? - szepnął Ossel - Ławą wyważyć, prędzej będzie...

Nikt go nie słuchał. Nerwowość ogarnęła wszystkich. Z dobytą bronią, wraz z Noramem stanąłem tuż za nimi, gotów do ataku. Nawet górnicy, wciąż uzbrojeni, stanęli wokół drzwi. Gospodarz ostrożnie otworzył kłódkę i przekręcił klucz w zamku...

Szczęknięta odsuwana zapadka. Dość było udawania. Kolimach jednym szarpnięciem otworzył przejście i jako pierwszy, wykonując niesamowity obrót, odsuwając się z drogi rozchylanych wierzei, wtańczył do środka. Rzuciliśmy się za nim, lecz poza rozwalonymi pakunkami - poprzednim razem wszystkie były na miejscu! - nie znaleźliśmy niczego. Nie hałasy wystraszyły tę istotę, zrozumiałem od razu, lecz zapadła nagle w sali cisza.

Kurkusa, wywijając parecznicą, wściekły że wywinął mu się kolejny potwór, kłął długo i głośno. Ossel i górnicy jęli przeczesywać pomieszczenie, Kolimach tymczasem, ubezpieczany przez krasnoluda, kocim krokiem podkraść się do wylotu tunelu kopalni.

- Nagła zaraza! - zaklął - Bestia uciekła!

- Nie ma sensu gnać jej śladem - wycodził Kurkusa - Nawet jeśli jaki zostawiła. Dość miała czasu, może już być na zewnątrz.

Nie to żeby ktokolwiek miał ochotę zapuszczać się w ciemne tunele, pomyślałem, widząc miny pozostałych.

- Na zewnątrz? - spytał Noram.

- Musi istnieć jakieś przejście, łączące kopalnię z doliną - odparłem, chowając broń - Chyba że uwierzysz iż jednej zimy odezwały się nagle dwa potwory, jeden tu a jeden tam?

- Jeszcze tu wróci - mruknął Rumberd - Tego jestem pewien. Jeszcze wróci...

Fałszywy spokój powrócił, lecz staliśmy się ostrożniejsi, gotowi na wszystko. Czułem że coś musi się stać, że zbliżamy się do finału wszystkich dotychczasowych zdarzeń.

Zamknęliśmy drzwi, lecz nie ustawiliśmy barykady. Tym razem to była pułapka, a pułapka winna zaskoczyć jak najszybciej. Zapomnieliśmy o śnie. Wszyscy rozsiedli się gdzie kto mógł, byle blisko drzwi, broń leżała pod ręką, gotowa do użycia.

- Oj głupi ty, głupi! - gdy było po wszystkim, Noram dał mi mocno otwartą dłońią po głowie - Jak się będziesz pierwszy pchał do każdej dziury to ci kto w końcu ten łeb rozwali!

- Mój łeb, moja sprawa! - odparłem, rozeźlony nie tyle jego naganą, co niepowodzeniem - Wracajmy do pokoju.

Ledwie otworzyliśmy drzwi, naszym oczom ukazał się zaskakujący widok. Diamdus, w pełni przytomny, zwłókł się już z łóżka. Teraz w pośpiechu próbował stanąć na nogi.

- Jeszcze za wcześnie! - dopadłem go, podparłem i zmusiłem by usiadł - Zbyt osłabiony...

- Nie mów mi o osłabieniu, młodziku! - mag był czymś poruszony - Wszyscy muszą wiedzieć... - spojrzał przytomniej, jakby dopiero nas zauważył i uśmiechnął się do mnie - Och, przepraszam. Dziękuję, chłopcze, czuję się znacznie lepiej. Wiedziałem że mogę na ciebie liczyć. Ale nie ma wiele czasu! Gońcie szybko, zwołajcie mi gości, oraz rządzących tu braci. Sprowadźcie też Isfitę... I nikogo więcej! - zaznaczył - Wszak dziś pełnia... noc już...

Nie zapytałem skąd to wie, skoro tyle czasu przeleżał nieprzytomny. Mając w pamięci zdarzenia w sali, wydobyłem miecz, ułożyłem obok niego i położyłem jego prawą dłoń na rękojeści. Wciąż był słaby i wciąż mógł być w niebezpieczeństwie. Dopiero wtedy kiwnąłem na oniemiałego Norama.

Wiadomość o ozdrowieniu Diamdusa poruszyła wszystkich, choć najbardziej Rumberda i Kurkusa. Gdy wróciliśmy, starzec wciąż próbował wstać. Znow pomogłem mu usiąść, tymczasem pokój prędko zapełniał się ludźmi.

Jeśli mag się zdziwił, widząc Isfitę na wolności, dobrze się z tym ukrył. Jedyną zauważalną reakcją była



uniesiona brew. Uznał sytuację za tak naturalną że nawet o nic nie spytał.

- Gadaj, starcze! - krasnolud, nie bacząc na nikogo, dopchał się do drzwi i ruszył w stronę łoża. Nie szczędząc łokci przecisnął się między Mrazinem i Holminem - Gadaj co się stało, albo...

- Spokojnie, mały towarzyszu - odparł Diamdus słabym głosem, w zamyśleniu wbijając wzrok w podłogę - To źle że w takich okolicznościach musieliśmy dowiadywać się prawdy o sobie nawzajem... Ale teraz... musimy odłożyć wszystko na bok... by przetrwać zimę.

Spojrzał na zgromadzonych i zaczął opowiadać, z trudem, lecz w dziwnym pośpiechu.

- Zapewne wyjdziecie stąd rozczerowani, jeśli chodzi o mnie, ale niewiele zdołaliśmy osiągnąć. Śnieg wszystko zasypał, lecz zdołałem odnaleźć jedno z ciał... Nie inaczej wyglądało jak inne. Tam też znaleźliśmy świeże ślady, takie jak te rano, przed gospodą. Ruszyliśmy za nimi... ja przodem... Gdy wtedy elf... - westchnął - Usłyszałem walkę, ale dla niego było już za późno. Zdołał jednak zranić naszego wroga w lewe ramię - spojrzał na Kurkusa - To i tylko to pomogło mi go pokonać. Padł z upływu krwi nim zdołał ze mną skończyć. Gdyby nie to...

- A pierścień? - krasnolud doskoczył do łóżka, gotów nim zatrząść.

- Pierścień? - zdziwił się mag.

- Nie wiesz nic o pierścieniu?

- Dajże mu spokój - Kolimach odciągnął go lekko w tył - Jest zmęczony i nie wie o czym mówisz. Jeszcze się znajdzie.

- Oby, bo inaczej...

- To, co jest ważne, to fakt iż w tej dolinie żyje jakaś istota, która wymyka się moim zmysłom - mag spojrzał na Mrazina - Czas najwyższy o tym powiedzieć.

Gospodarz właściwie pojął znaczące spojrzenie starca i zawisła nagle w pokoju groźba.

- Wiecie co łązi po kopalni, prawda? - Kurkusa był gotów złapać Mrazina i trząść nim we wszystkie strony.

Nie zrobił tego chyba tylko ze względu na tłok.

Mrazin pokornie pokiwał głową. Stałem z boku, dojrzałem więc także coś, czego nikt z gości nie zauważył - Isfita opuścił głowę, do białości zaciskając dłonie w pięści.

- Powiem - spojrzał przepraszająco na Holmina - Dłużej kryć nie zdołamy...

- Kryć kogo, na wszelką zarazę? - zawołał Kolimach.

- W górach... żyje Marta... - wydusił Mrazin - Z mojej starszej siostry ona, co to legła przy porodzie... i z Isfity.

Nie jest ona... człowiekiem... - spojrzał trwożnie na wójta.

- Ale i nie potworzyca! - przerwał mu tamten z gniewem.

Mag spojrzał ku Isficie. Wyprostował się i pochylił ku niemu.

- Wiedziałaś, nieszczęsny głupcze, że nie powinienes się wiązać? - spytał srogim głosem - Życie wilkołaka winno być samotne!

- Błąd żem popełnił - przyznał górnik, nie wznosząc głowy - Ale... jesteście, magu, zdolni ogarnąć co znaczy... gdy po wieku samotności ktoś... kobieta... bestię widzieć ustaje, a dojrzewa człeka?

- Potrafię - odparł - Potrafię... Niemniej...!

Zdjął dłoń z mojego miecza i sięgnął po oparty tuż obok o ścianę kostur. Oparł go o podłogę, zacisnął na nim dłonie i zaczął słuchać.

- Od urodzenia... inna była, powykęcana, ni człek, ni... - zaczął wyjaśniać Holmin - Krzywdy jednak nikomu nie robiła! Jako i wy, balimy się jej pierwej, gdy urosła. Raz wilki podeszły ku osadzie, a my sądzili że to ona...

- skulony dawną winą, spojrzał ku Isficie, lecz szef górników nie podniósł głowy - Wygnalim ją wtedy i...

- Choć poznaliście na koniec że niewinna, wstyd wam było ją przeprosić - mag powiedział to, do czego wójtowi ciężko było się przyznać - Tak naprawdę nigdy nie chcieliście by wróciła, czyż nie? Ale wilkołaka przyjęliście...

- To insze! - widać było, Holmin poczuwał się do winy, lecz jako prosty góral, zawsze przywykł robić to co uznawano za słuszne, nie zastanawiając się czy robi dobrze, ni patrząc na to co naprawdę czuje - On przecie normalny, ino czasem się zmieni, a nawet wtedy pogadać z nim i wypić... Marta insza... Dzika... Jako te wilki, jako rysie...

- Ale mówi po ludzku?

- Trudno pojąć co gada... Pysk ma wykręcony i taki... inszy... Ale rozumie co do niej gadają, i odpowiadać próbuje. Czasem da się pojąć, czasem nie.

- Nie wiedzieli my że ona tera w pobliżu - podjął Mrazin - Bylimy ku niej, z większa z nas, jak ku inszym z ludzi, ale byli i tacy co... Opuściła nas jednej wiosny, zimy temu, kiedy to jaki potwór przywłókł się do doliny, Razem znikli, ślady walki ino naszlimy, w głębi, zaraz za pierwszą serpentyną szlaku, w dole urwiska. Nie wiemy kto wygrał, myśleliśmy że oba poginęły... Myśleli my że to ona go obudziła, wędrując po dolinach, i że może ją pożarł i wrócił, ale żeby to ona...? Nie przyglądaliśmy się, każdy uciekał ile sił.

- Nie wiecie więc która bestia krąży wokół? - spytał Ossel.

Gospodarz pokręcił w milczeniu głową.

- Duża jest - Diamdus bardziej stwierdził, niż spytał - Rosła w barach jak dwóch chłopów, wysoka, szybko biega, lecz kulawa... W futra pegrenie okryta... Czasem z wielką lagą...

Holmin tylko kiwał głową. Przypomniałem sobie uciekającą przede mną postać. Bez wątpienia, widzieliśmy to samo, choć nie dostrzegłem tej lagi.

- Więc wróciła - stwierdził sucho Rumberd - Czy też macie ku temu jakieś wątpiwości?

- No to wiemy wreszcie z czym mamy czynienie - oświadczył Kolimach - Czemuście od razu nie mówili, kmioty?

- Właśnie dlatego, głupcze! - odparł Kurkusa - By ją chronić, przed nami! Ale nie na długo, nie na długo... Mogłem się mylić co do wilkołaka, ale... Kosztowało to zbyt wiele życia i nerwów, przez was, chłopki! Nikt na niego nie spojrzał, nikt nie podniósł wzroku.

- Zapewniam, panie, jeśli to ona... - zaczął Holmin - Nie jest... nie była dotąd...

- Lecz i zima wyjątkowo ciężka! - Rumberd wznosił znacząco palec - Jeśli nie my zabiliśmy te nieszczęsne dzieci, i nie wasz wilkołak, to kto?

Zrezygnowany, z opadłymi w dół ramionami, wójt cofnął się w milczeniu do tyłu.

- Jadła kiedy ludzi? - spytałem, pamiętając pierwsze, rozszarpane ciała.

- Tylko prawdę mi tu gadać! - ostrzegł krasnolud - Odpowiedzcie młodemu!

- Kiedy my nie wiemy... - tym razem odparł Isfita - Czasem i kto zaginał, zwykle szlakowi, ale czy to góry, czy dziki zwierz, czy... Za siebie ręczę...

- Ale za swego bękartą już nie? - rzucił oschle Kurkusa - Na ile to za siebie możesz ręczyć?

- Pełnia dziś, w jednym my pokoju, a tyś żyw, nasienie demona! - Isfita odsłonił wargi, ukazując zęby. Widziałem jak się zmieniały, jak oczodoły... Zmarszczył brwi, twarz ściągnęła się, zamieniając oczy w parę szparek; ramiona cofnęły się w tył, łopatki ściągnęły się, tworząc mały garb, mięśnie stężały. Na skórze pojawił się puch szczenięcej sierści, paznokcie zwężyły się do szerokości pazurów. Kurkusa odskoczył panicznie do tyłu, potknął się i padł przed nim na ziemię. Ot, nazwij tak jeszcze raz jego córkę, pomyślałem, a przestaniesz być naszym zmartwieniem.

- Precz ode mnie, przeklęty! - kupiec zerwał się, trzęsąc całą. Na czole, w świetle jedynej w pokoju słabej lampy, perliły się kropelki potu. Wydobył skryty pod koszulą srebrny wisiorek i skierował go ku Isficie. Ten uśmiechnął się tylko, bez cienia strachu, rozciągając przy tym wargi tak szeroko jak żaden człowiek nie byłby w stanie... Skamieniały ze strachu Ossel ni myślał iść rzekomemu płacodawcy z pomocą, jak czynił to jeszcze nie tak dawno temu.

- Przestańcie, głupcy! - ofuknął ich Rumberd - Mówiliście że ginęły zwierzęta. Każdy musi jeść, ale ta zamieć... Nie tylko głód niesie. Mogła doprowadzić ją do szaleństwa, pozostawiając bez wyboru...

- Wiadoma sprawa! Atakuje ludzi, bo zbyt głodna by myśleć! - rzucił Noram.

Kupiec jak niepyszny umknął przed Isfitą ku drzwiom, tworzył je szybko i umknął na korytarz. Isfita uspokoił się, wraz z nim jego towarzysze. Ossel, choć blady, pozostał na miejscu, czując się na siłach by reprezentować Kurkuse.

- Mogła zdzićzeć, zdziwaczeć - rzekł z namysłem Kolimach. Utarczka wilkołaka z kupcem nie zrobiła na nim żadnego widocznego wrażenia. Nawet nie spojrzał nań inaczej niż z ciekawością. Wszak w jego zawodzie człowiek winien się kontrolować... - Jak rozumiem, sama była przez lata, w górach, bez towarzysza...

- To się zdarza - przyznał mag

- Pytanie czy mogła w pełni przemienić się w wilkołaka? Jak rozumiem, ma to po ojcu...

Isfita popatrzył na niego, lecz że Kolimach użył tego jako argumentu, to dał mu spokój.

- To sprawa dziedziczenia - odparł po chwili namysłu mag - Od wieków nie słyzałem o takim przypadku. Wilkołaki rzadko miewają potomstwo inaczej jak między sobą, a z takiego związku... Tu zaś trzeba rozważyć czy wraz z nasieniem może przejść do ciała dość pierwiastka by nie tylko je zniekształcić, lecz także

zakazić...

Spojrzałem na Norama - tylko wzruszył ramionami. Wywody maga miały swoją logikę, lecz ja wciąż zastanawiałem się dlaczego nagle ta Marta, żyjąca dotąd w spokoju, nagle zaczęła atakować ludzi. Czy miało to związek z potworem, którego kiedyś ubiła? Był jakiś potwór, czy może to ona się nim wtedy stała i odeszła, kierowana resztkami ginącego w niej człowieczeństwa? Jedno nie ulegało wątpliwości - zima była tego roku wyjątkowo ciężka.

- Ale czy to możliwe? - spytałem - Czy to już się zdarzało?

- Nie wiem na pewno. Nikt tego nie badał, ale... Głód mógł wspomóc przemianę, na tyle by zaszła do końca. Gdy ciało słabnie, choroby zyskują większy wpływ na zdrowie i na umysł...

Znieruchomiał w pół słowa. Ożywił się, jego źrenice się rozszerzyły.

- Czekajcie! - zawołał silnym głosem. Mrugnięcie oka potem rozległ się gdzieś w gospodzie przeraźliwy, kobiecy, urwany nagle krzyk - Prędko! Ruszajcie! Bestia się obudziła!

Ledwie zdołałem uchwycić miecz, nim inni wypchnęli mnie na korytarz. Usłyszałem potężny huk, czy łoskot.

Z osłupieniem spostrzegliśmy jak w poprzek sali przeleciały drzazgi i odłamki drewna. Ktoś wrzasnął nieładnie. Z trudem poznałem - Kurkusa.

- To ona! - zawołał histerycznie - Bestia jest tutaj!

Rzuciliśmy się do sali. Drzwi, solidne przecież, dębowe, prysły w drzazgi niczym skorupa jajka; drewniane szczątki wisiały na niemal wyrwanych ze ściany zawiasach. Krasnolud miał rację - cokolwiek to było, wróciło.

Myśleliśmy że byliśmy przygotowani. Górnicy czuwali w ciszy, z bronią tuż pod ręką, lecz to co się stało...

Stało się zbyt szybko, zaś obrońcy...

- Marta... - ktoś szepnął trwożliwie.

- Inna ona, odmieniona... - dodał czyjś drżący głos - Czy nie poznaje, czy...?

Górnicy jakby wrosli w podłogę, gapiąc się na wylot drugiego korytarza. Oparty plecami o ścianę kupiec, blady jak trup, gapił się rozszerzonymi przerażeniem oczami na strzępy drzwi.

- Gdzie bestia? - zawołałem.

Kilku górników wskazało ręką na lewy tunel, wpatrując się weń, jakby zapomnieli iż pognęła tam gdzie kryły się ich rodziny.

- Nie gapcie się tak! - ryknął krasnolud - Łapcie ją!

Nie czekałem na pomoc. Równie dobrze mogła nigdy nie nadejść. Rzuciłem się ku korytarzowi, ale to co tam zobaczyłem sprawiło że nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Ogromna, moich rozmiarów, najeżona nabitymi w głowicę, metalowymi zębami maczuga uderzyła w jedno z drzwi po lewej stronie korytarza, rozbijając je na miazgę. Przeszła przez nie na wylot, by uderzyć raz jeszcze. Towarzyszący rozbijaniu wrzask kilku gardeł przeszedł w jęk, gdy trzymająca łagę bestia pochyliła się, by precyzyjnie do środka swój łeb. Węszyła chwilę, potem cofnęła się i odskoczyła, by odwrócić się w prawo i ruszyć w głąb korytarza, ku następnym drzwiom. Właściwie, nie przeszła ku nim, lecz skoczyła, z ogromną precyzją, niczym dwunożny wilk, z tym że przygarbiony stwór był półtora razy wyższy od największego chłopca. Poruszał się dwakroć szybciej niż jakkolwiek znana mi dotąd istota, na nieładnie zgiętych do tyłu w kolanach i wygiętych na boki nogach, ni łapach. Obie tkwiły w ogromnych buciorach, dość szerokich by służyły za rakiety. Nie miałem czasu ni ochoty myśleć co w sobie skrywały.

- Stara oszalała! - wrzasnął ktoś z tyłu.

Bestia odwróciła się. W mdłym świetle korytarzowych lamp, spod wystrzępionego kaptura, spojrzały na mnie ludzkie, osadzone pod ludzkim czołem i przesłonięte ludzkimi włosami oczy, lecz rozswartany, pełny kłóć pysk był nieładnie, podobnie jak zarastająca wilcze wargi sierść. Skrywające postać bestii, zwieszające się z pleców aż na podłogę, na wpół wyprawione pegrenie futra o sterczącym włosiu, zwiększały w naszych oczach jej postać. Prawa dłoń istoty, choć wykręcona, to wciąż człowiecza, dzierżyła maczugę, lewa... nie, ręką bym jej nie nazwał. Kończyła się długimi, czterema rozcapierzonymi szponami - od razu wspomniałem rany na piersi Elaba.

Wszystko to trwało ledwo mgnienie oka. Łatwo potem się tłumaczyć że pośpiech, że może przeciwnik był mniejszy i mniej groźny, że to strach... lecz to nie strach rozbił drzwi do kopalni na kaszkę i nie strach przyczynił się do tego co nastąpiło potem.

Wierzyłem na słowo że to była ona, gdyż nic nie wskazywało na płeć. Rzuciłem na boki pośpieszne spojrzenie. Niewielką mi było pociechą że zachowanie stojącego tuż za mną krasnoluda niewiele różniło się

od mojego.

- Precz! - w głuchym, skierowanym ku nam warknięciu wybrzmiały ludzkie przecieź, choć z trudem wypowiedziane słowa - Precz!

Bestia odwróciła się i poczłapała w głąb korytarza, ignorując mnie zupełnie, co podziało jak rzucona mi w twarz rękawica. Noram mógł sobie mówić co chciał, znów byłem jednym z pierwszych którzy wpadli do korytarza. On był drugi, wbrew swoim własnym radom, lecz starczyła chwila by wyprzedził go Ossel i Kolimach. Miałem stwora może o dwa ramiona przed sobą, gdy drzwi, ku którym zdawał się zmierzać, otworzyły się z hukiem. Ktoś wyszedł, zatoczył się i stanął, chwiejąc się, naprzeciw bestii, pochylony do walki, dzierżąc oburącz kilof. Zamrugalem oczami ze zdumienia - górnik, któremu nie dałem szans na przeżycie... Osłabiony, w pojedynkę stanął by bronić swojej rodziny, lecz był głupcem, jeśli sądził że utrzyma bestii pola. Płynnym, precyzyjnym ruchem, o jaki nigdy bym jej nigdy nie posadził, Marta machnęła maczugą; cegły i zaprawa rozsypały się po korytarzu, lecz ruchy górnika były szybsze. Uchylił się i zaatakował z wrzaskiem, wyciem niemal, mierząc kilofem w głowę. Marta machnęła lewą ręką; pazury ze świstem przecięły powietrze, z gardła górnika wytrysnęła krew, ochlapując miejsce walki. Górnik zatoczył się w tył, oparł o mur, lecz ponownie wzniosł kilof. Maczuga wgniotła jego brzuch w ścianę. Gdy Marta wskoczyła do otwartego pokoju, osunął się na ziemię.

Dziwne, lecz nie usłyszałem wrzasków. Dostoczyłem do konającego, gdy Kolimach, ramię w ramię z Osselem, niedawnym wrogiem, oraz dwójką górników, rzucili się ku drzwiom. Powalony górnik oddychał jeszcze, ze świstem, z gardła dochodziło charczenie i gulgotanie, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie zdołał wydobyć głosu. Nie mógł.

Ledwo pochyliłem się nad umierającym, gdy Marta wyskoczyła na korytarz. Kolimach był tuż przy drzwiach; na widok potwora przykleił się plecami do ściany. Ossel przywarł do naprzeciwległej; tylko górnicy parli naprzód. Dwa szybkie ruchy starczyły by Marta odrzuciła ich w tył, na nacierających korytarzem ludzi, ledwie uderzywszy ich grzbietem szponiastej dłoni. Zwinna była, mimo rozmiarów, i niewiarygodnie silna. Zamarłem, szykując się na śmierć. Broni nie wypuściłem, lecz Marta znów nawet na mnie nie spojrzała. Rzuciła się do wylotu korytarza, próbując wrócić skąd przyszła, lecz tę drogę zatarasowali jej górnicy.

Rozejrzałem się za Noramem - z ulgą zauważyłem że żyje. Cofał się, wraz z innymi, tworząc u wylotu korytarza najeżony bronią mur. Rzuciłem się ku otwartym drzwiom, spojrzałem do środka i zatoczyłem się do tyłu. Krew, rozszarpane ciała... poznałem dwie opiekujące się chorym kobiety i zmasakrowane zwłoki dziecka...

Marta przystanęła, warcząc. Spoglądała to przed siebie, to za siebie, gdzie, za jej plecami, Kolimach i Ossel zaczęli dochodzić do siebie. Odkleili się od ścian, próbując ją zaatakować, lecz robili to tak jakby nie zależało im czy bestia zginie, czy umknie, byle jej tu już nie było.

- Na co czekacie?! - wrzasnąłem - Na co? Strzelajcie! Wybiła całą rodzinę, a wy...

- Ty głupi! - Marta odwróciła ku mnie swój pysk. Przyskoczyła dwa olbrzymie kroki - Kolimach i Ossel znów odskoczyli, trzęśli się cali, ledwie na nogach mogli ustać - i zaświeciła mi kłami w twarz - Ty nie wiesz! Owionął mnie odór z jej paszczy. Rzeczywiście, nie wiedziałem. Nie tak dawno pozwoliła się ścigać, teraz w jednej chwili wymordowała całą rodzinę, kobiety, dziecko... Uniosła maczugę, cofnęła zgięte w łokciu szponiaste ramię, jak do ciosu. No, to teraz po mnie - tyle zdołałem pomyśleć, wznosząc miecz.

- Nordon! - Noram z okrzykiem rzucił się do przodu. Bestia odwróciła się tak szybko że gdy jej łokieć uderzył mnie w twarz, poleciałem ramię do tyłu. Noram nie był głupi, natychmiast rzucił się na podłogę. Maczuga ze świstem przeleciała nad jego głową, rozbijając sąsiednie drzwi; w pokoju wybuchły histeryczne wrzaski dwóch głosów. Pazury zachrobotały na murze w miejscu gdzie moment wcześniej była głowa klęczącego teraz na podłodze Ossela.

Noram zdołał się przetoczyć pod ścianę tuż przed tym nim jedna z łap bestii nastąpiła na miejsce gdzie upadł. Już miał ciąć ją w stopę, czy cokolwiek skrywało jej dziwne obuwie, gdy szpon wyrwał mu miecz z dłoni i cisnął orężem ku zagradzającym wyjście obrońcom. Sierp nędznych sobie dobrał pomagierów, pomyślałem, widząc że Kurkusa i Ossel bardziej myślą jak uciec z życia z gospody niż jak dopaść bestię. Kolimach próbował atakować, lecz cofnął się potulnie gdy tylko potwór obdarzył go szybkim, ostrzegawczym spojrzeniem, popartym potężnym grzmotnięciem maczugą w ścianę. Cóż, przynajmniej się starał... Choć oczy zalewała mi spływająca z czoła krew, zerwałem się na nogi, mocno zaciskając miecz w garści. Ruszyłem do przodu w chwili gdy Marta grzmotnęła maczugą najpierw w jedną, potem w drugą ścianę,

pozostawiając wielkie dziury przy jego wylocie. Choć to siły natury stworzyły jaskinię, to przecież nie one podzieliły ją na części nie nazbyt solidną murarką.... Płynnym ruchem wzniosła swą broń nad głowę - jaskinia wszak była dość wysoka - i rzuciła się naprzód, szarżując na odgradzających ją od kopalni ludzi.

Trudno było opisać wybuchły nagle w środku sali wir furii. Marta machała ciężką łagą z taką wprawą i szybkością jakby dzierżyła niewielki sztylet, tnąc jednocześnie powietrze przed sobą szponami drugiej łapy. Górnicy mieli ledwie tyle czasu by odskoczyć na bok. O dziwo, tylko dochodzący do siebie Kurkusa i Rumberd, stanawszy obok siebie, ramię w ramię, zagrodzili jej drogę, nie ruszywszy się ze swojego posterunku nawet na stopę. Tuż za nimi Diamdus - do tej chwili nie wiedziałem że opuścił pokój - opierając cały ciężar ciała na utrzymanym w prawej ręce kosturze, wzniosł w górę lewą rękę. Jego oczy błyszczały dziwnie, groźbą jakąś czy ostrzeżeniem.

- Ustąp, bestio! - zawołał potężnym głosem - Ukorz się!

Marta zawahała się, grzmotnęła maczugą, raz w lewo, raz w prawo, krusząc podłogę.

- Precz! - powtórzyła, mniej pewnie niż poprzednio - Precz!

Nie czekała ani na odpowiedź, ani na naszą reakcję. Nie zdążyliśmy nawet drgnąć gdy jednym, potężnym susem skoczyła w róg sali, na stół. Pochyliła się i machnęła maczugą w stronę górników, zagradzających jej drogę ku korytarzowi. Rozbiegli się w panice, odskoczyli, ten i ów padł na podłogę, lecz Marta zwracała na nich tylko tyle uwagi by ich nie nadepnąć. W podskokach, zwinnie omijając kupca i krasnoluda, rzuciła się ku prowadzącemu do kopalni przejściu. Nie wiem jakim sposobem zdołała uniknąć choćby draśnięcia. Po mojemu, winna podziękować za to tchórzostwu osadników. Moment dosłownie później powietrze eksplodowało spadającym na ścianę ogniem, lecz Diamdus spóźnił się z atakiem.

Jeszcze w trakcie walki dopadłem Norama. Usiadł pod ścianą, lewą dłoń zaciskając na nadgarstku prawej. Spomiędzy palców wyciekały strużki krwi. Syczał cicho, co rusz klnąc siarczyście, niczym krasnolud.

- Zostań! - rzuciłem, nim pogałem do sali. Minałem Kolimacha i kupieckiego pomagiera; ci wyprzedzili mnie wpierw, jakby nagle zaczęło im zależeć na walce, lecz zatrzymali się przed szczątkami drzwi. Zerwałem ze ściany lampę. Wbiegając w ciemny otwór, rzuciłem im pełne pogardy spojrzenie.

- Daj mi to, tchórze! - Kolimach wyrwał nie opierającemu się nawet Kurkusie wiszącą u pasa parecznicę i rzucił się za mną, o krok tylko ustępując Rumberdowi. Mijając mnie, bez słowa odepchnął do tyłu, wyrwał lampę i pognął przodem. Nie miałem nic przeciwko temu. Diamdus został, nie czując się na siłach by uczestniczyć w pościgu, lecz reszta górników bez słowa poszła w nasze ślady.

Kolimach gnał w milczeniu w dół sztolni, oszczędzając oddech. Znać było, umie biegać za ofiarą. Mijaliśmy stempel za stemplem, biegnąc uważnie pod ścianą - łatwo było w drgającym świetle lampy przewrócić się o ciągnące się wzdłuż tunelu szyny. Pędziliśmy co sił, a jednak postać uciekającej bestii zdawała się powoli, lecz nieubłaganie oddalać.

Dopadliśmy pierwszego rozwidlenia - tu tunel rozdzielał się na trzy odnogi, lecz widzieliśmy z daleka że Marta znikła w środkowym. Kilkadziesiąt pełnych ramion dalej skręciła w prawą odnogę. Przed następną był zakręt, wypadając zza niego znaleźliśmy się, zdawałoby się, zgubieni, bez śladu dalszej drogi, lecz Kolimach nie zatrzymał się.

- Tędy! - poprowadził, wskazując na mijaną, ostrą krawędź skały, z której zwieszał się strzępek pegreniego włosa.

Kolejne rozwidlenie, i kolejne. Szerokie bary Marty jeszcze raz mignęły nam w oddali na długim, prostym odcinku. Jej groteskowo, lecz zwinnie podskakująca postać była coraz dalej; dobrze znała te tunele. Coś świsnęło nad moją głową - to Kolimach oddał strzał w jej stronę. Spudłował, co odkryliśmy mijając wkrótce leżący pod ścianą, niewielki bełt.

- Tędy! - przy kolejnym rozwidleniu prowadzenie zajął Rumberd. Wciąż był w pełni sił, świeży jak przed biegiem - Apok mówił że ta część nosi ślady częstego przebywania!

Nikt nie zakwestionował jego przywództwa ani opinii. Trochę dalej znaleźliśmy zejście na niższy poziom i ślady pazurów na prowadzącej w dół drewnianej drabinie. Tu straciliśmy najwięcej z dzielącej nas przewagi. Na koniec, bez żadnego znaku, tak jak biegliśmy - bez kożuchów, bez rękawic, bez niczego poza bronią i rozgrzewającą nas wolą ubicia bestii - zatrzymaliśmy się po kolana w śniegu, nie wiedząc nawet kiedy wyszliśmy na dwór.

Krasnolud stanął, uważnie wpatrując się przed siebie. Spojrzałem do tyłu - górnicy wypadali z ukrytego w skalnej szczelinie tunelu, wcześniej zapewne zasypanego rozrzuconymi wokół głazami. Niewielkie, śnieżne

osuwisko osłaniało rozsadaną mrozem ścianę. Nad nami zwieszały się sople spływającego po skale, zamrożonego teraz strumyczka.

Agmis świecił w pełni. Lśniący w jego szarobłękitnym blasku śnieg czynił noc jeszcze jaśniejszą. Po usianym gwiazdami niebie płynęło kilka dużych, szybko przesuwających się chmur. Nie zanosilo się na to by przez najbliższą minutę lub dwie któraś przesłoniła srebrzystą tarczę. Odetchnąłem - ślady na śniegu były wyraźne.

- Teraz już nam... - zacząłem.

- Z drogi! - Kolimach odepchnął mnie na bok, aż padłem w śnieg. Odwróciłem się - uważnie mierzył w coś w oddali, w pobliżu wysoko sterczącego ze śniegu drzewa, pośpiesznie nakładając bełty na obie naciągnięte w biegu cięciwy parecznicy. Powiodł nią za celem, by prawie jednocześnie nacisnąć oba spusty - dwa mrugnięcia oka po złożeniu się do strzału.

Odrzucona w śnieg lampa zamigotała i zgasła na dobre, lecz w świetle księżyca nie robiło to nam większej różnicy.

- Głupcze! - usłyszałem za sobą gniewny głos Kurkusa - Nie trafisz z takiej odległości, nie z parecznicy! Szkoda tylko moich bełtów!

Przemógł strach po spotkaniu Marty. Znikły jego ospałość i strach; stał z mieczem w dłoni, wreszcie gotów do walki. Obok niego pojawił się Ossel - z parecznicą w dłoni, lekko opuszczoną ku ziemi, podbiegł do szefa jak prawdziwy myśliwy na polowaniu.

- Trafiłem - ze spokojem odparł Kolimach, bez cienia wątpliwości, lecz i bez dumy.

Było nas o kilka osób mniej. Kilku górników zgubiło się w tunelach, nie nadążywszy za resztą. Ruszyłem wzdłuż głębokich i szerokich śladów Marty, brnąc po kolana w śniegu. Rumberd i Kolimach, z załadowaną na powrót parecznicą, szli tuż obok; po zewnętrznej wysforowali się lekko do przodu Ossel i Kurkusa. Górnicy ruszyli za nami, rozciągając się w tyralierę. Wyczułem że to nie strach, a dawna sympatia do znanej im potworzycy, kazały im puścić nas przodem. Nie mając wątpliwości że Marta musi zginąć, chcieli byśmy to my odwalili całą brudną i mokłą robotę.

Agmis na chwilę skrył się za chmurą, lecz gdy doszliśmy do drzewa, znów świecił jasno. W jego blasku świeże plamy krwi ostro rysowały się na szarobiałym, skrzącym się śniegu.

- Czarna jak smoła! - zawołałem, odwracając się ku pozostałym.

- Doskonały strzał - Kurkusa skłonił się z uznaniem ku Kolimachowi - Nie sądziłem że coś takiego jest możliwe!

Obaj byli w swoim żywiole. Robili to, co należało do ich profesji ; ścigali umykającą ofiarę, a to dodawało im pewności.

- Nie wątp więcej w moje słowa, kupcze - odparł beznamietnie najemnik, wpatrując się przed siebie, w szarosrebrzysty mrok.

- Trucizna zrobi swoje - stwierdził oschle Ossel.

- Nie jestem pewien czy podziela na tę... rzecz - odparłem - ale już nam się nie wywinie.

Ruszyliśmy w tej samej chwili gdy opadły pierwsze płatki rzadkiego śniegu. Prószył łagodnie w bezwietrzną noc, nie zagrażając wyrazistości śladów. Byliśmy gotowi iść tak choćby noc i cały dzień, zwłaszcza krasnolud - i nikt z nas, jakby za sprawą magii, lub chęci zemsty, a może i obu rzeczy naraz, nie odczuwał zimna.

Agmis na dobre skrył się za chmurami. Tej nocy więcej się nie pokazał, lecz nam nie był już potrzebny.

Oswojeni z ciemnościami nocy, szliśmy dalej. Po drodze dołączali do nas ci, którzy wcześniej pogubili się w kopalni. Tropy doprowadziły nas do na wpół zasypanego kanionu i znajdującej się na jego końcu jaskini. To wtedy coś, jakieś przeczucie, kazało mi odskoczyć. W samą porę - w miejscu w którym miałem stanąć zarył się w śniegu głaz, dwa razy większy od mojej głowy.

- Tam, na górze! - niemal równocześnie z okrzykiem górnika ku tarasowi nad naszymi głowami pomknęły cztery bełty. Po ryku poznałem iż sięgnęły celu. Wtedy też Marta zeskoczyła ku nam. Po pas wbiła się w śnieg, pomiędzy nami a jeszcze dość odległą jaskinią.

- Ty... ty! - zaryczała, gapiąc się na Kolimacha - Zostać było, zostać!

- Otoczyć ją! - ryknął Rumberd, brnąc ku bestii.

Górnicy, z wyciągniętymi przed siebie widłami i wzniesionymi kilofami, rzucili się ku lewej ścianie wąskiego kanionu. Środkiem, wprost ku Marcie, szedł Kolimach z Rumberdem, Ossel wraz z kupcem trzymali się prawej ściany. Ja szedłem gdzieś pośrodku. Marta zamachnęła się maczugą, lecz bełt z kuszy Ossela trafił ją

w prawy nadgarstek. Potworzyca ryknęła, laga śmignęła nam nad głowami i padła w śnieg u wylotu. Ossel odrzucił parecznicę i wydobyl sztylet; to samo zrobił Kolimach.

- Teraz ją mamy! - zawołał mściwie uradowany krasnolud - Chłopcze, spróbuj...

- Zaczekajcie! - zawołałem. Coś mi tu nie grało, coś kazało mi się zawahać. Dlaczego w sali nie legł ni jeden z obrońców, dlaczego teraz, zamiast skoczyć prosto w nas - a ze swoją maczugą wybiłaby połowę, nim zorientowalibyśmy się co się dzieje - machnęła nią, jakby opędzała się od nas, straszyla, zamiast próbując wybić? Mogło to być, tam, w pokoju, chwilowe opętanie, jakiś wpływ księżyca?

- Na co tu czekać? - Kurkusa nawet się nie odwrócił. Wolną ręką wyszarpnął talizman, zerwał go z szyi i wyciągnął przed siebie - Nasza jest!

Marta ryknęła przeciągle, jej silny głos odbił się echem wśród szczytów. Gdzieś obok usłyszałem szelest niewielkiej lawiny. Górnicy, zachodząc ją od tyłu i boku, przyparli ją do nierównej ściany kanionu - najeżona chłopską bronią, żywa ściana wciąż się zbliżała.

- Wiedziałem! - Kurkusa owinął łańcuszek wokół dłoni - Srebro źle ci się widzi? Dam ci ją go zakosztować!

Ryknęła ponownie, tym razem ku górnikom, ostrzegawczo wyciągając szpony. Dziś myślę iż wcale nie chodziło o srebro, lecz o broń, o to żeśmy ją wtedy napadli, przy jej domu, jej jaskini. Wtedy jednak, w nocy, wśród ośnieżonych szczytów, wszystko wydawało się inne...

- Precz, wszyccy! - Skoczyła ku górnikom, tnąc pazurami powietrze. Próbowwała się wyrwać, lecz oni cofnęli się tylko o krok, by za chwilę znów przeć naprzód. Zawróciła więc pod ścianę, jakby nie chciała iść na nich, choć wydawali się najslabszym elementem otaczającego ją półkola. W jej oczach... to było spojrzenie osaczonej istoty, nie jakiejs obłąkanej, morderczej, żadnej krwi, lecz próbującej się wyrwać. Zdesperowana, rzuciła się ku najemnikowi i kupcowi, okręciła, zawirowała w śniegu, tnąc przed siebie, wokół, jeszcze raz i jeszcze...

Kurkusa i Kolimach pochyłili głowy, ugięli kolana i skoczyli do przodu, biorąc ją między siebie. Marta rzuciła się w otwarte przejście; zdawało się że tylko ja, kilka łokci od rozgrywającej się sceny, stałem na jej drodze. Nie wiem co bym zrobił, chyba bym walczył, lecz mim wyszła z okrażenia, drogę zastąpił jej Ossel. Machnęła szponami, Ossel odskoczył, skoczyła ku niemu i w locie zamachnęła się od góry, grzbietem prawej dłoni. Strażnik runął w śnieg, bez przytomności, nim jednak dosięgły go pazury, świsnęła broń kupca i najemnika.

- Nie dajcie jej umknąć! - głos Mrazina stał się dziwnie piskliwy.

Cięli z całej siły. Marta ryknęła. Odwróciła się i zamachnęła, ciskając obu na ścianę. Osunęli się na kolana, lecz gdy skoczyła ku nim, już przewracali się w śniegu, unikając wgniecenia. Kolimach ciął w jej nogę; potworzyca runęła na niego z rozpostartymi ramionami i objęła mocno, wbijając szpony w plecy. Najemnik nie wydał z siebie żadnego dźwięku, wbił w jej bok sztylet, wyszarpnął, wbił ponownie; Kurkusa zatopił szablę w jej plecy. Marta wciąż się przewracała z Kolimachem w śniegu; szabla pękła, lecz ostrze pozostało w ciele. Prawe ramię potworzycy owinęło się wokół szyi najemnika, zdołała jednak machnąć szponem, rozcinając kupcowi łydkę. Kurkusa jęknął i zwałił się w ciemniejący od krwi śnieg. Rumberd spróbował odrąbać jej głowę, lecz przewrócił się i wpadł pod przewalające się ciała. Wrzasnął tylko, nim wbiły go w śnieg, lecz górnicy już ruszyli do akcji. Nabili Martę na widły, odciągnęli od nie dającego znaku życia Kolimacha i jęli ją tłuc kilofami, jak skałę.

Przyglądałem się temu chwilę, nim doszło do mnie co się dzieje - jakbym na minutę wyszedł z ciała i błądził gdzieś, gdzieś daleko, nie widząc niczego. W pośpiechu dobrnąłem do Ossela - czaszkę miał pękniętą, lecz żył. Nie mogłem mu pomóc, nie tutaj, dopiero w gospodzie... Na kolanach doczołgałem się do wijącego się w śniegu, przeklinającego cały świat kupca, oddarłem strzęp jego spodni i uwiązałem nad raną, najmocniej jak byłem w stanie. Dopiero gdy strumień krwi osłabł do bezpiecznego poziomu, odważyłem się odwrócić.

Marty nie było - przynajmniej nie w dosłownym rozumieniu. Górnicy roznieśli ją na widłach - w tych słowach nie ma żadnej przenośni. Na śniegu pozostały jedynie krwawe strzępy, rozrzucone wokół leżącego nieruchomo, w kałuży czerni, Kolimacha. Jeśli nie zabiły go rany, zrobiło to ramię bestii - jego głowa spoczywała pod nienaturalnym kątem. Nie musiałem nawet sprawdzać, by wiedzieć że nikt z nas nie zdoła mu pomóc.

Posoka ubitej istoty pokryła obszar na dobrych parę łokci wokół, mieszając się z krwią jej ofiar. Nawet ja byłem nią obryzgany, co dopiero gramolący się ze śniegu Rumberd - ostateczna jatka miała miejsce ledwie parę dłoni od niego. Wyraz jego twarzy był nie do opisanego, a wzrok... Spostrzegłem że przetaczając się po nim, Marta wbiła weń tkwiący w jej ciele ułamek szabli.

- To nic - dostrzegł że patrzę na jego dłoń, zaciśniętą wokół niezbyt silnie krwawiącej rany w boku - Ledwie

czuję.

Wszystko tonęło w czerni. Stałem nad tymi resztkami i spojrzałem na górników, zaskoczony, nie pojmując skąd nagle tyle nienawiści do kogoś, kogo tajemnicy istnienia tak długo strzegli. Ile osób, ponad nas, wtedy, by przeżyło, gdyby wcześniej wszystko ujawnili?

- Patrzajta, ludzie! - zawołał Holmin.

Spojrzałem ku czemuś co wskazywał, w głębi kanionu. Ruszyliśmy w tamtą stronę. Pod ścianą znaleźliśmy usypany z kamieni kopczyk.

- Wygląda jak... grób - powiedziałem cicho.

Osadnicy zaczęli rozrzucać kamienie, jakby w dziwnej, przerażającej mnie gorączce, czy może... Cofnąłem się, obserwując ich z lękiem. Wreszcie wyprostowali się. Podeszedłem bliżej, nie widząc nic przez utworzony podczas pracy krąg ciał.

Wtedy dojrzałem - stali nad ciałem trzeciego, zaginionego dziecka.

Nie było nawet zadraśnięte. Zamarzło na śmierć. Marta musiała je znaleźć i urządziła mu pochówek, jedyny jaki mogła w tych warunkach. Cofnąłem się bezwiednie i zaraz poczułem że stoję na czymś innym, twardym, zasypanym przez śnieg. Nie musiałem sprawdzać by wiedzieć że to kolejny kopiec kamieni, tylko ułożony niżej, na tyle że zasypał go śnieg...

- Chłopcze - drgnąłem. Rumberd stał tuż obok mnie. Jego chłodny, grobowy, przejmujący głos przyprawił mnie o dreszcze silniejsze niż mróz, który właśnie zacząłem odczuwać - Coś mi mówi że popełniliśmy coś bardzo, bardzo złego...

Zrozumienie wstrząsnęło moim umysłem, lecz oczy osadników pozostały ślepe. Dla nich wszystko było, i musiało pozostać, proste. Jeśli stawało się zbyt skomplikowane by to pojąć, upraszczali je do zrozumiałej dla siebie wersji. Ostatnią rzeczą, jaką chciałem wtedy zrobić, było ujawnienie im dokonanego właśnie błędu. Rozumiejąc swoją pomyłkę, czy zawahaliby się zwrócić przeciwko temu kto starał się beczelnie zakłócić prostotę ich myśli?

- Chodźmy stąd, zanim... - szepnąłem.

Odsunąłem się od nich, idąc do tyłu, byle ich widzieć, byle nie spuszczać z oczu... Potknąłem się i usiadłem w śniegu, z nogami leżącymi w poprzek ciała Kolimacha. Już nikt nie pozna dzielonej z Elabem tajemnicy, ani sekretu jak uczeń przeżył cały dzień w śnieżycy. Najemnik przecież, choć zamknął za nim drzwi, wiedział że go tam znajdzie, żywego...

Podczołgałem się do na wpół przytomnego Kurkusa, pomogłem mu wstać i oprzeć się o moje ramię.

Rumberd bez słowa wsparł go z drugiej strony. We trójkę, w gęstniejącym z wolna śniegu, pokuśtykaliśmy po swoich własnych śladach, ku kopalni. Nie obchodziło mnie czy górnicy raczą zabrać Ossela, czy zostawiają go w śniegu. Nie obchodziło mnie nawet to czy Kurkusa przeżyje - wziąłem go w zwykłym, ludzkim odruchu pomocy. Po prostu nie chciałem być sam - i nie chciałem być z górnymi.

Doszliśmy do tunelu. Tam przystanęliśmy na krótki odpoczynek. Ułożyliśmy Kurkusa pod ścianą. Czekałem, kuląc się od nagle odczuwalnego, przenikliwego zimna. Wrócą kiedy dojdą do siebie, myślałem, a to stanie się bez względu na to czy zechcą zrozumieć, czy nie. Bez nich nigdy nie trafiłbym do przedsionka, nawet z pomocą krasnoluda.

- Znasz drogę? - spytałem, szczękając zębami.

- Niestety, nie spałem, młodzieńcze - odparł Rumberd - Biegliśmy długo i szybko, pogubiłem się już po kilku zakrętach.

Kiwnąłem głową. Sam nie potrafiłem nawet powiedzieć w której części doliny się znaleźliśmy. Wyglądała zupełnie obco, w niczym nie przypominała drogi którą dotarliśmy do osady. Podróż wzdłuż skały, pod gotowym zejść lawiną śniegiem i rozwierającymi się tu i ówdzie przepaściami, byłaby czystym szaleństwem. Górnicy przyszlizli pół godziny później, niosąc Ossela. Minęli nas bez jednego spojrzenia, choć jeden z nich pomógł nam podnieść i poprowadzić Kurkuse. W milczeniu dotarliśmy do przedsionka i cieplej sali gospody. Diamdus właśnie kończył opatrywać nadgarstek Norama. Przyglądał mu się Isfita - dopiero wtedy uświadomiłem sobie że pozostał w gospodzie. Poza nimi, nie pozostał tu nikt. Przywitali nas zaniepokojonymi spojrzeniami. Wnieśliśmy rannych do środka. Mrazin zamknął drzwi. Nikt nie myślał o tym by je barykadować.

- Nie chciałem takiego końca - Holmin podeszedł do Isfity i poklepał go po ramieniu - ale... jeśli ona naprawdę



poszalała... to może i lepiej, dla niej i dla nas.

Isfita opuścił głowę.

- Dobrze prawią - odezwał się cicho - Z takich związków ino potwory.

- Broniła się zjadale - ktoś wskazał na rannych - Inom się obejrżeli, jeden leżał nieżywy.

Patrzyli na mnie i Rumberda. Nie zaprzeczyłem ich wersji, nie potwierdziłem. Milczałem, tak samo krasnolud, wymieniliśmy tylko spojrzenia. Diamdus popatrzył na nas i pokiwał głową, wracając do opatrywania Norama.

- Ja to zrobię - podszedłem i usiadłem przy nich na ławie - Nie powinienes się męczyć.

- Tylko mi nie mów o osłabieniu, młodziku! - ostrzegł, nagle gniewny. Puścił rękę Norama i dotknął mojego pokrytego zaschlą już krwią czoła - Sam jesteś ranny - przeniósł wzrok na Rumberda - I wy, mości krasnoludzie...

- Przeżyję - odburknął tamten niechętnie i szybko odszedł ku korytarzowi, nie chcąc by ktokolwiek, nawet ja, zajął się jego raną.

Każdy na swój sposób przeżywał tę noc. On uciekł, ja poświęciłem się dokończeniu opatrywania Norama.

Chociaż on i mag mieli czyste sumienie. No i Isfita, choć z zupełnie innych powodów. Jakiż rodzic podniósłby rękę na swoje dziecko, choćby najpotworniejsze?

- Myślę że już mogę udać się do swojego pokoju - Diamdus przerwał nagłą ciszę - Jeśli ktoś mi pomoże...

Dam sobie radę...

- Jesteś pewien? - spytałem - Mogę...

- Nie, dziecko, nie trzeba - mag uśmiechnął się - Dziękuję za pomoc. Sowiecie się odplacę, obiecuję. Nie, nie - wzniósł dłoń, przerywając mój protest nim nabrałem oddechu - Wiem iż nie zrobiliście tego wyłącznie ze względu na mnie, lecz także dla swoich głów - obrócił głowę ku Kurkusie - Ale nagroda ci się należy.

Isfita, wraz z Mrazinem, pomogli mu podnieść się z ławy na nogi. Z ich pomocą pokuśtykał w stronę korytarza. Nie miałem sił by mu pomóc. Nie miałem też ochoty pomagać górnikom którzy zaczęli wynosić ciała z korytarza, by zostawić ja na dworze. Leżącą na stole wilgotną, zimną chusteczką otarłem czoło i wraz z Noramem odszedłem od pokoju. Tam, wykończony, rzuciłem się na postanie.

- Prawdę mówią? - spytał Noram - Tak to było?

Pokręciłem głową, lecz nic nie powiedziałem.

- Mówże no więc! Jak to było? Gadaj!

Westchnąłem, wciąż milcząc, myśląc, cały czas o jednym: dlaczego ciała zabitej rodziny były rozszarpane, a nie zmiażdżone, jak ten ranny górnik, który wyszedł jej na spotkanie? I dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

- Powiesz mi wreszcie, czy nie? - wskazał kciukiem na drzwi - Mam iść i ich o to spytać?

- Idź - poradziłem - ale prawdy nie usłyszysz. Może od krasnoluda, jeśli zechce o tym rozmawiać, ale i on...

- Więc mi o niej opowiedz!

- Innym razem - przewróciłem się na bok - Nie dziś. I nie jutro. Nie w tej dolinie.

Nie twierdzę że rozumiałem co się stało tej nocy. Nie twierdzę że rozumiałem co się stało w tej dolinie.

Wiedziałem tylko co na pewno nie miało miejsca.

\* \* \* \* \*

Obudziłem się późnym rankiem, zmięty i równie zmęczony jak wtedy gdy się położyłem. Śnił mi się jakiś koszmar, lecz nawet nie pamiętałem czego dotyczył.

Ciała leżały na dworze, tam gdzie je porzucono. Sprawdziłem to, choć byłem pewien że już nie zaginą.

Wiedziałem, już nic więcej się nie wydarzy. To koniec. W pewnym sensie, miałem rację. Nikt więcej nie zginął, nikt nie został zaatakowany. Nawet Ossel, jak się potem dowiedziałem, doszedł do siebie, choć już nigdy nie był w stanie unieść szabli. Spotkałem go, wiele lat później. Był zupełnie innym człowiekiem...

Jednak historia bynajmniej się nie zakończyła. Nie dla mnie i nie dla Rumberda. Wszak nagroda za pierścień nie została odebrana...

Czując się lepiej, mag, choć powoli, z dłonią zaciśniętą na kosturze, jał ochoczo spacerować po sali, dla, jak mówił, pobudzenia starych kości do ruchu. Krasnolud - jego rana rzeczywiście musiała wyglądać gorzej niżli była, gdyż zdawał się w pełni sił - chętnie służył mu ramieniem. Wiele razem rozmawiali. Raz nawet wyszli na

kilkanaście minut na dwór. Po minie i głosie Rumberda poznałem iż wrócili o wiele szybciej niżli tego oczekiwał.

- Ale widzisz już pierścień? - pytał uparcie - Może chociaż ciało? Wiesz gdzie jest? Większe, to i łatwiej...
- Powoli, mały przyjacielu - łagodnie odrzekł Diamdus - Jeszcze nie czas.
- Nie czas, nie czas... Jesteś magiem od widzenia rzeczy czy nie?

- Chodzić mogę, lecz nie znaczy to że odzyskałem dość sił by spojrzeć w zasłony przestrzeni.

Wspomniałem nie tak przecież dawną niechęć krasnoluda do wszelkiej maści magów. Teraz zachowywał się zupełnie inaczej. Gdy nie pomagał mu w chodzeniu, siadywali przy stole i rozmawiali o czymś w swoim języku. Rumberd nie zdawał się być szczególnie troskliwy, przynajmniej nie bezinteresownie, ale taka odmiana wzbudziła moją ciekawość.

Jedno było niezaprzeczalnym faktem - po śmierci Marty wszystko się uspokoiło, poza pogodą. Padało jeszcze przez dwa kolejne dni, choć nawet w ćwierci nie tak jak uprzednio. Trzeciego dnia zaś znów ujrzeliśmy słońce.

Parę dni później wraz z Noramem wybrałem się na przełęcz, by ocenić ile przyjdzie nam jeszcze czekać. Już po drodze poznałem że sytuacja niekoniecznie jest tak zła jak wieścił to Rumberd. Większość lawin już zesła, śnieg szybko osiadał pod własnym ciężarem, wyraźnie rysując poziome linie na nagich zboczach, w miarę jak odsłaniał ją w dzień i przymarzał do niej w nocy, warstwa za warstwą. Lada dzień i będzie można iść, pomyślałem, gdy przeszliśmy przez krótki wąwóz i stanęliśmy na przełęczy, spoglądając w dół, na drugą stronę. Piechotą szybciej będzie niż wozem. Zdążymy.

Patrzyliśmy na tonącą w bieli sąsiednią dolinę, gdy usłyszeliśmy za sobą skrzypienie śniegu. Diamdus ugiął się pod tobodem, który teraz sam musiał dźwigać, jego bagaż był jednak wyraźnie mniejszy, choć wciąż było go dość jak na jego stare kości.

Podszedł do nas i przystanął, spoglądając na szczyty. Zdziwiłem się jak zdołał nas podejść tak blisko, bez żadnego odgłosu. Spojrzałem w tył, odkrywając ze zdumieniem że jego ślady urywają się kilkanaście ramion dalej, zaraz za zakrętem prowadzącego ku przełęczy, krótkiego kanionu...

- Na mnie już czas - rzekł - choć wam radziłbym poczekać. Droga wciąż zbyt niebezpieczna.

- A dla ciebie? - spytałem - Jeszcze nie wydobrzałeś...

Roześmiał się cicho. Sięgnął po coś do zanadru i wydobył zaciśniętą pięść.

- Jestem ci coś winien. Wyleczyłeś mnie. Dziękuję ci za to, i za inne... Wybacz że od początku cię wykorzystywałem... was obu, właściwie... ale czułem że w tak dobranym towarzystwie prędzej czy później będę miał spory problem. Ktoś w końcu musiał przejrzeć na oczy, zorientować się że Elab... Wiedziałem że niechybnie przysporzy mi tu kłopotu.

Gapilem się na niego, nic nie rozumiejąc. Noram gapił się na mnie; brwi powędrowały wysoko w górę jego elfiego czoła, jakby sądził że wiem więcej od niego.

- Ty jeden gotów byłeś mi pomóc - powiedział mag po chwili przerwy - Nikomu innemu nie mogłem zaufać. Dlatego... chcę ci coś dać.

- Naprawdę nie trzeba! - zaprotestowałem, by za chwilę skulić się od uderzenia łokcia jak zwykle pragmatycznego Norama w bok, w żebra - To tylko...

Diamdus uśmiechnął się. Odwrócił wzrok od doliny i spojrzał na mnie.

- Pierwsza będzie rada, dla was obu, choć właściwie... - zawahał się - Podczas pełni każda krew wydaje się czarna, nawet własna. Wierzę że to, co się stało w gospodzie, czegoś was nauczyło. Mnie na pewno, choć widziałem gorsze rzeczy.

Popatrzył na zmieszanego Norama. Gapiliśmy się na niego, nie rozumiejąc. Ja przynajmniej mogłem to z czymś połączyć, ale dla Norama słowa były bez znaczenia. Diamdus mrugnął do nas, niby porozumiewawczo, jakby chciał obrócić słowa w żart, lecz mi nie było do śmiechu.

- Druga rzecz jest dla ciebie - zwrócił się do mnie - Proszę, podaj mi rękę.

Zrozumiałem że tym razem nie będzie to rada. Ciekaw tego co trzyma w zaciśniętej pięści - szczerze mówiąc, domyślałem się co to będzie - wyciągnąłem ku niemu otwartą dłoń. Diamdus schwycił ją z zadziwiającą szybkością, zetknął ze swoją i ścisnął mocno. Zawarty w niej przedmiot przeciął mi skórę; syknąłem, odruchowo próbując ją wyrwać, lecz Diamdus przytrzymał ją łagodnie, choć stanowczo.

- To co zostawiłem w gospodzie powinno wystarczyć za kłopot, jaki sprawiłem osadnikom i naszemu

drogiemu kupcowi - odparł poważnie. Patrzyłem na niego, teraz już naprawdę nic nie rozumiejąc - Zaś ten drobiazg winien wynagrodzić wasze trudy i... pokazać że warto być uczciwym i przyzwoitym. Ta nagroda jest ode mnie, choć nie tylko dla was.

Puścił mnie. Cofnąłem dłoń, wciąż zaciskając ją na niewielkim przedmiocie. Na śnieg kapnęła kropla mojej krwi. Z dłoni Diamdusa oderwała się kolejna, i kolejna... Wytarł ją w nie wiedząc skąd wziętą nagle w drugiej dłoni chusteczkę.

- Pokażcie to temu, kto na to czeka - powiedział. Powietrze wokół niego nagle zadrżało, zawirowało. Na twarzy poczułem podmuch, choć od rana pogoda była bezwietrzna - i przekażcie mu by pomyślał, zanim wybierze się w zbyt pośpieszną i nieprzemyślaną podróż. Niech najpierw stara się zrozumieć, czego i wam życzę.

Powoli rozwarłem palce.

- Pierścień elfa...? - zdumiał się Noram. Spojrzał na maga - Ale jak...? Przecież...

Starzec wyprostował się, jakby mu sił przybyło i ruszył ku dolinie, lecz kilka kroków dalej, już na stoku... Nie potrafię inaczej tego opisać - po prostu usiadł w powietrzu!

- Cokolwiek się stanie, nie idźcie za mną - ostrzegł, nie odwracając się - Inni mogą, lecz nie wy. To dla waszego bezpieczeństwa. I... nie sądźcie po pozorach, jakie by one nie były, póki nie poznacie całej prawdy. Całej - podkreślił - Bierzcie przykład z Sióstr Sprawiedliwości.

Wokół maga zaczęły tańczyć płatki poderwanego w górę śniegu.

- Ale jak odróżnię ją od pozorów? - zawołałem, zaintrygowany, przekrzykując powiew nagłego wiatru - Skąd będę wiedział że dotarłem do prawdy...?

- Czas - zaskakująco wyraźny głos zabrzmiał jakby się uśmiechnął - Pozory przychodzą same, jako pierwsze. Prawda ujawnia się z upływem czasu, a ludzie rzadko kiedy ją lubią... Rzadko kiedy czekają...

Jeśli nawet powiedział coś więcej, utonęło to w szumie wichru. Powstały wokół maga wir wzniosł go łokieć w górę by, posłuszny jego woli, ponieść w dół doliny. Wnet znikł w oddali, przy akompaniamencie świstu cichnącego wiatru, szybciej niż najszybsza karoca. Uspokoilo się; wzniesione w górę płatki opadały wokół, na skały, na śnieg i nasze zdumione twarze.

Wiele razy potem widziałem podróżujących na liczne sposoby magów, ten jednak był pierwszy, tak dla mnie, jak dla Norama - sądząc po tym jak stał z rozdziawionymi ustami, gapiąc się w dal.

- To jest coś! - stwierdził, gwizdnąwszy wpierw głośno z podziwem.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na darowany pierścień. Spojrzeliśmy po sobie bez słowa, w błysku zrozumienia. Chwilę potem pędziliśmy już na powrót ku gospodarzowi, co rusz potykając się i wpadając w śnieg, drąc się pod samo niebo. Wokół nas, jakby w odpowiedzi natury na naruszenie jej praw magią, zaczął prószyć drobniutki śnieg, lecący z niewielkich, pojawiających się jakby znikąd niewielkich chmur, przemykających się teraz między szczytami, nad doliną.

Dziwnie się czułem, gdy dopadliśmy drzwi i wbiegliśmy do środka. Lekko kręciło mi się w głowie, sądziłem że od biegu, ale nie aż tak bardzo by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

- Mamy pierścień! - Noram zawołał na całe gardło, nie bacząc na nic - Mamy...

- Macie? - siedzący przy stole Rumberd zerwał się na nogi - Na władców gór, skąd?

- Mag miał go, przez cały czas! - wyjaśniłem - Nie wiem gdzie, pewnie schował, by potem...

- A to stary czarownik! - krasnolud zgrzytnął zębami - Gdzie się znowu schował?

- Odszedł - wydyszałem, łapiąc oddech po biegu -- Poszedł w dolinę... na...

Machnąłem ręką ku przełęczu.

- Pokaż mi go! - krasnolud siłą wyrwał mi pierścień, niemal wraz z dłonią - Jeśli się nim nie bawił, wciąż powinien zawierać jego myśli...

Zawahał się i spojrzał na mnie groźnie. Do tego czasu zbiegli się do sali wszyscy, nawet dzieci, ciekawe co się znowu stało.

- Nie zakładałeś go aby? - spytał z obawą - Jeśli zatarłeś wspomnienia to...

- Nie, skądże!

- Świeżą krew widzę...

- Diamdus skaleczył mnie nim w rękę - wzruszyłem ramionami, pocierając palcami lekko piekące skaleczenie.

Rumberd jeszcze raz spojrział na mnie, po czym zdjął swój pierścień, nałożył drugi na ten sam palec i zamruczał coś niezrozumiałego. Długą chwilę stał jak w transie, z zamkniętymi oczami, ni drgnąwszy nawet. Mijała minuta, druga, dziesiąta... Patrzyliśmy na niego z napięciem, nie rozumiejąc za bardzo na czym polega ich działanie i czym się objawia. Wreszcie jego twarz zaczęła się zmieniać. Brwi uniosły się, by ściągnąć w gniewie. Zarost skutecznie zakrywał wszelkie inne ślady reakcji, lecz drżenie brody podkreślało jej siłę. Krasnolud aż zazgrzytał zębami. Gdy nagle otworzył oczy, aż cofnąłem się przed bijącą z nich wściekłością, niepewny ku komu jest skierowana. Z zaciśniętych ust wytoczyła się strużka zamienionej w pianę śliny...

- Bestia! - wrzasnął okrutnie, ściskając topór. Zatoczył się ku ławie, oparł o blat stołu i potoczył wokół na wpół niewidzącym spojrzeniem - Bestia! Zabiję... łapcie go, gońcie!

Rozłożył ramiona i wsparł się nimi o stół, gapiąc się nieprzytomnie w ścianę. Z ust płynęła już cała rzeka piany.

- Trzymajcie go! - zawołałem, wbrew strachowi rzucając się ku niemu - Trzymajcie go, nim w śnieg popędzi, lub zacznie rąbać nas na oślep!

Wpierw z oporem, potem ze zrozumieniem, najpierw Mrazin, potem inni górnicy rzucili mi się na pomoc, myśląc raczej o drugiej wspomnianej przeze mnie możliwości. Rumberd prężył się, napinał mięśnie, próbował rzucać na wszystkie strony, wyjąc i rycząc nieludzko, lecz wspólnymi siłami utrzymaliśmy go do chwili gdy zaczął sapać, przytomniejszym już wzrokiem patrząc na otaczających go ludzi.

- Co ujrzałeś? - spytałem - Co takiego zawiera ten pierścień!

- Puśćcie mnie! - wrzasnął, choć już bez obłąkańczego wyrazu.

Mrazin skinął głową. Na jego znak odsunęliśmy się krok do tyłu. Rumberd stał, warcząc głucho, prostując i zaciskając palce. Spokojnie przeszedł kilka kroków w przód, nagle dobył toporka i z całej siły prasnął nim w stół. Solidny zdawałoby się mebel pękł na pół i zwałił się na podłogę. Dopiero to uspokoiło krasnoluda.

Wyszarpnął topór z drewna - daliśmy kolejne dwa kroki w tył - i zacisnął na nim dłoń, drugą gładząc oręż po ostrzu.

- Wasz drogi mag to wampir! - ryknął w moją stronę. Przysięgłbym że za słowami poleciał także topór, lecz Rumberd miał dość rozsądku by nie winić mnie za jego czyny - Wampir, z klanu Morka! Nie wątpię że połowa trupów to jego robota! Połowa, jeśli nie więcej! Ach, to bydlę! - ciął w jedną z połówek stołu, rozszczepiając grubą deskę na dwoje - Nie dziw że zna się na ludziach, nie dziw że czuje różne rzeczy, krwio pijca z demoniego wymiaru!

- Ale... wampir? - wyjąkałem - Dlaczego... Jak?

- Achrrr! Powinienem już wtedy zwrócić uwagę na tę starą żmiję! - Rumberd nic sobie ze mnie nie robił - Co to za czarodziej, co nożem grozi że gardło utnie, zamiast mocą porazić, magią związać? Sierpu nie lubi? Sierp, prawdziwy Sierp, zaraz by poznał z czym mają tę przyjemność! - kolejna deska zmieniła się na dwie - Orkowie nienawidzą wampirów! Wszyscy nienawidzą! Pokoju chciał, szczurza jego mać! Bydlę wiedziało co robi, arrr... I ten jego czeladnik! Żerowali na naszych uprzedzeniach jak sępy! Wykorzystali, kierując nienawiść przeciwko istocie godnej jeno współczucia, ale przez tego demona w ludzkiej, śmiertelnej! - ryknął głośniejsz - skórze, zaślepił mnie tą...! tą... Łotr dobrze nią nakierował, dokładnie tam gdzie chciał, aż się nażarł do syta...

Słuchaliśmy go w milczeniu, trwożliwie obserwując jak systematycznie łupie stół na drzazgi. Złość to największa, gdy z krasnoluda wychodzi. Wyglądało na to że Diamdus będzie miał wkrótce problem.

Zrozumiałem dlaczego Kolimach obciął głowę Elabowi, ale pamiętałem też co powiedział mag, gdy odnalazł mnie w śnieżycy. Nie żałował ucznia i nie sądziłem by kłamał... Lecz czy mówił prawdę w tak wielu innych sprawach?

Za sprawą zręcznej mowy mową i darzonego zaufania jawił się nam jako ten najbardziej mądry i dobrotliwy, zawsze poza wszelkimi podejrzeniami, nawet gdy sam został oskarżony... Od początku kierował naszą uwagę na tajemniczego potwora, gdyż zamierzał uczynić go winnym, czy jego zmysły naprawdę nie potrafiły dostrzec Marty? Wszak naszym największym błędem była wiara iż za wszystkimi niewyjaśnionymi morderstwami stała jedna i ta sama istota! Po co stoczki, gdy można grać ludźmi? Co i rusz on i jego uczeń dyskretnie obracali nas przeciw sobie, niczym kości, stykając ze sobą kolejne ściany. Czy grali dla zabawy, czy o to ilu z nas zginie, kto i dlaczego?

Pożałowałem że jeszcze przed pierwszą zamiecią Noram powstrzymał mnie przed dalszą podróżą. Kto wie czy, nie mając nikogo godnego zaufania, stary wampir nie rozegrałby tego inaczej, czy sprawy nie

potoczyłyby się lepiej, dla innych... Miałem swoją winę w tym co się stało. Nawet jeśli inni widzieliby to inaczej, to ja tak to czułem. Tylko jedno dawało mi ulgę -krwawe posunięcia dokonały się głównie nie za sprawą ludzi, lecz Elaba, choć nie brakło tych z naszej wynikłych winy. Próba na wilkołaka... czy rzeczywiście nie mogła nic wykazać, czy też Diamdus opanował sztukę udawania do perfekcji? Będąc tym, czym w rzeczywistości był, nie raz musiał oszukiwać ludzi. Musiał, tak, to było dobre słowo. Jak gwałtownie zareagowali ludzie, gdy ujawnił prawdziwą naturę Apoka... Cóż by zrobili, gdyby się przyznał? Czy aby jego początkowe roztargnienie nie było tylko maską dla skupienia, z jakim nas obserwował, oceniania komu mógłby zaufać? Łatwo mu było wybrać mnie, ale...

Nie sądź po pozorach, pomyślałem nagle. Czy to możliwe, że...?

- Cóż możemy poradzić - powiedziałem, wykorzystując moment przerwy w przemowie krasnoluda - gdy nasza natura jest przeciw nam? Gdy każe szukać wrogów tam gdzie ich istnienie jest zbyt oczywiste, a nie kieruje nas ku tym którzy się za tą oczywistością kryją?

Rumberd skończył ze stołem. Już zabierał się do szatkowania ławy, ale zmiarkował swój gniew. Opadł topór o podłogę i spojrzał na mnie.

- Masz rację, chłopcze! - powiedział w zdenerwowaniu, lecz już swoim zwykłym głosem - Przez tę kreaturę straciłem nie tylko towarzysza, ale i honor, biorąc udział w morderstwie istoty której winienem był litość, nie śmierć przynieść! Ten gad, ten... - zacisnął dłonie - nie jest wart nic prócz zemsty! Wykonam ją, choćby i cały Świat miał się rozlecieć na kawałki!

- Marta zabiła całą rodzinę... - przypomniałem ostrożnie - Może i ona...

- Jeśli tak uczyniła, to za jego sprawą! - w oczach krasnoluda Diamdus stał się jedynym odpowiedzialnym za wszystko, w tym za nasze myśli i błędy - Miał w tym jakiś grzeszny, ukryty cel! Potrzebował jej, czyż nie? Chciał by na niej skupiła się wina!

- Więc po co oddał pierścień, skoro poszło mu tak dobrze? - Noram rozłożył ręce w bezradnym geście niezrozumienia.

Krasnolud znieruchomiał z otwartymi ustami. Wzniósł palec, lecz milczał.

- Nie wiem... - przyznał w końcu z wahaniem, zaraz jednak wróciła mu cała złość - ale nie obiecuję że zapytam, nim zdejmę mu głowę z ramion! Muszę go dopaść, nim dotrze do miasta! Gdy minie jego mury, zniknie w nim na zawsze!

Jak stał, rzucił się ku drzwiom.

- Zaczekaj! - zawołałem, gdy już sięgał za klamrę - Tak go nie dogonisz! Sam mówiłeś, śnieg musi osiąść...

- Może on, mogę i ja! - odparł, ale zawahał się.

- Nie możesz, chyba że jesteś czarownikiem - rzekł Noram.

Pośpiesznie opowiedzieliśmy mu o metodzie podróżowania maga. Krasnolud zaklął przeraźliwie i zawrócił ku swojemu pokojowi. Jednak w połowie drogi przez salę zatrzymał się i wrócił do nas.

- Obiecałem sto talentów znalazcy - powiedział - Dostałem go od was, nieważne że ten... stwórz tak chciał.

Jednak... - sapnął - Muszę iść za nim. Nie mogę czekać by je wam wypłacić. Nie nosimy... nie nosiliśmy takich sum ze sobą. Na wszystko mamy osobiste listy kupieckie, u jednej z naszych, krasnoludzkich gildii. Choćby je kto ukradł, złota nie dostanie...

- Pójdziemy z tobą - odrzekłem szybko - Pomożemy...

- Spowalniałobyście mnie tylko! Muszę iść teraz, zaraz, sam! Dam sobie radę, ale dla was to zbyt niebezpieczne. Dlatego... - pochylił się ku mnie i ściszył głos. Kurkusa wytężył słuch, lecz nawet on nie mógł nas usłyszeć - Dam coś więcej. Dam wam ten pierścień - włożył mi go w dłoń - Pozwalał mi widzieć oczami Apoka, a jemu widzieć moimi, ale to nie ogranicza się tylko do nas. Każdy może go używać, by przekazywać myśli i wizje, wszystko co zobaczy i pomyśli. Zatrzymajcie go, jeśli chcecie, jeśli nie... Starczy wam znaleźć dobrego kupca, co zna się na rzeczy, by od ręki dał wam zań dwakroć tyle ilem obiecał!

- Za takie coś? - zdziwił się Noram. Zganiłem go wzrokiem. Nie rozumiał jeszcze iż nawet niepozorne przedmioty mogą kryć w sobie wielkie moce i że nie bez oczywistych powodów nie nadawano im zwracającej na siebie uwagę formy czy zdobień. Nie wyglądał się tu liczył.

- Nie mam już nikogo by przez niego patrzeć - odparł krasnolud - Nie potrzebuję go. Zatrzymajcie go.

Zatrzymajcie oba - po namyśle zdjął także swój i wcisnął go w rękę zaskoczonemu Noramowi. Sam złapał za topór, cedząc powoli - Ja chcę już tylko... zemsty...!

Obserwowaliśmy go, jak z szalonym błyskiem w oku pędził do pokoju. Zebrał szybko najbardziej potrzebne

rzeczy i za chwilę pędził już z powrotem.

- Zaczekaj! Powiedz mi prawdę - wstrzymałem go po raz ostatni przy drzwiach i spytałem cicho, tak by tylko on usłyszał - Czy to Diamdus zabił Apoka? Czy...

Spojrzał na mnie tak że odechciało mi się pytać. Nie wiem czy naprawdę to zrobił, czy Rumberd uznał go winnym, bo stary mag tak ustawił sytuację, wiedziałem jedno - nie chciał o tym mówić. Odsunąłem się. Rumberd wypadł na zewnątrz i popędził wprost na przełęcz. Wodziłem za nim wzrokiem nim znikł za nawisem skalnym. Wtedy zamknąłem drzwi.

- Całe szczęście - podsumował Ossel - Tylko szalonego krasnoluda nam brakowało, teraz, kiedy już po wszystkim...

Posłałem mu pełne gniewu spojrzenie. Oparłem się plecami o drzwi. Ciekaw co Rumberd ujrzał, nasunąłem pierścień na palec. Był za duży by go nosić, pomyślałem więc że zrobię z niego wisiołek i ukryję pod koszulą. Liczyłem na wizję, cokolwiek, lecz nic się nie stało.

Noram nałożył swój, z podobnym widać rezultatem, bo zdjął go rychło.

- Zamieńmy się - powiedział.

Niewiele to pomogło, tak samo skupienie się na wizji. Pierścienie zdawały się martwe.

- Chyba nas nie oszukał? - zastanowił się Noram.

- Widziałeś co się stało? - spytałem. Próbowałem się nad tym zastanowić, lecz narastający ból głowy nie pozwalał mi się skupić.

- Szkoda że nie powiedział jak się ich używa...

- Jak wszystko, potrzebuje zaklęcia. Słyszałeś co mamrotał zanim...?

Noram pokręcił głową. Wzruszyliśmy ramionami.

- Kiedyś się dowiemy - podsumowałem - Ktoś musi coś o nich wiedzieć.

- Słyszałem że kapłani ze Świątyni w Krontorii zrobili je tysiąc lat temu dla swoich ludzi - przypomniał sobie Noram - a potem ich słudzy roznieśli je po świecie, szukając czegoś.

- Możliwe - przyznałem, wspominając Świątynię - Byłem tam. To bardzo możliwe...

- A wiesz że dziś już nikt takich nie robi?

Znów wzruszyłem ramionami.

- Może oni będą wiedzieli jak działają?

- I zaryzykujesz że nam je zabiorą? Już lepiej je sprzedać, jeśli są tyle warte.

Pierścieni nie sprzedaliśmy jednak nigdy, tak jak nigdy nie dowiedziałem się co naprawdę zaszło podczas śnieżycy, między Apokiem, Diamdusem i strażnikiem. Wtedy nie byłem zresztą pewien czy chcę to wiedzieć, czy chciałem poznać prawdę o Diamdusie, a przez to także prawdę o moim udziale w jego grze. O rolach innych wiedziałem prawie wszystko.

Nikt nami nie kierował. Mag nie wskazywał nam celu, nie mówił kto jest niebezpieczny, przeciwnie - nawoływał do spokoju, lecz co rusz ujawniał nowe szczegóły z życia przybyszów, by zakończyć przedstawienie ujawnieniem najgłębszej tajemnicy osady. Dawał informacje, rzadko sugestie. To my robiliśmy z nich użytek, wedle własnego uznania. Sami znaleźliśmy sobie ofiarę, sami obarczyliśmy ją winą i sami bezmyślnie ukaraliśmy - istotę która broniła osady, która wiedziała kto stoi za zabójstwami i próbowała go powstrzymać... Jej jedyną winą było że raz podeszła pod okno, by posłuchać śpiewów, i kilka razy ogrzała się w ciepłym przedśionku kopalni. Sroga kara za chwilę szaleństwa, ktoś by pomyślał, lecz czy aby na pewno? Co kazało Marcie rozbić drzwi, wpaść do środka i zabić całą rodzinę? Dlaczego nie piszę jej na jej konto? Może dlatego iż w słowach Rumberda było więcej racji niż z początku myślałem... Gdyby nie Marta, nikt zapewne nie wróciłby z wyprawy po drewno, nawet Elab - tego jednego jestem pewien.

Nie wiem ile rozumiał z tego Kolimach. Chyba niewiele, skoro, zamiast nas ostrzec, jedynie zamknął za uczniem drzwi. Choć... kto by mu uwierzył? Ja nie. Po tym co zrobił, mówienie o Elabie wystawiłoby jego gardło pod nóż, a to nie było wyjściem po jego myśli. Gdy uczeń wyszedł polować, upewnił się że nie wróci, a potem, wiedząc że zamieć go osłabi, sam ruszył na łowy. On też mnie wykorzystał, ale w tym przypadku nie miałem mu tego za złe.

\* \* \* \* \*

Gra Diamdusa nie skończyła się wraz z jego odejściem, przynajmniej nie dla mnie, choć tego dnia jeszcze o tym nie wiedziałem. Ja i Noram staliśmy się bezstronnymi świadkami, próbującymi uporać się ze skutkami jego działań. Asystowaliśmy, tak jak to przewidział, przy podziale łupów, jakie po sobie zostawił w porzuconych w pokoju tobołkach. Nadto w nich było cennych rzeczy by zrekompensować straty kupca i osady. Wszyscy byli pewni że porzucił je, bo nie był w stanie ich zabrać. Ja już wtedy myślałem inaczej. Będąc tym czym był, nie ciążyłyby mu ani trochę, nie jego metodzie podróżowania. Udawał słabego, bo takim winien być starzec, choćby i mag. Jeśli coś po sobie zostawił, to tylko dlatego że chciał nam, a właściwie mi, powiedzieć że ponosi winę tylko za te straty, które pieniądź potrafi naprawić; za inne nie poczuwa się do odpowiedzialności. Nie bezpośrednio, jak sądzę...

Kurkusa od początku wskazywał siebie jako najbardziej, jeśli nie jedynie, poszkodowanego. Stracił wszak czwórkę dobrych, silnych koni, oraz trzech ludzi, zapewne wiernych towarzyszy w jego... nazwijmy to, dla spokoju, działalności. Jeszcze długo po tym jak odeszliśmy, tkwił w osadzie, czekając aż Ossel wróci z Szeolu wraz z nowym zaprzęgiem. Za to jedno winne dziękować wampirowi niedoszłe ofiary Kurkusa, na które zapewne miał wtedy kontrakt. On też nie powinien narzekać - los był mu łaskawszy niż, moim zdaniem, powinien. Jeśli był naprawdę rozsądny, po tej przygodzie winien upozorować własną śmierć i zniknąć gdzieś na zachodzie. Co wybrał? Nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi.

Osadnicy też nie zamierzali pozostać z pustymi rękoma. Pomijając nawet śmierć tak wielu górników, już sam Mrazin poniósł uszczerbek na mieniu, jeśli już nie licząc zniszczeń, to chociażby zapasy i padłe pegreny. Wszyscy kłócili się nad rozrzuconymi na stole przedmiotami, drąc koty nad każdym drobiazgiem - chociaż do rękoczynów szczęśliwie nie doszło - a mnie tymczasem rozsadało głowę, i nawet nie wiedziałem dlaczego. Spory ułagodził i zakończył Noram, biorąc za to zwyczajowo należną zapłatę, za siebie i za mnie - gdyż nie chciałem brać niczego. Taki już był - szlak nauczył go praktycznego i możliwie prostego podejścia do życia i podsuwanych przez nie okazji. Nie mogłem go za to winić.

Czy byliśmy wtedy naprawdę bezpieczni? Starczy że powiem iż gdy tego wieczora szedłem na spoczynek, koty znów leniwie wypoczywały przy kominku...

Jaki naprawdę starzec dał mi prezent zacząłem poznawać następnego dnia. W głowie mi huczało, w uszach dudniło, a wokół czułem dziwną woń, przez nikogo innego nie wyczuwaną. Isfita od rana dziwnie na mnie patrzył, wreszcie podszedł do nas przy obiedzie i siadł naprzeciwko, spoglądając na mnie uważnie.

- Czy ten wampir zrobił ci coś? - spytał.

- Czemu pytasz? - zdziwił się Noram. Nie odpowiedziałem. Odruchowo zdjąłem dłonie ze stołu i położyłem na kolanach, z dala od jego spojrzenia.

- Inaczej pachniesz - odpowiedź wyraźnie skierowana była do mnie.

- Gorzej? - z obawą pojrzałem na dobrze gojącą się ranę, myśląc czy aby mnie nie zaraził.

- Inaczej, nie więcej. Inaczej.

Wyciągnąłem dłonie i wysunąłem ku niemu, grzbietem do dołu. Isfita spojrzał na nią i kilka razy wciągnął ze świstem powietrze. Oparłem głowę na drugiej ręce i jałem wpatrywać się w zranioną dłoń, myśląc, a przynajmniej próbując, gdyż nie bardzo mi to szło.

- On ci to zrobił?

Pokiwałem głową.

- Nie myślisz chyba...? - spytał Noram.

- Koty tak nie myślą - Isfita kiwnął głową ku kominkowi - ni ja.

Spojrzałem na wylegujące się koty. Dwa z nich lizały się spokojnie, nie zwracając na mnie uwagi. Zdawały się nie reagować na moją obecność. Nie jest tak źle, pomyślałem z ulgą.

- Rozumiem! - zawołał Noram, aż wszyscy spojrzeli na nas - Rozumiem - powtórzył już ciszej - Nie chciał cię zarazić, tylko uodpornić!

- O czym ty mówisz? - zdziwiłem się.

- Słyszałeś co mówił o wampirach i wilkołakach? Nie każdy zmienia się po ugryzieniu. Może ten, jak mu tam...

- Pierwiastek - przypomniałem.

- Pierwiastek, no. Jeśli go za mało wejdzie do ciała, wtedy je ono odrzuca i staje się odporne, jak na niektóre choroby. Wampiryzm to przecież choroba, nie?

- Sam nie wiem... - popatrzyłem na Isfitę. Może i tak, choć bywa nieuleczalna, pomyślałem, a jej wyleczenie może zabić, zaś chory może z nią żyć i przyzwyczaić się - Myślisz że...?

- Kropla krwi to dość, jak myślę po twojej dziwnej chorobie. Przeziębienie to nie jest. No i ten dziwny zapach...

- A co, też go czujesz?

- Tylko powtarzam za... - popatrzył na Isfitę, nie chcąc przy nim nazywać pewnych rzeczy po imieniu - Mogą cię gryźć wampiry, ale jednym z nich się nie staniesz.

Może i tak, pomyślałem sobie, lecz nic nie odrzekłem.

- Nie powinieneś o tym mówić - powiedział Isfita - Gotowi was jeszcze...

Pokiwałem głową. Miał rację. Pośpiesznie skończyłem jeść i poczłapałem do pokoju, gdzie zamknąłem się na kilka kolejnych dni, wychodząc tylko na posiłki.

\* \* \* \* \*

Kilka dni później czułem się już dobrze. Cokolwiek to było, odeszło. Opuściliśmy wkrótce osadę, by kontynuować podróż, lecz nigdy nie zapomnieliśmy odebranej tam lekcji. Od tego też czasu zacząłem baczniej przyglądać się ludziom, zwłaszcza tym pozornie najbardziej godnym zaufania. Nie patrzyłem już jakimi chcą by ich widziano, lecz jakimi naprawdę są.

Lata mijały, wiedzy mi przybywało. Rozumiałem coraz więcej, lecz stale zadawałem sobie jedno i to samo pytanie: na ile była prawdziwa historia, którą opowiedział kupiec, a dokończył mag? Ile było prawdy w historii o młodym księciu, zamienionym w wampira? Czy Diamdus naprawdę chciał go zgładzić, czy też obciążył go winą za własne ofiary, by polować bezkarnie aż, nasyciwszy się, skłonić wuja do pozbycia się chłopca, jako rzekomo jedyne źródła zła? A może klan, z którego sam pochodził, nie życzył sobie konkurencji...?

Potrzebowałem odpowiedzi, nie tylko z ciekawości. Wierzyłem że pozwoli mi ona choć częściowo oczyścić się z winy za wypuszczenie jednego z nich na Świat. Szukając jej poznałem wielu ludzi, w tym magów i wampirów, usłyszałem też o klanie Morka, do którego, według słów Rumberda, należał Diamdus. Tak jak powiedział stary mag, prawda wymaga czasu i rzadko kiedy jest łatwa do przyjęcia.

Miał rację. Wampiry żyły, żyją i zapewne żyć będą wśród ludzi do końca Świata. Miał też rację gdy mówił o naturze ich przemiany. Podział na stare, osiadłe klany i młode, wędrujące - choć i młode i wędrujące nie w ludzkim rozumieniu czasu, bo i przysiadły czasem na kilka wieków w jednym miejscu - nie był podziałem sztucznym, a istniejącą w rzeczywistości przepaścią, dzielącą umysły jednych i drugich. Stare klany szczyciły się rozłożystymi drzewami rodowymi krwi; położenie na konarach i gałęziach decydowały o wartości, pozycji i przyszłości każdego wampira, w miarę jak przechodził przez kolejne stulecia. Młode klany nie dbały o pokrewieństwo, w większości dlatego że nie były w stanie prowadzić archiwów, ani nadażyć za stale zmieniającą się własną populacją. Niewielu wampirów z młodych klanów, choć starych na ludzkie rozumienie, potrafiło dożyć lat swoich kuzynów. Diamdus, jak się okazało, nie był wyjątkiem.

Klan Morka był klanem wędrownym. Na nowe wampiry obierali nawykłych do przemocy przestępców, ale nie po to by dać im nowe możliwości, lecz zadać pokutę, zamieniając w młot na to, czym sami kiedyś byli. Mieli w głębokiej pogardzie generację swoich braci, toczące odwieczne walki o terytoria do żerowania. Ujmując rzecz najprościej jak można, bez wdawania się w głębszą naturę rozwikłania konieczności przetrwania ze stosunkiem do ofiary, jaką każdy z wampirów musiał przejść, stare klany żyją na ludziach, jak ludzie na pegrenach, młode klany żyją zaś wśród nas, na swój własny, przerażający, lecz przynoszący mi dziwny spokój sposób.

Obie strony umownie podzieliły między siebie ludzkie ziemie, jak my czynimy to, dzieląc ją na państwa bez pytania zwierzyny o jej osąd. Wschód należy do starych klanów, zachód do nowych. Ludzie są ich głównym żywicielem, na równi ze zwierzętami, lecz tylko przez ludzi mogą się rozmnażać, czy mówiąc dokładniej, tworzyć nowych braci krwi. To ogranicza ich istnienie do miejsc w których my, ludzie, żyjemy. Podział nie jest trwały. Na własne oczy - i miecz - przekonałem się że jeszcze po Wojnie Braci istniały w stolicy co najmniej dwa stare klany, oraz jak dobrze radzą sobie forpocztą młodych klanów wśród plemion Wschodu i południowych, pirackich wysp.

Historia w gospodzie była echem ich wojen. Stary wampir zapragnął mieć ucznia, potomka - jest to dla nich



jak posiadanie i wychowywanie dziecka. Myli się jednak ten, kto sądzi że wampiry, nawet te ze starych klanów, nie mają uczuć, czasem wobec ludzi. Jedne obierały uczniów by przekazać im wiedzę, inne z nudów - ileż można przeżyć wieków, robiąc zawsze to samo, samemu? Dzieci, jak to dzieci, bywają grzeczne i posłuszne, lub niezdolne i dzikie, z lubością dręczące zwierzęta... W tym wypadku... cóż, wszak stary wampir nie zrobił nic na obronę młodzika. Materiał od początku nie był najlepszy.

Ile dni głodowali, nim dotarli do gospody? Wampiry wytrzymują bez świeżej krwi do miesiąca, lecz już po tygodniu cierpią straszliwe męki. Stary wampir cierpliwie wstrzymywał się z posiłkiem, wybierając ofiarę i czekając na właściwy moment, ale jego młodszy towarzysz, niecierpliwy i niewyuczony, bez namysłu gwałtownie zaspokoił swoją potrzebę, przy pierwszej sposobności. Ku rozczarowaniu opiekuna jął też napawać się świeżo nabytą żądzą. Kolimach, jak się okazało, lepiej ocenił kandydata - to tkwiło w nim już wcześniej. Szkoda że nie poznali się w innych okolicznościach. Kolimach byłby dla klanu wart znacznie więcej... Na koniec, nauczyciel zapragnął pozbyć się niewygodnego ucznia. Zapewne sam by to zrobił... gdyby najemnik go nie wyręczył.

Czy wszystko było tylko grą - Diamdusa, Elaba i czującego zawiść Kolimacha? Czy najemnik żywił urazę do dawnego kompana i próbował zająć jego miejsce? A może to Elab pojedynkował się z mistrzem, biorąc go za zbyt powściągliwego, samemu będąc z kolei zbyt porywczym i niecierpliwym? Czy wampir, choćby i z młodych klanów, może być niecierpliwy - i przetrwać? Czy nie o tym myślał jego mistrz, próbując obronną ręką wyjść z zagmatwanej sytuacji? Jeśli tak, jego wina byłaby dla mnie przynajmniej zrozumiała.

Wyjaśnienia, które byłem w stanie usłyszeć, nie pomogły mi znaleźć prawdziwego winnego. Wszystko, co powiedziałem, to wersja którą wymyśliłem dla spokoju własnego sumienia. Tylko Diamdus mógłby mi powiedzieć jak było naprawdę, a jego nie zdołałem spotkać. Nigdy nie dowiedziałem się kto naprawdę zabił Apoka. Nigdy nie zdołałem wywołać wspomnień, które zamarły w głębi pierścienia. Odeszły, nim poznałem jego tajemnicę, lata później... a może były tam, jak wszystkie inne, tylko ja nie potrafiłem ich odszukać? Uwierzyłem w to co opowiedziałem, bo jakże inaczej mógłbym pogodzić się ze świadomością że uzdrowiłem mordercę, choćby i nieświadomie?

Pewnej nocy, goniąc jedno z jej Dzieci, pojąłem różnice między klanami. Tak jak i ludzie, różne są też wampiry, z których się biorą. Odtąd życzyłem staremu magowi, jakiegokolwiek było jego prawdziwe klanowe imię, by zawsze, gdziekolwiek trafi, znalazł wokół siebie dość łotrów, bandytów, najemników i pospolitych morderców by nie iść spać głodnym.

Znam Świat na tyle by wiedzieć iż to jedno życzenie na pewno się spełniło...

Lublin, 27 października 2005 - 14 czerwca 2006

---

Dodane przez : Shiro, dnia listopad 09 2006 23:51:26